słownie wszystko, a nic, czego nie można policzyć, zestawić w tabeli i podsumować w raporcie rocznym, nie jest rzeczywiste. Ten świat jest nie tylko produktem finansjalizacji, ale też jego przedłużeniem. Bo czymże jest świat sekurytyzowanych instrumentów pochodnych, zabezpieczonych papierów dłużnych i innych egzotycznych instrumentów finansowych, jeśli nie apoteozą zasady, że wartość jest produktem pracy urzędniczej i samym wierzchołkiem ogromnej góry urzędowych formularzy, która zaczyna się tam, gdzie pracownik socjalny sprawdza, czy naprawdę żyjesz w tak wielkiej biedzie, że twoim dzieciom należy się bezpłatne lekarstwo, a kończy tam, gdzie panowie w garniturach przy użyciu najszybszych komputerów robią błyskawiczne zakłady o to, kiedy przestaniesz spłacać kredyt hipoteczny.

Krytyka biurokracji godna naszych czasów musiałaby pokazać, jak wszystkie te wątki – finansjalizacja, przemoc, technologia, zatarcie granic między państwowym i prywatnym – splatają się w jedną, samopodtrzymującą się sieć. Finansjalizacja sprawia, że coraz większa część zysków biznesu pochodzi z takiej czy innej formy renty. Praktyki te to w zasadzie zalegalizowane wymuszanie haraczu, więc towarzyszy im nieustająca akumulacja przepisów i regulacji, egzekwowanych przez wszechobecny i coraz bardziej wyrafinowany aparat przymusu. Nie odczuwamy już nawet, że grozi się nam użyciem siły, bo nie umiemy sobie wyobrazić życia wolnego od takiej groźby. Jednocześnie część zysków pochodzących z renty trafia do wybranych klas specjalistów, a inna część pokrywa koszty zatrudniania nowych kadr korporacyjnych urzędników. To z kolei wzmacnia zjawisko, o którym pisałem gdzie indziej: dający się zaobserwować w ostatnich dziesięcioleciach nieustanny rozrost bezsensownych, nikomu niepotrzebnych prac – koordynator wizji strategicznej, konsultant do spraw zasobów ludzkich, analityk regulacji prawnych i tym podobnych – choć nawet ci, którzy pełnią te funkcje, często przyznają w tajemnicy, że nie wnoszą żadnego wkładu w funkcjonowanie organizacji. Ostatecznie to tylko logiczna konsekwencja przegrupowania klasowego, które rozpoczęło się w latach 70. i 80., gdy korporacyjne biurokracje stały się przedłużeniem świata finansów.

Niekiedy zdarza się trafić na konkretny przykład, który skupia w sobie wszystkie te zjawiska naraz. We wrześniu 2013 roku odwiedziłem okupowaną przez robotników fabrykę herbaty w Marsylii. Strajk trwał od roku i przez tak samo długi czas zakład otaczała policja. Co do tego doprowadziło? Według robotnika w średnim wieku, który oprowadzał mnie po zakładzie, bezpośrednim impulsem do protestu była decyzja o przeniesieniu fabryki do Polski, gdzie robocizna jest o wiele tańsza. Jednak u podłoża konfliktu leżał

Utopia regulaminów

O technologii, tępocie i ukrytych rozkoszach biurokracji

David Graeber

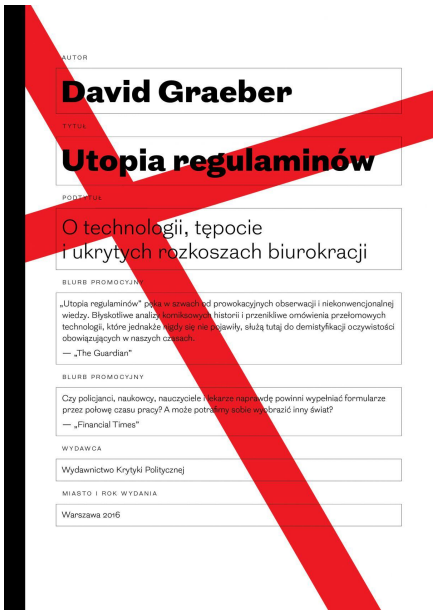

2016-11-07

Spis treści

Wstęp: Żelazne prawo liberalizmu i era biurokratyzacji totalnej **3**

1. Martwe strefy wyobraźni: Esej o strukturalnej tępocie **43**

2. Latające samochody i malejąca stopa zysku **94**

Teza: W latach 70. XX wieku nastąpiło głębokie przeobrażenie, polegające na porzuceniu inwestycji w technologie, które otwierały drogi do alternatywnych modeli przyszłości, na rzecz inwestycji w technologie, które wzmacniają dyscyplinę pracy i mechanizmy kontroli społecznej 107

Antyteza: Jednak nawet w tych dziedzinach nauki i techniki, do których kierowano fundusze szerokim strumieniem, nie odnotowano oczekiwanych przełomów 116

Synteza: Jak przeszliśmy od technologii poetycznych do biurokratycznych 125

3. Utopia regulaminów, czyli dlaczego mimo wszystko pragniemy biurokracji **132**

1. Oczarowanie rozczarowaniem, czyli o magicznej mocy urzędu pocztowego 135

2. Racjonalizm jako forma duchowości 147

3. Biurokratyzacja antybiurokratycznej fantazji 155

4. Utopia regulaminów 169

Dodatek: Batman i problem władzy ustrojodawczej **183**

stwa (cokolwiek by to miało znaczyć). Inni utrzymują, że w życiu liczy się przede wszystkim sztuka albo religia. Jedni i drudzy budują swój światopogląd na tym samym rozróżnieniu, które usiłują przezwyciężyć.

W ostatecznym rozrachunku nie ma więc znaczenia, czy ktoś pragnie przeorganizować świat pod kątem biurokratycznej skuteczności czy rynkowej racjonalności: wszystkie fundamentalne założenia są takie same. Pomaga to zrozumieć łatwość, z jaką można się między nimi przełączać – tak jak wtedy, gdy byli sowieccy aparatczycy z największą łatwością przestawili się z systemu podporządkowanego interesom państwa do systemu podporządkowanego interesom i regułom rynkowym, a przy okazji, w zgodzie z „żelaznym prawem liberalizmu", zdołali drastycznie rozszerzyć kadry biurokratów w swoim kraju[38]. Albo jak mogło dojść do niemal pełnego zespolenia obu tych sfer w obecnej erze totalnej biurokratyzacji.

Pogląd, że biurokracja ma cokolwiek wspólnego z racjonalnością (a tym bardziej ze skutecznością), wyda się co najmniej podejrzany każdemu, kto był kiedyś uchodźcą, albo komu choć raz zdarzyło się wypełniać czterdziestostronicowy wniosek o przyjęcie córki do szkoły muzycznej w Londynie. Jednak z zewnątrz właśnie tak to wygląda. Wewnątrz systemu algorytmy i wzory matematyczne, według których wartościuje się świat, są nie tylko miarami wartości, ale ostatecznie także ich źródłem[39]. Koniec końców, biurokraci zajmują się przede wszystkim wartościowaniem. Nieustannie oceniają, kontrolują, porównują i rozważają zalety rozmaitych planów, projektów, wniosków, strategii czy kandydatów do awansu. Reformy rynkowe tylko nasilają tę tendencję. Można to dostrzec na każdym poziomie. Najokrutniej doświadczają tego ludzie biedni, nieustannie nadzorowani przez armię wścibskich, umoralniających gryzipiórków, którzy oceniają ich umiejętności rodzicielskie, zaglądają do kuchennych szafek, by sprawdzić, czy rzeczywiście mieszkają razem z deklarowanymi partnerami; ustalają, czy wystarczająco wytrwale poszukiwali płatnego zajęcia lub czy stan zdrowia naprawdę nie pozwala im podjąć pracy fizycznej. Wszystkie bogate kraje zatrudniają dziś legiony funkcjonariuszy, których głównym zadaniem jest upokarzanie innych. Ale kultura wartościowania jeszcze głębiej przenika zwariowany na punkcie urzędowych poświadczeń świat profesjonalistów, gdzie kontroli podlega do-

[38] Łączna liczba personelu służby cywilnej w Rosji w 1992 roku wyniosła milion. Łączna liczba w 2004 roku to już 1,26 miliona. Wzrost niezwykły o tyle, że mowa o okresie dramatycznej zapaści gospodarczej, a więc i zmniejszonego zapotrzebowania na pracę administracyjną.

[39] Działa tu logika podobna do marksowskiej koncepcji fetyszyzmu, w której rzecz stworzona przez człowieka wydaje się ożywać i kontrolować swego twórcę.

stać w domu[36]. Zakładano, że istnieje synergia między bezosobową, działającą według określonych reguł organizacją – czy to w sferze publicznej, czy produkcyjnej – a pełną swobodą autoekspresji w klubie, kawiarni, kuchni albo na rodzinnym pikniku. (Zrazu tą wolnością cieszyli się jedynie mężczyźni, głowy rodzin. Z czasem, przynajmniej w teorii, objęto nią wszystkich).

Najtrwalszym dziedzictwem dominacji biurokratycznych form organizacji na przestrzeni ostatnich dwustu lat jest to, że intuicyjne rozróżnienie między racjonalnymi, technicznymi środkami a zupełnie nieracjonalnymi celami, jakim te środki służą, wydaje się czymś naturalnym i zgodnym ze zdrowym rozsądkiem. Widać to na poziomie całego państwa, gdzie urzędnicy służby cywilnej okazują dumę z umiejętności znalezienia najbardziej efektywnych sposobów realizacji każdego narodowego celu, jaki przywódcy polityczni zechcą sobie zamarzyć: czy będzie to rozwój wysokiej kultury, imperialny podbój, tworzenie prawdziwie egalitarnego porządku społecznego, czy też taka reforma systemu prawa, aby był zgodny z literą Biblii. Równie wyraźnie widać to na poziomie jednostek: wszyscy przyjmujemy za pewnik, że działając w ramach rynku, ludzie kalkulują, co pozwoli im wzbogacić się jak najszybciej, i kierują się wyłącznie tym; za to kiedy już zbiją majątek, trudno przewidzieć, jak go spożytkują – może kupią willę albo sportowy samochód, może poświęcą się badaniom nad porwaniami przez UFO, a może po prostu obsypią swoje dzieci pieniędzmi. Dziś to wszystko wydaje się zupełnie naturalne i trudno sobie uzmysłowić, że takie rozróżnienie było najzupełniej obce większości społeczności, jakie istniały na przestrzeni dziejów. Niemal wszędzie i niemal zawsze w historii sposób, w jaki człowiek realizuje określony cel, uznawano za najgłębszy wyraz jego charakteru[37]. Ale wydaje się również, że gdy tylko zaczynamy oddzielać domenę czysto technicznej kompetencji od domeny wyznawanych wartości, każda z tych sfer natychmiast zaczyna ingerować w tę drugą. Jedni twierdzą, że racjonalność czy wręcz skuteczność są wartościami samymi w sobie, a nawet wartościami najwyższymi, oraz że należy dążyć do stworzenia „racjonalnego" społeczeń-

[36] Interesująco wypadłoby porównanie tej kampanii z podobnie hojnie finansowanymi działaniami mającymi propagować ideologie wolnorynkowe, zapoczątkowanymi w latach 60. i 70. założeniem establishmentowych think tanków, takich jak American Enterprise Institute. Starania te zainicjował mniej liczny sektor klasy kapitalistów, a na uzyskanie rezultatu w postaci wyraźnego wpływu na opinię publiczną trzeba było czekać znacznie dłużej, jednak ostatecznie sukces tej długotrwałej kampanii okazał się jeszcze bardziej imponujący.

[37] Podobnie w świecie antycznym i średniowiecznym chrześcijaństwie racjonalność nie mogła służyć za narzędzie, ponieważ była uważana za głos samego Boga. Więcej na ten temat w rozdziale trzecim.

Wstęp: Żelazne prawo liberalizmu i era biurokratyzacji totalnej

Dziś rzadko mówi się o biurokracji, ale jeszcze w połowie ubiegłego wieku, szczególnie w latach 60. i wczesnych 70., wszyscy mieli to słowo na ustach. Publikowano opasłe socjologiczne tomy o napuszonych tytułach, takie jak Ogólna teoria biurokracji[1], Polityka biurokracji[2] czy Świat zbiurokratyzowany[3], a popularne paperbacki ciskały gromy: Prawo Parkinsona[4], Zasada Petera[5], Jak dokuczyć biurokratom[6] i tym podobne. Pojawiały się kafkowskie w duchu powieści i filmy satyryczne. Wszyscy zdawali się rozumieć, że dziwactwa i absurdy biurokracji oraz jej procedur stanowią jedną z definiujących cech współczesnego życia społecznego, a przez to niewątpliwie zasługują na uwagę. Jednak od lat 70. obserwujemy zaskakujący spadek zainteresowania biurokracją.

Wykres ilustruje częstotliwość występowania rzeczownika „biurokracja" w anglojęzycznych książkach wydanych na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Zainteresowanie biurokracją – umiarkowane do okresu powojennego – wyraźnie wzbiera w latach 50., w 1973 roku osiąga punkt kulminacyjny, by następnie zacząć opadać.

[1] Elliot Jacques, A General Theory of Bureaucracy, University of Michigan Press, Ann Arbor 1976.

[2] Gordon Tullock, The Politics of Bureaucracy, Public Affairs Press, Washington, D.C., 1965.

[3] Henry Jacoby, The Bureaucratization of the World, University of California Press, Berkeley 1973.

[4] C. Northcote Parkinson, Parkinson's Law, Riverside Press, Cambridge, MA, 1957. „Ilość pracy w organizacji wzrasta tak, by wypełnić cały czas przeznaczony na pracę". Zob. także polski przekład dostępny jako dokument elektroniczny: http: // czteryasy.com.pl / download / prawo_parkinsona.pdf.

[5] Laurence J. Peter. Raymond Hill, The Peter Principle, Souvenir Press, London 1969. Ta słynna praca wykazująca, jak członkowie organizacji „awansują powyżej poziomu własnych kompetencji", znalazła wyraz także w popularnym brytyjskim serialu telewizyjnym.

[6] R. T. Fishall, Bureaucrats: How to Annoy Them, Arrow Books, London 1982. Klasyczny już tekst o tym, jak zbijać biurokratów z tropu i utrudniać im życie. Powszechnie uważa się, że jego autorem jest znany z BBC brytyjski astronom sir Patrick Moore.

Rys. 1. Częstotliwość występowania pojęcia „biurokracja" w anglojęzycznych książkach

Dlaczego? Najprostsza odpowiedź jest taka, że przyzwyczailiśmy się do biurokracji, stała się ona naszym środowiskiem naturalnym. Wyobraźmy sobie teraz inny wykres – wskazujący przeciętny czas, jaki typowy Amerykanin, typowa Brytyjka czy typowy Taj poświęca na wypełnianie formularzy i inne czysto biurokratyczne obowiązki. (Nie trzeba wspominać, że większość tych sytuacji obywa się już bez udziału tradycyjnego papieru). Początek krzywej na takim wykresie niemal na pewno pokrywałby się z tą, jaką zaprezentowano na wykresie pierwszym: wznosiłaby się ona miarowo aż do 1973 roku. Dalej jednak krzywe zaczynałyby się rozchodzić: podczas gdy pierwsza linia by opadała, druga nadal piełaby się ku górze. Jeśli na drugim wykresie zaszłaby jednak jakaś zmiana, to taka, że jego linia biegłaby coraz bardziej stromo, adekwatnie do tego, jak pod koniec XX wieku klasa średnia musi poświęcać coraz więcej czasu na przebijanie się przez nieprzeniknione formularze internetowe i meandry skomputeryzowanych infolinii, podczas gdy mniej zamożnym coraz więcej czasu w ciągu dnia zabiera pokonywanie coraz wymyślniejszych przeszkód w dotarciu do topniejących usług pomocy społecznej.

Wyobrażam sobie, że ten wykres wyglądałby mniej więcej tak:

Nie pokazuje on liczby godzin poświęconych na robotę papierkową, a jedynie jak często wyrażenie „robota papierkowa" występuje w książkach wy-

urojeniami w ocenie rzeczywistości. Innymi słowy to ktoś, kto nie jest obłąkany. Ktoś, kto twierdzi, że opiera swoje poglądy polityczne na zasadzie racjonalności – a dotyczy to lewicy w takim samym stopniu jak prawicy – daje do zrozumienia, że każdy, kto się z nim nie zgadza, na dobrą sprawę jest szaleńcem. Trudno wyobrazić sobie bardziej aroganckie stanowisko. Druga możliwość jest taka, że ów ktoś używa pojęcia „racjonalności" jedynie jako synonimu „technicznej skuteczności", a więc skupia się na tym, w j a k i s p o s ó b zamierza czegoś dokonać, aby uniknąć mówienia o tym, c o k o n k r e t n i e zamierza. W ekonomii neoklasycznej ten chwyt jest na porządku dziennym. Kiedy ekonomista tłumaczy, że oddanie głosu w wyborach powszechnych jest „nieracjonalne" (ponieważ wysiłek przewyższa korzyści, jakich pojedynczy wyborca może oczekiwać), używa tego pojęcia po to, aby nie powiedzieć wprost, że głosowanie jest „nieracjonalne z punktu widzenia osób, które nie uważają społeczeństwa obywatelskiego, idei politycznych i dobra wspólnego za wartości same w sobie, a które postrzegają sprawy publiczne jedynie w kategoriach prywatnych korzyści". Nie ma żadnego powodu, aby nie można było racjonalnie ocenić, że w danej sytuacji głosowanie jest optymalnym sposobem realizowania własnych przekonań politycznych. Jednak zdaniem ekonomistów każdy, kto wybiera tę drogę, zachowuje się bezrozumnie.

Innymi słowy, wysuwanie na pierwszy plan racjonalnego kryterium skuteczności pozwala unikać mówienia o tym, czemu owa skuteczność tak naprawdę służy; czyli o właściwych celach ludzkiego działania, które w ostatecznym rozrachunku nie muszą być racjonalne. Tu także rynek i biurokracja posługują się tym samym językiem. I rynek, i biurokracja twierdzą, że działają w imieniu wolności jednostki i na rzecz jednostkowej samorealizacji poprzez konsumpcję. Nawet zwolennicy dziewiętnastowiecznej pruskiej biurokracji państwowej, tacy jak Hegel czy Goethe, usprawiedliwiali jej autorytarne metody tym, że stały one na straży bezpieczeństwa indywidualnej własności, dzięki czemu obywatele mogli cieszyć się nieograniczoną wolnością w swoich domach i korzystać z niej do woli, zajmując się sztuką, religią, romansami czy filozofią, albo po prostu samodzielnie decydować o tym, jakie piją piwo, jakiej słuchają muzyki i jaki przywdziewają strój. Biurokratyczny kapitalizm, gdy tylko pojawił się w Stanach Zjednoczonych, w podobny sposób usprawiedliwiał sam siebie na gruncie wolności konsumpcji: pracownicy rezygnują z wszelkiej kontroli nad warunkami swojej pracy, ale w zamian otrzymują dostęp do większej ilości tańszych dóbr, z których mogą korzy-

istniała praca. Praca jest wobec kapitału nadrzędna i zasługuje na większy szacunek[34].

Gdy wraz z „wiekiem pozłacanym" nadeszła zbiurokratyzowana forma kapitalizmu, świeżo upieczeni potentaci przemysłowi podjęli świadomą próbę odsunięcia tego sposobu myślenia na bok. Zastąpili go nową, śmiałą (jak sądzono) filozofią, która głosiła, że wszelka wartość pochodzi od kapitału. Magnat stalowy Andrew Carnegie nazywał tę filozofię „ewangelią bogactwa". Wraz z gronem podobnie myślących sojuszników sfinansował kampanię, która miała głosić tę nową ewangelię nie tylko w klubach rotariańskich i izbach handlowych, ale także w szkołach, kościołach i stowarzyszeniach[35]. Podstawowy argument przedstawiał się następująco: niesłychana wydajność nowych, gigantycznych przedsiębiorstw kierowanych przez jemu podobnych potentatów pozwalała wyprodukować tak wielkie bogactwa materialne, że od tej pory Amerykanie będą mogli realizować się przez to, co konsumują, zamiast przez to, co produkują. W tym ujęciu wartość była produktem samej biurokratycznej organizacji nowych konglomeratów przemysłowych.

Ruch alterglobalistyczny nauczył nas, że w polityce zawsze ostatecznie chodzi o wartości, ale również, że twórcy tych rozległych biurokratycznych systemów rzadko przyznają się do idei, które rzeczywiście im przyświecają. Tak było w czasach Carnegiego, tak jest i dziś. Za najbogatszymi przemysłowcami z przełomu wieków biurokraci powtarzają, że kierują się wyłącznie skutecznością lub „racjonalnością". A jednak ich wyjaśnienia zawsze okazują się celowo nieprecyzyjne, niekiedy wręcz niedorzeczne. Za doskonały przykład niech posłuży samo pojęcie „racjonalności". Osoba „racjonalna" to taka, która dostrzega związki logiczne na podstawowym poziomie i nie kieruje się

[34] The Collected Works of Abraham Lincoln, vol. 5, ed. Roy P. Basler, Rutgers University Press, New Brunswick, NJ, [b.r.], s. 52. Antropolożka Dimitra Doukas oferuje znakomity zarys historyczny takiej transformacji zachodzącej w małym miasteczku w stanie New York w swojej książce Worked Over: The Corporate Sabotage of an American Community, Cornell University Press, Ithaca, NY, 2003. Zob. też E. Paul Durrenberger, Dimitra Doukas, Gospel of Wealth, Gospel of Work: Counter-hegemony in the U.S. Working Class, „American Anthropologist" 2008, vol. 110, no. 2, s. 214 – 225, o trwałym konflikcie między tymi dwiema perspektywami wśród współczesnych amerykańskich robotników.

[35] Interesująco wypadłoby porównanie tej kampanii z podobnie hojnie finansowanymi działaniami mającymi propagować ideologie wolnorynkowe, zapoczątkowanymi w latach 60. i 70. założeniem establishmentowych think tanków, takich jak American Enterprise Institute. Starania te zainicjował mniej liczny sektor klasy kapitalistów, a na uzyskanie rezultatu w postaci wyraźnego wpływu na opinię publiczną trzeba było czekać znacznie dłużej, jednak ostatecznie sukces tej długotrwałej kampanii okazał się jeszcze bardziej imponujący.

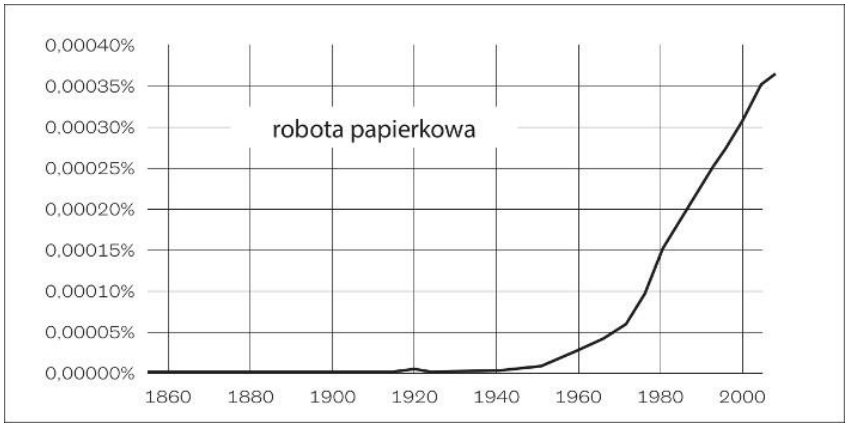

Rys. 2. Częstotliwość występowania pojęcia „robota papierkowa" w anglojęzycznych książkach

dawanych w języku angielskim. Jako że nie mamy wehikułu czasu, który pozwoliłby na bardziej bezpośrednie badania, musimy na tym poprzestać.

Analiza prowadzona dla większości podobnych znaczeniowo pojęć daje niemal identyczny wynik:

Zebrane w tej książce eseje mniej lub bardziej bezpośrednio dotyczą tej właśnie rozbieżności. Odwykliśmy od myślenia o biurokracji, a tymczasem wpływa ona na każdy aspekt naszego życia. To trochę tak, jakby wszyscy mieszkańcy planety postanowili zatkać sobie uszy i głośno buczeć, gdy tylko ktoś napomknie o biurokracji. A jeśli w ogóle rozmawiamy dziś o tym zjawisku, to zwykle przez pryzmat kategorii rodem z lat 60. i 70. ubiegłego wieku. Ruchy społeczne lat 60. brały się na ogół z lewicowych inspiracji, ale były także wyrazem buntu przeciwko biurokracji; a mówiąc dokładniej, przeciwko mentalności biurokratów i przeciwko otępiającemu konformizmowi państwa opiekuńczego lat powojennych. Szarym funkcjonariuszom reżimów i mechanizmom kontroli społecznej państwowego kapitalizmu oraz państwowego socjalizmu buntownicy lat 60. przeciwstawiali jednostkową wolność ekspresji i spontaniczną wspólnotowość.

Dziś, po krachu tradycyjnych państw opiekuńczych, cały ten bunt wydaje się jednak dość staroświecki. Język antybiurokratycznego indywidualizmu stopniowo przejęła i wyostrzyła prawica, domagająca się „rynkowych roz-

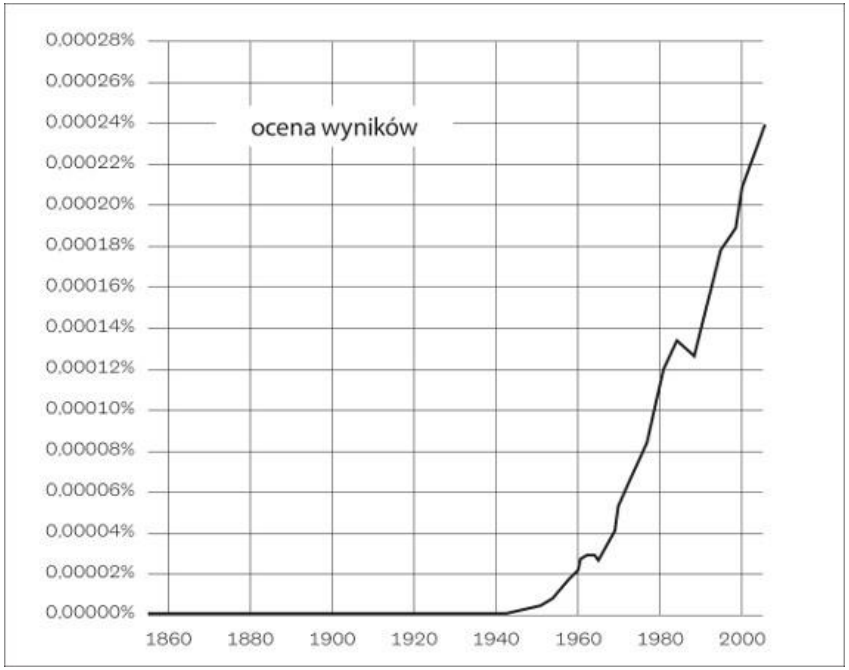

Rys. 3. Częstotliwość występowania pojęcia „ocena wyników” w anglojęzycznych książkach

raporty sławiące „wizję”, „jakość”, „przywództwo” i „innowacje”. Kierunek rozwoju technologii jest nie tyle przyczyną dzisiejszego stanu rzeczy, co skutkiem potęgi świata finansów.

3. Zawsze pamiętaj, że ostatecznie chodzi o wartości (albo: gdy ktoś twierdzi, że kieruje się przede wszystkim racjonalnością, to znaczy jedynie, że nie chce przyznać, jaką naczelną wartością kieruje się naprawdę)

Według filozofii „samorealizacji”, z której w znacznej mierze wywodzi się nowy biurokratyczny język, żyjemy w wiecznej teraźniejszości; historia nie znaczy zupełnie nic, a otaczający świat tworzymy wyłącznie siłą woli. To swego rodzaju indywidualistyczny faszyzm. W latach 70., gdy filozofia ta zdobywała popularność, zbliżony punkt widzenia przedstawiali niektórzy teolodzy chrześcijańscy: elektroniczna forma pieniądza była dla nich przedłużeniem sprawczej mocy Boga, którą natchniony umysł przedsiębiorcy przekształca w materialną rzeczywistość. Nietrudno zrozumieć, jak z tego rodzaju myślenia powstał świat, w którym finansowe abstrakcje jawią się jako niewzruszony fundament rzeczywistości, a środowisko materialne, w którym faktycznie żyjemy, przypomina obraz z ekranu komputera wydrukowany na drukarce 3D. To poczucie egzystowania w cyfrowym świecie może posłużyć jako doskonała ilustracja innego prawa społecznego, jakie moim zdaniem można sformułować: jeśli pewna klasa osób wyznających choćby najbardziej kuriozalne poglądy otrzyma władzę, wówczas, świadomie bądź nie, klasa ta przekształci świat na tysiące subtelnych sposobów tak, aby umacniał wszystkich w przekonaniu, że poglądy te są ewidentnie prawdziwe.

W krajach obszaru północnoatlantyckiego wszystkie zjawiska, o których mowa, są kulminacją długotrwałych wysiłków, jakie przekształciły powszechne mniemanie o pochodzeniu wartości. Większość Amerykanów na przykład hołdowała niegdyś prostej, zdroworozsądkowej teorii wartości pracy. Teoria ta wydawała się intuicyjnie słuszna w czasach, gdy większość społeczeństwa stanowili rolnicy, mechanicy i sklepikarze: istnieją wartościowe rzeczy, ponieważ ludzie zadali sobie trud ich wyprodukowania, a proces produkcji wymagał nakładu pracy umysłowej i fizycznej, z grubsza w równych proporcjach. W połowie XIX wieku nawet politycy głównego nurtu przemawiali językiem, którego nie powstydziłby się sam Karol Marks. Oto Abraham Lincoln:

> Praca poprzedza kapitał i jest od niego niezależna. Kapitał jest jedynie owocem pracy i nie mógłby istnieć, gdyby wcześniej nie

jedną papierową machinę do czerpania zysku. Te procesy nie są skutkiem pojawienia się nowych technologii. Przeciwnie: na niezbędne technologie trzeba było czekać kilkadziesiąt lat. Jeszcze w latach 70. komputery przedstawiały się dość żałośnie. Banki i urzędy państwowe chciały czym prędzej wprowadzić je do użytku, ale dla większości ludzi, którzy mieliby korzystać z ich dobrodziejstw, komputery były podręcznikowym przykładem biurokratycznej tępoty. Na każdy oczywisty, a poważny w skutkach błąd, reakcja była zawsze taka sama: „komputer się pomylił". Potrzeba było czterdziestu lat nieustannych inwestycji w badania i rozwój technologii komputerowych, aby dotrzeć do miejsca, w którym jesteśmy dzisiaj, gdy sprawność i nieomylność bankowych komputerów jest niemal magiczna.

Ot, choćby bankomaty. Używam ich od trzydziestu lat i nie przypominam sobie, by bankomat chociaż raz wypłacił mi niewłaściwą kwotę. Nie znam też nikogo, komu przydarzyła się taka sytuacja. Tuż po wyborach prezydenckich w 2000 roku, kiedy opinii publicznej tłumaczono, że wyniki pochodzące z maszyn do głosowania jednego typu są obarczone błędem statystycznym rzędu 2,8 procent, a innego typu – 1,5 procent, niektórzy mieli śmiałość pytać: jak to możliwe, że w kraju, który określa sam siebie jako najdoskonalszą demokrację na świecie i gdzie wybory są najświętszym sakramentem, tolerujemy błędne zliczanie głosów przez maszyny, choć każdego dnia dokonujemy setek milionów transakcji bankomatowych, w których odsetek błędów wynosi dokładnie zero. Co nam to mówi o hierarchii spraw ważnych dla amerykańskiego społeczeństwa?

Technologie, na których opiera się świat finansów, przeszły drogę od obiektu kpin po mechanizm tak niezawodny, że może się na nim opierać cała rzeczywistość społeczna. Nie martwimy się o to, czy bankomat wypłaci właściwą kwotę. Jeśli działa, na pewno nie popełni błędu. Finansowe abstrakcje zyskują dzięki temu aurę czegoś absolutnie pewnego – heideggerowskiej „poręczności" (niem. Zuhandenheit) – tak istotnego elementu praktycznej infrastruktury otaczającego świata i codziennych spraw, że można nie dostrzegać jego istnienia. Tymczasem infrastruktura fizyczna – drogi, mosty, ruchome schody, kolej i metro – rozpadają się na naszych oczach. Krajobraz wokół wielkich miast upstrzony jest futurystycznymi wizjami minionych pokoleń, dziś opuszczonymi i popadającymi w ruinę. Takie procesy nie zachodzą samorzutnie. Zawsze są konsekwencją przyjętych przez państwo priorytetów i politycznie motywowanego finansowania państwowych przedsięwzięć, od konserwacji zabytków po preferowane kierunki badań naukowych. Taki oto świat zgotowały nam wszystkie te

wiązań" każdego społecznego problemu. Tymczasem lewica głównego nurtu coraz częściej ogranicza się do bezsilnej szamotaniny, usiłując ratować resztki dawnego państwa opiekuńczego: nie tylko pogodziła się z opinią, że „efektywność" administracji wymaga częściowego sprywatyzowania usług państwa, a biurokratyczne struktury powinny być stopniowo zastępowane „mechanizmami rynkowymi", „rynkowym systemem zachęt" i „procedurami rozliczania z realizacji założeń", ale niejednokrotnie sama staje na czele takich reform.

Doprowadziło to do politycznej katastrofy – nie sposób użyć innego określenia. Koncepcje, które przedstawia się dziś jako „umiarkowanie" lewicowe rozwiązania problemów społecznych – bo postulaty radykalnej lewicy zostały niemal całkowicie wyrugowane z przestrzeni publicznej – niezmiennie stanowią jakąś koszmarną syntezę najgorszych elementów zarówno biurokracji, jak i kapitalizmu. Można by podejrzewać, że ktoś świadomie stara się przeforsować najgorsze z możliwych rozwiązań. Jeśli ktoś jeszcze głosuje na partie lansujące tego rodzaju pomysły, świadczy to jedynie o sile i trwałości lewicowych idei – bo przecież nie dlatego głosuje, że uważa te koncepcje za słuszne, ale dlatego że to jedyne rozwiązania na lewo od centrum, jakie są w ogóle dopuszczane do debaty publicznej.

Czy może więc dziwić, że gdy tylko wybucha kolejny kryzys, wyrazicielką społecznego gniewu okazuje się nie lewica, a prawica?

Prawica przynajmniej oferuje j a k ą ś krytykę biurokracji. Nie jest to szczególnie celna krytyka, ale ma tę zaletę, że istnieje. Lewica nie oferuje natomiast w tym względzie niczego. W rezultacie, kiedy osoby identyfikujące się z lewicą mają coś do zarzucenia biurokracji, zwykle mogą posłużyć się tylko rozwodnioną wersją krytyki prawicowej[7].

A przecież prawicową krytykę można UNIESZKODLIWIĆ bez większych ceregieli. Jej początki sięgają dziewiętnastowiecznego liberalizmu[8]. W następ-

[7] Można pójść o krok dalej. „Akceptowalna" lewica przyjęła za dobrą monetę i biurokrację, i rynek. Prawica libertariańska natomiast oferuje pewną krytykę biurokracji. Prawica faszystowska prezentuje z kolei krytykę rynku: ogólnie rzecz biorąc, popiera państwo opiekuńcze, tyle że zbiór jego beneficjentów chce ograniczyć do członków własnej grupy etnicznej.

[8] Liczne historyczne zaszłości spowodowały, że w Stanach Zjednoczonych pojęcie „liberalny" jest rozumiane inaczej niż we wszystkich innych krajach. Pierwotnie określenie to dotyczyło zwolenników wolnego rynku – i w tym znaczeniu świat używa go do dziś. W Stanach Zjednoczonych etykietkę liberałów przybrali socjaldemokraci. W konsekwencji amerykańska prawica stanowczo odżegnuje się od liberalizmu, a entuzjaści wolnego rynku nazwali się „libertarianami", chociaż „libertarianizm" był z kolei synonimem anarchizmu, używanym w wyrażeniach takich jak „libertariański (wolnościowy) socjalista" czy „libertariański komunista".

stwie rewolucji francuskiej szerokie kręgi europejskiej klasy średniej wysnuły opowieść, według której cywilizowany świat ulega stopniowej, nierównomiernej, ale i nieuchronnej transformacji: od rządów elit wojowników, z ich autorytarną władzą, strzeżonymi przez kapłanów dogmatami wiary i hierarchiczną, kastową wręcz hierarchią społeczną, do systemu opartego na wolności osobistej, równości i oświeconym egoizmie w interesach. Średniowieczne klasy kupieckie podkopały porządek feudalny jak podgryzające go od spodu, pożyteczne termity. Zgodnie z liberalną wersją historii, przepych i splendor chylącej się ku upadkowi władzy absolutnej były ostatnim tchnieniem starego porządku. Państwa miały niebawem ustąpić rynkom, religie – naukowemu rozumieniu świata, a trwały porządek społeczny i hierarchia stanów (wszyscy ci hrabiowie, baronowie i markizy) – dobrowolnie zawieranym przez jednostki umowom.

Powstanie nowoczesnej biurokracji stanowi niejaki problem dla tej opowieści, bo nie da się jej z nią pogodzić. Teoretycznie wszyscy ci funkcjonariusze zaskorupiali w swoich urzędach, ze swoją wymyślną hierarchią służbowej podległości, byli jedynie pozostałością czasów feudalizmu i już wkrótce mieli podzielić los wielkich armii i korpusów oficerskich, które także miały okazać się przeżytkiem. Wystarczy otworzyć dowolną rosyjską powieść z drugiej połowy XIX wieku: młodzi potomkowie starych arystokratycznych rodów niemal co do jednego zostawali albo oficerami wojska, albo urzędnikami administracji państwowej (nikt znaczący nie zajmuje się tam niczym innym), a wojskowe i urzędnicze hierarchie zdają się mieć niemal tożsame rangi, tytuły i maniery. Pozostał jednak jeden oczywisty problem. Jeśli biurokraci byli przeżytkiem, to dlaczego z roku na rok ich przybywało – nie tylko w zacofanej Rosji, ale i w krajach o kwitnącej gospodarce przemysłowej, takich jak Anglia i Niemcy?

Tu pojawia się drugi element argumentacji, stwierdzający, że biurokracja jest w istocie nieodłączną wadą każdego demokratycznego systemu[9]. Największym propagatorem tej interpretacji był przebywający na wygnaniu austriacki arystokrata Ludwig von Mises. W książce Biurokracja z 1944 roku dowodził, że systemy administracji rządowej z definicji nie są w stanie organizować przepływu informacji równie sprawnie jak bezosobowe mechanizmy rynkowej regulacji cen. Nieuchronną konsekwencją rozszerzenia praw wyborczych na tych, którym nie powiodło się w rynkowej grze, były nawo-

[9] W tej kwestii Ludwig von Mises wyznaje poglądy jawnie antydemokratyczne: odrzuca jakiekolwiek państwowe interwencje, a jednocześnie sprzeciwia się lewicowym antyetatystom, postulującym tworzenie demokratycznych form samoorganizacji poza strukturami państwa.

tego punktu wyrasta struktura, jakiej podlega niemal każdy aspekt naszego życia.

Jeśli w ogóle zastanawiamy się nad tymi kwestiami, zwykle traktujemy je po prostu jako efekt technologii: tak wygląda i tak funkcjonuje świat skomputeryzowany. Rzeczywiście, nowoczesne kantory bankowe do złudzenia przypominają puste wirtualne światy rodem z gier wideo z końca XX wieku. Można powiedzieć, że w końcu udało nam się zmaterializować rzeczywistość dotychczas tylko wirtualną, a dokonawszy tego, jednocześnie sprowadziliśmy całe ludzkie życie do czegoś w rodzaju gry komputerowej, która polega na pokonywaniu labiryntów nowych biurokracji. W takiej grze komputerowej nic nie jest wytwarzane, po prostu pojawia się znikąd, a gracze gromadzą punkty i unikają postaci z bronią.

To wrażenie, że żyjemy w świecie stwarzanym przez komputery, jest jednak samo w sobie iluzją. Potężnym błędem byłoby uznać, że otaczający nas świat jest nieuniknioną konsekwencją postępu technicznego, a nie działania sił społecznych i politycznych. Tu także niezwykle cenne okazują się lekcje z „globalizacji", która miała się ziścić dzięki Internetowi.

2. Wystrzegaj się niedoceniania znaczenia technologii jako czynnika sprawczego

Tak jak to, co przyjęto nazywać „globalizacją", było w rzeczywistości skutkiem nowych politycznych układów sił, nowych decyzji politycznych i nowych biurokracji – po których dopiero nadeszły rozwiązania materialne, takie jak transport kontenerowy czy Internet – tak wszechobecna biurokratyzacja codziennego życia, choć możliwa dzięki komputerom, sama w sobie nie jest rezultatem rozwoju technologii. Odwrotnie. Postęp techniczny nie jest zmienną niezależną. Zgoda, technologia się rozwija często w nieoczekiwanych i zaskakujących kierunkach. Jednak ogólny kierunek jej rozwoju zależy od czynników społecznych.

Łatwo o tym zapomnieć, bo biurokratyzacja, której doświadczamy codziennie, jest ujęta w formy nowych technologii informatycznych: Facebook, smartfon z dostępem do konta bankowego, Amazon, PayPal i wszystkie te urządzenia mobilne, które redukują otaczający świat do map, formularzy, kodów i wykresów. A jednak najistotniejsze przemiany, które to wszystko umożliwiły, to właśnie opisywane przeze mnie procesy, które rozpoczęły się w latach 70. i 80.: przymierze świata finansów z korporacyjnymi biurokratami, wynikająca z niego nowa korporacyjna kultura i wreszcie jej wtargnięcie do sfery edukacyjnej, naukowej i rządowej, którego ostatecznym efektem było scalenie prywatnej i państwowej biurokracji w

kratyzacji totalnej są wszechobecne kamery wideo, policjanci na skuterach, wystawcy tymczasowych identyfikatorów oraz mężczyźni i kobiety w mundurach rozmaitych organizacji, państwowych i prywatnych, przeszkoleni w technikach gróźb, zastraszania i stosowania siły fizycznej. Tych ostatnich można zobaczyć praktycznie wszędzie, nawet na placach zabaw, w szkołach podstawowych, na uniwersyteckich kampusach, w szpitalach, bibliotekach, parkach i na plażach – tam, gdzie jeszcze pięćdziesiąt lat temu uważano by ich obecność za rzecz skandaliczną, a co najmniej zaskakującą.

Tymczasem teoretycy nauk społecznych nadal z uporem twierdzą, że bezpośrednie odwołanie do przemocy odgrywa coraz mniejszą rolę w podtrzymywaniu struktur kontroli społecznej[33]. Im więcej w prasie doniesień o studentach rażonych paralizatorem za próbę wypożyczenia książki bez okazania karty bibliotecznej albo o profesorach, którzy trafili do więzienia za przejście przez ulicę w niedozwolonym miejscu na kampusie, tym głośniejsze i bardziej kategoryczne słychać nalegania, że tak naprawdę istotne są tylko subtelne dystynkcje władzy symbolicznej, których analizą zajmują się ci sami profesorowie. Coraz częściej wygląda to na rozpaczliwą odmowę przyznania, że mechanizmy władzy mogą być aż tak brutalne i prymitywne, jak to na co dzień widać.

W Nowym Jorku, gdzie się wychowałem, mnożą się oddziały banków. Kiedy byłem dzieckiem, bank był zazwyczaj dużym, wolnostojącym budynkiem, z wyglądu przypominającym grecką czy rzymską świątynię. Tymczasem w ciągu ostatnich trzydziestu lat rozpleniły się niezliczone witryny oddziałów tych samych trzech czy czterech megabanków – w zamożniejszych kwartałach Manhattanu trafia się na nie dosłownie co trzy przecznice. W całym Nowym Jorku są dziś tych oddziałów tysiące, a każdy z nich zajął miejsce po jakimś sklepie lub punkcie usługowym. W pewnym sensie te bankowe witryny są doskonałym symbolem naszych czasów: to sklepy sprzedające czystą abstrakcję, nieskazitelne boksy podzielone przegrodami ze szkła i stali, zawierające tylko ekrany komputerów i ochroniarzy pod bronią. Są perfekcyjnym punktem styku informacji i przemocy, bo niczego więcej tam nie ma. Z

[33] W ostatnich latach zaszły pod tym względem pewne zmiany, piszę jednak na podstawie własnego doświadczenia. Każdy mój referat, w którym postulowałem, że wszelkie formy kontroli społecznej są ostatecznie wspierane monopolem państwowym na stosowanie przemocy, natychmiast zderzał się z krytyką zwolenników Foucaulta, Gramsciego czy Althussera, uznających takie stanowisko za beznadziejnie anachroniczne – albo dlatego, że „systemy dyscyplinarne" nie działają już w ten sposób, albo dlatego, że jak dziś wiemy, nigdy tak nie działały.

ływania do interwencji rządu w gospodarkę, strojone w piórka szlachetnych projektów, rozwiązujących problemy społeczne środkami administracyjnymi. Von Mises przyznawał, że ludzie hołdujący tym rozwiązaniom mają często jak najlepsze intencje; uważał jednak, że swoimi wysiłkami jedynie pogarszają sytuację. Był zdania, że wręcz podkopują polityczne fundamenty samej demokracji, ponieważ administratorzy programów socjalnych nieuchronnie skupiają wokół siebie ośrodki władzy znacznie bardziej wpływowe od tych tworzonych przez demokratycznie wybranych polityków i domagające się coraz to radykalniejszych reform. Von Mises przekonywał, że właśnie dlatego państwa opiekuńcze, które dopiero powstawały w Anglii czy Francji (nie mówiąc już o Danii lub Szwecji), za życia jednego lub najdalej dwóch pokoleń przerodzą się w państwa faszystowskie.

Z tej perspektywy rozrost biurokracji stanowił nieodparty przykład piekła, do którego wiodą dobre intencje. Do najskuteczniejszych popularyzatorów tego rodzaju myślenia należał Ronald Reagan, który twierdził, że dziewięć najstraszniejszych słów w języku angielskim to: „Jestem urzędnikiem państwowym i przyjechałem tu, by wam pomóc".

Szkopuł w tym, że cała ta opowieść ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Po pierwsze, jak wiemy z historii, rynki nie powstały same z siebie jako autonomiczna domena przeciwstawiona władzy państwowej. Stało się wręcz odwrotnie. Na przestrzeni dziejów rynki powstawały najczęściej albo jako efekt uboczny polityki rządów (szczególnie działań wojskowych), albo były bezpośrednio powoływane do życia przez odpowiednie zmiany prawa. Działo się tak co najmniej od czasu wynalezienia monet, które pierwotnie bito i upowszechniano po to, aby zapewnić aprowizację wojska. Przez większą część znanej historii Eurazji zwykli ludzie uciekali się zazwyczaj do nieformalnych systemów kredytowania, podczas gdy fizyczne pieniądze, złoto, srebro i brąz oraz bezosobowe rynki, które dzięki nim powstawały, pojawiały się głównie tam, gdzie mobilizowano armie, plądrowano miasta, wymuszano daniny i handlowano wojennymi łupami. Nawet współczesne banki centralne powstały pierwotnie w celu finansowania podbojów. To pierwszy problem z konwencjonalnym rozumieniem pochodzenia biurokracji. Drugi jest dalece bardziej zasadniczy. Co najmniej od końca XIX wieku teza o rzekomej niezależności rynku od władzy państwowej, a nawet o wzajemnej sprzeczności między nimi, jest wykorzystywana do uzasadniania liberalnej polityki gospodarczej, która ma ograniczyć rolę rządów. Rzecz w tym, że skutek takiej polityki jest zawsze odwrotny od zamierzonego. Na przykład angielski liberalizm nie ograniczył państwowej biurokracji, a wręcz przeciwnie: wyproduko-

wał liczne i wciąż gęstniejące szeregi urzędników, radców prawnych, inspektorów, notariuszy i funkcjonariuszy policji, bez których liberalne marzenie o świecie swobodnie zawieranych umów między autonomicznymi jednostkami nigdy nie mogłoby się ziścić. Okazało się, że gospodarka wolnorynkowa wymaga tysiąckrotnie więcej roboty papierkowej niż monarchia absolutna w stylu Ludwika XIV.

Zakrawa to na paradoks: polityka, która ma ograniczyć ingerencje rządu w gospodarkę, w praktyce zawsze kończy się tym, że przybywa regulacji prawnych, biurokratów i funkcjonariuszy policji. Tak niezmienna jest ta prawidłowość, że uogólnienie jej do postaci prawa socjologicznego wydaje się uprawnione. Proponuję nazwać je „żelaznym prawem liberalizmu":

Żelazne prawo liberalizmu stwierdza, że każda reforma rynkowa i każda podjęta przez władze inicjatywa, której celem jest ograniczenie biurokracji i uwolnienie mechanizmów rynkowych, ostatecznie prowadzi do rozrostu regulacji prawnych, do rozrostu biurokracji i do rozrostu aparatu administracji państwowej.

Tę tendencję, której dziś nie sposób ignorować, zaobserwował już na początku XX wieku francuski socjolog Émile Durkheim[10]. W połowie ubiegłego stulecia nawet prawicowi krytycy, tacy jak Ludwig von Mises, przyznawali – przynajmniej w pismach akademickich – że rynek nie jest zdolny do samoregulacji i nie da się go podtrzymać bez wielkiej armii administratorów. (Dla von Misesa armia ta stawała się problematyczna dopiero wtedy, gdy używano jej w celu „poprawiania" wyroków wolnego rynku, które zaczynały zbytnio doskwierać najuboższym)[11]. Prawicowi populiści szybko jednak zdali sobie sprawę, że fakty faktami, ale wzięcie biurokratów na cel niemal zawsze odnosi pożądany skutek. Dlatego na przykład zaczęto bezlitośnie potępiać i krytykować „jajogłowych biurokratów", którzy żyją z podatków uczciwie pracujących obywateli. Zainicjował to gubernator George Wallace podczas kampanii prezydenckiej w 1968 roku.

Wallace jest tu postacią kluczową. Dziś w Stanach Zjednoczonych zwykle pamięta się go jako przegranego reakcjonistę, a nawet groźnego obłąkańca:

[10] W tradycji durkheimowskiej zjawisko to nosi nazwę „pozaumownego elementu umowy", co musi być jednym z najmniej chwytliwych pojęć, jakie wytworzyła socjologia. Zob. Émile Durkheim, O podziale pracy społecznej, tłum. Krzysztof Wakar, red. Elżbieta Tarkowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2015.

[11] W swoich esejach Michel Foucault upatruje różnicy między starszą a nowszą odmianą neoliberalizmu w tym, że zwolennicy wolnego rynku dziś już rozumieją, iż rynki nie powstają samorzutnie, a pielęgnowanie i podtrzymywanie ich wymaga interwencji państwa. Tenże, Narodziny biopolityki, tłum. Michał Herer, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011.

A przecież przez większość czasu nawet mieszkańcy największych miast nie mieli „władzy", którą mogli wezwać na pomoc. A tam, gdzie taka władza istniała, nie była ona bezosobową, biurokratyczną siłą, jaką jest współczesna policja, władna narzucać arbitralne rozstrzygnięcia poparte groźbą użycia przemocy.

Tu można wspomnieć o pewnej dodatkowej konsekwencji „żelaznego prawa liberalizmu". Historia pokazuje, że polityka faworyzująca „rynek" zawsze prowadzi do rozrostu urzędniczej administracji, ale ma jeszcze inny skutek: sprawia, że coraz więcej relacji społecznych zaczyna podlegać przepisom, za którymi stoi groźba użycia przemocy. Kłóci się to ze wszystkim, czego uczono nas o wolnym rynku, ale jeśli przyjrzeć się rzeczywistości, okaże się, że tak właśnie jest. W pewnym sensie nawet mówienie o tym w kategoriach „konsekwencji" jest mylące, ponieważ tak naprawdę chodzi o dwa różne sposoby przedstawiania tego samego zjawiska. Biurokratyzacja życia codziennego oznacza narzucenie bezdusznych przepisów i regulacji; z kolei te bezduszne przepisy i regulacje mogą działać tylko wtedy, gdy są poparte groźbą użycia przemocy[32]. I rzeczywiście – charakterystyczne dla obecnej fazy biuro-

zbić z tropu: „W waszym obozowisku kilka osób gra przez całą noc na bębnach. Nikt nie może zasnąć, a muzycy nie chcą przestać. Jak sobie z tym poradzicie?". Pytanie sugeruje, że jedynym rozwiązaniem w takich wypadkach jest albo policja, albo jakaś inna bezosobowa siła władna stosować przemoc. W Zuccotti Park rzeczywiście pojawiła się grupa dość irytujących bębniarzy. Ale ci, którym ich muzyka nie odpowiadała, po prostu wynegocjowali z zespołem kompromis: muzycy zgodzili się grać tylko w pewnych godzinach. Obyło się bez przemocy i bez gróźb. W takich chwilach zaczynamy lepiej rozumieć, że z perspektywy historycznej możliwość wezwania w podobnych sytuacjach policji jest czymś względnie nowym, niedostępnym większości ludzi, którzy żyli w przeszłości. Musieli sobie radzić inaczej. Na próżno szukać przekazów ze starożytnych Chin, Peru czy Mezopotamii o mieszkańcach miast doprowadzanych do szału hałaśliwymi zabawami sąsiadów.

[32] Niewykluczone, że mogłyby istnieć relacje rynkowe, które nie działałyby w ten sposób. Bezosobowe rynki niemal zawsze powstawały z inicjatywy państwa, najczęściej jako mechanizm finansowania operacji wojskowych. W historii bywały jednak okresy, kiedy drogi państwa i rynku się rozchodziły. Adam Smith i inni oświeceniowi orędownicy rynku wiele swoich koncepcji zaczerpnęli z jednego z takich właśnie okresów: ze średniowiecznego świata islamu, gdzie prawo szariatu dopuszczało egzekwowanie umów handlowych wyłącznie w oparciu o reputację (a więc zdolność kredytową) kupców, a nie przez bezpośrednią interwencję państwa. Taki rynek pod wieloma istotnymi względami działa zupełnie inaczej niż rynki, do jakich przywykliśmy – zaobserwowano na przykład, że rynki tego rodzaju cechują się dużą przewagą współpracy nad konkurencją. Zob. moja praca Debt: The First 5,000 Years, [w:] Melville House, Brooklyn 2011, s. 271 – 282. Tradycja chrześcijańska była całkiem inna; tu handel zawsze splatał się z wojną i rywalizacją, szczególnie tam, gdzie między stronami transakcji nie istniały wcześniejsze więzy społeczne, a takie układy zawsze wymagały czegoś w rodzaju policji, która pilnowałaby przestrzegania reguł.

Wtedy jednak nie posługiwaliśmy się jeszcze tymi kategoriami – „wolny handel" i „wolny rynek" w istocie oznaczały tworzenie globalnych struktur administracji, których najważniejszym zadaniem było czerpanie zysków dla inwestorów. Nie mówiliśmy, że „globalizacja" tak naprawdę oznacza biurokratyzację. Często byliśmy blisko zrozumienia tego faktu, ale nigdy nie wypowiedzieliśmy go na głos.

Dziś sądzę, że właśnie ten aspekt należało uwypuklić. Nawet ogromna waga, jaką ruch alterglobalistyczny przywiązywał do wypracowania nowych demokratycznych form i procesów – zgromadzeń, rad przedstawicielskich i tak dalej – była przede wszystkim próbą udowodnienia, że ludzie naprawdę umieją współpracować, wspólnie podejmować decyzje w istotnych kwestiach i realizować złożone projekty wymagające zaangażowania licznych grup bez wypełniania formularzy, bez odwoływania się od wyroków i bez szantażu policyjną pałką.

W pewnym sensie ruch alterglobalistyczny był pierwszym po stronie lewicy wielkim ruchem antybiurokratycznym w erze biurokratyzacji totalnej. Z tej perspektywy doświadczenie alterglobalizmu niesie kilka istotnych wniosków dla tych, którzy próbują wytworzyć własną krytykę biurokracji. Naszkicuję tutaj trzy z nich.

1. Wystrzegaj się niedoceniania znaczenia nagiej przemocy fizycznej

Armie zmilitaryzowanej policji, które atakowały demonstrantów blokujących szczyty, nie były jakimś specyficznym efektem ubocznym „globalizacji". Gdy ktoś zaczyna mówić o „wolnym rynku", warto się rozejrzeć: tuż obok zawsze stoi ktoś inny z karabinem. Wolnorynkowemu liberalizmowi w XIX wieku towarzyszyło powstanie nowoczesnej policji i prywatnych agencji detektywistycznych[30]. Kompetencje policji stopniowo rozszerzano, aż zyskała ostateczną jurysdykcję nad praktycznie każdym aspektem miejskiego życia – od handlu ulicznego, przez poziom hałasu na imprezach, aż po rozstrzyganie sprzeczki z podchmielonym wujem czy współlokatorem w akademiku. Dziś jesteśmy tak przyzwyczajeni, że w każdej chwili m o ż e m y wezwać policję, by rozwiązać dowolny konflikt, że chwilami trudno nam sobie wyobrazić, jak ludzie funkcjonowali, kiedy nie mieli takiej możliwości[31].

[30] W Anglii na przykład pierwszą ustawę eliminującą brytyjskie bariery taryfowe, uznawaną dziś za początek ery liberalnej, wprowadził konserwatywny premier sir Robert Peel, szerzej znany z tego, że utworzył pierwsze oddziały policji na Wyspach Brytyjskich.

[31] Kilka lat temu przypomniał mi o tym sam Julian Assange, kiedy zaprosił grono aktywistów i aktywistek ruchu Occupy do swojego programu telewizyjnego The World Tomorrow. Wiedząc, że wielu z nas jest anarchistami, zadał pytanie, które w jego mniemaniu miało nas

to ostatni południowiec z krwi i kości, zaprzysiężony zwolennik segregacji rasowej, który z siekierą w ręku tarasował czarnoskórym uczniom drzwi do szkoły publicznej. Patrząc z szerszej perspektywy, można dostrzec, że jego polityczna scheda miewała rysy geniuszu. Wallace stworzył pierwszą ogólnonarodową platformę dla prawicowego populizmu, tak zaraźliwego, że dziś – zaledwie jedno pokolenie później – przesiąkli nim niemal wszyscy, na całej rozpiętości politycznego spektrum. To jemu zawdzięczamy rozpowszechnione dziś wśród amerykańskiej klasy robotniczej przekonanie, że na władzę składają się dwa rodzaje ludzi: „politycy", czyli pyszałkowaci kłamcy i oszuści, oraz „biurokraci" – elita, która gardzi pospólstwem. Tych pierwszych można przynajmniej usunąć z urzędu w dniu wyborów, za to ci drudzy są praktycznie nie do ruszenia. Przyjęło się wierzyć w istnienie cichego przymierza między jakoby pasożytniczą klasą najuboższych (w Stanach Zjednoczonych postrzeganą zwykle przez pryzmat jawnie rasistowski) a równie pasożytniczą kastą przekonanych o swojej nieomylności urzędników, którzy żyją z tego, że dosypują biedakom pieniędzy pochodzących z cudzej kieszeni. I znów: nawet obecna w głównym nurcie lewica – a w każdym razie to, co za lewicę dziś uchodzi – nie ma wiele do zaoferowania oprócz rozwodnionej wersji języka prawicy. Bill Clinton włożył na przykład tak wiele wysiłku w piętnowanie służby cywilnej, że po wybuchu bomby podłożonej w budynku urzędu federalnego w Oklahomie uznał za wskazane przypomnieć swoim rodakom i rodaczkom, że urzędnicy to także ludzie, oraz obiecać, że już nigdy nie nazwie ich „biurokratami"[12].

Współczesny populizm w Stanach Zjednoczonych, a coraz częściej także w innych miejscach świata, zna tylko taką alternatywę dla „biurokracji" jak „rynek". Niekiedy oznacza to, że państwem należy zarządzać jak przedsiębiorstwem. Niekiedy zaś, że powinno się po prostu zlikwidować całą tę biurokrację i poczekać, aż naturalny bieg rzeczy zrobi swoje – czyli pozwolić ludziom doglądać swoich interesów nieskrępowanych bezlikiem narzuconych

[12] „Sam nie wiem, ile razy mówiłem o «rządowych biurokratach». Trudno dziś znaleźć polityka, który używałby tego wyrażenia bez negatywnego zabarwienia. Wiemy, co podatnicy myślą o oddawaniu części swoich zarobków państwu, więc żeby ich sobie zjednać, lubimy pomstować na biurokratów i obiecywać redukcję biurokracji [...]. Ale pamiętajcie, że to tacy sami ludzie jak wy: kochają swoje dzieci. Codziennie rano wstają i idą do pracy. Pracują najlepiej, jak potrafią [...]. Po tym, co przeżyliśmy w ubiegłym miesiącu, po tym, co zobaczyłem w oczach dzieci tych biurokratów, którzy pełnili swoją służbę tego strasznego dnia w Oklahoma City, i w oczach ich rodziców, którzy zostawili swoje dzieci w zakładowym przedszkolu, żeby dla nas tego dnia pracować, nigdy więcej nie użyję tego wyrażenia" (dokument elektroniczny: www.presidency.ucsb.edu / ws / ?pid=51382).

odgórnie nakazów i zakazów, tak aby magia wolnego rynku mogła wreszcie zadziałać, wytwarzając własne rozwiązania.

W ten sposób „demokracja" stała się równoznaczna z rynkiem, a „biurokracja" zaczęła oznaczać mieszanie się rządu do gry rynkowej – i właśnie w tych znaczeniach oba te pojęcia funkcjonują do dzisiaj.

Jednak nie zawsze tak było. Kształtowanie się nowoczesnej formy korporacji pod koniec XIX wieku uważano za kwestię zastosowania nowoczesnych, biurokratycznych technik do sektora prywatnego. Techniki te wydawały się niezbędne w działaniu na wielką skalę, ponieważ miały zapewniać sprawniejsze funkcjonowanie niż sieci osobistych czy nieformalnych powiązań, jakie dominowały w świecie małych form rodzinnych. Pionierami tych nowych, prywatnych biurokracji były Stany Zjednoczone i Niemcy. Niemiecki socjolog Max Weber zauważył, że dla współczesnych mu Amerykanów nie istniały zasadnicze różnice między biurokracją państwową i prywatną:

> Korpus urzędników aktywnie pełniących „urząd" publiczny, wraz z całym nieodłącznym aparatem, przyborami i dokumentami, tworzy „biuro" (bureau). W prywatnym przedsiębiorstwie takie „biuro" jest nazywane „urzędem" (office).
>
> Szczególną cechą nowoczesnego przedsiębiorcy jest to, że uważa się za kogoś w rodzaju „pierwszego urzędnika" w swojej firmie, podobnie jak „pierwszym urzędnikiem" (servant, a więc osoba pełniąca służbę) w nowoczesnym, biurokratycznym państwie jest jego przywódca. Pogląd, jakoby urzędowe czynności państwa były z definicji czymś całkowicie odmiennym od zarządzania prywatnymi podmiotami gospodarczymi, jest rozpowszechniony na kontynencie europejskim, za to zupełnie obcy mentalności amerykańskiej[13].

Innymi słowy, mniej więcej od czasów przełomu XIX i XX wieku w Stanach Zjednoczonych nie twierdzono już nawet, że rząd powinien zarządzać państwem jak przedsiębiorstwem, a po prostu że państwem i wielkimi przedsiębiorstwami zarządza się dokładnie tak samo.

To prawda, że przez większą część XIX wieku gospodarka Stanów Zjednoczonych składała się głównie z małych rodzinnych farm i sektora wielkiej finansjery, podobnie zresztą jak ówczesna gospodarka brytyjska. Gdy jednak

[13] Źródło: Max Weber, Bureaucracy, [w:] From Max Weber: Essays in Sociology, ed. Hans H. Gerth i C. Wright Mills, Oxford University Press, New York 1946, s. 197 i nast.

Strategia ta okazała się nadspodziewanie skuteczna. Na przestrzeni dwóch, trzech lat pogrążyliśmy praktycznie wszystkie proponowane ogólnoświatowe umowy handlowe i wyparliśmy instytucje takie jak MFW z Azji i Ameryki Łacińskiej[28].

Ta strategia odniosła skutek, bo unaoczniła społeczeństwom, że wszystko, co im mówiono o globalizacji, jest kłamstwem. Globalizacja nie jest naturalnym procesem rozwoju pokojowego handlu, który stał się możliwy dzięki nowym technologiom. To, co nazywano „wolnym handlem" i „wolnym rynkiem", w rzeczywistości stanowiło świadome budowanie pierwszego w historii, rzeczywiście działającego[29] systemu biurokratycznej administracji na skalę całej planety. Fundamenty tego systemu położono już w latach 40., ale dopiero koniec zimnej wojny pozwolił go urzeczywistnić. System, jaki powstał w wyniku tego procesu – jak niemal każdy biurokratyczny system tworzony wówczas na mniejszą skalę – stanowił tak gęsty splot elementów publicznych i prywatnych, że często rozróżnienie ich, choćby tylko pojęciowe, graniczyło z niemożliwością. Na szczycie tego systemu znajdowały się biurokracje regulujące handel, takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy, Światowa Organizacja Handlu i kraje grupy G8, a także zrzeszenia traktatowe w rodzaju NAFTA i Unii Europejskiej. Do nich należało tworzenie gospodarczego i społecznego porządku, którego miały przestrzegać demokratyczne (w teorii) kraje Globalnego Południa. Tuż pod nimi znajdowały się duże instytucje finansowe: Goldman Sachs i Lehman Brothers, American Insurance Group czy firmy ratingowe takie jak Standard & Poor's. Jeszcze niższą pozycję zajmowały największe ponadnarodowe konglomeraty. (Duża część tak zwanego handlu międzynarodowego to w rzeczywistości jedynie transfer materiałów między różnymi oddziałami tej samej korporacji). Wreszcie i „trzeci sektor" – organizacje pozarządowe, które w wielu częściach świata zajęły się świadczeniem tych samych usług publicznych, które do niedawna były domeną państwa – z takim skutkiem, że plany zagospodarowania terenu w Nepalu czy organizacji służby zdrowia w Nigerii powstają dziś w Zurychu albo w Chicago.

[28] Ten proces przedstawiłem w swoim artykule The Shock of Victory. Ogólnoświatowa biurokracja oczywiście nie znikła, ale zarzucone typowe dla MFW programy „dostosowania strukturalnego", a kiedy pod ogromnym naciskiem ruchów społecznych w 2002 roku Argentyna odmówiła spłacania swoich kredytów, rozpoczął się ciąg wydarzeń, który ostatecznie położył kres kryzysowi zadłużenia Trzeciego Świata.

[29] Aż do lat 70. XX wieku Liga Narodów i ONZ były, praktycznie rzecz biorąc, klubami dyskusyjnymi.

tów, szczególnie w bogatszych krajach, wynosiła jakieś dziewiętnaście lat. Ale co ważniejsze, ruch sam w sobie był przecież formą globalizacji: stanowił wielobarwny sojusz ludzi i organizacji z całego świata – od stowarzyszeń hinduskich farmerów, przez związek zawodowy pracowników kanadyjskiej poczty, aż po rdzenną ludność Panamy i anarchistyczne kolektywy z Detroit. Przedstawiciele ruchu bez końca przekonywali, że wbrew oficjalnej wykładni to, co media nazywały „globalizacją", nie miało nic wspólnego z wymazywaniem granic oraz swobodnym przepływem ludzi, produktów i myśli. W rzeczywistości tak zwana globalizacja polegała na zamykaniu coraz większej liczby mieszkańców globu za zmilitaryzowanymi granicami państw i na stopniowym rozmontowywaniu zabezpieczeń społecznych w obrębie tych granic. W efekcie powstała ogromna pula pracowników tak zdesperowanych, że gotowych pracować za najniższe wynagrodzenie. Temu zjawisku alterglobaliści przeciwstawiali wizję świata autentycznie pozbawionego granic.

Alterglobalistom nie dano oczywiście okazji do głoszenia tych idei ani w telewizji, ani w wysokonakładowych gazetach – a już na pewno nie w Ameryce, gdzie media są rygorystycznie kontrolowane przez ich korporacyjnych biurokratów. Podnoszone przez alterglobalistów argumenty nie docierały do odbiorców. Odkryliśmy wtedy, że mamy do dyspozycji inną metodę działania, niemal równie skuteczną. Mogliśmy oblegać szczyty, podczas których negocjowano umowy handlowe, i doroczne posiedzenia instytucji, na których projektowano, spisywano językiem prawa i wprowadzano w życie wszystkie mechanizmy nazywane wtedy globalizacją. Dopóki ruch nie pojawił się w Ameryce Północnej, by zablokować szczyt Światowej Organizacji Handlu (WTO) w listopadzie 1999 roku w Seattle, a później posiedzenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) i Banku Światowego w Waszyngtonie, mało kto w Stanach Zjednoczonych w ogóle wiedział o istnieniu tych instytucji. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki akcje alterglobalistów wyciągały na światło dzienne wszystko to, co miało pozostać w ukryciu: wystarczyło pojawić się większą grupą i zablokować dostęp do centrum konferencyjnego, aby natychmiast wyszło na jaw, że przeróżne połączone wzajemnie instytucje tworzą oplatającą cały świat biurokratyczną sieć, która nie lubi, gdy ktoś zbyt uważnie się jej przygląda. Jednocześnie jak spod ziemi wyrastały tysiące uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy prewencyjnych oddziałów policji – co pokazywało, jak daleko biurokraci są gotowi się posunąć, by usunąć ze swojej drogi każdego, kto choćby w najbardziej pokojowy sposób próbuje hamować ich zapędy.

pod koniec stulecia Ameryka weszła na światową scenę jako mocarstwo, pojawiła się specyficznie amerykańska formuła: korporacyjnego – a więc biurokratycznego – kapitalizmu. Jak zauważa Giovanni Arrighi, w tym samym czasie analogiczny model powstawał w Niemczech, a oba kraje – Niemcy i Stany Zjednoczone – przez całą pierwszą połowę następnego stulecia toczyły boje o to, kto przejmie po upadłym Imperium Brytyjskim rolę światowego lidera, narzucając pozostałym własną wizję porządku ekonomicznego i politycznego. Wiemy, kto zwyciężył. Arrighi zwraca też uwagę na inną interesującą okoliczność. W odróżnieniu od Imperium Brytyjskiego, które brało swoją wolnorynkową retorykę na poważnie (na przykład likwidując ochronne cła słynną „ustawą zbożową" z 1846 roku), ani Niemcy, ani Stany Zjednoczone nie paliły się do wprowadzania w życie wolnorynkowych haseł. Szczególnie Amerykanów znacznie bardziej interesowało tworzenie ponadnarodowych struktur administracji. Gdy po drugiej wojnie światowej przejęli po Brytyjczykach rolę globalnego mocarstwa, zaczęli od ustanowienia pierwszych biurokratycznych instytucji, które obejmowały całą planetę: Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz instytucji Bretton Woods, jakimi były Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i układ GATT, przekształcony później w Światową Organizację Handlu. Imperium Brytyjskie nigdy czegoś takiego nie próbowało. Brytyjczycy albo okupowali inne narody, albo z nimi handlowali. Amerykanie tymczasem usiłowali zarządzać wszystkim i wszystkimi za sprawą struktur administracyjnych.

Brytyjczycy, mam wrażenie, odczuwają niejaką dumę z tego, że niezbyt wprawnie posługują się biurokracją. Amerykanie natomiast wydają się zażenowani tym, że w świecie biurokracji czują się jak ryba w wodzie[14]. Nie pasuje nam to do własnego wizerunku. Chcemy uważać się za naród samodzielnych indywidualistów. (Właśnie z tego względu prawicowi populiści mogą tak skutecznie demonizować biurokratów). Nie zmienia to jednak faktu, że od ponad stulecia Stany Zjednoczone są społeczeństwem głęboko zbiurokratyzowanym. Jeśli ten fakt nie rzuca się w oczy, to dlatego że styl i większość zwyczajów amerykańskiej biurokracji – od ubioru, przez język, po wystrój

[14] Stany Zjednoczone są pod wieloma względami krajem niemieckim, który za sprawą rywalizacji z pierwszej połowy XX wieku nie chce się do tego przyznać. (Amerykanów pochodzenia niemieckiego jest znacznie więcej niż angielskiego. Czy choćby najbardziej charakterystyczne elementy amerykańskiego jadłospisu: hamburgery i frankfurterki). Niemcy dla odmiany są dumni ze swojej biurokratycznej sprawności, a mieszkańcy Rosji, by zestaw był już kompletny, wydają się odczuwać pewien wstyd na myśl, że nie radzą sobie z biurokracją tak dobrze, jak powinni.

biur – wywodzi się z sektora prywatnego. Bezduszny konformista, amerykański odpowiednik sowieckiego aparatczyka – ów „człowiek organizacji", „mężczyzna w szarym flanelowym garniturze" opisywany przez powieściopisarzy i socjologów – to przecież nie urzędnik Departamentu Ochrony Zabytków i Pomników Przyrody ani Wydziału Ubezpieczeń Społecznych, a menedżer średniego szczebla w prywatnej firmie. Oczywiście korporacyjnych urzędników n i e n a z y w a n o już wtedy biurokratami. Nadal jednak służyli za model tego, jak powinien wyglądać funkcjonariusz administracji.

Słowo „biurokrata" po raz pierwszy stało się synonimem urzędnika państwowego w latach 30. XX wieku, w czasach New Deal. Wtedy właśnie biurokratyczne struktury i metody zarządzania zaczęły dawać o sobie znać w codziennym życiu zwykłych ludzi. A przecież urzędnicy administracji Roosevelta od samego początku ściśle współpracowali z zastępami prawników, inżynierów i korporacyjnych biurokratów pracujących w firmach, takich jak Ford, Coca Cola czy Procter & Gamble, przesiąkając ich stylem i wrażliwością. A gdy w latach 40. Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, to samo przeobrażenie przeszła gargantuiczna wręcz biurokracja wojsk amerykańskich. Warto pamiętać, że od tamtej pory Stany Zjednoczone prowadzą wojny niemal bez przerwy. Wszystko to jednak sprawiło, że termin „biurokrata" przylgnął wyłącznie do funkcjonariuszy państwowych; nie określa się nim przecież menedżerów w firmach prywatnych ani urzędników wojskowych, nawet jeśli dzień pracy spędzają za biurkiem, wypełniając formularze i pisząc raporty. Biurokratami nie nazywa się też biurowych pracowników policji ani służb wywiadowczych.

Granica między sektorem prywatnym I PUBLICZNYM zaciera się w Stanach Zjednoczonych od bardzo dawna. Amerykańskie wojsko słynie na przykład z fenomenu „drzwi obrotowych" – wysocy rangą oficerowie zaopatrzenia regularnie znajdują posady w zarządach korporacji, które realizują dostawy dla wojska. Patrząc szerzej, ze względu na konieczność zabezpieczenia i rozwijania pewnych gałęzi krajowego przemysłu dla celów militarnych rząd Stanów Zjednoczonych uprawia centralne planowanie w niemal radzieckim stylu, choć nie przyznaje się do tego otwarcie. Koniec końców nie ma takiej rzeczy – od utrzymywania określonej liczby hut stali, przez prowadzenie badań podstawowych, aż po stworzenie Internetu – której nie dałoby się uzasadnić względami obronności. Ale ponieważ takim planowaniem zajmuje się sojusz wojskowych i biznesowych biurokratów, nie definiuje się go w kategoriach biurokracji.

inny nie musiał poważnie zastanawiać się nad mechanizmami działania organizacji. Większość ludzi stykała się z nimi nie częściej niż raz na kilka lat, gdy przychodził czas przekazać informacje o posiadanej ziemi i pogłowiu bydła dla celów podatkowych. Jednak, jak już pisałem, w ostatnich dwóch stuleciach nastąpiła eksplozja biurokracji, a w ciągu ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat biurokratyczne zasady rozciągnięto na każdy aspekt życia. Razem z nimi rozpowszechniła się także kultura zmowy milczenia. Wielu z nas często zachowuje się, jakbyśmy wierzyli, że sądy traktują finansowe elity tak, jak one na to zasługują, może nawet zbyt surowo, a kara wymierzana zwykłym obywatelom za debet na koncie powinna być stokroć surowsza. Odkąd całe społeczeństwa zaczęły postrzegać same siebie jako wielkie, umocowane poświadczeniami merytokracje (a nie jako systemy arbitralnego wyzysku), wszyscy posłusznie pochylają głowy i nadskakują komu mogą, udając przy tym, że szczerze wierzą w uczciwość systemu.

A więc: jak mogłaby wyglądać lewicowa krytyka totalnej (bądź drapieżnej) biurokratyzacji?

Podpowiedzią może służyć historia ruchu alterglobalistów (nazywanego także „ruchem na rzecz globalnej sprawiedliwości"), który ku własnemu zaskoczeniu odkrył, że jego istotą jest przeciwstawienie się właśnie temu zjawisku. Pamiętam tę chwilę doskonale, bo byłem wtedy głęboko zaangażowany w ten ruch. W latach 90. praktycznie całe dziennikarskie „elity" w Stanach Zjednoczonych i większości bogatych krajów (choćby Thomas Friedman z „New York Timesa") zachwalały globalizację jako niemalże siłę natury. Dzięki postępom technologii, a szczególnie dzięki rozwojowi Internetu, świat stawał się coraz mniejszy. Im łatwiejsza łączność, tym łatwiejszy handel, a granice państwowe szybko traciły na znaczeniu, gdy międzynarodowe umowy o wolnym handlu tworzyły wspólny rynek, który miał zjednoczyć wszystkie kraje. W ówczesnych debatach politycznych w mediach głównego nurtu wszystko to przedstawiano jako oczywisty fakt, który nie podlega dyskusji. Każdy, kto kwestionował ten proces, był traktowany jak błazen; jak ktoś, kto sprzeciwia się prawom fizyki albo wierzy, że Ziemia jest płaska; jak lewicowy odpowiednik biblijnych fundamentalistów, zaprzeczających teorii ewolucji.

Kiedy więc powstał ruch alterglobalistyczny, w mediach przedstawiono go jako ariergardę podstarzałych, stetryczałych lewicowców, którzy jakoby domagali się przywrócenia gospodarczego protekcjonizmu, narodowej suwerenności oraz barier w handlu i komunikacji, a przede wszystkim usiłowali na próżno powstrzymać nieuniknione „prądy historii". Szkopuł w tym, że była to oczywista nieprawda. Przede wszystkim przeciętna wieku demonstran-

dlaczego rzeczy miałyby wyglądać inaczej, gdy te dzieci dorosną i same zasiądą w fotelach prezesów banków? Myślę jednak, że zachodzi tu coś więcej – i że docieramy do samej istoty systemu biurokracji. Instytucje tego rodzaju zawsze tworzą kulturę zmowy milczenia. Chodzi nie tylko o to, że niektórym pozwala się bezkarnie łamać prawo, ale także o to, że jedną z miar lojalności jednostki wobec organizacji jest gotowość do udawania, że nic takiego się nie dzieje. A gdy biurokratyczna logika rozprzestrzenia się na całe społeczeństwo, wszyscy włączamy się do tej gry.

Warto zatrzymać się nad tym dłużej. Uważam, że mamy tu do czynienia nie ze zwykłą hipokryzją, ale ze szczególnym przypadkiem podwójnego standardu, typowym dla wszystkich systemów biurokratycznych. Każda biurokracja jest w pewnej mierze utopią – w tym sensie, że deklaruje pewien wyabstrahowany ideał człowieka, któremu ludzie z krwi i kości nie są w stanie dorównać. Wróćmy na chwilę do punktu wyjścia naszych rozważań o „kulcie poświadczeń". Socjologia od czasów Webera zna jedną z definiujących cech każdej biurokracji: urzędników wybiera się według formalnych, bezosobowych kryteriów, często na podstawie wyników pisemnego egzaminu. (To oznacza, że biurokraci nie są wybierani demokratycznie jak politycy, ale też nie powinni otrzymywać stanowisk tylko dlatego, że dobrze znają czyjąś ciotkę). Teoretycznie biurokracja to merytokracja. W rzeczywistości to tajemnica poliszynela, że taki system podlega tysiącom różnych wynaturzeń. Wielu urzędników istotnie pracuje tylko dlatego, że dobrze zna czyjąś ciotkę – i wszyscy o tym wiedzą. W efekcie podstawowym kryterium lojalności wobec organizacji staje się zmowa milczenia. Awans zawodowy nie jest już kwestią kompetencji i zasług, a nawet zażyłości z czyjąś ciotką, ale przede wszystkim tego, na ile jesteśmy gotowi udawać, że awans n a p r a w d ę z a l e ż y od kompetencji i zasług, choć wszyscy wiedzą, że to fikcja[27]. To samo dotyczy pozoru, jakoby przepisy i regulacje były stosowane identycznie do każdego, podczas gdy w rzeczywistości są często narzędziem sprawowania arbitralnej władzy.

Tak zwykle działają biurokracje. Ale na przestrzeni dziejów ten fakt interesował tylko tych, którzy sami funkcjonowali w systemach administracji: na przykład aspirujących konfucjanistów w średniowiecznych Chinach. Nikt

[27] Ta logika zmowy milczenia rozciąga się nawet na najmniej spodziewane instytucje. Redaktorką naczelną jednego z prominentnych lewicowych magazynów w Ameryce jest miliarderka, która zwyczajnie kupiła sobie tę posadę. Podstawowym kryterium awansu w tej redakcji jest obecnie gotowość do udawania, że redaktorka naczelna otrzymała to stanowisko z powodów całkowicie niezwiązanych z jej majątkiem.

Jednak dopiero rozrost sektora finansowego przyniósł potężną jakościową zmianę, która sprawiła, że rozróżnienie między państwowym i prywatnym w ogóle przestaje być możliwe. Stało się tak nie tylko dlatego, że zadania, które tradycyjnie leżały w gestii władz państwowych, są coraz częściej zlecane podmiotom prywatnym. Główną przyczyną tego zjawiska jest przeobrażenie modelu funkcjonowania samych korporacji.

Podam przykład. Jakiś czas temu zadzwoniłem do Bank of America, aby dowiedzieć się, jak uzyskać dostęp do mojego rachunku z zagranicy. Przez kilka godzin łączono mnie z czterema różnymi pracownikami banku, dwukrotnie przekierowano na nieistniejące numery, trzykrotnie wyjaśniano mi skomplikowane i chyba całkiem arbitralne wewnętrzne przepisy banku oraz dwukrotnie zmieniano mój nieaktualny już adres i numer telefonu zapisany w bankowych komputerach, za każdym razem bez powodzenia. Innymi słowy, był to podręcznikowy przykład biurokratycznej kołomyi. (Przy czym po całej tej mitrędze nadal nie miałem dostępu do konta).

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdyby udało mi się dotrzeć do kogoś z kierownictwa banku i zapytać, dlaczego dochodzi do takich sytuacji, usłyszałbym, że to nie wina banku, tylko nieprzeniknionego labiryntu przepisów narzuconych przez państwo. Jednocześnie mam także pewność, że gdyby udało się prześledzić powstanie tych regulacji, okazałoby się, że tworzyli je przeróżni asystenci i doradcy senatorów i kongresmenów zasiadających w jakiejś komisji prawa bankowego do spółki z zatrudnionymi przez banki lobbystami i radcami prawnymi, a katalizatorem całego procesu były szczodre datki na kampanie wyborcze tychże senatorów i kongresmenów. Tak samo wyglądałaby każda inna biurokratyczna procedura: ocena zdolności kredytowej, wyliczanie składek ubezpieczeniowych, składanie wniosku o kredyt hipoteczny czy nawet kupowanie biletów lotniczych, ubieganie się o uprawnienia nurka albo próba zamówienia ergonomicznego fotela do gabinetu w prywatnej (teoretycznie) uczelni. Ogromną większość roboty papierkowej wykonuje się dziś w tej szarej strefie instytucji teoretycznie prywatnych, ale w całości ukształtowanych przez państwo, które nie tylko tworzy ramy prawne i wspiera ustanowione przez siebie przepisy aparatem sądowym i rozbudowanym aparatem przymusu, ale przede wszystkim ściśle współpracuje z podmiotami prywatnymi, aby zagwarantować im określoną stopę zysku.

Język, który stosujemy w takich przypadkach, wywiedziony z prawicowej krytyki biurokracji, okazuje się nieadekwatny. Nie mówi nic o tym, co się tak naprawdę dzieje[15].

Weźmy pod uwagę pojęcie „deregulacja". W dzisiejszym dyskursie politycznym „deregulacja" – podobnie jak „reforma" – oznacza coś z definicji dobrego. Deregulacja oznacza mniej wścibskich biurokratów, mniej reguł i przepisów dławiących innowacyjność i handel. Taki uzus stawia lewicę w kłopotliwym położeniu, bo ktoś, kto krytykuje deregulację – a nawet wskazuje, że to właśnie orgia niepohamowanej deregulacji wywołała kryzys bankowy z 2008 roku – najwyraźniej chce, aby reguł i przepisów było jeszcze więcej, a więc aby jeszcze więcej facetów w szarych garniturach mówiło nam, co mamy robić, i rzucało kłody pod nogi innowacyjnym, wolnym jednostkom.

To jednak alternatywa oparta na fałszywych założeniach. Wróćmy do kwestii banków. Nie istnieje i nie może istnieć nic takiego jak „nieuregulowany" bank. Banki to instytucje, którym państwo udziela prawa do drukowania pieniędzy – a mówiąc precyzyjniej – do wystawiania skryptów dłużnych, które władze państwowe honorują jako legalny środek płatniczy, co oznacza, że można płacić nimi podatki i regulować inne zobowiązania. Żadne państwo nie udzieli nikomu – a tym bardziej przedsiębiorstwu nastawionemu na zysk – prawa do drukowania pieniędzy w każdej ilości i w każdych warunkach. Zakrawałoby to na szaleństwo. Prawo do tworzenia pieniądza z konieczności przyznaje się na bardzo ściśle określonych (czytaj: uregulowanych) warunkach. I tak jest zawsze. Państwo reguluje bankowość na każdym kroku – od rezerwy kapitałowej po godziny pracy oddziałów instytucji, dopuszczalną wysokość odsetek, opłat i kar, wymagane środki bezpieczeństwa, sposób prowadzenia księgowości i obowiązki sprawozdawcze, kiedy i w jakiej formie bank musi informować klientów o ich prawach i obowiązkach... Nie ma praktycznie aspektu działalności bankowej, który nie podlegałby państwowym regulacjom.

[15] Od pracownika pewnego brytyjskiego banku usłyszałem niedawno, że w tych kwestiach nawet personel banku uprawia swego rodzaju orwellowskie dwójmyślenie. W wewnętrznej korespondencji zawsze mówi się o regulacjach narzucanych z zewnątrz: „Fiskus podniósł limit nieopodatkowanych oszczędności na rachunkach indywidualnych"; „Minister Finansów zliberalizował zasady naliczania świadczeń emerytalnych" i tak dalej. Jednocześnie wszyscy doskonale wiedzą, że dyrektorzy banku odbyli właśnie liczne spotkania z urzędnikami odpowiednich ministerstw, aby przekonać ich do wprowadzenia tych właśnie zmian w prawie. Jest to swego rodzaju gra, w której najwyżsi rangą dyrektorzy banku udają zaskoczenie, a nawet konsternację, gdy ich własne propozycje stają się obowiązującym prawem.

arbitralnego wyzysku. W miarę jak banki i operatorzy kart płatniczych zaczęli czerpać coraz większą część swoich zysków z kar nakładanych na klientów (osiemdziesiąt dolarów kary za pięciodolarowy debet od kogoś, kto żyje od pierwszego do pierwszego), korporacje finansowe nauczyły się grać według własnych reguł. Uczestniczyłem kiedyś w konferencji na temat kryzysu bankowego, podczas której miałem okazję zamienić kilka słów z ekonomistą pracującym w jednej z instytucji powstałych na mocy układu z Bretton Woods (będzie lepiej, jeśli nie wymienię jej z nazwy). Zapytałem go, jak to możliwe, że nikt z kierownictwa banków nie stanął przed sądem za oszustwa finansowe, które wywołały krach w 2008 roku.

URZĘDNIK: Musi pan zrozumieć, że w przypadku przestępstw finansowych amerykańscy prokuratorzy zawsze starają się wynegocjować ugodę. Nie chcą, aby sprawa trafiła do sądu. Ugoda polega na tym, że instytucja finansowa płaci grzywnę, niekiedy idącą w setki milionów dolarów, ale nie przyznaje się do złamania prawa i nie ponosi odpowiedzialności karnej. Prawnicy takiej instytucji po prostu nie kwestionują zarzutów, a nawet jeśli firma zapłaci, nikomu nie będzie udowodniona żadna wina.

JA: Innymi słowy, jeśli rząd odkryje, że dajmy na to Goldman Sachs albo Bank of America popełnił oszustwo, po prostu nakłada na taki bank pewną opłatę. Czy dobrze rozumiem?

URZĘDNIK: Tak jest.

JA: W takim razie mam jeszcze tylko jedno pytanie: czy zdarzyło się choć raz, żeby taka opłata była wyższa niż to, co bank zarobił na oszustwie?

URZĘDNIK: O ile wiem – nigdy. Zwykle chodzi o znacznie niższe kwoty.

JA: O ile niższe? O połowę?

URZĘDNIK: Średnio to raczej od dwudziestu do trzydziestu procent zysku. Ale w każdym przypadku jest inaczej, są duże różnice.

JA: Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy to aby nie znaczy, że rząd mówi tym firmom: możecie do woli popełniać przestępstwa finansowe, ale jeśli was na tym przyłapiemy, musicie nam odpalić działkę?

URZĘDNIK: Nie mogę tego tak ująć, dopóki pracuję tam, gdzie pracuję...

A kto egzekwuje prawo banku do ściągania z klientów osiemdziesięciu dolarów kary za pięciodolarowy debet? Oczywiście te same sądy, które pośrednio zarabiają, gdy ten sam bank dopuszcza się malwersacji. Z pewnej perspektywy można to uznać po prostu za kolejny przykład dobrze znanej prawidłowości: bogaci zawsze grają według innych reguł. Skoro dzieci bankierów nagminnie unikają kary za posiadanie kokainy w ilości, za jaką czarnych i biednych niemal bez wyjątku skazuje się na dziesiątki lat więzienia, to

pozwolić tylko dzięki wysoko oprocentowanym kredytom studenckim[25]. W ten sposób państwo gwarantuje bankom prawo do odciągania części dochodów większości farmaceutów[26].

Ten ostatni przykład może wydawać się skrajny, ale dla fuzji państwowej i prywatnej władzy w nowym reżimie finansjery jest wręcz paradygmatyczny. W Stanach Zjednoczonych coraz mniejsza część zysków sektora prywatnego pochodzi z handlu i produkcji przemysłowej, a coraz większa – z operacji finansowych, czyli ostatecznie z kredytów zaciąganych przez osoby prywatne. Masowe zadłużanie się nie jest przypadkiem. W znacznym stopniu jest ono zamierzonym skutkiem tego właśnie zespolenia władzy państwowej i prywatnej. Podporządkowanie edukacji interesom biznesu; gwałtowne podwyżki czesnego (studenci płacą dziś za budowę gigantycznych stadionów i podobnych inwestycji, jakie zamarzyły się zarządowi uczelni, oraz składają się na pęczniejące pensje coraz liczniejszej kadry administracyjnej); utrudniony dostęp do zawodów zapewniających standard życia na poziomie klasy średniej dla osób nieposiadających stopnia naukowego, a wreszcie rosnące zadłużenie – wszystkie te zjawiska splatają się w jedną sieć. Jednym z rezultatów powszechnego zadłużenia jest wykorzystywanie mechanizmów państwa przez korporacje do czerpania zysków. (Wystarczy pamiętać, co się dzieje, gdy absolwent nie uiści raty kredytu studenckiego: do akcji rusza cały aparat przymusu, grożąc konfiskatą mienia, zajęciem pensji oraz naliczeniem dodatkowych kar i opłat opiewających na tysiące dolarów). Zadłużenie powoduje również, że sami dłużnicy podporządkowują biurokratycznemu reżimowi coraz więcej aspektów własnego życia i zarządzają nim tak, jakby byli maleńkim przedsiębiorstwem, nieustannie kontrolując przychody i rozchody, z trudem bilansując budżet.

Trzeba podkreślić, że choć ten system czerpania zysków jest wyrażony w języku przepisów i regulacji, jego faktyczne działanie ma niewiele wspólnego z rządami prawa. To raczej system prawny stał się narzędziem coraz bardziej

[25] Państwo nie udziela bezpośrednio kredytów na kontynuowanie nauki. Takie kredyty są dostępne tylko w prywatnych instytucjach i są znacznie wyżej oprocentowane.

[26] Od znajomej osoby dowiedziałem się, że biblioteki publiczne zatrudniają już wyłącznie osoby z dyplomem bibliotekoznawstwa, choć na rocznych studiach nie zdobywa się żadnej wiedzy, której nie można by uzyskać w ciągu jedno- czy dwutygodniowego szkolenia. Najbardziej znaczącym skutkiem takiego wymogu jest to, że przez pierwsze dziesięć – dwadzieścia lat pracy zawodowej każdy bibliotekarz i każda bibliotekarka oddaje od dwudziestu do trzydziestu procent pensji na spłatę kredytu (w przypadku mojego znajomego około tysiąca dolarów miesięcznie), z czego jedna połowa (kwoty pożyczki) trafia do kasy uczelnianej, a druga połowa (odsetki) – do pożyczkodawcy.

Skoro tak, to co mają na myśli ci, którzy mówią o „deregulacji”? Zazwyczaj słowo to oznacza po prostu „zmianę prawa, która jest mi na rękę”. W praktyce jednak może oznaczać niemal wszystko. W przypadku linii lotniczych i przedsiębiorstw telekomunikacyjnych w latach 70. i 80. „deregulacja” oznaczała zmianę przepisów z takich, które faworyzowały garstkę olbrzymich firm, na takie, które miały propagować ściśle nadzorowaną konkurencję między firmami średniej wielkości. W przypadku bankowości „deregulacja” oznaczała zwykle coś odwrotnego: przejście od zarządzanej konkurencji między średniej wielkości podmiotami do sytuacji, w której garstka wielkich konglomeratów mogła bez reszty podporządkować sobie rynek usług finansowych. Właśnie dlatego „deregulacja” to bardzo wygodny termin. Wystarczy przedstawić nowe przepisy jako „deregulację”, aby sprzedać je opinii publicznej jako sposób na ograniczenie biurokracji i uwolnienie prywatnej inicjatywy, nawet jeśli po ich wprowadzeniu liczba formularzy, raportów, reguł i przepisów, nad którymi będą sobie łamać głowy prawnicy, wzrośnie pięciokrotnie, a nowo zatrudnione rzesze urzędników będą zawile tłumaczyć klientom, dlaczego nie wolno im wykonać jakiejś operacji[16].

Ten proces stopniowego stapiania się władzy publicznej i prywatnej w jedną całość, naszpikowaną regułami i przepisami, którego ostatecznym celem jest pasożytnicze czerpanie zysków, nie ma jeszcze swojej nazwy. Jest to znamienne samo w sobie. Nie będziemy w stanie przeciwdziałać tym zjawiskom, dopóki nie mamy języka, by je opisać. A przecież ich efekt widać na każdym kroku. Nieustannie przybywa roboty papierkowej. Formularze i podania są coraz dłuższe i bardziej skomplikowane. Rachunki, bilety, karty członkowskie bibliotek czy klubów sportowych i inne proste dokumenty są jedynie dodatkiem do wielostronicowych umów spisanych nieprzeniknionym językiem i wydrukowanych drobnym maczkiem.

Temu zjawisku trzeba nadać nazwę. Czasy, w których żyjemy, nazywam wiekiem „biurokratyzacji totalnej”. (Początkowo zamierzałem użyć wyrażenia „drapieżna biurokracja”, ale chcę podkreślić przede wszystkim jej wszechogarniającą naturę). Jej pierwsze oznaki pojawiły się pod koniec lat 70. – właśnie wtedy, gdy publiczne dyskusje o biurokracji zaczęły przygasać – a w kolejnej dekadzie nabierała rozpędu. Jednak dopiero w latach 90. zaczęła rozwijać się pełną parą.

[16] Bodaj jedyne reformy, których nie można nazwać „deregulacją”, to te, które wycofują wcześniejsze zmiany, które zdążono już przedstawić jako „deregulację”. To oznacza, że w tej grze liczy się, kto pierwszy zaprezentuje preferowane przez siebie zmiany prawa jako „deregulację”.

Jak pisałem w jednej z moich poprzednich książek, przełom historyczny, z którego bierze początek panujący dziś ustrój gospodarczy, dokonał się w 1971 roku, kiedy Stany Zjednoczone przestały wymieniać dolara na złoto. Tamta decyzja otworzyła drogę do finansjalizacji kapitalizmu, ale zapoczątkowała także o wiele głębsze, długofalowe zmiany, które – jak sądzę – przyniosą ostateczny koniec całego systemu kapitalistycznego. Tu jednak mówimy o konsekwencjach bardziej bezpośrednich. Co oznaczała finansjalizacja dla głęboko zbiurokratyzowanego społeczeństwa powojennej Ameryki? Zjawisko, o którym mowa, jest rozpowszechnione na całym świecie, ale narodziło się w Stanach Zjednoczonych i to amerykańskie elity najbardziej zagorzale je eksportowały. Wydaje się więc stosowne, by zacząć od tego, co zaszło w Ameryce[17].

To, co nastąpiło, można rozumieć przede wszystkim jako przeorientowanie lojalności klasowej kadry kierowniczej wielkich korporacji, polegające na tym, że chwiejną, ale rzeczywistą wspólnotę interesów z pracownikami ich własnych firm zastąpił sojusz z inwestorami. Jak dawno temu zauważył John Kenneth Galbraith, jeśli założyć organizację, której zadaniem jest produkowanie perfum, przetworów mlecznych lub kadłubów samolotów, to ludzie, którzy tę organizację tworzą, pozostawieni samym sobie skupią się przede wszystkim na produkowaniu coraz większej ilości coraz lepszych perfum, przetworów mlecznych lub kadłubów samolotów – a nie na tym, jak zagwarantować coraz większe zyski udziałowcom. Co więcej, skoro przez większość XX wieku posada w dużej, zbiurokratyzowanej firmie oznaczała obietnicę stabilnego zatrudnienia na całe życie, wszyscy uczestnicy tego procesu – zarówno kadra kierownicza, jak i szeregowi pracownicy – mieli poczucie niejakiej wspólnoty interesów na tym polu, a interesy te były sprzeczne z interesami inwestorów i właścicieli firmy. Ten rodzaj solidarności ponad podziałami klasowymi miał nawet swoją nazwę: „korporatyzm". Nie należy go idealizować. Korporatyzm był jedną z idei leżących u filozoficznych podstaw faszyzmu. Można by nawet dowodzić, że u podstaw faszyzmu leży uznanie, że interes pracowników i menedżerów jest w istocie tożsamy; że prywatne przedsiębiorstwo czy lokalna społeczność stanowi organiczną całość, w stosunku do której finansiści są obcą, pasożytniczą siłą. Tę ideę faszyzm doprowadził do konsekwentnego i zbrodniczego końca. Nawet w stosunkowo łagodnej europejskiej i amerykańskiej socjaldemokracji polityka często by-

[17] Zjawisko, o którym mowa, jest rozpowszechnione na całym świecie, ale zaczęło się w Stanach Zjednoczonych i to amerykańskie elity najbardziej zagorzale je eksportowały. Wydaje się więc stosowne, by zacząć od tego, co zaszło w Ameryce.

mać zatrudnienie w tych zawodach. Umiejętności znaczą mniej, gdy nie poświadcza ich dyplom, a możność zdobycia dyplomu coraz częściej zależy od sytuacji majątkowej rodziców[23].

Ta sama historia powtarza się w wielu innych profesjach, od pielęgniarek po nauczycieli rysunku, od fizjoterapeutów po doradców od polityki zagranicznej. Niemal każde zajęcie uważane kiedyś za „sztukę" (a więc takie, którego najlepiej uczyć się przez praktykowanie go), wymaga dziś dyplomu ukończenia studiów kierunkowych. Temu procesowi w równej mierze podlega sektor publiczny i prywatny, ponieważ, jak już wiemy, w sferze biurokracji ta dystynkcja praktycznie straciła znaczenie. Chociaż wspomniane zmiany zachwala się – nie inaczej niż każdą biurokratyczną reformę – jako gwarancję uczciwości i bezstronności tam, gdzie wcześniej dominowały wiedza tajemna i społeczne koneksje, ich faktyczny efekt często jest wręcz odwrotny. Jak wie każdy, kto studiował, studenci z rodzin dobrze wykształconych menedżerów i profesjonalistów, dzięki rodzinnym zasobom stosunkowo najmniej zależni od pomocy finansowej z zewnątrz, są tymi, którzy z największą łatwością poruszają się w świecie biurokracji, władnym im taką pomoc przyznać[24]. Dla wszystkich innych najbardziej znaczącą pozostałością po latach studiów jest olbrzymi ciężar długu studenckiego gwarantujący, że znaczną część przyszłych zarobków będzie im co miesiąc odciągać sektor finansowy. Zaostrzanie wymogów dotyczących wykształcenia bywa zwyczajnym przekrętem, gdy stanowi efekt wspólnego lobbingu pożyczkodawców i instytucji edukacyjnych – na przykład kiedy zmiana prawa nakazuje wszystkim farmaceutom zdanie dodatkowego egzaminu, co zmusza tysiące pracujących w tym zawodzie osób do podjęcia studiów wieczorowych, na które mogą sobie

[23] Źródło elektroniczne: www.aljazeera.com / indepth / opinion / 2014 / 05 / college-promise-economy-does-no-201451411124734124.html. Tekst cytowany w Saving Higher Education in the Age of Money, University of Virginia Press, Charlottesville 2005, s. 85. Jego ciąg dalszy brzmi: „Dlaczego Amerykanie uważają ten wymóg za słuszny, a przynajmniej konieczny? Bo tak uważają. Całkowicie opuściwszy sferę rozumu, weszliśmy na obszar wiary i masowego konformizmu".

[24] Takie jest z pewnością moja doświadczenie. Jako jeden z niewielu studentów robotniczego pochodzenia na moich studiach doktoranckich słuchałem z niedowierzaniem, jak profesorowie przyznają, że uważają mnie za najlepszego studenta na roku, być może nawet na całym wydziale, by zaraz potem wzruszyć ramionami i oświadczyć, iż nic się nie da zrobić. Podczas gdy przez lata wegetowałem bez jakiejkolwiek pomocy finansowej, pracując w kilku miejscach naraz, studenci z rodzin profesorskich, lekarskich czy adwokackich bez widocznego wysiłku zgarniali wszystkie granty, stypendia i zapomogi.

produkuje owoce, które do złudzenia przypominają najgorsze ekscesy biurokratyzacji w Związku Radzieckim czy dawnych koloniach z Globalnego Południa. Antropologia wytworzyła bogatą literaturę poświęconą na przykład kultowi certyfikatów, uprawnień i dyplomów, jaki kwitnie w byłych państwach kolonialnych. Mówi się często, że w krajach takich jak Bangladesz, Trynidad czy Kamerun, rozchwianych między duszną spuścizną kolonialnej podległości a własnymi tradycjami magicznych wierzeń, oficjalny dokument jest swego rodzaju materialnym fetyszem: nadaje posiadaczowi moc w całkowitym oderwaniu od faktycznej wiedzy, doświadczenia czy wykształcenia, jakie ma poświadczać. Jednak od lat 80. również w krajach o jakoby najbardziej „zaawansowanej" gospodarce, takich jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Kanada, trwa istna eksplozja tego kultu poświadczeń. Jak zauważa antropolożka Sarah Kendzior:

> „Społeczeństwo amerykańskie stało się jednym z najsilniej podporządkowanych rygorowi referencji społeczeństw na świecie" – piszą James Engell i Anthony Dangerfield w książce Saving Higher Education in the Age of Money z 2005 roku. „Dyplom licencjata jest dziś konieczny do podjęcia pracy, która według żadnej racjonalnej oceny nie wymaga ani dwóch, ani tym bardziej czterech lat studiów".
>
> Odkąd ukończenie studiów licencjackich stało się warunkiem życia na poziomie klasy średniej [...], osoby bez dyplomu są pozbawione dostępu do zawodów mających wpływ na życie publiczne. W 1971 roku tylko pięćdziesiąt osiem procent dziennikarzy miało wyższe wykształcenie. Dziś ten wskaźnik wynosi dziewięćdziesiąt dwa procent, a wiele redakcji wymaga nawet dyplomu magisterskiego, mimo że większość renomowanych dziennikarzy nigdy nie studiowała dziennikarstwa[22].

Obok polityki dziennikarstwo to jedna z wielu dziedzin życia publicznego, w której dyplom stanowi de facto uprawnienie do wypowiadania się. Kto nie legitymuje się odpowiednim dyplomem, temu coraz trudniej znaleźć i utrzy-

[22] Dla jasności: nie dotyczy to największych dziennikarskich instytucji, takich jak „New York Times", „Washington Post" czy „New Yorker", „Atlantic" albo „Harper's". Tam dyplom studiów dziennikarskich jest raczej obciążeniem. Zjawisko, o którym piszę, dotyczy mniejszych redakcji i domów wydawniczych. Jednak ogólny trend zawsze zmierza w kierunku większej liczby poświadczeń we wszystkich dziedzinach, nigdy odwrotnie.

wała zabarwiona szowinizmem[18] sprawiającym, że inwestorów postrzegano jako klasę zewnętrzną, wobec której robotnicy i pracownicy umysłowi mogli tworzyć wspólny front.

Dla radykałów z lat 60., którzy nieraz byli świadkami rozpędzania demonstracji antywojennych przez hurapatriotycznie usposobionych związkowców (zwykle kierowców ciężarówek i robotników budowlanych), reakcyjna natura korporatyzmu była oczywista. Korporacyjni funkcjonariusze pod krawatem i dobrze opłacana, konserwatywna część przemysłowego proletariatu najwyraźniej stali po tej samej stronie. Nie powinno więc dziwić, że ówczesna lewicowa krytyka biurokracji skupiała się na wskazywaniu, że socjaldemokracja ma więcej wspólnego z faszyzmem, niż przyznają jej zwolennicy. Nie dziwi też, że ta krytyka wydaje się dziś zupełnie nieaktualna[19].

W latach 70. nastąpiła swego rodzaju zmiana kursu górnych szczebli korporacyjnej biurokracji amerykańskiej, która oddaliła ją od pracowników, a zbliżyła do udziałowców i ostatecznie do przedstawicieli całej finansjery. Ten proces przygotował grunt pod dzisiejszy stan rzeczy. Fuzje i wrogie przejęcia, śmieciowe obligacje, skupowanie przedsiębiorstw wyłącznie po to, by ogołocić je z majątku i obciążyć kredytami lub po prostu zlikwidować – to tylko niektóre, najbardziej drastyczne mechanizmy, jakie powstały pod rządami Ronalda Reagana i Margaret Thatcher i w których uwidoczniło się to przeniesienie lojalności. Ich kulminacją był rozkwit prywatnych funduszy inwestycyjnych. W istocie trwał ruch dwutorowy: zarządy przedsiębiorstw coraz głębiej wikłały się w finansowe spekulacje, a sektor finansowy zyskał wymiar korporacyjny pod postacią banków inwestycyjnych, funduszy hedgingowych i podobnych instytucji, które z czasem zastąpiły inwestorów indywidualnych. W rezultacie rozróżnienie między klasą zarządzającą a klasą inwestorów praktycznie znikło. (Zwróćmy uwagę, że pojęcie „zarządzanie finansowe" dotyczy dziś zarówno zarządzania przedsiębiorstwem na najwyższym szczeblu, jak i zarządzania portfelami inwestycyjnymi). Nie

[18] Kwintesencją ery korporatyzmu jest słynny bohater amerykańskiego serialu All in the Family Archie Bunker – niewykształcony robotnik portowy, którego mimo to stać na dom na przedmieściach i niepracującą żonę, bigot, seksista i gorący zwolennik status quo, dzięki któremu żyje tak dostatnio.

[19] Warto zwrócić uwagę, że choć to radykałowie z lat 60. stawiali znak równości między komunizmem, faszyzmem i biurokratycznym państwem dobrobytu, dziś czynią to w Ameryce prawicowi populiści. W Internecie roi się od takiej retoryki. Wystarczy wspomnieć, że program „Obamacare" jest nieustannie zrównywany i z socjalizmem, i z nazizmem (często jednocześnie, przez tych samych dyskutantów).

minęło dużo czasu, a prasa zaczęła sławić cnoty heroicznych prezesów i mierzyć ich sukces liczbą zwolnionych pracowników. Gdy nastały lata 90., model zatrudnienia zdążył zmienić się na tyle, że pojęcie „pracy na całe życie" było już tylko wspomnieniem nawet w przypadku pracowników umysłowych. Jeśli firmy chciały zaskarbić sobie lojalność pracowników, wynagradzały ich teraz opcjami na zakup akcji[20].

Jednocześnie nowe wyznanie wiary uczyło, że każdy musi patrzeć na świat oczami inwestora. Właśnie dlatego w latach 80. z gazet zaczęto zwalniać dziennikarzy specjalizujących się w tematyce pracowniczej, a w telewizyjnych serwisach informacyjnych na dole ekranu pojawił się pasek notowań giełdowych. Wtedy też rozpowszechnił się obłudny frazes, jakoby przez uczestnictwo w funduszach emerytalnych i inwestycyjnych każdy mógł uszczknąć dla siebie cząstkę kapitalizmu. W rzeczywistości magiczny krąg poszerzył się tylko na tyle, aby objąć najlepiej opłacanych profesjonalistów i korporacyjnych biurokratów.

To rozszerzenie okazało się jednak ogromnie ważne. Każda polityczna rewolucja potrzebuje sojuszników. Dla tej rewolucji decydujące znaczenie miało dopuszczenie części klasy średniej do wewnętrznego kręgu uprzywilejowanych, a przede wszystkim przekonanie mas z klasy średniej, że mają własny udział w kapitalizmie napędzanym przez sektor finansowy. Ostatecznie co bardziej liberalni członkowie elity zawodowej i kierowniczej stawali

[20] Tę przemianę najpełniej udokumentował William Lazonick, zwracając przy tym uwagę, że jest to zmiana modeli biznesowych, a skutki globalizacji i outsourcingu produkcji nadeszły później, pod koniec lat 90. i po 2000 roku. Zob. na przykład tegoż, Financial Commitment and Economic Performance: Ownership and Control in the American Industrial Corporation, „Business and Economic History", seria 2, 1998, vol. 17, s. 115 – 128; tegoż, The New Economy Business Model and the Crisis of U.S. Capitalism, „Capitalism and Society" 2009, vol. 4, no. 2, artykuł 4; albo tegoż, The Financialization of the U.S. Corporation: What Has Been Lost, and How It Can Be Regained, „INET Research Notes", 2012. Marksistowskie podejście do tego samego przesunięcia lojalności klasowej można znaleźć w książkach Gérarda Duménila Dominique'a Lévy 'ego, Capital Resurgent: The Roots of the Neoliberal Revolution, Harvard University Press, Cambridge, MA, 2004 oraz The Crisis of Neoliberalism, Harvard University Press, Cambridge, MA, 2013. W praktyce klasa inwestorów i klasa zarządzająca połączyły się w jedną klasę, a przechodzenie z instytucji finansowych do zarządów korporacji lub na odwrót stało się czymś powszechnym. Zdaniem Lazonicka najbardziej szkodliwe efekty dla gospodarki przyniosło wykupywanie własnych akcji przez przedsiębiorstwa. W latach 50. i 60. XX wieku wykupienie za miliony dolarów własnych akcji przez korporację w celu podniesienia ich wartości prawdopodobnie uznano by za nielegalną manipulację giełdową. Odkąd w latach 80. wynagrodzenie kadr kierowniczych coraz częściej wypłacano w akcjach, stało się to powszechną praktyką, a dochody korporacyjne liczone dosłownie w bilionach dolarów, które wcześniej zainwestowano by w rozwój przedsiębiorstwa, nowe miejsca pracy czy badania, trafiły na Wall Street.

się społeczną bazą nowych partii politycznych, uchodzących teraz za „lewicowe", a organizacje reprezentujące prawdziwą klasę robotniczą, takie jak związki zawodowe, zostały wtrącone w niebyt. (Stąd dzisiejsza postać amerykańskiej Partii Demokratycznej i brytyjskiej „nowej" Partii Pracy, których przywódcy rytualnie odżegnują się od tych samych związków zawodowych, które do niedawna stanowiły najsilniejszą część ich społecznej bazy). Ludzie ci, rzecz jasna, już od pewnego czasu rekrutowali się z na wskroś zbiurokratyzowanych środowisk: ze szkół, szpitali czy korporacyjnych kancelarii prawnych. Prawdziwa klasa robotnicza, tradycyjnie pełna awersji do takich osobników, albo na dobre odsuwała się od polityki, albo w proteście oddawała głos na radykalną prawicę[21].

Było to coś więcej niż tylko zmiana układu sił politycznych – była to głęboka przemiana kulturowa. W jej wyniku biurokratyczne techniki wypracowane w świecie finansjery i wielkich korporacji (analizy SWOT, grupy fokusowe, audyty efektywnościowe...) stopniowo przeniknęły do innych obszarów życia społecznego – do edukacji, nauki, administracji rządowej – by wreszcie ogarnąć niemal wszystkie aspekty życia codziennego. Ten proces można prześledzić, obserwując, jak zmieniał się język. Z kręgów finansowych wywodzi się charakterystyczna nowomowa, pełna jasnych, pustych pojęć: wizja, jakość, interesariusz, przywództwo, proaktywność, innowacja, cele strategiczne, najlepsze praktyki. Wiele z tych pojęć wywodzi się z ruchów „samorealizacji", takich jak Lifespring, Mind Dynamics i EST (Erhard Seminars Training), niezwykle popularnych na korporacyjnych salonach w latach 70., ale ten język szybko oderwał się od swojego źródła. Wyobraźmy sobie, że na mapie dużego miasta stawiamy maleńką niebieską kropkę wszędzie tam, gdzie pojawia się dokument zawierający co najmniej trzy słowa z tego leksykonu. Następnie wyobraźmy sobie, jak taka mapa zmieniałaby się w czasie. Powiększające się plamy niebieskiego koloru jak na szalce Petriego obrazowałyby rozrost nowej, biurokratycznej kultury. Pierwsze niebieskie kropki pojawiłyby się w dzielnicy finansowej; zaraz potem dotarłyby do dużych przedsiębiorstw, z nich powędrowałyby do urzędów państwowych i na uniwersytety. W końcu wszystkie miejsca, gdzie ludzie zbierają się po to, by decydować o rozdziale jakichkolwiek zasobów, zabarwiłyby się na niebiesko.

Przy całym deklarowanym uwielbieniu DLA RYNKÓW, prywatnej inicjatywy i przedsiębiorczości, ten sojusz władzy państwowej i finansjery często

[21] W latach 80. XX wieku popularność zdobyło określenie „obyczajowo liberalni, fiskalnie konserwatywni". Dotyczyło ono osób, które uwewnętrzniły społeczne wartości kontrkultury lat 60., ale na gospodarkę patrzą oczami inwestorów.

tak do dzisiaj. Właśnie to daje państwu prawo do narzucania swoich przepisów. Suwerenność jednak sprowadza się ostatecznie do monopolu na to, co eufemistycznie nazywamy „użyciem siły": na przemoc. Jak pisał włoski filozof Giorgio Agamben, z perspektywy suwerennej władzy żywy jest ten, kogo można zabić, a własnością (real estate) jest to, co państwo może przejąć lub zniszczyć.

Analogicznie, „realistyczne" stanowisko w kwestii polityki zagranicznej oznacza przyjęcie założenia, że do realizacji własnych celów państwa użyją wszelkich swoich możliwości, w tym sił zbrojnych. Jakie „realia", jaką rzeczywistość tym samym uznajemy? Na pewno nie materialną. Koncepcja narodu jako swego rodzaju osoby posiadającej cele i interesy jest czysto metafizyczna. Król Francji miał swoje cele i interesy. „Francja" takowych nie ma. Jeśli uważamy, że jest inaczej, i to właśnie nazywamy postawą „realistyczną", to tylko dlatego, że przywódcy państw narodowych mają władzę dowodzenia wojskiem, rozpoczynania inwazji i zrzucania bomb. Mogą też na wiele innych sposobów użyć zorganizowanej przemocy w imię tego, co nazywają „interesem narodowym". Ignorowanie tego potencjału byłoby więc nierozsądne. Interesy narodowe są realne, bo mogą nas zabić.

Pojęciem fundamentalnym jest tu „siła" jak w wyrażeniu „monopol państwa na użycie siły". Zawsze gdy pada to słowo, mamy do czynienia z polityczną ontologią, w której władza pozwalająca niszczyć, zadawać ludziom cierpienie albo grozić im uszkodzeniem ciała (czy po prostu zamknięciem w więziennej celi na resztę życia), jest traktowana jako społeczny ekwiwalent tej samej energii, jaka napędza kosmos. Przyjrzyjmy się metaforom i przeniesieniom, jakich potrzeba, aby zbudować następujące dwa zdania:

Naukowcy zgłębiają prawa fizyki, aby zrozumieć siły, które rządzą wszechświatem.

Policjanci są specjalistami w dziedzinie naukowego stosowania siły fizycznej w celu egzekwowania praw, które rządzą społeczeństwem.

Moim zdaniem to esencja myśli prawicowej: polityczna ontologia, która w tak subtelny sposób pozwala, by przemoc definiowała parametry społecznego istnienia i zdrowego rozsądku[31].

[31] Używam słowa „ontologia" z pewnym wahaniem, bo jako pojęcie filozoficzne jest ostatnimi czasy mocno nadużywane. Technicznie rzecz biorąc, ontologia jest teorią o naturze rzeczywistości, w odróżnieniu od epistemologii, czyli teorii o tym, co możemy o rzeczywistości wiedzieć. W naukach społecznych rozpowszechniło się jednak używanie terminu „ontologia" jako pretensjonalnego synonimu takich pojęć jak „filozofia", „ideologia" czy „zbiór założeń kulturowych". Tu używam pojęcia „polityczna ontologia", które – przyznaję – sam ukułem, a które

mechanizm podziału zysków. Najstarsi i najbardziej doświadczeni spośród około stu pracowników zakładu przez lata doskonalili proces produkcji, majstrując przy ogromnych maszynach pakujących herbatę do torebek i podnosząc ich wydajność. Produkcja stopniowo rosła, a wraz z nią rosły zyski. A co właściciele fabryki zrobili z nadmiarem pieniędzy? Może rozdzielili między pracowników, aby wynagrodzić ich za wzrost wydajności? W latach 50. i 60., w dawnych czasach keynesizmu, prawdopodobnie tak by się stało. Ale nie dzisiaj. Może zwiększyli zatrudnienie, aby produkować jeszcze więcej herbaty? Też nie. Zatrudnili nowych menedżerów średniego szczebla.

Przez długie lata w fabryce istniały tylko dwa kierownicze stanowiska: jedno zajmował szef, a drugie – kadrowy. Jednak w miarę jak rosły zyski, zatrudniano coraz więcej ludzi w garniturach. Pod koniec było ich dziesięciu. Ludzie w garniturach nosili wyszukane tytuły, ale nie mieli praktycznie nic do roboty, więc spędzali czas na spacerach po halach produkcyjnych, przyglądaniu się robotnikom, wymyślaniu coraz to nowszych metod mierzenia ich wydajności oraz na przygotowywaniu planów i raportów. W końcu orzekli, że trzeba przenieść produkcję za granicę – pewnie dlatego, spekulował mój przewodnik, by niejako wstecznie uzasadnić swoją przydatność, choć nie bez znaczenia mogło być i to, że o ile większość robotników straciłaby w rezultacie tego pracę, o tyle pracowników szczebla kierowniczego przeniesiono by do atrakcyjniejszych krajów. W końcu robotnicy ogłosili strajk okupacyjny, a fabrykę otoczył kordon policji.

Jak widać, doskwiera nam brak lewicowej krytyki biurokracji. Ta książka nie jest zarysem takiej krytyki. Nie podejmuje też próby naszkicowania ogólnej teorii biurokracji, jej historii ani nawet obecnego stanu biurokratyzacji totalnej. Jest raczej zbiorem esejów wskazujących kierunki, jakie taka krytyka mogłaby obrać. Pierwszy rozdział dotyczy przemocy, drugi – technologii, a trzeci – pojęć racjonalności i wartości. Nie składają się one na jeden wywód. Raczej krążą wokół wspólnego tematu, ale przede wszystkim są próbą nawiązania rozmowy, na którą czekamy już zdecydowanie za długo.

Mamy problem. Pogrążamy się w biurokratycznych praktykach, biurokratycznych nawykach i biurokratycznej mentalności. Nasze życie coraz częściej kręci się wokół wypełniania formularzy. A język, jakim dysponujemy do opisu tych zjawisk, jest nie tylko rozpaczliwie nieadekwatny, ale wręcz zaognia problem. Musimy zidentyfikować elementy tego procesu, które wywołują nasz sprzeciw; zacząć uczciwie mówić o nieodłącznej przemocy, jaka mu towarzyszy, ale jednocześnie postarać się zrozumieć, co w biurokracji jest tak atrakcyjne, co ją podtrzymuje. Które jej aspekty mogą przynosić ja-

kiś pożytek w prawdziwie wolnym społeczeństwie? Które są po prostu ceną, jaką płaci się za przynależność do złożonej społeczności? Które trzeba całkowicie wyrugować? Jeśli ta książka choćby w skromnej mierze pomoże wywołać taką dyskusję, będzie mieć pozytywny wkład we współczesne życie polityczne.

„efekt rzeczywistości" (jeśli można go tak nazwać) bierze się raczej z faktu, że radykalne projekty zawsze napotykają spiętrzone trudności, a często się załamują, gdy tylko wkraczają w świat dużych i ciężkich przedmiotów: budynków, samochodów, ciągników, statków, tudzież maszyn przemysłowych. I nie dlatego, że to demokratyczne administrowanie takimi obiektami jest z natury trudne – historia zna wiele społeczności, które z dobrym skutkiem demokratycznie administrowały wspólnymi zasobami – ale dlatego że, jak samochód podarowany DAN, obiekty te oplata gęsta sieć państwowych przepisów i nie da się ich ukryć przed uzbrojonymi przedstawicielami władzy. W Ameryce mogłem obserwować ten dylemat na każdym kroku. Gdy tylko po długich zmaganiach uda się zalegalizować squat, natychmiast pojawiają się inspektorzy budowlani i orzekają, że budynek nie nadaje się do zamieszkania, a koszt niezbędnych napraw idzie w dziesiątki tysięcy dolarów. Przez następnych kilka lat squatersi organizują podwórkowe kiermasze i zabiegają o datki, by sfinansować remont. To oznacza założenie konta w banku, a więc przestrzeganie przepisów, które określają, jak musi być zorganizowana grupa, która chce pozyskiwać fundusze albo wchodzić w umowy z administracją państwową (i na pewno nie może być zorganizowana jako egalitarny kolektyw). A wszystkie te regulacje są egzekwowane przemocą. To prawda, że na co dzień oddziały policji nieczęsto wpadają z pałkami, by żądać przestrzegania przepisów prawa budowlanego. Jednak anarchiści nieraz przekonali się na własnej skórze, że jeśli dość długo będą udawać, że te przepisy nie istnieją, finał będzie właśnie taki. Pałki idą po prostu w ruch na tyle rzadko, że trudniej tę przemoc dostrzec. To z kolei sprawia, że skutki wszystkich tych przepisów – przepisów, które niemal bez wyjątku zakładają, że normalne relacje między ludźmi są zapośredniczone przez rynek, a wszystkie ludzkie zbiorowości są wewnętrznie zorganizowane na zasadach hierarchii i struktury dowodzenia – wydają się pochodzić nie z państwowego monopolu na użycie siły, ale z wielkości, masywności i solidności samych tych obiektów.

Kiedy więc nakazuje się komuś, by postępował „realistycznie", to realia, o których mowa, ani nie są zbiorem naturalnych, materialnych faktów, ani nie odnoszą się do jakiejś przykrej wiedzy o ludzkiej naturze. Zachowanie „realistyczne" to takie, które na poważnie bierze pod uwagę systemową groźbę użycia przemocy. Ten sens funkcjonuje w samym języku. W języku angielskim na przykład „nieruchomość" to real property albo real estate. Człon real w tych rzeczownikach nie pochodzi od łacińskiego res („rzecz"), ale od hiszpańskiego real, czyli „królewski", „należący do króla". Cała ziemia na suwerennym terytorium należy ostatecznie do suwerena – w świetle prawa jest

ruchem w ręce demokratycznych rad robotniczych i tak dalej. No, dobrze, ale o czym właściwie mówimy, kiedy uznajemy coś za „realistyczne”?

Przytoczę tu pouczającą anegdotę z życia grupy aktywistów, w której kiedyś działałem.

Między rokiem 2000 a 2002 współpracowałem z nowojorską Siecią Akcji Bezpośredniej (Direct Action Network). Była to wówczas główna siła odpowiedzialna za organizowanie masowych akcji w ramach ruchu alterglobalistycznego w Nowym Jorku. DAN była zdecentralizowaną siecią, która realizowała zasady demokracji bezpośredniej, posługując się dość skomplikowaną, niemniej skuteczną formą konsensusu. Odgrywała główną rolę w staraniach, których celem było wytworzenie nowych form organizacji. Sieć DAN istniała w przestrzeni czysto politycznej. Nie posiadała żadnych dóbr materialnych, obywała się nawet bez skarbnika.

Aż pewnego dnia ktoś podarował nam samochód.

Wywołało to w sieci DAN drobny, ale długotrwały kryzys. Szybko się zorientowaliśmy, że według prawa zdecentralizowana sieć nie może być właścicielką pojazdu. Właścicielami pojazdów mogą być osoby prywatne, przedsiębiorstwa (czyli fikcyjne osoby prywatne) albo rządy. Natomiast sieci – nie. Jeśli nie chcieliśmy zarejestrować się jako instytucja non profit (co wymagałoby gruntownej reorganizacji sieci i porzucenia większości jej egalitarnych zasad), jedynym rozwiązaniem było znalezienie ochotnika, który zarejestrowałby samochód na siebie. Taka osoba ponosiłaby jednak koszty ubezpieczenia i ewentualnych mandatów oraz musiałaby udzielać pisemnego zezwolenia każdemu, kto chciałby wyjechać poza granice stanu. I tylko ona mogłaby odebrać samochód z parkingu policyjnego, gdyby został odholowany. Znalazł się wreszcie śmiałek gotów wziąć na siebie całą tę odpowiedzialność, ale w efekcie głównym punktem naszych cotygodniowych spotkań stały się relacje z jego aktualnych problemów z prawem. Sprezentowany sieci DAN samochód szybko stał się źródłem wiecznej udręki. W końcu zorganizowaliśmy wielką imprezę połączoną ze zbiórką pieniędzy, która polegała na tym, że za pięć dolarów każdy mógł wziąć do ręki olbrzymi dwuręczny młot i przywalić nim w pojazd.

Z tej historii płynie ważna lekcja. Dlaczego projekty takie jak DAN, których celem jest demokratyzowanie społeczeństwa, tak często są uznawane za czcze marzenia i muszą ustąpić już przy pierwszym zderzeniu z twardą, materialną rzeczywistością? Przynajmniej w naszym przypadku problem nie miał nic wspólnego ze skutecznością działania: szefowie policji w całym kraju nazywali nas najlepiej zorganizowaną siłą, z jaką mieli do czynienia. Ten

1. Martwe strefy wyobraźni: Esej o strukturalnej tępocie

Zacznę od osobistej przygody z biurokracją.

W 2006 roku moja mama przeszła kilka udarów. Po pierwszym stało się jasne, że wkrótce nie będzie w stanie mieszkać sama. Ubezpieczenie nie pokryłoby kosztów opieki domowej, więc pracownicy socjalni poradzili nam ubiegać się o zapomogę z programu Medicaid. Program obejmuje jednak tylko osoby, których łączny majątek nie przekracza sześciu tysięcy dolarów. Ustaliliśmy więc, że przeniesiemy jej oszczędności na moje konto. Technicznie rzecz biorąc, zamierzaliśmy okantować system, choć byłby to osobliwy rodzaj przekrętu, skoro tysiące zatrudnionych przez państwo pracowników socjalnych nieustannie tłumaczą obywatelom i obywatelkom, jak tego dokonać. Jednak wkrótce potem mama przeżyła drugi, silny udar i trafiła na rehabilitację do kliniki. Po tym zdarzeniu opieka domowa była już bezwzględnie konieczna, ale pojawił się problem: opieka społeczna deponowała czeki bezpośrednio w banku, a mama nie była już w stanie nawet się podpisać. Musiałem więc uzyskać pełnomocnictwo do jej konta bankowego, aby płacić jej rachunki. W przeciwnym razie kwota na koncie szybko by urosła i mama straciłaby prawo do zapomogi (już po tym, jak wypełniłem grube stosy dokumentów uprawniających do tymczasowego zasiłku).

Wziąłem niezbędne formularze z banku i udałem się do kliniki. Dokumenty trzeba było poświadczyć notarialnie. Od dyżurnej pielęgniarki dowiedziałem się, że klinika zatrudnia notariuszkę, ale trzeba się umówić na wizytę. Wybrała numer, a głos w słuchawce połączył mnie z biurem. Notariuszka poinformowała mnie, że najpierw muszę uzyskać upoważnienie od kierownika działu pomocy społecznej, po czym się rozłączyła. Wywiedziałem się o nazwisko właściwej osoby i numer gabinetu, po czym zjechałem windą na dół i odszukałem właściwe biuro. Tu okazało się, że ów kierownik to właściciel głosu, który wcześniej połączył mnie z biurem notariuszki. Podniósł słuchawkę, powiedział – Marjorie, to ja dzwoniłem. Doprowadzasz klienta do rozpaczy,

a mnie razem z nim! – po czym ze skruchą wpisał mnie do terminarza na początek następnego tygodnia.

Minął tydzień. Notariuszka pojawiła się o wyznaczonej porze, zabrała mnie na górę, sprawdziła, czy wypełniłem właściwe rubryki formularza (co wielokrotnie podkreślała), po czym, w obecności mamy, wypełniła pozostałą część blankietu w jej imieniu. Dziwiłem się, że o złożenie podpisu notariuszka poprosiła tylko mnie, a nie mamę, ale założyłem, że zna się na rzeczy. Następnego dnia zaniosłem dokument do banku. Urzędniczka spojrzała na formularz, spostrzegła brak podpisu mamy i pokazała papier przełożonemu, który potwierdził, że muszę wrócić z jej podpisem. Wyglądało na to, że notariuszka jednak nie do końca orientuje się w arkanach swojej pracy. Pobrałem nowy zestaw blankietów, uważnie wypełniłem je po swojej stronie i umówiłem się na kolejną wizytę. W umówiony dzień notariuszka zjawiła się i po krępującej wymianie zdań o tym, jak ciężko w dzisiejszych czasach zadowolić bank (dlaczego każdy bank ma własny, niepodobny do innych formularz pełnomocnictwa?), zabrała mnie na górę. Podpisaliśmy się – mama z trudnością, bo nie mogła już nawet usiąść o własnych siłach – a ja następnego dnia znów zaniosłem papiery do banku. Inna urzędniczka przy innym biurku obejrzała je dokładnie i zapytała, dlaczego podpisałem się w rubryce, gdzie powinienem był czytelnie wpisać imię i nazwisko drukowanymi literami, a imię i nazwisko wpisałem czytelnie tam, gdzie trzeba złożyć podpis.

– Naprawdę? Przepraszam. Podpisałem się tam, gdzie wskazała mi notariuszka.

– Tu jest wyraźnie napisane: „Podpis".

– Rzeczywiście, ma pani rację. Widocznie notariuszka się pomyliła. Po raz drugi. Ale niczego nie brakuje, prawda? Tylko te dwie rubryki są zamienione miejscami. To chyba nie będzie kłopot? Sprawa jest naprawdę pilna, mama nie może czekać na kolejny termin notariuszki.

– Zazwyczaj w ogóle nie załatwiamy pełnomocnictwa w ten sposób. Właścicielka konta powinna stawić się osobiście.

– Mama przeszła udar. Nie wstaje z łóżka. Gdyby nie to, nie potrzebowałbym przecież pełnomocnictwa.

Poszła zapytać kierownika. Wróciła po dziesięciu minutach i oznajmiła, że bank nie przyjmie formularzy w tym stanie, a co więcej, nawet gdyby były wypełnione poprawnie, brakuje jeszcze zaświadczenia lekarskiego o tym, że mama jest na tyle sprawna na umyśle, by świadomie podpisać taki dokument.

Ale jeśli wrócimy do samego początku – do koncepcji z czasów rewolucji francuskiej, że polityczne spektrum można w ogóle podzielić na prawicę i lewicę – staje się jasne, że w swojej istocie l e w i c o w o ś ć j e s t k r y t y k ą b i u r o k r a c j i, nawet jeśli wielokrotnie musiała dostosowywać swoje praktyki do tych samych biurokratycznych struktur, przeciwko którym u swojego zarania wystąpiła[30].

W tym sensie niezdolność lewicy do sformułowania krytyki biurokracji, która przekonująco przemawiałaby do jej niegdysiejszego elektoratu, staje się równoznaczna z upadkiem lewicy jako całości. Bez takiej krytyki radykalna myśl traci swój życiodajny ośrodek i rozpada się na bezlik oderwanych, pojedynczych protestów i żądań.

Za każdym razem, gdy lewica postanawia obrać bezpieczny, „realistyczny" kurs, grzęźnie jeszcze głębiej. Aby zrozumieć, jak do tego doszło i jak znaleźć wyjście z tego kryzysu, trzeba będzie zrewidować pewne podstawowe pojęcia i założenia: zaczynając od tego, co właściwie mamy na myśli, gdy używamy przymiotnika „realistyczny".

> Bądźmy realistami: żądajmy niemożliwego.
>
> (inny slogan z 1968 roku)

Jak dotąd mówiłem o tym, jak przemoc strukturalna tworzy asymetryczne struktury wyobraźni i w jaki sposób biurokracja staje się mechanizmem zarządzania takimi sytuacjami – oraz o formach strukturalnej ślepoty i tępoty, które nieuchronnie idą w ślad za nimi. Nawet w swoich najlepszych przejawach procedury biurokratyczne nie potrafią wyzwolić się z własnej tępoty.

Jak to się dzieje, że ruchy, które rzucają wyzwanie takim strukturom, tak często same w końcu tworzą biurokracje? Zwykle jest to efekt pewnego kompromisu: trzeba być realistą i nie żądać zbyt wiele. Reformowanie państwa dobrobytu wydaje się bardziej realistycznym postulatem od żądania szeroko zakrojonej redystrybucji własności; „przejściowy" etap socjalizmu państwowego wydaje się bardziej realistyczny od przekazania władzy jednym

[30] Można doszukiwać się tu podobieństw z losem prawicowych zwolenników wolnego rynku, którzy sprzeciwiają się interwencjom państwa, a mimo to, zgodnie z „żelaznym prawem liberalizmu", zawsze wytwarzają jeszcze więcej biurokracji. Ale nie sądzę, by idee lewicowe zawsze i z konieczności wytwarzały biurokrację w ten sam sposób. Przełomowe, rewolucyjne momenty zwykle rozpoczynają się od całkowitego usunięcia struktur biurokratycznych, a struktury te stopniowo wracają dopiero wtedy, gdy rewolucjoniści formują rząd i zaczynają działać w ramach jego mechanizmów. Tam natomiast, gdzie udaje im się utrzymać autonomiczne enklawy, jak na przykład Zapatystom, biurokracja nie powraca.

osób zaangażowanych w biurokratyczne fiasko wokół konta bankowego mojej mamy (włącznie z dyrektorem banku) miał choćby odrobinę nieczyste intencje. A mimo to biurokratyczna procedura skończyła się absurdalnym błędnym kołem.

Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ nawet najbardziej dobroczynne biurokracje zakładają klapki na oczy i przyjmują schematyczne, okrojone do minimum perspektywy typowe dla ośrodków władzy, aby tę władzę ograniczać lub by łagodzić jej najboleśniejsze skutki. To fakt, że tego rodzaju biurokratyczne interwencje zrobiły w świecie wiele dobrego. Europejskie państwo dobrobytu z jego bezpłatną edukacją i powszechną służbą zdrowia można słusznie uznać – jak zauważył Pierre Bourdieu – za jedno z największych osiągnięć cywilizacji. Ale jednocześnie, przyjmując formy rozmyślnej ślepoty typowe dla ośrodków władzy i przydając im prestiżu rozwiązań naukowych – choćby przez przyjęcie pewnego zbioru założeń o tym, czym jest praca, rodzina, wspólnota, wiedza, zdrowie, szczęście i pomyślność, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistym życiem ludzi biednych czy klasy robotniczej ani z tym, co dla nich ważne – biurokracja ta sama siebie skazała na klęskę. Dziś jesteśmy świadkami tej klęski. To właśnie niezadowolenie, jakie owa biurokratyczna ślepota wywołuje nawet wśród swoich największych beneficjentów, pozwoliło prawicy zmobilizować masowe poparcie dla polityki, która od lat 80. do dziś zdołała podkopać i zdemontować nawet najlepiej działające programy społeczne.

Jak wyrażał się ten niepokój? Zwykle poczuciem, że biurokratyczna władza przez samą swoją naturę tłamsi ludzką wyobraźnię. Widać to wyraźnie w młodzieżowych buntach od Chin, przez Meksyk, po Nowy Jork, których kulminacją była paryska rewolta Maja ’68. Wszystkie te zdarzenia były przede wszystkim buntami przeciwko władzy biurokratycznej; dla wszystkich biurokracja była tym, co dławi ducha człowieczeństwa, kreatywność, ludzką serdeczność i wyobraźnię. Od tamtej pory prześladuje nas słynny slogan z murów Sorbony: „cała władza w ręce wyobraźni” – bez końca powielany na plakatach, przypinkach, ulotkach, w manifestach, filmach i tekstach piosenek, bo wydaje się wyrażać pewną fundamentalną prawdę – nie tylko ducha rebelii lat 60., ale samą istotę tego, co nazywamy „lewicą”.

To ważne. Więcej: nie ma nic ważniejszego. Bo wydarzenia 1968 roku wyciągnęły na światło dzienne sprzeczność, jaka od początku leżała w samym sercu lewicowej myśli, a ujawniła się w pełni dopiero wtedy, gdy lewica odniosła swój największy historyczny sukces. We wstępie do książki wspomniałem, że nowoczesna lewica cierpi wskutek braku spójnej krytyki biurokracji.

Zauważyłem, że nikt mnie o tym nie poinformował.

– Jak to? – obruszył się nagle kierownik. – Kto dał panu te formularze i nie powiedział o zaświadczeniu?

Ponieważ winowajczynią była jedna z sympatyczniejszych urzędniczek w banku, zbyłem pytanie[1] i zauważyłem tylko, że w książeczce bankowej mamy widniał wyraźny wpis „dysponent: David Graeber”. Okazało się – oczywiście – że to ma znaczenie tylko w razie śmierci właścicielki rachunku.

Kilka tygodni później mama zmarła i problem stał się czysto akademicki.

Całe to zajście wydawało mi się wtedy ogromnie żenujące. Tryb życia studenta i wykładowcy w dużej mierze izoluje mnie od takich sytuacji, więc dopytywałem się wśród znajomych, czy tak właśnie wygląda życie większości ludzi? Bez przerwy mieć poczucie, że ktoś robi z ciebie durnia? Być wbrew sobie stawianym w sytuacji, w których człowiek faktycznie zachowuje się jak dureń? Zagadnięci o to znajomi podejrzewali, że chyba tak właśnie wygląda życie większości ludzi. To prawda, trafiłem na wyjątkowo niekompetentną notariuszkę, ale wkrótce potem cały miesiąc zajęło mi uporanie się z dalekosiężnymi konsekwencjami błędu anonimowego urzędnika nowojorskiego wydziału komunikacji, który przekręcił moje imię na „Daid”, nie wspominając już o pracowniku firmy telekomunikacyjnej Verizon, który zmienił mi nazwisko na „Grueber”. Wygląda na to, że z powodu któż wie jakich zaszłości publiczne i prywatne biurokracje są zorganizowane tak, że znaczna część podlegających im osób nie jest w stanie wykonywać swoich zadań zgodnie z oczekiwaniami. W tym sensie można powiedzieć, że biurokracja jest utopijną formą organizacji. Czyż nie za to właśnie krytykuje się wszelkie utopie: za naiwną wiarę w doskonałość natury ludzkiej i świadome ignorowanie tego, jacy ludzie naprawdę są? I czy nie tłumaczy się nam raz po raz, że właśnie dlatego utopie ustanawiają nieosiągalne wymagania, by następnie obwiniać ludzi o to, że nie umieją im sprostać[2]? Tak w rzeczywistości zachowują się wszystkie

[1] Ta taktyka jest tak powszechna, że powinna mieć nazwę. Jest to swego rodzaju szantaż. Gdy petent uskarża się na dowolny problem wynikający z biurokracji, trzeba mu uświadomić, że jeśli złoży zażalenie, napyta jedynie biedy jakiemuś niższemu rangą urzędnikowi (nie ma znaczenia, czy ten urzędnik miał cokolwiek wspólnego z zaistniałą sytuacją). Jeśli petent nie jest kimś wyjątkowo mściwym i okrutnym, zazwyczaj wycofa skargę. W tym akurat przypadku ktoś zapomniał poinformować mnie o istotnym fakcie, ale z tą samą taktyką stykałem się również wtedy, gdy winowajcą był sam przełożony, do którego zwróciłem się ze skargą.

[2] Na przykład: „Spodziewamy się, że dla wspólnego dobra każdy pracownik da z siebie wszystko i nie będzie oczekiwać za to wynagrodzenia. Jeśli nie jesteś w stanie sprostać tytm oczekiwaniom, widocznie jesteś burżuazyjnym indywidualistą, pasożytem i kontrrewolucjonistą – i trzeba cię będzie reedukować w gułagu”.

biurokracje: narzucają racjonalne ich zdaniem oczekiwania, a gdy okazuje się, że owa racjonalność pozostawia wiele do życzenia (bo większość ludzi nigdy tym oczekiwaniom nie sprosta), dochodzą do wniosku, że problem nie leży w samych wymaganiach, a w niedoskonałości konkretnej jednostki.

Na poziomie czysto osobistym najbardziej niepokoiło mnie to, że w zetknięciu z mechanizmami biurokracji sam zaczynałem zachowywać się jak gamoń. Jak mogłem nie zauważyć, że podpisuję się w niewłaściwej rubryce? Tuż obok była ta druga, wyraźnie oznaczona „Podpis"! Nie uważam się za szczególnie ociężałego na umyśle. Moja kariera zawodowa opiera się po części na przekonywaniu innych, że jestem inteligentnym człowiekiem. A przecież raz po raz popełniałem najgłupsze błędy – i nie dlatego, że nie skupiałem się na zadaniu. Przeciwnie: zainwestowałem w tę procedurę mnóstwo energii umysłowej i emocjonalnej. Problem nie polegał na braku zaangażowania, ale na tym, że cały wysiłek wkładałem w próby zrozumienia i przekonania do swoich racji osoby, która w danej chwili wydawała się mieć nade mną biurokratyczną władzę – podczas gdy wystarczyło właściwie zinterpretować jedno czy dwa łacińskie słowa i poprawnie wykonać pewne czysto mechaniczne funkcje. Im bardziej starałem się uniknąć wrażenia, że wytykam notariuszce niekompetencję, albo im uprzejmiej chciałem zwracać się do urzędników banku, tym trudniej było mi spostrzec pomyłki w instrukcjach, jakich mi udzielali. Strategia ta okazała się oczywiście chybiona; jeśli w ogóle istniał ktoś władny nagiąć reguły, to zwykle nie była to osoba, z którą rozmawiałem. A kiedy już trafiałem na kogoś obdarzonego taką władzą, dawano mi do zrozumienia wprost lub między wierszami, że każdą wypowiedzianą skargą, nawet zwróceniem uwagi na drobny urzędniczy absurd, mogę jedynie napytać biedy jakiemuś niższemu rangą urzędnikowi.

Dla antropologa to dziwnie znajoma sytuacja. Antropolodzy specjalizują się poniekąd w obserwowaniu rytuałów, jakie narastają wokół narodzin, ślubów, zgonów i podobnych kluczowych epizodów ludzkiego życia. Ze szczególną uwagą podchodzimy do rytualnych gestów, które odnoszą społeczne skutki: gdzie samo wypowiedzenie pewnych słów lub wykonanie pewnej czynności zmienia rzeczywistość. (Chodzi o frazy takie jak „przepraszam", „poddaję się" albo „ogłaszam was mężem i żoną"). Ludzie są istotami społecznymi, a narodziny i śmierć nigdy nie są zdarzeniami czysto biologicznymi. Trzeba wykonać dużo pracy, by noworodek stał się osobą, która nosi imię i nazwisko, wchodzi w relacje społeczne (ma matkę, ojca...) i ma dom, osobą, wobec której inne osoby mają obowiązki i która pewnego dnia sama weźmie pewne obowiązki na siebie. Znaczna część tej

prowokuje „pyskowanie", czyli podważanie administracyjnej kategorii, jaką funkcjonariusz zastosował do danej sytuacji wedle własnego uznania (tłum spokojny czy agresywny? ważne czy nieważne prawo jazdy?). Policyjna pałka jest punktem, w którym imperatyw biurokratycznego państwa wymagający narzucenia na każdą sytuację prostego administracyjnego schematu spotyka się z państwowym monopolem na stosowanie przymusu i przemocy. W tym świetle to zrozumiałe, że najbardziej rozpowszechnionym przejawem biurokratycznej przemocy są ataki na tych, którzy usiłują wprowadzić alternatywne schematy lub interpretacje. A przy tym, jeśli przyjmiemy zaproponowaną przez Jeana Piageta słynną definicję dojrzałej inteligencji jako zdolności do koordynowania wielu perspektyw (lub możliwych perspektyw), zobaczymy wyraźnie, jak biurokratyczna władza, w chwili gdy przeradza się w przemoc, okazuje się dosłownie formą infantylnej głupoty.

Niewątpliwie ta analiza również jest uproszczeniem, ale użytecznym. Aby to zilustrować, zastosuję niektóre z tych spostrzeżeń do wyjaśnienia charakteru polityki, jaka może się wyłonić w dogłębnie zbiurokratyzowanym społeczeństwie.

Osią tego rozdziału jest teza, że przemoc strukturalna wytwarza asymetryczne struktury wyobraźni. Osoby znajdujące się na dole hierarchii muszą wkładać wiele energii i wyobraźni w próby zrozumienia dynamiki społecznej swojego otoczenia – w tym punktu widzenia ludzi na szczytach hierarchii – podczas gdy ci ostatni mogą funkcjonować w pełnej nieświadomości wszystkiego, co się wokół nich dzieje. Ludzie niemający władzy, innymi słowy, nie tylko wykonują większość rzeczywistej, fizycznej pracy podtrzymującej funkcjonowanie społeczeństwa, ale także większość pracy interpretacyjnej.

Tę prawidłowość można zaobserwować wszędzie tam, gdzie występują systematyczne nierówności: zarówno w starożytnych Indiach i w średniowiecznych Chinach, jak i współcześnie na całym świecie. Dopóki istnieją strukturalne nierówności, prawdopodobnie nic się w tej mierze nie zmieni. Nasza zbiurokratyzowana cywilizacja wprowadza jednak nowy element układanki. Jak już wspomniałem, biurokracja jest nie tyle sama w sobie formą tępoty, ile formą jej organizowania – jest sposobem zarządzania relacjami, które już na wejściu cechują się ekstremalnie niezrównoważonymi strukturami wyobraźni i które powstały za sprawą przemocy strukturalnej. Właśnie dlatego biurokracja zawsze będzie generować absurdy, nawet jeśli w zamierzeniach miała być oświeconą, dobroczynną instytucją. I dlatego rozpocząłem ten rozdział od osobistej anegdoty. Nie mam powodu sądzić, by ktokolwiek spośród

z tych ram wyrwać, choć to właśnie ten porządek nadaje sens jego egzystencji[28].

Można się upierać, że w ten sposób upraszczamy pewną znacznie bogatszą, bardziej złożoną i zniuansowaną tradycję naszej kultury. Oczywiście tak jest. O to w tym chodzi. Takie uproszczenie nie jest wadą, ale zaletą analizy strukturalnej. Dla mnie Lévi-Strauss pozostaje postacią nieco heroiczną przez swoją intelektualną odwagę, która kazała mu podążać za kilkoma prostymi zasadami tak daleko, jak go zawiodą, i bez zważania na to, jak absurdalne czy błędne mogą być tego rezultaty (historia Edypa jest opowieścią o oczach i stopach; wszystkie organizacje społeczne są jedynie systemami wymiany kobiet) – albo jaką przemoc wyrządzał w ten sposób rzeczywistości. Ta przemoc była przecież produktywna. I nikomu nie działa się krzywda.

Dopóki pozostajemy na polu teorii, jestem zdania, że uproszczenie nie musi być formą głupoty, a wręcz przeciwnie – może być formą inteligencji, a nawet geniuszu. Problemy pojawiają się wtedy, gdy przemoc przestaje być metaforyczna. Zostawmy na boku wyobrażonych policjantów i przyjrzyjmy się rzeczywistym. Marc Cooper, były oficer policji z Los Angeles, a obecnie socjolog[29], zauważa, że ludzie brutalnie pobici przez policję w olbrzymiej większości przypadków okazują się całkowicie niewinni. „Policja nie pałuje włamywaczy" – pisze Cooper i wyjaśnia, że przyczyna jest prosta: tym, co wprost gwarantuje agresywną reakcję policjanta, jest podważenie jego prawa do „zdefiniowania sytuacji". Aby pałki poszły w ruch, wystarczy zaprotestować: „Zostawcie nas w spokoju, nikt tu nie łamie prawa. To tylko obywatel, który płaci podatki na wasze utrzymanie, wyprowadza na spacer psa", czy zadać zawsze fatalne w skutkach pytanie: „Dlaczego zakuwacie go w kajdanki? Przecież on nic nie zrobił!". Przede wszystkim jednak policyjną przemoc

[28] Wyczerpanie tematu zajęłoby dużo czasu; nie ma tu też miejsca na tak obszerne rozważania, ale warto zwrócić uwagę, że filmowa postać policjanta-samotnika, który „łamie wszystkie reguły", dziś tak powszechna w hollywoodzkich filmach sensacyjnych, w ogóle nie istniała aż do lat 70. ubiegłego stulecia. W pierwszej połowie XX wieku filmy przyjmujące punkt widzenia policjanta należały w Ameryce do rzadkości. Samotny policjant lub detektyw pojawił się na ekranach razem z zanikiem westernu, jako przeniesienie typowej dla westernu fabuły do miejskiej, biurokratycznej scenerii. Najsłynniejszym przykładem tego przeobrażenia są bohaterowie Clinta Eastwooda: od bezimiennego rewolwerowca z filmów Sergia Leone (1964, 1965, 1966), po detektywa Harry'ego Callahana w Brudnym Harrym (1971). Jak to nieraz zauważano, fabułę westernu konstruuje się zwykle tak, aby zwyczajny, przyzwoity człowiek mógł dopuszczać się czynów, jakich nie usprawiedliwiałaby żadna inna sytuacja. Przeniesienie tego schematu do środowiska miejskiej biurokracji ma niepokojące implikacje. Można sądzić, że Jack Bauer, bohater serialu 24, jest logiczną kulminacją tego gatunku.

[29] Marc Cooper, Dum Da Dum-Dum, „Village Voice", 16 kwietnia 1991, s. 28 – 33.

pracy ma formę rytuału. Takie rytuały miewają najróżniejszą treść i formę: chrzest, konfirmacja, fumigacja, postrzyżyny, odosobnienie, proklamacja czy wreszcie wytwarzanie, prezentowanie, palenie i zakopywanie w ziemi rozmaitych utensyliów albo rzucanie zaklęć. Śmierć niesie jeszcze więcej komplikacji, bo wszystkie nawiązane za życia relacje społeczne muszą zostać stopniowo wygaszone lub przebudowane. Trwa to całymi latami: pochówek (niekiedy wielokrotny), palenie, wybielanie i układanie kości, stypy, uczty i liczne inne ceremonie potrzebne, aby uznać kogoś za całkowicie martwego. Współczesne społeczności nie zawsze odprawiają wszystkie te rytuały, ale tę samą sprawczą rolę społeczną odgrywa dziś wypełnianie dokumentów. Moja mama na przykład wyraziła życzenie, by jej ciało zostało skremowane bez żadnych ceremonii. Z wizyty w domu pogrzebowym najmocniej utkwił mi w pamięci pulchny, pogodnie usposobiony urzędnik, który pomógł mi przedrzeć się przez czternastostronicowy formularz wypełniany w trzech egzemplarzach długopisem przez kalkę, bez którego nie otrzymałby świadectwa zgonu. – Ile godzin dziennie poświęca pan na wypełnianie takich formularzy? – zapytałem. – To cała moja praca – westchnął, unosząc obandażowany, obolały nadgarstek. Nie miał wyjścia. Bez tych papierów ani moja mama, ani nikt inny, kto po śmierci trafiał do krematorium, nie byłby w świetle prawa – a więc i w sensie społecznym – martwy.

Gdzież więc są, zastanawiałem się, opasłe tomy etnografii poświęcone brytyjskim czy amerykańskim rytuałom przejścia? Gdzie ich długie rozdziały o wypełnianiu formularzy i pisaniu wniosków?

Odpowiedź jest oczywista: robota papierkowa jest nudna. Można opisać otaczający ją rytuał. Można obserwować, co ludzie o niej mówią lub jak na nią reagują. Ale niewiele interesujących rzeczy można powiedzieć o niej samej. Jak sformatowany jest formularz? Jaką ma kolorystykę? Dlaczego uwzględnia te, a nie inne informacje? Dlaczego pyta o miejsce urodzenia, a nie na przykład o miejsce uczęszczania do szkoły podstawowej? Dlaczego własnoręczny podpis jest nieodzowny? Ale ile takich pytań można ułożyć? Nawet najbujniejsza wyobraźnia nie na wiele się zda.

Można nawet pójść o krok dalej. Robota papierkowa jest nudna, b o w ł a ś n i e t a k a m a b y ć. I robi się coraz nudniejsza. Średniowieczne edykty bywały niezwykle piękne, kaligrafowane i pełne heraldycznych ozdób. Jakaś część tego uroku przetrwała aż do XIX wieku: świadectwo urodzenia mojego dziadka, wydane w Springfield w stanie Illinois w 1858 roku, jest wielobarwne, pokryte gotyckim pismem, zdobione cherubinami i zwojami papirusu (a także w całości spisane po niemiecku). Z kolei świadectwo urodzenia mojego

ojca, wydane w Lawrence w stanie Kansas w 1914 roku, jest już czarno-białe i pozbawione jakichkolwiek upiększeń – same poziome linie i prostokątne pola, choć zostało jeszcze wypełnione eleganckim pismem odręcznym. Moje własne, wystawione w Nowym Jorku w 1961 roku, jest wypełnione na maszynie do pisania i doszczętnie wyprane z charakteru. Używane dziś interfejsy komputerowe są oczywiście jeszcze nudniejsze. Zupełnie jakby twórcy tych dokumentów z dekady na dekadę rozmyślnie pozbawiali je głębi i ostatnich śladów symbolizmu.

Nic więc dziwnego, że antropolodzy unikają biurokracji jak ognia. Antropologów przyciągają obszary gęste znaczeniowo. Narzędzia interpretacyjne, jakimi się posługujemy, sprawdzają się znakomicie, gdy chcemy przeniknąć skomplikowane sieci znaczeń. Przy ich użyciu staramy się zrozumieć symbolikę zawiłych rytuałów, społecznej dramaturgii, form poetyckich i sieci pokrewieństwa. Wszystkie one mają jedną wspólną cechę: są nieskończenie bogate i mają otwartą strukturę. Żeby wyczerpać wszystkie sensy, motywy i skojarzenia upakowane w jednym rumuńskim rytuale dożynek, w rytuale oskarżenia o rzucanie czarów odprawianym przez afrykański lud Zande albo w meksykańskiej sadze rodzinnej, trzeba by poświęcić dosłownie całe życie, a i tego byłoby mało, na prześledzenie rozgałęziających się relacji tych rytuałów z innymi elementami na większych płaszczyznach społecznych i symbolicznych. Robota papierkowa natomiast jest uproszczona do maksimum i autonomiczna. Jeśli przybiera złożone, nawet zdumiewająco skomplikowane formy, to tylko przez długotrwałe nagromadzenie prostych, a najwyraźniej wzajemnie sprzecznych elementów – jak labirynt zbudowany z połączenia wielkiej liczby tych samych dwóch czy trzech motywów geometrycznych. I podobnie jak labirynt urzędowy formularz nie znaczy nic poza sobą samym. Nie daje niemal żadnego pola do interpretacji. Clifford Geertz zasłynął jako twórca tak zwanych gęstych opisów walk kogutów na Bali. Udowadniał nimi, że gdyby udało się rozpakować wszystko, co dzieje się podczas jednej walki, można by w pełni zrozumieć, jak funkcjonuje tamtejsza społeczność: walki kogutów reprezentują kondycję człowieka, istotę społeczeństwa, hierarchię, naturę, wszystkie fundamentalne namiętności i dylematy ludzkiej egzystencji. Wniosek o kredyt hipoteczny, choćby najbardziej skomplikowany, nie daje takiego pola do popisu. A gdyby nawet ktoś pokusił się o napisanie takiej analizy – tylko po to, by udowodnić, że nie ma rzeczy niemożliwych – jeszcze trudniej sobie wyobrazić, że taka praca kogoś by zainteresowała.

Ktoś zaprotestuje: przecież najwięksi powieściopisarze poświęcali biurokracji dużo uwagi! To prawda. Ale żeby tego dokonać, musieli zmierzyć się z

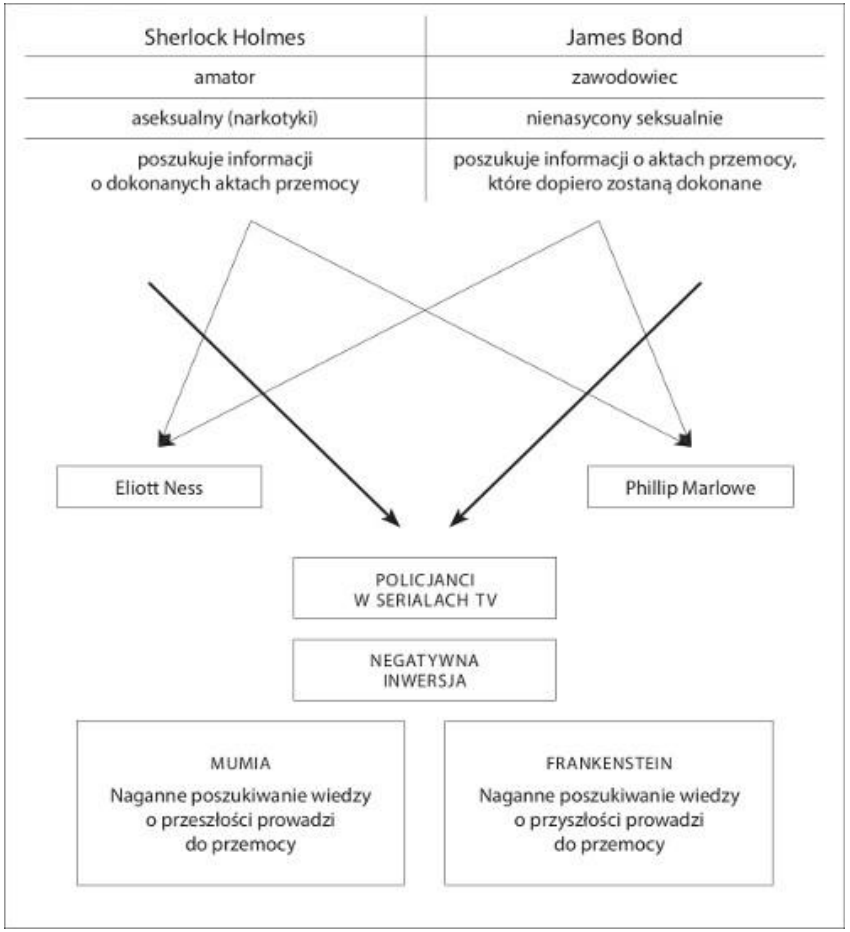

Rys. 1. Sherlock Holmes a James Bond

stanie poczynić, gdybyśmy usiłowali ogarnąć rzeczywistość w całej jej złożoności.

Często posługiwałem się tym przykładem, wyjaśniając studentom analizę strukturalną. Pewnego razu zaproponowałem, byśmy wspólnie poddali takiej analizie inną postać z kultury popularnej. Ktoś wymienił Jamesa Bonda.

Przystałem na tę sugestię. James Bond to niewątpliwie postać mityczna. Ale kto jest jego przeciwieństwem? Odpowiedź nasunęła się szybko: James Bond jest strukturalną inwersją Sherlocka Holmesa. Obaj są londyńczykami, zwalczają przestępczość, a każdy z nich jest na swój sposób wiecznym nastolatkiem, ba, nawet umiarkowanym socjopatą – jednak pod praktycznie każdym innym względem są swoim lustrzanym odbiciem.

Holmes jest aseksualny, ale nie stroni od kokainy i opium. Bond jest uosobieniem seksapilu, za to nie interesują go żadne używki poza alkoholem. Holmes to amator. Bond to kwintesencja profesjonalisty; wydaje się, że nie ma życia poza pracą. A jednak Holmes jako amator jest niemal nadludzko zdyscyplinowany i kompetentny (o wiele bardziej niż zawodowcy ze Scotland Yardu), podczas gdy profesjonalista Bond zawsze pozwala sobie na nieostrożność, daje się zdemaskować, uprowadzić albo postępuje wbrew wyraźnym rozkazom centrali[27].

Wszystkie te cechy dopiero przygotowują podłoże do fundamentalnej inwersji, która dotyczy tego, co każdy z bohaterów r o b i: przedmiotem dochodzeń Sherlocka Holmesa są przestępstwa popełnione w przeszłości w jego kraju; przedmiotem dochodzeń Jamesa Bonda są przestępstwa, które dopiero mają zostać popełnione w innych krajach.

Dopiero z tej perspektywy można zauważyć, że obie postaci są zorganizowane wokół relacji między informacją a przemocą – oraz że Sherlock Holmes i James Bond są w pełnym tego słowa znaczeniu bohaterami świata biurokracji. Każdy klasyczny telewizyjny gliniarz albo bohater każdego z setek filmów typu „policjant-indywidualista łamie wszelkie zasady", jakie Hollywood wyprodukował od lat 60., jest próbą syntezy obu tych postaci: stróżem prawa, który działa w ramach biurokratycznego porządku i nieustannie próbuje się

[27] Najdowcipniejsze w filmach o Bondzie wydaje mi się to, że Bond jest wyjątkowo kiepskim szpiegiem. Szpieg ma być dyskretny i nie zwracać na siebie uwagi. James Bond jest pod każdym względem przeciwieństwem tych cech. Jeśli to nieudacznictwo uchodzi mu na sucho, to dlatego, że wszystko inne – poza szpiegowaniem – przychodzi mu z nadprzyrodzoną łatwością. A jego inwersje z Holmesem można mnożyć w nieskończoność: Holmes ma historię rodzinną, Bond wydaje się sierotą, a w każdym razie nie łączą go z nikim żadne więzy rodzinne, co więcej, choć nieustannie uprawia seks, nigdy nie płodzi potomstwa. Holmes ma jednego partnera, który korzysta na tej zawodowej relacji; Bond ma wiele partnerek, które najczęściej giną.

gmatwaniną i pustką biurokracji, nie wspominając o jej absurdach, a powstałe w ten sposób utwory literackie same przybierają labiryntową formę, podważającą własny sens. Niemal cała wielka literatura, która bierze na warsztat biurokrację, ma formę groteski. Modelowe są naturalnie Proces i Zamek Franza Kafki, ale można wymienić wiele innych: od Pamiętnika znalezionego w wannie Stanisława Lema, który wprost czerpie z Kafki, przez Pałac snów Ismaila Kadare'a i Wszystkie imiona José Saramago, po liczne, natchnione biurokratycznym duchem dzieła Itala Calvina i niemal wszystko, co napisał Borges. Za współczesne arcydzieła gatunku uważa się powieść Paragraf 22 Josepha Hellera, osadzoną w świecie wojskowej biurokracji, oraz Coś się stało tegoż autora, o biurokracji korporacyjnej. Podobnie mianem arcydzieła określa się niedokończoną powieść The Pale King Davida Fostera Wallace'a, pełną inwencji medytację o naturze nudy, której akcja rozgrywa się w biurze amerykańskiego urzędu podatkowego. Co ciekawe, niemal wszystkie te utwory nie tylko uwypuklają komiczny bezsens życia w biurokracji, ale zaznaczają co najmniej podtekst przemocy, jaka mu towarzyszy. Przemoc jest widoczniejsza u jednych autorów (na przykład u Kafki i Hellera) niż u innych, ale niemal wszędzie czai się tuż pod powierzchnią. Co więcej, współczesne narracje, które o przemocy mówią wprost, często stają się także opowieściami o biurokracji, bo większość aktów brutalnej przemocy albo dokonuje się w biurokratycznie zarządzanych systemach (wojsko, więzienie), albo szybko dostaje się w obręb biurokratycznych procedur (powieść kryminalna).

Wielcy pisarze wiedzą, jak radzić sobie z pustką. Nie unikają jej. Wpatrują się w otchłań tak długo, aż ona zaczyna patrzeć na nich. Próżni unikają natomiast nauki społeczne, a w każdym razie na to wskazuje ich stosunek do biurokracji. Tępota i przemoc to właśnie te zjawiska, o których nauki społeczne mają najmniej do powiedzenia[3].

[3] Nieliczne antropologiczne studia nad biurokracją, jakie powstały – klasycznym tekstem jest The Social Production of Indifference: Exploring the Symbolic Roots of Western Bureaucracy, Berg, New York 1992 Michaela Herzfelda – niezmiernie rzadko sygnalizują absurd bądź idiotyzm takich struktur. A gdy perspektywa „biurokracji jako głupoty" już się pojawia, jest przypisywana informatorom badacza, postrzeganym zgodnie z modelem naiwnego ludu, którego istnienie antropolog musi wyjaśnić. Dlaczego greccy wieśniacy albo sklepikarze z Mozambiku tak często opowiadają dowcipy o urzędnikach, którzy w tych dowcipach są przedstawiani jako skończeni idioci? Antropolodzy udzielają na to pytanie wielu odpowiedzi, ale nigdy nie biorą pod uwagę możliwości, że ci wieśniacy i sklepikarze po prostu opisują znaną sobie rzeczywistość. Chcę być dobrze zrozumiany. Nie twierdzę, że antropolodzy i inni przedstawiciele nauk społecznych nie widzą związku między zanurzeniem w biurokratycznych kodeksach i regulacjach a ludzkimi zachowaniami, które w każdym innym kontekście uznano by za skrajnie

Brak krytycznych analiz biurokracji dziwi tym bardziej, że pracownicy naukowi nieustannie stykają się z absurdami zbiurokratyzowanego świata w życiu zawodowym. Często, coraz częściej, s a m i s t a j ą s i ę biurokratami. „Obowiązki administracyjne", posiedzenia komisji, wypełnianie formularzy, czytanie i pisanie listów referencyjnych, łagodzenie zatargów z pomniejszymi dziekanami – wszystko to zajmuje pracownikom naukowym coraz więcej czasu. To jednak biurokraci mimo woli. Nawet gdy zadania administracyjne zaczynają pochłaniać im więcej czasu niż praca naukowa i dydaktyczna, traktują je jako dodatkowe obowiązki, które nie leżą w kwalifikacjach pracownika naukowego i z pewnością nie definiują ich jako ludzi[4]. Nadal uważają się za uczonych – tych, którzy badają, analizują i interpretują świat – nawet jeśli coraz częściej duch uczonego jest uwięziony w ciele biurokraty. Można by sądzić, że godną naukowca reakcją byłoby zbadanie, przeanalizowanie i sformułowanie interpretacji tego zjawiska: jak to się dzieje, że wszyscy wykonujemy coraz więcej roboty papierkowej? Jaki jest sens tej pracy? Jaka społeczna dynamika się za nią kryje? Jednak z jakiejś przyczyny takie analizy nigdy nie powstają[5].

Doświadczenie podpowiada, że w sytuacjach towarzyskich uczeni rzadko rozmawiają o swojej „prawdziwej" pracy, za to nieustannie uskarżają się na obowiązki administracyjne. Ale w tych coraz rzadszych chwilach, gdy mają jeszcze możność prowadzenia głębokich rozmyślań, biurokracja jest bodaj ostatnią rzeczą, którą mają chęć się zajmować.

Podejrzewam jednak, że chodzi tu o coś więcej – coś, co odnosi się do samej istoty uniwersytetu i jego racji bytu.

Zwróćmy uwagę na niezwykle prestiżową pozycję, jaką w latach powojennych zdobyli sobie w Stanach Zjednoczonych dwaj teoretycy nauk społecznych rodem ze starego kontynentu: niemiecki socjolog Max Weber (w latach 50. i 60.) oraz francuski historyk i filozof społeczny Michel Foucault (po dziś dzień). Obaj osiągnęli w Ameryce taki poziom intelektualnej hegemonii,

bezmyślne. Wszyscy wiedzą o tym doskonale z własnego doświadczenia. Jednak dla potrzeb analizy kulturowej oczywiste prawdy nie są interesujące. W najlepszym razie w odpowiedzi można usłyszeć „tak, ale...", gdzie dopiero po „ale" następują naprawdę ważne obserwacje.

[4] W pewnym stopniu jest to czynny opór przeciw temu, jak instytucja, której są częścią, każe im widzieć świat. Ostatnio wypełniałem „sprawozdanie z alokacji czasu" dla mojej uczelni. Formularz zawierał jakieś trzydzieści kategorii, ale odpowiedzi „pisanie książek" nie przewidywał.

[5] „Nigdy" jest pewną przesadą. Istnieją nieliczne wyjątki. W antropologii najbardziej godną uwagi pozycją jest znakomita książka Marilyn Strathern Audit Cultures: Anthropological Studies in Accountability, Ethics and the Academy, Routledge, London 2000.

żenie wzięło się z eksperymentu, którym wyjaśniałem analizę strukturalną studentom na seminarium w Yale.

Podstawowa zasada analizy strukturalnej mówi, że pojęcia w systemie symbolicznym nie istnieją w izolacji – nie należy myśleć o nich w kategorii tego, co „oznaczają", ale jak są zdefiniowane przez wzajemne relacje między sobą. Najpierw należy zdefiniować pole, a następnie odszukać na tym polu elementy, które systematycznie stanowią swoje inwersje. Choćby wampiry. Najpierw trzeba je umieścić: wampir jest szablonową postacią w amerykańskim kinie grozy. Amerykańskie kino grozy stanowi rodzaj kosmologii, samodzielnego uniwersum. Następnie zadajemy pytanie: co w obrębie tego kosmosu jest przeciwieństwem wampira? Odpowiedź jest oczywista. Przeciwieństwem wampira jest wilkołak. Pod pewnymi względami wampir i wilkołak są do siebie podobne: każde z nich to monstrum, które może człowieka ukąsić, a takie ukąszenie powoduje, że człowiek staje się jednym z nich. Pod niemal każdym innym względem są jednak swoimi przeciwieństwami. Wampiry są bogate. Zazwyczaj wywodzą się z arystokracji. Wilkołaki zawsze pochodzą z ubogich warstw ludowych. Wampiry mają przypisane miejsce: mieszkają w zamkach albo kryptach, w których muszą się chować za dnia; wilkołaki są zwykle bezdomnymi włóczęgami, podróżnikami lub uciekinierami. Wampiry posiadają moc panowania nad innymi stworzeniami: nietoperzami, wilkami i ludźmi, których potrafią zahipnotyzować lub zniewolić. Wilkołaki nie panują nawet same nad sobą. A jednak – i tu dochodzimy do sedna sprawy – i wampira, i wilkołaka można zabić tylko jego przeciwieństwem: wampira zabija się zaostrzonym kołkiem wystruganym z osikowego drewna, z jakiego na wsi buduje się płoty. Wilkołaka zaś można zabić tylko srebrnym nabojem, strzelając do niego dosłownie pieniędzmi.

Przyglądając się osiom takiej inwersji, możemy zrozumieć, o co naprawdę chodzi w tej symbolice: wampiry na przykład symbolizują nie tyle śmierć albo lęk, co władzę; równocześnie pociągające i odpychające relacje podległości.

Rzecz jasna, to wyjątkowo prosty przykład. Przedstawiłem tylko pierwszy ruch, po którym wykonuje się wiele innych, subtelniejszych: inwersje wewnątrz inwersji, pojęcia pośredniczące, poziomy hierarchicznego zagnieżdżenia i tak dalej. Nie ma potrzeby wdawać się tu w takie szczegóły. Chcę tylko pokazać, że nawet wykonując tylko ten wstępny ruch, zawsze możemy odkryć coś, co dotychczas umykało naszej uwadze. Takie radykalne uproszczenie prowadzi do spostrzeżeń, których prawdopodobnie nie bylibyśmy w

nych lub statystycznych formuł. Formularze, regulaminy, dane statystyczne i kwestionariusze – wszystkie one dokonują uproszczeń. Nie różni się to znacznie od sytuacji, gdy szef restauracji wkracza do kuchni, aby arbitralnie uznać, kto zawinił: w obu przypadkach mamy do czynienia z wtłaczaniem złożonych i często niejednoznacznych sytuacji w maksymalnie uproszczone, odgórnie narzucone szablony. W rezultacie, stykając się z biurokratyczną administracją, często odnosimy wrażenie, że mamy do czynienia z ludźmi, którzy, nie wiedzieć czemu, noszą okulary, przez które widzą tylko dwa procent świata przed sobą. A przecież coś podobnego dzieje się także w naukach społecznych. Chociaż antropolodzy lubią określać to, czym się zajmują, mianem „gęstego opisu", w rzeczywistości nawet doskonały etnograficzny opis może uchwycić nie więcej niż dwa procent z wszystkiego, co rozgrywa się podczas waśni rodowej u Nuerów albo walki kogutów na Bali. Z kolei powstająca na bazie takich etnograficznych opisów praca teoretyczna znów zwykle skupia się na ich drobnej części, wybierając jeden lub dwa wątki z nieskończenie złożonej tkaniny ludzkich zdarzeń i tworząc na ich podstawie generalizacje, na przykład o dynamice konfliktów społecznych, o naturze przedstawienia albo o zasadach działania hierarchii.

W takiej redukcji dokonanej dla potrzeb teorii nie ma nic złego. Przeciwnie: jestem pewien, że bez podobnego procesu nie bylibyśmy w stanie powiedzieć niczego istotnie nowego o świecie.

Zwróćmy uwagę na rolę analizy strukturalnej, rozpowszechnionej latach 60. i 70. przez antropologów pokroju Claude'a Lévi-Straussa lub filologów klasycznych takich jak Paul Vernant. W akademii też pojawiają się i przemijają mody. Analiza strukturalna jest dziś definitywnie passé, a dla studentek i studentów antropologii cała spuścizna Lévi-Straussa przedstawia się raczej absurdalnie. A szkoda. Gdy strukturalizm zaczął rościć sobie pretensje do jednej, nadmiernie ambitnej teorii wyjaśniającej naturę myśli, języka i społeczeństwa, która miałaby otworzyć przed nami wszystkie tajemnice ludzkiej kultury, stał się faktycznie absurdalny i słusznie został porzucony. Jednak analiza strukturalna nie była teorią, a techniką. Jeśli ją także odrzucimy, jak to się często dzieje, pozbędziemy się jednego z najbardziej przydatnych narzędzi. Wielką zaletą analizy strukturalnej jest bowiem to, że niemal niezawodnie robi ona to, co powinna robić każda dobra teoria: upraszcza i schematyzuje skomplikowany materiał w taki sposób, że pozwala opisać zjawiska, których nie spodziewaliśmy się dostrzec. Właśnie w ten sposób kilka akapitów wcześniej dotarłem do Webera i bohaterów biurokracji. To spostrze-

jaki nigdy nie był im dany w krajach ojczystych. Czym zaskarbili sobie takie uznanie amerykańskiej akademii? Niewątpliwie ich popularność ma dużo wspólnego z faktem, że każdego z nich dało się łatwo przysposobić jako swego rodzaju anty-Marksa, a w ich teoriach (zwykle wulgarnie uproszczonych) można było dopatrzyć się twierdzenia, że władza nie jest wyłącznie czy przede wszystkim kwestią sprawowania kontroli nad środkami produkcji, ale wszechobecną, wielopłaszczyznową i nieuniknioną właściwością wszelkiego życia społecznego.

Sądzę jednak, że za ich atrakcyjność w dużym stopniu odpowiada również ich stosunek do biurokracji. Można zaryzykować twierdzenie, że Weber i Foucault to w całym XX wieku jedyni inteligentni ludzie, którzy szczerze wierzyli, że siła biurokracji leży w jej skuteczności: że biurokracja istotnie „działa". Dla Webera biurokratyczne formy organizacji stanowiły wręcz ucieleśnienie Rozumu w świecie ludzkich spraw, tak w oczywisty sposób doskonalsze od każdej innej formy organizacji, że wręcz zagrażały wchłonięciem ich wszystkich i uwięzieniem ludzkości w ponurej „żelaznej klatce" wyzutej z wszelkiego ducha i charyzmy. Nastawienie Foucaulta było bardziej wywrotowe, ale w taki sposób, że nie podważało przekonania o skuteczności biurokracji, tylko ją wzmacniało. W jego tekstach poświęconych zakładom psychiatrycznym, klinikom, więzieniom i tak dalej każdy aspekt ludzkiego życia – zdrowie, seksualność, praca, moralność, a ostatecznie nasze rozumienie prawdy – całkowicie traci własne znaczenie, a staje się jedynie wytworem tej czy innej formy dyskursu profesjonalnego lub administracyjnego. Posługując się koncepcjami takimi jak „rządomyślność" i „biowładza", Foucault przekonywał, że państwowa biurokracja kształtuje parametry ludzkiej egzystencji znacznie głębiej i bardziej bezpośrednio, niż wyobrażał to sobie Weber. Dla Foucaulta każda forma wiedzy staje się formą władzy oraz urabia nasze ciała i umysły środkami administracyjnymi.

Trudno uwolnić się od podejrzenia, że Weber i Foucault w dużej mierze zawdzięczają swoją popularność procesowi biurokratyzacji, jakiemu w owym czasie zostały poddane amerykańskie uczelnie, gdy w coraz większym stopniu stawały się instytucjami produkującymi funkcjonariuszy aparatu imperialnej administracji działającej na skalę globalną. Tuż po drugiej wojnie światowej, gdy Stany Zjednoczone dopiero przystępowały do budowy tego aparatu, mówiono o tym wprost. Socjolodzy tacy jak Talcott

Parsons i Edward Shils z uniwersytetu Harvarda[6] byli głęboko osadzeni w zimnowojennym establishmencie. Uproszczoną przez nich wersję myśli Webera wkrótce przyjęli (w jeszcze bardziej schematycznej formie) urzędnicy Departamentu Stanu i Banku Światowego. Nazywali ją „teorią rozwoju" i aktywnie ją promowali jako alternatywę dla marksistowskiego materializmu historycznego w krajach Globalnego Południa, przez które przebiegał zimnowojenny front. W owym czasie nawet antropolodzy tacy jak Margaret Mead, Ruth Benedict i Clifford Geertz nie wzdragali się przed bliską współpracą z aparatem wojska i wywiadu czy nawet z samą CIA[7]. Dopiero wojna w Wietnamie położyła kres tej zażyłości. Antywojenna mobilizacja na uniwersyteckich kampusach wyciągała takie relacje na światło dzienne. Parsons, a razem z nim Weber, stali się uosobieniem wszystkiego, co studenccy radykałowie odrzucali.

Po detronizacji Webera nie od razu stało się jasne, kto (i czy w ogóle ktoś) go zastąpi. Przez pewien czas rosło zainteresowanie niemieckimi marksistami: Adornem, Benjaminem, Marcusem, Lukácsem i Frommem. Ale wkrótce uwaga skupiła się na Francji, gdzie bunt z Maja '68 wywołał rozkwit niezwykle twórczej myśli społecznej – w samej Francji nazywano ją „myślą z '68" – która cechowała się jednocześnie radykalnym temperamentem i wrogością wobec niemal wszystkich tradycyjnych przejawów polityki lewicowej, od organizowania związków zawodowych po otwartą rebelię[8]. Różni teoretycy po kolei zdobywali i tracili rozgłos, ale w latach 80. Michel Foucault zdołał umocnić swoją pozycję tak, jak nie udało się to nikomu przedtem ani potem, nawet Weberowi. Być może słuszniej byłoby mówić o wyłonieniu się czegoś w rodzaju akademickiego podziału pracy w amerykańskim systemie studiów wyższych, gdzie optymistyczną stronę myśli Webera podjęto w jeszcze bar-

[6] Toward a General Theory of Action, ed. Talcott Parsons, Edward A. Shils, Harvard University Press, Cambridge 1951.

[7] Eric Ross, Cold Warriors Without Weapons, „Identities" 1998, vol. 4, no. 3 – 4), s. 475 – 506. By dać wyobrażenie o tych relacjach: na Harvardzie Geertz studiował pod okiem Clyde'a Kluckhohna, który był nie tylko „istotnym źródłem funduszy CIA na studia regionalne" (tamże), ale także autorem rozdziału poświęconego antropologii zamieszczonego w słynnym weberowskim manifeście nauk społecznych Parsonsa i Shilsa, Toward a General Theory of Action (1951). Kluckhohn wprowadził Geertza do Ośrodka Studiów Międzynarodowych na politechnice MIT, kierowanego wówczas przez byłego Dyrektora CIA do spraw Badań nad Ekonomią, który z kolei namówił go do zajęcia się rozwojem w Indonezji.

[8] Warto zauważyć, że przed 1968 rokiem Foucault był znany we Francji jedynie jako niegdysiejszy arcystrukturalista, który spędził długie lata na wygnaniu w Norwegii, Polsce i Tunezji. Po przewrocie w Tunezji wywieziono go z kraju i zaoferowano mu najbardziej prestiżową posadę, jaką dysponuje Paryż – wykładowcy w Collège de France.

zapomnienie[25]. Jak się okazuje, biurokratycznie zorganizowane społeczeństwo ma skłonność do wytwarzania własnych, jedynych w swoim rodzaju charyzmatycznych bohaterów. Od końca XIX wieku bohaterowie ci przybierają postać najróżniejszych mitycznych detektywów, oficerów policji i szpiegów – a więc, co znamienne, funkcjonariuszy działających dokładnie tam, gdzie biurokratyczne struktury porządkowania informacji stykają się z faktycznym stosowaniem przemocy fizycznej. Biurokracja istnieje przecież od tysięcy lat, a biurokratyczne społeczeństwa, od Sumerii i Egiptu po Imperium Chińskie, wytworzyły wspaniałą literaturę. Jednak nowoczesne społeczeństwa globalnej Północy jako pierwsze stworzyły gatunki literackie, które biurokratów czynią bohaterami, a których bohaterowie działają w granicach swoich biurokratycznych środowisk[26].

Uderza mnie to, że rozważanie roli policji w społeczeństwie mówi nam coś interesującego o naukach społecznych. Muszę przyznać, że w tym rozdziale nie oszczędzałem specjalnie teoretyków społecznych wraz z ich nawykami i predylekcjami. Nie byłbym zaskoczony, gdyby niektórzy odczytali moje słowa jako tezę, że nauki społeczne są w gruncie rzeczy bezprzedmiotowe – że to zarozumiałe fantazje oderwanych od rzeczywistości elit, nieskłonnych przyjąć do wiadomości prostych realiów władzy. Ale nie to jest moją intencją. Ten rozdział sam w sobie jest praktyką teorii społecznej. Nie napisałbym go, gdybym nie uważał, że mogę w ten sposób rzucić światło na ważne obszary, które inaczej pozostałyby skryte w ciemnościach. Pytanie tylko – jakie światło i w jakim celu.

Wiele mówiące okazuje się porównanie wiedzy biurokratycznej z wiedzą teoretyczną. Wiedza biurokratyczna opiera się na schematach. W praktyce biurokratyczna procedura zawsze ignoruje subtelności rzeczywistego życia społecznego i redukuje każde zagadnienie do z góry przyjętych mechaniczn-

[25] Zdaję sobie sprawę, że nie jest to precyzyjne odzwierciedlenie słów Webera. Nawet wyrażenie „żelazna klatka" okazuje się błędem w tłumaczeniu frazy, która opisywała raczej „lśniącą metalową skorupę" – a więc nie ponure więzienie, a powierzchownie atrakcyjną powłokę supernowoczesnej technologii. Tym niemniej, właśnie tak rozumiano myśl Webera przez większość XX wieku. Ten rozpowszechniony odbiór okazuje się istotniejszy, a z pewnością bardziej powszechny i wpływowy od właściwego zamysłu autora.

[26] W starożytnym Egipcie powstały całe gatunki literackie przestrzegające młodych mężczyzn przed ryzykownymi drogami kariery. Na początku zwracały się do czytelnika z pytaniem, czy zdarzyło mu się kiedyś marzyć o tym, by zostać kapitanem statku albo powozić królewskim rydwanem. Po tym następował szczegółowy opis wad i udręk tych pozornie prestiżowych zajęć. Konkluzja była zawsze taka sama: wystrzegaj się tych zamiarów! Zostań biurokratą. Zyskasz intratne zajęcie i będziesz wydawać rozkazy żołnierzom i marynarzom, a oni będą traktować cię jak bóstwo.

bie z przemocą nie mają nic wspólnego. W debacie publicznej widać to na każdym kroku. Gdy prosi się kogoś o podanie typowej, hipotetycznej sytuacji, w której interweniuje policja, większości z nas przychodzi na myśl jakiś akt przemocy: rozbój albo napaść. Ale nawet chwila zastanowienia wystarczy, by się zorientować, że tam, gdzie dochodzi do rzeczywistych aktów przemocy fizycznej (przemoc domowa, walki gangów, pijackie burdy), nawet w największych miastach, takich jak Marsylia, Montevideo czy Minneapolis, policja zwykle nie ingeruje. Najczęściej wzywa się policję dopiero wtedy, gdy ktoś ginie w wypadku albo poważnie ranny trafia do szpitala. Ale dzieje się tak dlatego, że razem z karetką pogotowia na scenę wkracza biurokracja; jeśli pacjenta odwieziono do szpitala, trzeba ustalić przyczynę obrażeń, a więc poznać okoliczności wypadku, spisać protokoły. A gdy są ofiary, do wypełnienia jest wiele dokumentów, w tym formularze statystyczne dla władz miasta. Tak więc policja angażuje się w te sytuacje, które wymagają roboty papierkowej. Większości rozbojów i napaści się nie zgłasza, chyba że trzeba wypełnić formularze ubezpieczeniowe albo odtworzyć utracone dokumenty, a to wymaga już zgłoszenia kradzieży na policję. Większość przestępstw dokonanych z użyciem przemocy w ogóle nie angażuje więc policji.

Jednocześnie – niechby ktoś spróbował przejechać się po mieście samochodem bez tablic rejestracyjnych. Wszyscy wiemy, co się stanie. Niemal natychmiast jak spod ziemi wyrosną umundurowani funkcjonariusze uzbrojeni w pałki, pistolety i / lub paralizatory, a jeśli kierowca nie zastosuje się do ich instrukcji, następnym krokiem będzie użycie przemocy.

Dlaczego nasze powszechne mniemanie o tym, czym na co dzień zajmuje się policja, jest tak odległe od rzeczywistości? Jedna z nasuwających się odpowiedzi brzmi następująco: od mniej więcej pięćdziesięciu lat policjanci są obiektami niemal obsesyjnej wyobrażeniowej identyfikacji w kulturze popularnej. We współczesnych uprzemysłowionych demokracjach nie jest niczym niezwykłym poświęcać kilka godzin dziennie na lekturę książek czy oglądanie seriali telewizyjnych, które zapraszają nas, byśmy spojrzeli na świat z punktu widzenia funkcjonariuszy policji i emocjonowali się ich wyczynami. A ci wyobrażeni funkcjonariusze istotnie poświęcają się głównie zwalczaniu brutalnych przestępców i zmaganiu się z konsekwencjami ich zbrodni.

Wszystko to razem każe zweryfikować słynną wizję „żelaznej klatki", przed którą przestrzegał Weber: wizję nowoczesnego społeczeństwa zarządzanego przez anonimowych technokratów tak doskonale, że charyzmatyczni bohaterowie, mistyka i romantyzm całkowicie odejdą w

dziej uproszczonej formie i zastosowano do szkolenia przyszłych biurokratów jako „teorię racjonalnego wyboru", a jego stronę pesymistyczną oddano zwolennikom Foucaulta. Z kolei myśl Foucaulta zdominowała akurat te dziedziny badań naukowych, które byli studenccy radykałowie uważali za warte uwagi lub z którymi się identyfikowali. Dyscypliny te były niemal całkowicie oderwane od jakichkolwiek mechanizmów władzy politycznej i stopniowo traciły wpływ na ruchy społeczne. To oderwanie sprawiało, że akcentowana przez Foucaulta koncepcja aparatu „władzy / wiedzy" (założenia, że formy wiedzy są zawsze także formami władzy społecznej – a wręcz najważniejszymi jej formami), stawała się jeszcze atrakcyjniejsza.

Takie kieszonkowe podsumowanie historii jest z konieczności nieco karykaturalne i nie do końca sprawiedliwe. Ale można w nim odkryć istotną prawdę. Chodzi nie tylko o to, że naukowców przyciągają obszary „gęste", w których nasze zdolności interpretacyjne mają największe pole do popisu. Chodzi także o to, że coraz częściej stawiamy znak równości między tym, co ciekawe, a tym, co ważne – i zakładamy, że ośrodki takich zagęszczeń są jednocześnie ośrodkami władzy. Jednak potęga biurokracji dowodzi, że często bywa odwrotnie.

Tematem tego rozdziału nie jest jednak biurokracja, a przemoc. Chcę wykazać, że sytuacje, które stwarza przemoc – szczególnie przemoc strukturalna (a pod tym pojęciem rozumiem powszechne formy społecznych nierówności wspierane groźbą użycia siły) – niezmiennie prowadzą do rozmyślnej ślepoty, podobnej do tej, jaką zwykle kojarzymy z biurokratycznymi procedurami. W uproszczeniu: rzecz nie tyle w tym, że procedury biurokratyczne są z natury tępe, ani nawet w tym, że generują zachowania, które są tępe według kryteriów tychże procedur – choć jedno i drugie jest przecież prawdą. Przede wszystkim chodzi o to, że biurokratyczne procedury są zawsze metodami zarządzania sytuacjami społecznymi, które są tępe z samej swojej natury, ponieważ wyrosły na fundamencie przemocy strukturalnej. To podejście może powiedzieć nam wiele zarówno o tym, jak biurokracji udało się przeniknąć do wszystkich aspektów naszego życia, jak i o tym, czemu tego nie zauważamy.

Przyznaję: to uwypuklenie przemocy może wydać się nieco dziwne. Nie mamy w zwyczaju postrzegać klinik, banków ani przychodni rejonowych jako instytucji opartych na przemocy, chyba że w najbardziej abstrakcyjnym, metaforycznym sensie. Ale przemoc, jaką mam na myśli, nie jest ani trochę abstrakcyjna. Nie mówię tu o przemocy konceptualnej. Mówię o przemocy jak najbardziej dosłownej: takiej, która dzieje się wtedy, gdy jeden człowiek

okłada innego po głowie drewnianą pałką. Wszystkie te instytucje zajmują się alokacją zasobów w ramach praw własności regulowanych i gwarantowanych przez władze państwowe w systemie, który jest ostatecznie oparty na groźbie użycia siły. „Siła" jest zaś tylko eufemizmem oznaczającym przemoc: prawo do wezwania człowieka w mundurze, gotowego okładać innego człowieka po głowie drewnianą pałką.

To ciekawe, jak rzadko mieszkańcy uprzemysłowionych państw demokratycznych przyjmują ten fakt do wiadomości i jak instynktownie go bagatelizują. Właśnie dlatego typowy magistrant może całymi dniami ślęczeć w bibliotece nad tomami inspirowanych Foucaultem teoretycznych rozpraw o słabnącym znaczeniu przymusu jako czynnika organizacji życia współczesnego i ani razu nie przyjdzie mu do głowy, że gdyby uparł się skorzystać z tejże biblioteki bez okazania odpowiednio podstemplowanej i ważnej legitymacji, zostałby z niej usunięty przez wezwanych w tym celu umundurowanych i uzbrojonych ludzi przy użyciu takiej siły, jaka okazałaby się niezbędna. Wydaje się, że im więcej aspektów naszego codziennego życia oddajemy pod kuratelę biurokratycznych regulaminów, tym łatwiej zbiorowo bagatelizujemy fakt (oczywisty dla tych, którzy zarządzają całym systemem), że wszystkie te regulaminy ostatecznie wspierają się na groźbie bezpośredniego wyrządzenia nam fizycznej krzywdy.

Za przykład tego zjawiska niech posłuży choćby samo pojęcie „przemocy strukturalnej". Przystępując do pisania tego rozdziału, przyjmowałem za pewnik, że używa się go w znaczeniu przemocy, która jest jak najbardziej rzeczywista, tyle że przybiera bardziej pośrednie formy. Wyobraźmy sobie na przykład, że pewne wojownicze plemię (nazwijmy je Alfa) przemierzyło pustynię i zajęło duże połacie ziemi zamieszkiwane przez plemię stroniących od wszelkiej agresji rolników (Omega). Zamiast ograniczyć się do ściągania danin, plemię Alfa przywłaszczyło sobie całą żyzną ziemię, a swoim dzieciom zapewniło uprzywilejowany dostęp do wszelkich form praktycznej edukacji. Jednocześnie ustanowiło religijną ideologię, w myśl której członkowie plemienia Alfa są nadludźmi, z natury doskonalszymi, piękniejszymi, inteligentniejszymi i bardziej wyrafinowanymi niż ludzie z plemienia Omega. Omega to natomiast plemię tępych i szkaradnych podludzi, którzy w pradawnych czasach straszliwie zgrzeszyli przeciwko bogom, czym ściągnęli na siebie ich klątwę, i pozostało im jedynie pracować fizycznie w majątkach lepszych od siebie. Możliwe, że ludzie Omega uwewnętrznili swoją hańbę i dziś zachowują się tak, jak gdyby rzeczywiście poczuwali się do winy. Mogą nawet w to wierzyć. Ale w głębszym sensie pytanie o to, czy naprawdę wierzą w tę histo-

Moim zdaniem Smith ma rację odnośnie do tego, że wyobraźnia pociąga za sobą współodczuwanie – a skutkiem tego ofiary przemocy strukturalnej mają więcej empatii dla beneficjentów tej przemocy niż beneficjenci dla ofiar. Obok przemocy samej w sobie właśnie to może stanowić najpotężniejszą siłę, która konserwuje takie relacje.

Teraz mogę już wrócić DO BIUROKRACJI.

We współczesnych uprzemysłowionych demokracjach urzędowe stosowanie przemocy zleca się aparatowi, który eufemistycznie nazywamy systemem egzekwowania prawa karnego – w szczególności policji. Mówię „eufemistycznie", ponieważ całe pokolenia socjologów policji wykazywały, że jedynie drobna część zadań wykonywanych przez funkcjonariuszy ma jakikolwiek związek z egzekwowaniem prawa karnego (czy innymi sprawami kryminalnymi). Znaczna większość policyjnych czynności dotyczy natomiast przepisów – a ujmując to nieco bardziej technicznie, polega na naukowym zastosowaniu siły fizycznej (lub groźby jej zastosowania) w celu rozwiązywania problemów administracyjnych[23]. Innymi słowy, większość czasu funkcjonariusze poświęcają na egzekwowanie rozmaitych przepisów i regulacji określających, komu wolno co kupować, sprzedawać, palić, budować, jeść, pić i gdzie to robić – czyli tych przepisów, których próżno szukać w małych miasteczkach i wsiach Madagaskaru.

Tak więc: policjant jest uzbrojonym biurokratą.

To bardzo sprytna sztuczka. Kiedy myślimy o policji, to zwykle nie w kontekście egzekwowania przepisów, a częściej pod kątem zwalczania przestępczości dokonywanej z użyciem przemocy[24]. W rzeczywistości jest jednak odwrotnie: policja wprowadza groźbę użycia siły do sytuacji, które same w so-

[23] Egon Bittner, Aspects of Police Work, Northeastern University Press, Boston 1970; tegoż, The capacity to use force as the core of the police role, [w:] Moral Issues in Police Work, ed. Frederick Elliston, Michael Feldberg, Rowman and Littlefield, Savage, MD, 1985, s. 15 – 26; Peter A. J. Waddington, Policing Citizens: Authority and Rights, University College London Press, London 1999; Mark Neocleous, The Fabrication of Social Order: A Critical Theory of Police Power, Pluto Press, London 2000.

[24] Ten akapit jest rzecz jasna skierowany przede wszystkim do osób o określonym statusie społecznym. Jak wielokrotnie wspominałem, o rzeczywistej przynależności do „klasy średniej" dobrze świadczy to, czy na widok policyjnego patrolu na ulicy ktoś czuje się mniej czy bardziej bezpiecznie. Właśnie dlatego bardzo mały odsetek ludności, dajmy na to, Nigerii, Indii czy Brazylii ma się za członków klasy średniej, natomiast uważa się za takich znaczna większość Duńczyków czy Australijczyków. W wielu metropoliach Europy i Ameryki Północnej istotnym czynnikiem jest także rasa, choć często ci, którzy regularnie i na własnej skórze doświadczają przemocy rasistowskiej ze strony policji, są jednocześnie przekonani, że jej podstawowym zadaniem jest walka z przestępczością.

Czy byłoby możliwe stworzenie ogólnej teorii pracy interpretacyjnej? Należałoby prawdopodobnie zacząć od formalnego rozróżnienia dwóch powiązanych, ale odrębnych elementów. Pierwszy z nich to wyobrażeniowa identyfikacja jako forma wiedzy; fakt, że w relacjach podległości to zwykle osoby znajdujące się niżej w hierarchii są obarczane obowiązkiem rozumienia, jak naprawdę działają relacje społeczne, które ich dotyczą. Ktokolwiek pracował kiedyś w restauracyjnej kuchni, wie doskonale, że gdy dochodzi do jakiejś katastrofy i pojawia się zdenerwowany szef, by oszacować straty, raczej nie wszczyna drobiazgowego dochodzenia ani nie zwraca większej uwagi na pracowników, jeden przez drugiego próbujących mu wyjaśnić, co się stało. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że każe im wszystkim siedzieć cicho i arbitralnie narzuci taką interpretację zdarzenia, która pozwoli natychmiast wskazać winnego: „Joe, ty nie popełniłbyś takiego błędu. Mark – jesteś tu nowy, to na pewno ty zawaliłeś. Jeszcze raz i wylatujesz". Potem dopiero ci, którzy nie mają mocy werbowania i zwalniania pracowników, muszą dojść, co się naprawdę stało, aby w przyszłości uniknąć powtórki. To samo zachodzi w trwałych relacjach: jest oczywiste, że służący wiedzą znacznie więcej o rodzinach swoich pracodawców niż członkowie tych rodzin o nich.

Drugi element to wzorzec współodczuwającej identyfikacji, jaki się w konsekwencji wyłania. Co ciekawe, to Adam Smith jako pierwszy zaobserwował (w Teorii uczuć moralnych) zjawisko, które dziś nazywamy „zmęczeniem współczucia". Jego zdaniem ludzie identyfikują się w wyobraźni z bliźnimi, a wskutek tego spontanicznie współodczuwają ich smutki i radości. Położenie ludzi biednych jest jednak zawsze tak opłakane, że przytłacza sympatyzujących z nimi obserwatorów, którzy nie mają innego wyjścia, niż tylko bezwiednie wyprzeć ich istnienie ze świadomości. W rezultacie ludzie na dole drabiny społecznej mają wiele empatii dla ludzi z jej szczytu, ale odwrotna zależność praktycznie nigdy nie występuje.

Wszystko jedno, czy patrzymy na domowników i służących, mężczyzn i kobiety, pracodawców i pracowników albo bogatych i biednych, strukturalne nierówności – które nazywam przemocą strukturalną – za każdym razem powodują powstawanie asymetrycznych, wykoślawionych struktur wyobraźni.

w zbiorze pod redakcją Harding, The Feminist Standpoint Theory Reader: Intellectual and Political Controversies, Routledge, London 2004. Dodam, że historia tego artykułu jest sama w sobie charakterystycznym przykładem tej uwarunkowanej genderowo amnezji. Kiedy po raz pierwszy zająłem się opisywaną tu kwestią, nie zdawałem sobie nawet sprawy, że istnieje już pokaźna literatura na ten temat, choć pośrednio wpłynęła ona na mój tok rozumowania. Dopiero interwencja znajomej feministki uświadomiła mi, jakie jest źródło tych koncepcji.

rię, jest pozbawione sensu. Cały system powstał przecież na skutek aktu przemocy i tylko nieustanna groźba przemocy pozwala go podtrzymać: ludzie z plemienia Omega rozumieją, że jeśli bezpośrednio naruszą prawo własności albo zażądają dostępu do edukacji, w ruch pójdą miecze, a oni najpewniej stracą głowy. W takiej sytuacji, gdy mówimy, że ludzie w coś „wierzą", tak naprawdę mówimy o psychologicznych mechanizmach, jakie ludzie wypracowują, aby przystosować się do rzeczywistości. Nie wiemy, co by myśleli ani jak postąpiliby członkowie plemienia Omega, gdyby pewnego dnia cała broń wojowników Alfa rozpłynęła się w powietrzu.

To miałem początkowo na myśli, używając pojęcia „przemoc strukturalna" – struktury, które mogły zostać wytworzone i utrzymane wyłącznie dzięki groźbie przemocy, nawet jeśli na co dzień, w normalnych relacjach społecznych nie dochodzi do aktów fizycznej przemocy. To samo można zresztą powiedzieć o większości zjawisk nazywanych „przemocą strukturalną" w literaturze przedmiotu, takich jak rasizm, seksizm czy przywileje klasowe, nawet jeśli ich rzeczywiste mechanizmy są nieskończenie bardziej złożone.

To rozumienie pojęcia „przemocy strukturalnej" zaczerpnąłem z literatury feministycznej, która często używa go w tym właśnie sensie[9]. Na przykład zauważa się powszechnie, że liczba gwałtów dramatycznie wzrasta wtedy, gdy kobiety zaczynają kwestionować „genderowe normy" zatrudnienia, relacji społecznych lub ubioru. To właśnie ten moment, kiedy zdobywcy znów wyciągają miecze. Jednak w większości prac naukowych to pojęcie występuje w zupełnie innym znaczeniu. Bieżący uzus pochodzi z lat 60., z kręgów zajmujących się tak zwanymi badaniami nad pokojem, i odnosi się do „struktur", które – jak twierdzono – mają takie same skutki jak przemoc, choć same w sobie nie stanowią aktów fizycznej przemocy[10]. Lista tych struktur jest niemal

[9] W antropologii zob. na przykład Nancy Scheper-Hughes, Death Without Weeping: The Violence of Everyday Life in Brazil, University of California Press, Berkeley 1992; Carolyn Nordstrom, Joann Martin, The Paths to Domination, Resistance, and Terror, University of California Press, Berkeley 1992.

[10] Pojęcie to wywodzi się z paryskich debat w ramach „studiów nad pokojem" prowadzonych w latach 60. XX wieku, a ukuł je Johann Galtung (tegoż, Violence, Peace, and Peace Research, „Journal of Peace Research" 1969, vol. 6, s. 167 – 191; tegoż, Peace: Research, Education, vol. 1: Action, Essays in Peace Research, Christian Ejlers, Copenhagen 1982; Peter Lawler, A Question of Values: Johann Galtung's Peace Research, Lynne Rienner, Boulder, CO, 1995), by zmierzyć się z zarzutem, że definiowanie „pokoju" po prostu jako braku aktów fizycznej przemocy oznacza przymykanie oczu na dominację znacznie bardziej perfidnych struktur wyzysku i wykorzystywania ludzi. Galtung uważał pojęcie „wyzysk" za zbyt silnie nacechowane ideologią marksistowską, dlatego zaproponował termin „przemoc strukturalna". Miał on odnosić się do każdej struktury instytucjonalnej, która samym swoim działaniem regularnie wywołuje u niektórych

identyczna (rasizm, seksizm, bieda i cała reszta), jednak ujęcie to implikuje, że teoretycznie m ó g ł b y istnieć system (na przykład) patriarchalny, który działałby bez jakiejkolwiek przemocy domowej lub seksualnej, albo system rasistowski, którego w żaden sposób nie wspierałoby gwarantowane przez państwową władzę prawo własności. O ile mi wiadomo, nigdy dotąd nie zaobserwowano istnienia takich systemów[11]. I znów: trudno zrozumieć, dlaczego ktoś miałby silić się na taką argumentację, chyba że z jakiejś przyczyny upiera się, że przemoc fizyczna nie stanowi o istocie systemu i nie ona powinna być przedmiotem dociekań. Otwarte postawienie kwestii przemocy miałoby więc otwierać pewne drzwi, za które większość ludzi nauki wyraźnie woli nie zaglądać.

A te drzwi zwykle prowadzą prosto do problemu tego, co nazywamy „państwem" – oraz biurokratycznych struktur, przez które państwo faktycznie sprawuje władzę. Czy sednem problemu jest to, że państwo przypisuje sobie monopol na stosowanie przemocy, czy może państwo jest koniecznym elementem każdego możliwego rozwiązania? Czy sprzeciw budzi sama prak-

ludzi psychiczne lub fizyczne szkody albo która ogranicza ich wolność. Pozwoliło to odróżnić przemoc strukturalną od przemocy „jednostkowej" (której sprawcą jest konkretna osoba) oraz od „przemocy kulturowej" (czyli wierzeń i założeń, które usprawiedliwiają przemoc wobec innych ludzi). W tym znaczeniu pojęcie to przyswoiła sobie także literatura antropologiczna (na przykład Philippe Bourgois, The Power of Violence in War and Peace: Post – Cold War Lessons from El Salvador, „Ethnography" 2001, vol. 2, no. 1, s. 5 – 34; Paul Farmer, An Anthropology of Structural Violence, „Current Anthropology" 2004, vol. 45, no. 3, s. 305 – 325; tegoż, Pathologies of Power: Health, Human Rights, and the New War on the Poor, University of California Press, Berkeley 2005; Arun Gupta, Red Tape: Bureaucracy, Structural Violence, and Poverty in India, Duke University Press, Durham, NC, 2012).

[11] W świecie, jaki faktycznie istnieje, takie rozważania są całkowicie pozbawione sensu. Jeśli (powiedzmy) obawa przed napaścią fizyczną lub seksualną powoduje wykluczenie kobiet z pewnych przestrzeni, nie można oddzielać tego lęku od motywacji popychających mężczyzn do tego rodzaju ataków, od założeń, jakimi kierują się policjanci, gdy sugerują, że ofiara „sama jest sobie winna", ani od wspólnego większości kobiet poczucia, że nie przystoi im przebywać w takich miejscach. Podobnie nie można czynić rozróżnienia między tymi wszystkimi czynnikami a „ekonomicznymi" konsekwencjami faktu, że kobiety nie mogą pracować w pewnych miejscach lub nie zatrudnia się ich w pewnych zawodach. Wszystkie te zjawiska razem stanowią jedną strukturę przemocy. Największy problem z podejściem Johanna Galtunga, jak zauważa Catia Confortini (Galtung, Violence, and Gender: The Case for a Peace Studies / Feminism Alliance, „Peace and Change" 2006, vol. 3, no. 3, s. 333 – 367), polega na tym, że w jego ujęciu „struktury" są czymś abstrakcyjnym i autonomicznym, podczas gdy tak naprawdę mówimy tu o całkowicie materialnych p r o c e s a c h, w których przemoc i groźba użycia przemocy odgrywają fundamentalną, definiującą rolę. Można wręcz dowodzić, że to właśnie za sprawą tej skłonności do abstrakcji jesteśmy w stanie nie dostrzegać związku między przemocą, na której opiera się system, a jej skutkami doświadczanymi na co dzień.

na samą sugestię podjęcia takiej próby. Na zajęciach z „twórczego pisania" w Ameryce często poleca się uczniom szkół średnich, by wyobrazili sobie, że spędzają dzień jako osoba przeciwnej płci, i aby opisali, jak taki dzień mógłby wyglądać. Ćwiczenie to kończy się w zadziwiająco podobny sposób. Uczennice oddają długie i pełne szczegółów wypracowania, z których jasno wynika, że głęboko przemyślały temat. Znaczna część uczniów płci męskiej natomiast w ogóle odmawia wykonania zadania. Ci, którzy wypracowania oddają, podkreślają, że nie mają zielonego pojęcia, jak to jest być nastolatką, a przymus zastanawiania się nad tym im uwłacza[20].

Nic, co tu napisałem, nie zaskoczy osób zaznajomionych z feministyczną teorią punktu widzenia lub krytycznymi studiami nad rasą. I rzeczywiście, do tych refleksji zainspirował mnie ustęp autorstwa Bell Hooks:

> Chociaż w Stanach Zjednoczonych nie powstało nigdy żadne zorganizowane grono czarnych antropologów czy etnografów, którzy zajęliby się badaniem istoty białego człowieka, od czasów niewolnictwa po dziś dzień czarni dzielą się ze sobą „tajemną" wiedzą zdobytą przez bliską obserwację białych. Ta wiedza nie została nigdy spisana, ale pomagała czarnym Amerykanom radzić sobie i przetrwać w społeczeństwie opartym na supremacji białych. Czarne służące zatrudniane przez białych przez lata pełniły rolę informatorek, przynoszących wiedzę swoim odseparowanym społecznościom – detale, fakty, psychoanalityczne odczytania białego człowieka jako „Innego"[21].

Jeśli znajduję w literaturze feministycznej jakieś ograniczenie, to takie, że bywa nazbyt wielkoduszna, podkreślając raczej przenikliwość ofiar opresji niż ślepotę i ignorancję jej sprawców[22].

[20] Odkąd napisałem te słowa, bezskutecznie usiłuję odszukać artykuł, w którym po raz pierwszy czytałem o tych eksperymentach (był zamieszczony w czasopiśmie, które przeglądałem w amerykańskim konsulacie w Antananarivo w latach 90., i dotyczył filmu Tootsie). Gdy opowiadam tę historię, często słyszę, że powodem, dla którego chłopcy nie chcą w wyobraźni wcielać się w rolę dziewcząt, jest homofobia. Zapewne to prawda. Ale wobec tego należy zapytać, dlaczego homofobia jest w nich tak przemożna i dlaczego przyjmuje akurat takie, a nie inne formy. Nastoletnie dziewczęta również często bywają homofobkami, ale nie przeszkadza im to wyobrażać sobie, że są chłopcami.

[21] bell hooks, Representations of Whiteness, [w:] taż, Black Looks: Race and Representation, South End Press, Boston 1992, s. 165 – 178.

[22] Najważniejsze teksty poświęcone teorii punktu widzenia, których autorkami są między innymi Patricia Hill Collins, Donna Haraway, Sandra Harding i Nancy Hartsock, można znaleźć

przejawy przemocy strukturalnej, systematyczne nierówności wspierane groźbą użycia siły. Z tej przyczyny przemoc strukturalna niezmiennie wytwarza najsilniej wypaczone, asymetryczne struktury wyobrażeniowej identyfikacji.

Ten efekt jest często najłatwiej dostrzec tam, gdzie struktury nierówności przyjmują formy najgłębiej uwewnętrznione. Klasycznym przykładem jest znów gender. W amerykańskich serialach komediowych z lat 50. na porządku dziennym były żarty o niemożności zrozumienia kobiet. W dowcipach (opowiadanych zawsze, a jakże, przez mężczyzn) kobieca logika jawiła się jako fundamentalnie obca i nieprzenikniona. „Trzeba je kochać" – brzmiał przekaz – „ale konia z rzędem temu, kto zrozumie, co te istoty sobie myślą". Nigdy nie pojawiała się przy tym sugestia, że kobietom może być równie trudno zrozumieć mężczyzn. Przyczyna jest oczywista. Kobiety nie miały w tym względzie wyboru. Rozumienie mężczyzn było dla nich koniecznością. Na lata 50. przypada w Ameryce rozkwit pewnego modelu idealnej rodziny patriarchalnej, w której tylko mężczyzna pracuje zawodowo. W zamożniejszych warstwach społeczeństwa ten ideał często wcielano w życie. Pozbawione własnego źródła dochodu kobiety nie miały innego wyjścia, jak tylko wkładać wiele wysiłku i energii w zrozumienie męskiego punktu widzenia[19].

Retoryczne utyskiwania na tajemnice kobiecej natury wydają się nieodłączną cechą tego rodzaju patriarchalnych układów. Zwykle towarzyszy im wrażenie, że kobiety, choć nielogiczne i nieprzeniknione, dysponują jakąś tajemną, niemal mistyczną mądrością („kobiecą intuicją"), jakiej nie dano mężczyznom. Podobnie wygląda każda relacja oparta na skrajnej nierówności: chłopom także przypisuje się, obok nieokrzesania i prostactwa, podobnie mistyczną mądrość. Całe pokolenia pisarek – na myśl przychodzi Virginia Woolf (Do latarni morskiej) – udokumentowały drugą stronę takich układów: nieustanny wysiłek kobiet poświęcany na obsługiwanie, podtrzymywanie i korygowanie miłości własnej niczego nieświadomych i zarozumiałych mężczyzn; wysiłek, którego nieodłącznymi składnikami są wyobrażeniowa identyfikacja i praca interpretacyjna. Ten rodzaj pracy można dostrzec na każdym kroku. Wszędzie oczekuje się od kobiet, że będą nieustannie wyobrażać sobie, jak dana sytuacja wygląda z męskiego punktu widzenia. Mężczyźni niemal nigdy nie muszą odwzajemniać się tym samym. Ten wzorzec zachowań jest tak głęboko uwewnętrzniony, że mężczyźni nierzadko reagują agresją

[19] Nie muszę już tu (mam nadzieję) wykazywać, że tego rodzaju struktury patriarchalne są prima facie przykładami przemocy strukturalnej, a kształtujące je normy mniej lub bardziej subtelnie sankcjonuje się groźbą przemocy fizycznej.

tyka tworzenia przepisów i grożenia fizyczną przemocą każdemu, kto się im nie podporządkuje, czy też władze nie posługują się tymi groźbami właściwie? Właśnie takich pytań można uniknąć, gdy mówi się o rasizmie, seksizmie i tak dalej jako o abstrakcyjnych, unoszących się w powietrzu strukturach.

W wielu wiejskich społecznościach najlepiej znanych antropologom, gdzie nowoczesne techniki administracji uważa się za narzucone z zewnątrz, relacje społeczne znacznie bardziej przypominają przykład z plemionami Alfa i Omega. Zazwyczaj mamy do czynienia z podbitymi populacjami, a więc z ludźmi, którzy doskonale rozumieją, że obecny system powstał w wyniku przemocy. Skutek jest taki, że nie ma w tych społecznościach nikogo, kto upierałby się, że władza nie jest instytucją opartą na przemocy – nawet jeśli niektórzy są skłonni przyznać, że pod pewnymi względami efekty działania władzy mogą być także dobroczynne. W wiejskich regionach Madagaskaru, gdzie prowadziłem badania terenowe, wszyscy brali za pewnik, że głównym mechanizmem działania państwa jest wywoływanie lęku przed władzą. To przekonanie obejmowało nie tylko stare malgaskie królestwa i późniejsze francuskie władze kolonialne, ale także współczesną kontynuację tamtych reżimów, która zresztą niespecjalnie się od nich różni. Jednocześnie ten lęk przed władzą był zdecydowanie sporadyczny, ponieważ z reguły przedstawiciele władzy trzymali się z daleka. Rząd nie odgrywał prawie żadnej roli w regulowaniu szczegółów codziennego życia: nie było tam prawa budowlanego ani zakazu picia alkoholu w miejscach publicznych; nikt nie rejestrował i nie ubezpieczał pojazdów, żadne prawo nie stanowiło, komu wolno co i gdzie kupować, sprzedawać, palić, budować, jeść i pić, albo gdzie można grać na instrumentach muzycznych, a gdzie wypasać bydło. A jeśli nawet istniały takie regulacje, nikt o nich nie słyszał, bo nikomu (nawet policji) nie przyszło do głowy ich egzekwować – ani w miastach, ani tym bardziej poza nimi, gdzie o takich sprawach decydowano albo zgodnie ze zwyczajem, albo w drodze deliberacji na zgromadzeniach, albo przez odwołanie się do magii tabu. W takich kontekstach jeszcze wyraźniej widać, że głównym zajęciem biurokracji państwowej jest rejestrowanie podlegającej opodatkowaniu własności oraz podtrzymywanie infrastruktury niezbędnej do egzekwowania podatków.

Ta sytuacja stwarzała wiele ciekawych dylematów dla mnie jako badacza kultury malgaskiej. Zanim udałem się na miejsce, spędziłem dłuższy czas w malgaskim archiwum narodowym. W XIX wieku królestwo Merina sprowadziło zamorskich misjonarzy, by pomogli wyszkolić kadrę służby cywilnej. Do dziś zachowały się wszystkie dokumenty z tamtych czasów, jak i archiwa

reżimu kolonialnego. Dzięki temu miałem do dyspozycji bogatą dokumentację z lat 1875 – 1950: dane ze spisów powszechnych, archiwa szkół, a przede wszystkim dokładne dane o liczebności każdej malgaskiej rodziny, o obszarze posiadanej ziemi i pogłowiu bydła – a z dawniejszych czasów, także o liczbie niewolników. Gdy jednak zjawiłem się na miejscu, szybko zrozumiałem, że po przybyszu ze stolicy spodziewano się, że będzie chciał otrzymać takie właśnie informacje – i nikt nie zamierzał mi ich udzielać. Miejscowi byli gotowi rozmawiać ze mną o wszystkim, tylko nie o tym. W rezultacie z każdego okresu historycznego miałem zupełnie inny zbiór danych.

W miarę jak poznawałem mieszkańców lepiej, powoli docierało do mnie, że rząd nie tylko nie regulował szczegółów codziennego życia – w większości najistotniejszych aspektów rząd nie robił w ogóle nic. W malgaskiej historii władza państwowa ma swoje przypływy i odpływy, a ja wyraźnie trafiłem na odpływ. Istniały oczywiście urzędy państwowe, w których urzędnicy wypełniali dokumenty i rejestrowali informacje, ale robili to głównie na pokaz. Zarabiali grosze, nawet za papier płacili z własnej kieszeni, wszyscy kłamali w zeznaniach podatkowych, a podatków nie płacił w zasadzie nikt. Patrole policji poruszały się tylko po głównych drogach i nie zapuszczały się na tereny wiejskie. Mimo to o rządzie mówiono tak, jak gdyby rzeczywiście istniał, z nadzieją, że człowiek z zewnątrz nie dopatrzy się prawdy, bo wtedy ktoś w jakimś stołecznym biurze mógłby uznać, że najwyższy czas zaradzić tej sytuacji. Z jednej więc strony wpływ biurokratycznej władzy na życie obywateli był znikomy. Z drugiej natomiast biurokracja odciskała swoje piętno dosłownie wszędzie.

Wynikało to z podboju, jaki dokonał się niemal sto lat wcześniej. W owym czasie wielkie królestwo Merina zamieszkiwali głównie posiadacze niewolników. Warto pamiętać, że niewolnictwo nigdy i przez nikogo nie jest postrzegane jako relacja moralna, a jedynie jako arbitralna relacja władzy: pan może zrobić z niewolnikiem dosłownie wszystko, a niewolnik nie ma na to żadnego wpływu[12]. Gdy w 1895 roku Francuzi podbili królestwo Merina i wzięli Madagaskar w posiadanie, znieśli niewolnictwo i narzucili władzę, która nie próbowała nawet udawać, że opiera się na umowie społecznej albo woli rządzonych, a nie jedynie na przeważającej sile ognia. Większość Mal-

[12] To prawda, że niewolnictwo bywa ujmowane jako relacja moralna (właściciel ponosi ojcowską odpowiedzialność za stan ducha swoich niewolników i tak dalej), jednak jak to często obserwowano, są to pozory, w które nie wierzą ani niewolnicy, ani ich właściciele. Warto natomiast zauważyć, że przymuszenie niewolników, by pozorowali wiarę w tak jawnie fałszywą ideologię, samo w sobie jest metodą narzucenia im pełnej, arbitralnej władzy pana.

cia względnie przewidywalnego wpływu na postępowanie innego człowieka, o którym nie wiemy absolutnie nic. Jeśli chcemy wpłynąć na czyjeś zachowanie bez uciekania się do przemocy, musimy przynajmniej mieć jakieś ogólne pojęcie o tym, kim ten człowiek jest, jaki jest jego stosunek do nas, co może chcieć w danej sytuacji osiągnąć, jakie ma skłonności, do czego czuje niechęć i tak dalej. Ale wystarczy uderzyć go pałką po głowie, aby osiągnąć zamierzony cel bez uzyskania odpowiedzi na żadne z tych pytań.

To prawda, że efekty, jakie można osiągnąć przez unieszkodliwienie lub zabicie kogoś, są ograniczone. Jednak są też jak najbardziej rzeczywiste, a przede wszystkim – znakomicie przewidywalne. Nie da się w podobny sposób przewidzieć skutków żadnej innej formy działania bez uprzedniego porozumienia czy uzgodnienia wspólnych znaczeń. Co więcej, choć próby wpłynięcia na czyjeś zachowanie groźbą przemocy również wymagają pewnych wspólnych punktów odniesienia, ta poprzeczka jest ustawiona wyjątkowo nisko. Relacje międzyludzkie, szczególnie długotrwałe, na przykład między starymi przyjaciółmi lub odwiecznymi wrogami, są zazwyczaj niezmiernie skomplikowane, gęste od wspólnych historii i wspólnych znaczeń. Pielęgnowanie ich wymaga, abyśmy nieustannie i subtelnie kierowali się wyobraźnią, starając się widzieć świat oczami drugiego człowieka. Ten właśnie wysiłek nazwałem wcześniej „pracą interpretacyjną". Tymczasem grożąc komuś użyciem fizycznej przemocy, możemy odciąć cały ten balast. Groźba użycia przemocy pozwala na znacznie prostsze i bardziej schematyczne relacje międzyludzkie: „przekrocz tę linię, a cię zastrzelę", „powiedz jeszcze słowo, a trafisz do aresztu". Właśnie dlatego przemoc tak często jest ulubioną bronią ludzi tępych. Można ją nawet nazwać asem atutowym głupców, jako że jest ona tą formą głupoty, na którą najtrudniej odpowiedzieć inteligentnie – to zapewne jedna z tragedii ludzkiej kondycji.

Tu muszę jednak wprowadzić istotną kwalifikację. Wszystko zależy od równowagi sił. Dwie strony względnie wyrównanego konfliktu – na przykład generałowie wrogich armii – mają silną motywację, by przeniknąć sposób myślenia przeciwnika. Ale jeśli jedna ze stron ma nad drugą przytłaczającą przewagę w swojej zdolności do zadawania ciosów, nie musi już czynić takich starań. Ma to dalekosiężne skutki, ponieważ oznacza, że najbardziej charakterystyczny efekt przemocy, jej zdolność do sprawiania, że „praca interpretacyjna" przestaje być potrzebna, okazuje się najistotniejszy tam, gdzie sama przemoc jest najmniej widoczna – a nawet więcej: tam, gdzie spektakularne akty przemocy fizycznej są akurat najmniej prawdopodobne. Są to naturalnie te same sytuacje, które zdefiniowałem wcześniej jako

Jako antropolog wiem, że wchodzę tu na grząski grunt. Kiedy antropolodzy mówią już o przemocy, najczęściej podkreślają coś wręcz przeciwnego: to, że akty przemocy są znaczące, są aktami komunikacji, bywają nawet opisywane jako rodzaj poezji[17]. Polemizując z tym punktem widzenia, narażamy się na oskarżenie o filisterstwo: „Naprawdę uważasz, że przemoc n i e m a roli symbolicznej, że bomby i pociski n i c n i e k o m u n i k u j ą?". Więc dla pewności: nie, tak nie uważam. Sądzę jednak, że nie to jest najbardziej interesujące. Po pierwsze dlatego, że takie postawienie sprawy zakłada, że kiedy mówimy o „przemocy", mamy na myśli przede wszystkim a k t y przemocy – strzelanie, bicie, sztyletowanie czy zrzucanie bomb – a nie g r o ź b ę użycia przemocy i społeczne relacje, jakie mogą powstawać tam, gdzie taka groźba jest trwała i wszechobecna[18]. Po drugie, ponieważ mamy do czynienia z obszarem, na którym nie tylko antropolodzy, ale ludzie nauki w ogóle szczególnie łatwo mylą głębię interpretacyjną ze znaczeniem społecznym. Innymi słowy, automatycznie uznają, że to, co w przemocy jest najciekawsze, jest również najważniejsze.

Zajmijmy się tymi kwestiami po kolei. Czy słuszne jest twierdzenie, że akty przemocy są, ogólnie mówiąc, także aktami komunikacji? Oczywiście, że tak. Ale twierdzenie to jest równie prawdziwe w odniesieniu do niemal wszystkiego, co robią ludzie. W przemocy naprawdę istotne jest to, że jako bodaj jedyna forma działania człowieka pozwala ona osiągnąć zamierzony efekt społeczny b e z k o m u n i k o w a n i a c z e g o k o l w i e k. Ujmując to bardziej precyzyjnie: przemoc jest prawdopodobnie jedynym sposobem wywar-

[17] „Działania nacechowane przemocą, jak i inne ludzkie zachowania, są przesycone znaczeniami kulturowymi i stanowią moment jednostkowej sprawczości w ramach historycznie osadzonych wzorców zachowań. Jednostkową sprawczość, wykorzystującą istniejące formy, symbole i ikony, można więc uważać za «poetyczną» względem jej zarządzanego regułami podłoża i względem działania tego podłoża, przez które ujawniają się nowe znaczenia i formy". Neil Whitehead, On the Poetics of Violence, [w:] Violence, James Currey, SAR Press, Santa Fe, NM, 2004, s. 9 i nast.

[18] W sprawach kryminalnych, gdy ktoś wyceluje z pistoletu w czyjąś głowę i zażąda pieniędzy, mówimy o przestępstwie z użyciem przemocy, choć między sprawcą a ofiarą nie doszło do kontaktu fizycznego. Większość liberalnych definicji przemocy unika jednak traktowania gróźb użycia przemocy fizycznej jako formy przemocy samej w sobie, ze względu na wywrotowe implikacje takiej definicji. Z tego względu liberałowie zwykle definiują przemoc jako wyrządzenie komuś krzywdy bez jego przyzwolenia, a konserwatyści – jako wyrządzenie komuś krzywdy bez jego przyzwolenia i bez upoważnienia prawowitych władz. Oznacza to, rzecz jasna, że żadne państwo (albo żadne państwo, które popierają) z definicji nie może być sprawcą aktów „przemocy". Zob. C. A. J. Coady, The Idea of Violence, „Journal of Applied Philosophy" 1986, vol. 3, no. 11, s. 3 – 19; oraz moją książkę Direct Action: An Ethnography, AK Press, Oakland 2009, s. 448 i nast.

gaszów zrozumiała to tak, że znów wzięto ich do niewoli. I trudno im się dziwić. To z kolei wywarło głęboki wpływ na relacje międzyludzkie. Wkrótce każdą relację podległości – czyli każdą trwałą relację między dorosłymi ludźmi, w której jedna osoba jest wykonawcą woli tej drugiej – uznano za niemoralną, za taką czy inną odmianę niewoli albo państwowego przymusu. Porządni Malgasze nie powinni tak postępować względem siebie. Mimo że rząd był daleko, jego cień padał na cały kraj. W społeczności, którą badałem, takie skojarzenia najczęściej dawały o sobie znać, gdy opowiadano mi o wielkich, dziewiętnastowiecznych rodach właścicieli niewolników, których potomkowie stworzyli jądro kolonialnej administracji głównie (jak mi zawsze zwracano uwagę) dzięki swemu przywiązaniu do wykształcenia i biegłości w pracach biurowych. Ich współcześni potomkowie nadal pracowali w eleganckich biurach w stolicy, z dala od trudów i zmartwień wiejskiego życia. W innych kontekstach, szczególnie biurokratycznych, relacje podległości były kodowane językowo: identyfikowano je silnie z językiem francuskim. Malgaski natomiast służył jako język nadający się do deliberacji, objaśniania i podejmowania decyzji w oparciu o konsensus. Pomniejsi funkcjonariusze, gdy mieli zakomunikować arbitralnie podjęte decyzje, niemal zawsze przechodzili na francuski.

Mam szczególnie żywe wspomnienie pewnego pomniejszego urzędnika, który mnie dobrze znał, bo wielokrotnie rozmawialiśmy po malgasku. Któregoś dnia wytrąciłem go z równowagi zjawieniem się w jego urzędzie akurat w dniu, w którym wszyscy wyszli wcześniej z pracy, by zdążyć do domu na transmisję meczu piłkarskiego. (Już wspominałem, że nie zajmowali się w tych urzędach żadną konkretną pracą).

– Urząd nieczynny! – oświadczył mi po francusku, stojąc w nienaturalnie wyprostowanej pozie. – Jeśli ma pan sprawę do urzędu, niech się pan stawi jutro o godzinie ósmej rano.

Zbił mnie z tropu. Wiedział, że moim pierwszym językiem jest angielski. Wiedział, że płynnie mówię po malgasku. Nie miał za to powodu przypuszczać, że rozumiem choćby słowo po francusku. Udałem konsternację i odpowiedziałem mu po malgasku: – Przepraszam! Nie rozumiem, co pan mówi.

On tymczasem wyprężył się jeszcze bardziej i po prostu powtórzył to samo zdanie, nieco wolniej i nieco głośniej. Nadal udawałem, że go nie rozumiem. – Dlaczego mówi pan do mnie w języku, którego nie znam? – Znów odpowiedział po francusku.

Zupełnie nie był w stanie wypowiedzieć tego zdania – ani żadnego innego – po malgasku. Pewnie czuł, że gdyby przeszedł na swój codzienny język,

nie wypadałoby mu zwracać się do mnie tak opryskliwie. Inni potwierdzili mi później, że właśnie tak było. Gdyby użył malgaskiego, musiałby przynajmniej wytłumaczyć mi, dlaczego tak wcześnie zamknięto urząd. W malgaskiej literaturze o francuszczyźnie mówi się wręcz ny teny baiko, „język rozkazów". Używa się go tam, gdzie wszelkie wyjaśnienia, narady, a przede wszystkim czyjaś zgoda są zbędne, ponieważ sytuację kształtuje domniemanie nierównego dostępu do czystej fizycznej siły. W tym przypadku mój znajomy urzędnik nie dysponował już faktyczną możliwością użycia tej siły. Ani nie mógł wezwać policji, ani nie chciał tego zrobić – chciał jedynie, bym sobie poszedł. Co, po chwili droczenia się z nim językowymi grami, uczyniłem. Nie był jednak w stanie przybrać odpowiednio władczej postawy bez odwoływania się do atrybutów władzy kolonialnej.

Na Madagaskarze wizerunek władzy biurokratycznej ratowało tylko jej powiązanie z edukacją, którą szanowali niemal wszyscy bez wyjątku. Świat urzędników, urzędów i posterunków żandarmerii był również światem powieści, historii, technologii i możliwości zagranicznych podróży. Nie był więc niereformowalnie zły ani z definicji absurdalny.

Jednak państwo malgaskie nie było też szczególnie skłonne do przemocy. Analiza porównawcza wskazuje, że istnieje bezpośredni związek między natężeniem przemocy, jaką stosuje system biurokratyczny, a poziomem absurdu i ignorancji, jakie taki system stwarza. Keith Breckenridge dość szczegółowo dokumentuje na przykład typowe dla Południowej Afryki czasów kolonialnych reżimy „władzy bez wiedzy"[13], w których przymus i biurokratyczny formalizm zastępował potrzebę rozumienia afrykańskich poddanych. Proces wprowadzania faktycznego apartheidu, rozpoczęty w latach 50. XX wieku, zapowiadało pojawienie się nowego systemu przepustek. System ten uprościł wcześniejsze przepisy, które nakazywały afrykańskim robotnikom noszenie przy sobie pełnej dokumentacji posiadanych umów o pracę, zastępując ją jedną książeczką, w której uwidoczniono tylko „imię i nazwisko, miejsce zamieszkania, odciski palców, identyfikator podatkowy oraz oficjalnie przyznane prawo pobytu i pracy w mieście"[14]. Funkcjonariusze administracji państwowej cenili sobie te przepustki, bo ułatwiały im pracę, a policjanci – bo dzięki nim nie musieli już rozmawiać z afrykańskimi robotnikami.

[13] Keith Breckenridge, Power Without Knowledge: Three Colonialisms in South Africa. Źródło elektroniczne: www.history.und.ac.za / Sempapers / Breckenridge2003.pdf.

[14] Tegoż, Verwoerd's Bureau of Proof: Total Information in the Making of Apartheid, „History Workshop Journal" 1985, vol. 59, s. 84.

Afrykańscy robotnicy natomiast nazywali te dokumenty dompas – durnymi przepustkami.

Doskonała etnografia meksykańskich leśników z prowincji Oaxaca napisana przez Andrew Mathewsa podobnie wskazuje, że to właśnie ta potężna dysproporcja władzy między urzędnikami państwowymi a lokalnymi farmerami pozwala leśnikom pozostawać w swego rodzaju ideologicznej bańce i podtrzymywać swoje uproszczone, czarno-białe poglądy dotyczące (na przykład) pożarów lasu, przez co są praktycznie ostatnimi ludźmi w Oaxaca, którzy nie rozumieją rzeczywistych skutków regulacji[15].

Ślady powiązań między przymusem a absurdem można łatwo odnaleźć w angielskojęzycznych pojęciach, których używamy, mówiąc o biurokracji: zwróćmy choćby uwagę, że większość potocznych pojęć oznaczających biurokratyczny idiotyzm, takich jak „SNAFU" czy „paragraf 22", pochodzi z wojskowego żargonu. Mówiąc ogólniej, politolodzy już dawno temu zaobserwowali „ujemną korelację", jak pisze David Apter[16], między przymusem a informacją: państwa względnie demokratyczne toną w nadmiarze informacji, bo wszyscy bombardują władze swoimi żądaniami i tłumaczeniami; im natomiast bardziej autorytarny i represyjny jest reżim, tym mniej chętnie ludzie udzielają mu informacji. Takie systemy muszą więc polegać na donosicielach, wywiadach i tajnej policji.

Przemoc pozwala na arbitralne podejmowanIE DECYZJI, a zatem na uniknięcie wszelkich debat, wyjaśnień i uzgodnień typowych dla egalitarnych relacji społecznych. To sprawia, że procedury ustanowione na bazie przemocy są postrzegane przez ofiary tej przemocy jako „tępe" lub pozbawione racjonalności. Większość z nas potrafi zorientować się z grubsza w myślach i odczuciach innych ludzi na podstawie ich tonu głosu lub języka ciała. To jednak tylko powierzchowne poznanie. Głębsze przeniknięcie ludzkich motywacji i zamiarów wymaga znacznego nakładu pracy. Istotna część codziennego życia społecznego polega właśnie na próbach odszyfrowania, co czują i czym kierują się inni ludzie. Nazwijmy to „pracą interpretacyjną". Można stwierdzić, że ci, którzy polegają na strachu przed przemocą, nie muszą poświęcać wiele uwagi pracy interpretacyjnej i zazwyczaj jej nie poświęcają.

[15] Andrew Mathews, Power / Knowledge, Power / Ignorance: Forest Fires and the State in Mexico, „Human Ecology" 2005, vol. 33, no. 6, s. 795 – 820; tegoż, Instituting Nature: Authority, Expertise, and Power in Mexican Forests, 1926 – 2011, MIT Press, Cambridge 2011.

[16] David Apter, The Politics of Modernization, University of Chicago Press, Chicago 1965; tegoż, Choice and the Politics of Allocation: A Developmental Theory, Yale University Press, New Haven 1971.

większe dzieła Einsteina nie przeszłyby przez sito anonimowych recenzji[24]. Rzecz ma się podobnie na uniwersytetach całego świata. Ta eksplozja biurokracji jest bezpośrednim skutkiem wprowadzenia korporacyjnych metod zarządzania – zawsze usprawiedliwianych przekonaniem, że wprowadzenie konkurencji na każdym szczeblu instytucji przyniesie poprawę wydajności. W praktyce te metody zarządzania oznaczają tyle, że większość czasu pracy poświęcamy na to, by „sprzedać" coś innym ludziom: wniosek o grant, propozycję wydania książki, ocenę studenckich podań o pracę lub dofinansowanie; ocenę kwalifikacji naszych współpracowników; prospekt nowego, interdyscyplinarnego toku studiów, propozycję założenia nowej katedry lub zorganizowania warsztatów konferencyjnych. Niekiedy przedmiotem takiej sprzedaży jest cały uniwersytet, odkąd uczelnie stały się markami konkurującymi o względy studentów i mecenasów. Marketing i PR podporządkowały sobie każdy aspekt uczelnianego życia.

W rezultacie wytworzyliśmy morze dokumentów poświęconych metodom wspierania „wyobraźni" i „kreatywności", a pracujemy w środowisku jakby celowo zaprojektowanym po to, aby zdusić w zarodku wszelkie autentyczne przejawy wyobraźni oraz twórczej myśli. Nauki ścisłe nie są moją specjalnością. Zajmuję się teorią społeczną, ale efekty działania tych mechanizmów obserwuję na własnym poletku. Od trzydziestu lat w Stanach Zjednoczonych nie pojawiła się ani jedna istotna pozycja socjologiczna. Jak średniowieczni scholastycy ograniczamy się do opatrywania tomami przypisów dzieł francuskich socjologów z lat 70. ubiegłego wieku. W dodatku robimy to ze świadomością, że gdyby w amerykańskiej akademii pojawił się jakiś współczesny Gilles Deleuze, Michel Foucault czy Pierre Bourdieu, nie obroniłby nawet doktoratu, a gdyby jakimś cudem tego dokonał, i tak nie znalazłby zatrudnienia na uczelni[25].

Niegdyś uniwersytet bywał schronieniem, jakie społeczeństwo oferowało błyskotliwym ekscentrykom, geniuszom i ludziom, których praca nie przekładała się bezpośrednio na wyniki praktyczne. Te czasy minęły. Dziś na uniwersytecie króluje profesjonalna autopromocja i marketing. Co się zaś tyczy

[24] Liczebność samego tylko personelu uczelni nie daje pełnego obrazu sytuacji, gdyż nie uwzględnia pęczniejących kadr administratorów zatrudnianych przez fundacje i wszelkie inne instytucje grantodawcze.

[25] Don Braben, fizyk z University College London, zasłynął wypowiedzią, że gdyby Albert Einstein żył w dzisiejszych czasach, nie miały szansy zdobyć finansowania dla swoich badań. Inni uczeni dodają, że największe dzieła Einsteina nie przeszłyby przez sito anonimowych recenzji.

Właśnie dlatego twierdzę, że źródła inspiracji myśli lewicowej są antybiurokratyczne. Lewica zawsze opierała się na innym zbiorze fundamentalnych dla polityki założeń o tym, co tak naprawdę jest realne. Nie znaczy to naturalnie, że ludzie lewicy negują realność przemocy. Wielu lewicowych teoretyków poświęca jej mnóstwo uwagi. Dla nich jednak przemoc nie ma tego samego założycielskiego statusu. Lewica bazuje raczej na myśli, którą nazwałbym „polityczną ontologią wyobraźni" (choć równie dobrze można ją nazwać ontologią kreatywności, tworzenia lub wynalazczości). Dziś zwykle identyfikujemy tę tendencję z dziedzictwem Marksa oraz z naciskiem, jaki kładł on na rewolucję społeczną i materialne siły wytwórcze. Ale koniec końców Marks był dzieckiem epoki, w jakiej się urodził, a swoje pojęcia wywiódł ze znacznie szerszych rozważań o naturze wartości, pracy i kreatywności, które prowadzono wówczas w radykalnych kręgach, zarówno wśród przedstawicieli ruchu robotniczego, jak i w ramach różnych odłamów romantyzmu czy paryskiej i londyńskiej cyganerii. Nawet zdaniem samego Marksa, przy całej jego pogardzie dla ówczesnych socjalistów utopijnych, ludzi od zwierząt odróżnia to, że najpierw wznoszą swoje struktury w wyobraźni. Inaczej niż pszczoły najpierw wyobrażamy sobie, co chcemy stworzyć, a dopiero potem przystępujemy do pracy. Marks uważał to za cechę posiadaną wyłącznie przez ludzi. Ten właśnie proces nazywał „produkcją".

W tym samym czasie socjaliści utopijni, tacy jak na przykład St. Simon, przekonywali, że rolę „awangardy" nowego porządku społecznego powinni wziąć na siebie artyści i stworzyć śmiałe wizje, które nowoczesny przemysł mógł już urzeczywistnić. Co swego czasu mogło wydawać się jedynie fantazjowaniem ekscentrycznego pamflecisty, legło u podstaw sporadycznego i chwiejnego, ale nieprzemijającego przymierza, które trwa do dziś. Jeżeli można mówić o pewnym powinowactwie artystów awangardowych z rewolucjonistami społecznymi, którzy wzajemnie zapożyczali od siebie język i pomysły, to polegało ono na wspólnym przekonaniu, że świat jest czymś, co stwarzają ludzie, oraz że ludzie w każdej chwili mogą stworzyć go inaczej. W tym sensie zawołanie „cała władza w ręce wyobraźni" wyraża kwintesencję lewicowości.

Patrząc z perspektywy lewicowej, ukrytą prawdą o ludzkiej egzystencji jest to, że świat nie stwarza się sam z siebie. Nie jest zjawiskiem naturalnym, nawet jeśli tak go traktujemy. Świat istnieje, bo zbiorowo go takim stwarza-

odnosi się do zbioru założeń dotyczących rzeczywistości. Kiedy ktoś napomina: „Bądźmy realistami!", do jakiej „realności" się odwołuje? Jaka ukryta rzeczywistość, jakie podskórne siły zdaniem tej osoby działają pod powierzchnią wydarzeń politycznych?

my. Wyobrażamy sobie, co chcemy stworzyć, i stwarzamy to. Jednak kiedy już to sobie uświadomimy, natychmiast zauważymy, że w tym mechanizmie coś mocno szwankuje. Kto bowiem, gdyby mógł sobie zamarzyć i wyobrazić dowolny świat, a następnie go urzeczywistnić, stworzyłby świat taki jak ten, w którym żyjemy[32]? Lewicową wrażliwość w jej najczystszej formie wyraził chyba w najdoskonalszy sposób marksistowski filozof John Holloway, kiedy postanowił zatytułować swoją książkę Przestańcie robić kapitalizm[33]. Kapitalizm, zauważył Holloway, nie został narzucony przez jakąś zewnętrzną siłę. Kapitalizm istnieje tylko dlatego, że codziennie rano budzimy się i go tworzymy. Gdybyśmy pewnego ranka kolektywnie postanowili stworzyć coś innego, kapitalizm przestałby istnieć. Stąd najdonioślejsze, rewolucyjne pytanie brzmi następująco: jakie warunki muszą zostać spełnione, abyśmy byli w stanie obudzić się pewnego dnia i zacząć tworzyć coś innego?

Gdy lewica akcentuje rolę sił twórczych i produktywnych, prawica zwykle odpowiada, że lewicowi rewolucjoniści systematycznie zaniedbują społeczną i historyczną wagę „środków niszczenia": państw, armii, katów, barbarzyńskich inwazji, przestępczości, agresywnych tłumów i tak dalej. Udawanie, że to wszystko nie istnieje lub że można to pominąć, mówi prawica, prowadzi jedynie do tego, że każdy lewicowy reżim wywoła znacznie więcej ludzkich cierpień i tragedii niż ci, którym mądrość nakazuje podejście bardziej „realistyczne".

Ten zarys to oczywiście głębokie uproszczenie i można go w nieskończoność doprecyzowywać. Burżuazja czasów Marksa na przykład wyznawała filozofię niezwykle produktywistyczną – dlatego Marks widział w niej siłę rewolucyjną. Na prawicy eksperymentowano z ideałami sztuki, a dwudziestowieczne reżimy marksistowskie nierzadko przejmowały prawicowe w gruncie rzeczy teorie władzy, do przekonań o determinującej naturze produkcji podchodząc czysto deklaratywnie. Jednocześnie, obsesyjnie prześladując poetów i dramaturgów, których utwory uznawały za niebezpieczne, dawały świadectwo głębokiej wierze w to, że sztuka i twórczość mają moc zmieniania świata. Reżimy kapitalistyczne rzadko zaprzątały sobie tymi sprawami

[32] Nawet ludzie bogaci i posiadający władzę często przyznają, że dla większości mieszkańców świat jest podłym miejscem do życia; jednocześnie twierdzą jednak, że inaczej być nie może lub że każda zmiana może jedynie być zmianą na gorsze, a nie że istotnie żyjemy w idealnym systemie społecznym.

[33] Niestety, ostatecznie książka ukazała się pod znacznie gorszym tytułem Crack Capitalism (Kapitalizm wyłomów), Pluto Press, London 2010.

kosztował niemal trzy miliardy dolarów i zatrudniał kilka tysięcy naukowców i pracowników personelu pomocniczego w pięciu krajach. Wiązano z nim wielkie nadzieje, a skończyło się na odkryciu, że sekwencje genów u ludzi są niemal identyczne jak u szympansów i o wiele m n i e j złożone niż w takim dajmy na to ryżu. Dla zdobytej tym sposobem wiedzy raczej nie ma praktycznych zastosowań. Co więcej – i co wydaje mi się najważniejsze – stopień politycznego zaangażowania w takie projekty oraz stwarzany wokół nich szum wskazują, w jak wielkim stopniu nawet najbardziej fundamentalne badania podlegają dziś imperatywom politycznym, administracyjnym i rynkowym (projekt poznania ludzkiego genomu miał nawet własne logo, stylizowane na korporację). A przez to prawdopodobieństwo, że projekty te przyniosą doniosłe wyniki, nieustannie spada.

Sądzę, że nasza zbiorowa fascynacja mitami, które narosły wokół powstania Doliny Krzemowej i Internetu, nie pozwala nam dostrzec procesów, jakie rzeczywiście zachodzą. Wyobrażamy sobie, że badania i rozwój prowadzą dziś przede wszystkim małe zespoły ambitnych przedsiębiorców, zdecentralizowane na modłę grup programistów tworzących oprogramowanie na wolnej licencji. A przecież tak nie jest. Po prostu tak się składa, że właśnie taka organizacja zespołów badawczych najczęściej przynosi wymierne rezultaty. W rzeczywistości jednak tendencja jest wręcz odwrotna. Badania i rozwój pozostają domeną olbrzymich, zbiurokratyzowanych projektów. Zmieniła się jedynie kultura tej biurokracji. Coraz głębsze wzajemne przenikanie się władzy państwowej, akademii i prywatnego biznesu spowodowało, że wszystkie wspomniane trzy sfery przyswoiły sobie język korporacyjny, korporacyjną wrażliwość i korporacyjne formy organizacji. Mogło to nieco przyspieszyć wprowadzanie na rynek produktów – bo temu służą korporacyjne biurokracje – ale na polu oryginalnych badań naukowych rezultaty tego zjawiska okazały się katastrofalne.

Tu mogę mówić na podstawie własnego doświadczenia wyniesionego z uniwersytetów amerykańskich i brytyjskich. Od trzydziestu lat w obu krajach zadania administracyjne zabierają pracownikom naukowym coraz więcej czasu kosztem wszystkich innych obowiązków. Uniwersytet, na którym pracuję, nie tylko zatrudnia więcej personelu administracyjnego niż naukowego, ale nawet pracownicy naukowi są zmuszeni poświęcać co najmniej tyle samo czasu na prace biurowe, ile łącznie poświęcają na zajęcia dydaktyczne i prowadzenie badań. Don Braben, fizyk z University College London, zasłynął wypowiedzią, że gdyby Albert Einstein żył w dzisiejszych czasach, nie miały szansy zdobyć finansowania dla swoich badań. Inni uczeni dodają, że naj-

karabin AK-47. Jego oznaczenie wskazuje, kiedy wszedł do produkcji: w 1947 roku[23].

To samo można dziś powiedzieć o spodziewanych przełomach w medycynie, a nawet (o zgrozo!) w informatyce. Internet to z pewnością niezwykły wynalazek. Ale gdyby zapytać wielbicieli science-fiction z lat 50., co z ostatnich sześćdziesięciu lat uważają dziś za najbardziej przełomowe osiągnięcie techniki, trudno wyobrazić sobie inną reakcję niż gorzkie rozczarowanie. Bez wątpienia zwróciliby uwagę, że Internet to nic więcej jak tylko superszybkie i oplatające cały świat połączenie biblioteki, poczty i katalogu sprzedaży wysyłkowej. „To ma być wszystko, co nasi najlepsi naukowcy i inżynierowie wymyślili przez pięćdziesiąt lat? W XXI wieku komputery miały myśleć!".

A przecież łączna kwota przeznaczana na badania i rozwój od lat 70. dramatycznie wzrosła. Naturalnie, jeszcze bardziej urosła część budżetu pochodząca z sektora korporacji. Prywatne firmy finansują współcześnie dwukrotnie więcej badań niż państwa. Łączny wzrost nakładów jest jednak tak olbrzymi, że przeznaczane na badania środki publiczne, w wartościach bezwzględnych, są nadal o wiele wyższe dzisiaj niż w przeszłości. I chociaż nakłady na badania podstawowe – te prowadzone „z czystej ciekawości", niemotywowane perspektywami zastosowań praktycznych, które właśnie dzięki temu mają największe szanse doprowadzić do nieoczekiwanych odkryć – stanowią coraz mniejszy odsetek całości, to łączna kwota pieniędzy przeznaczanych na badania jest dziś tak wielka, że budżet badań podstawowych także spęczniał. A jednak według większości bezstronnych ocen wyniki są zaskakująco mizerne. Z pewnością nikt dziś nie oczekuje ciągłego strumienia odkryć i rewolucji pojęciowych – genetyczne dziedziczenie cech, teoria względności, psychoanaliza, mechanika kwantowa – do jakiego ludzkość zdążyła się przyzwyczaić przed stu laty.

Dlaczego?

Próbuje się to tłumaczyć faktem, że kiedy fundatorzy finansują badania podstawowe, zwykle koncentrują się na nielicznych, za to olbrzymich projektach, które zdążyły już zyskać miano „Big Science" [wielka nauka, przez analogię do „Big Business", „Big Data" i tak dalej – przyp. tłum.]. Często podaje się tu przykład projektu poznania ludzkiego genomu (Human Genome Project). Program ten, zapoczątkowany przez rząd Stanów Zjednoczonych,

[23] Projektant karabinu, Michaił Kałasznikow, który zmarł w 2013 roku, na jednej z konferencji prasowej opowiadał, że amerykańscy żołnierze w Iraku, gdy tylko mieli okazję, często porzucali własną broń i wymieniali ją na przechwycone AK-47.

głowę w przekonaniu, że wystarczy silną ręką kontrolować środki produkcji (oraz, rzecz jasna, wojsko i policję), a reszta jakoś się ułoży.

Jeżeli trudno to wszystko dostrzec, to dlatego, że pojęcie „wyobraźnia" ma wiele różnych znaczeń. W większości definicji wyobraźnia jest przeciwstawiana rzeczywistości; rzeczy „wyobrażone" – wyimaginowane – to przede wszystkim takie, które nie istnieją naprawdę. Może to prowadzić do wielu nieporozumień, kiedy mówimy o wyobraźni w sensie abstrakcyjnym, ponieważ sugeruje to, że wyobraźnia ma więcej wspólnego z baśniami braci Grimm niż z grupą kelnerek, które starają się udobruchać klientów przy stoliku numer siedem, zanim zjawi się menedżer.

To rozumienie wyobraźni jest jednak względnie nowe i współistnieje z dawniejszymi. W starożytności i średniowieczu nie uważano tego, co dziś nazywamy „wyobraźnią", za przeciwieństwo rzeczywistości, ale coś w rodzaju strefy pośredniej, przejściowej między materialną rzeczywistością a racjonalną duszą. Uważali tak szczególnie ci, dla których Rozum był przede wszystkim atrybutem Boga, a myśl sięgała boskości, która z kolei w żadnym punkcie nie stykała się z rzeczywistością materialną, a wręcz była jej całkiem obca. (Ten pogląd stał się dominujący w średniowiecznym chrześcijaństwie). W jaki więc sposób racjonalny umysł mógł odbierać zmysłowe wrażenia z natury?

Aby rozwikłać tę zagadkę, postulowano istnienie substancji pośredniczącej, złożonej z tej samej materii co gwiazdy, którą nazwano pneumą. Miał to być rodzaj układu krążenia, przez który wędrują percepcje świata materialnego, zyskując po drodze ładunek emocjonalny i mieszając się z wszelkiego rodzaju urojeniami, zanim racjonalny umysł będzie w stanie uchwycić ich znaczenie. Zamiary i żądze szły w przeciwnym kierunku, krążąc w wyobraźni, zanim mogły zostać zrealizowane w świecie materialnym. Dopiero od czasów Kartezjusza przymiotnik „wyobrażony" oznacza „nierzeczywisty": wyimaginowane stwory, urojone miejsca (Narnia, planety w odległych galaktykach, król Popiel zjedzony przez myszy), zmyślonych przyjaciół. Według tej definicji pojęcie „polityczna ontologia wyobraźni" byłoby wewnętrznie sprzeczne. Wyobraźnia nie może stanowić podstawy rzeczywistości. Z definicji istnieje tylko w ludzkich myślach.

To rozumienie wyobraźni nazywam transcendentnym, ponieważ za model bierze powieści i inne formy beletrystyki tworzące wyobrażone światy, które pozostają jednako niezależnie od tego, ile razy ktoś czyta daną książkę. Wyimaginowane stwory – elfy, jednorożce czy policjanci z telewizyjnych seriali – nie podlegają wpływom rzeczywistego świata: nie mogą, skoro nie

istnieją. Ale wyobraźnia, o której tu piszę, jest bliższa tej starej, immanentnej koncepcji. Nie jest czymś statycznym ani oderwanym od rzeczywistości, ale realizuje się w projektach działań, które rzeczywiście wpływają na świat materialny, a w związku z tym nieustannie się przeobraża i dostosowuje. Takie rozumienie wyobraźni obejmuje zarówno kogoś, kto wyrabia nóż albo biżuterię, jak i kogoś, kto stara się nie urazić uczuć przyjaciela.

To właśnie wtedy, w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy tworzyły się kapitalizm przemysłowy, współczesne społeczeństwo biurokratyczne i polityczny podział na prawicę i lewicę, popularność zyskała nowa, transcendentna koncepcja wyobraźni. Szczególnie dla romantyków wyobraźnia oznaczała miejsce, które zamieszkuje dusza. Wyobraźnia nie była więc obszarem pośrednim między racjonalną duszą a światem materialnym, ale po prostu b y ł a d u s z ą, a duszą było to, co wykraczało poza zwykłą racjonalność. Łatwo zrozumieć, jak nastanie bezosobowego, biurokratycznego porządku biur, fabryk i racjonalnego administrowania mogło sprzyjać wyłonieniu się podobnych idei. Jednak o ile wyobraźnia stała się kategorią szczątkową – zaprzeczeniem nowego porządku – nie była jednocześnie czysto transcendentna; stała się raczej dziwacznym miszmaszem elementów, które nazywam tu transcendentnymi i immanentnymi. Z jednej strony uważano wyobraźnię za źródło sztuki i wszelkiej twórczości. Z drugiej strony wyobraźnia była podstawą współczucia, a więc i moralności[34].

Od tamtej pory minęło dwieście pięćdziesiąt lat i dobrze by było, gdybyśmy to sobie wreszcie poukładali.

Bo stawka jest naprawdę wysoka. Żeby to zrozumieć, powróćmy na chwilę do sloganu z 1968 roku: „Cała władza w ręce wyobraźni". O jakiej wyobraźni mówi ten slogan? Gdyby miał odnosić się do wyobraźni transcendentnej – do próby narzucenia światu jakiejś gotowej, utopijnej wizji – skutki mogłyby być katastrofalne. Jak wiemy z historii, tego rodzaju usiłowania prowadziły zwykle do powstania wielkich biurokratycznych machin, które przemocą wdrażały utopijne wizje. Stąd tylko krok do najpotworniejszych zbrodni. Jednocześnie, z tego samego powodu ktoś mógłby przekonywać, że w sytuacji rewolucyjnej n i e o d d a n i e pełni władzy w ręce tego drugiego, immanentnego rodzaju wyobraźni – praktycznej, zdroworozsądkowej wyobraźni kucharek, pielęgniarek, mechaników i ogrodników – przyniesie te same opłakane skutki.

[34] Najważniejsze teksty na ten temat: James Engell, The Creative Imagination: Enlightenment to Romanticism, Harvard University Press, Cambridge, MA, 1981; Thomas McFarland, Originality and Imagination, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1985.

tury społeczne i ekonomiczne. To właśnie te technologie umożliwiły odebranie postępowym ruchom społecznym wszystkich zdobyczy, jakie wywalczyły od lat 40. ubiegłego wieku. W ten sposób amerykańskie elity świadomie i bezapelacyjnie wygrały globalną walkę klas. Tę reorientację priorytetów sprzedawano jako odstąpienie państwa od finansowania olbrzymich projektów i powrót do przestrzegania reguł rynku. W rzeczywistości jednak była to tylko zmiana kierunku badań finansowanych ze środków publicznych: w miejsce przedsięwzięć takich jak NASA czy rozwój alternatywnych źródeł energii pojawiły się technologie wojskowe, komputerowe i medyczne.

Nie wyjaśnia to jednak wszystkiego. Przede wszystkim nie tłumaczy, dlaczego nawet w tych obszarach badań, do których trafiły znaczne fundusze, nie doczekaliśmy się postępów choćby zbliżonych do tych, jakich oczekiwano w latach 50. By sięgnąć po najbardziej oczywisty przykład: jeśli wojsko finansuje dziewięćdziesiąt pięć procent badań w dziedzinie robotyki, dlaczego do dziś nie ma śladu robotów strzelających z oczu zabójczymi promieniami, jak w słynnym filmie science-fiction Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia? Przecież w i e m y, że wojsko próbowało zbudować takie maszyny.

W technologiach wojskowych nastąpił oczywiście postęp. Ludzkość przetrwała zimną wojnę w dużej mierze dlatego – co do tego istnieje dziś powszechna zgoda – że o ile bomba atomowa działała mniej więcej tak, jak miała działać, o tyle nie działały systemy jej przenoszenia. Międzykontynentalne pociski balistyczne nie były w stanie trafić nawet w miasta, nie mówiąc już o konkretnych celach w ich obrębie. Nikt nie miał więc powodu, by jako pierwszy użyć broni jądrowej, jeśli nie zamierzał świadomie doprowadzić do końca świata. Jednak dzisiejsze pociski manewrujące trafiają w cel z dużą dokładnością. A mimo całego arsenału precyzyjnych pocisków i laserowo naprowadzanych bomb nigdy nie udaje się trafić w wybrany cel: w Saddama, Osamę, Kaddafiego. Drony to natomiast po prostu zdalnie sterowane modele samolotów. O żadnych promieniach śmierci nie ma dziś mowy, bynajmniej nie dlatego, że nikt nie próbował skonstruować takiej broni. Pentagon z pewnością utopił w tych projektach miliardy dolarów, a jedyne, co do tej pory udało się osiągnąć, to lasery (technologia z lat 50.), które potrafią, jeśli je dobrze wycelować, oślepić artylerzystę wroga, jeżeli patrzy prosto w promień lasera. Wszystko to wygląda dość żałośnie. Phaserów, które można by ustawiać w tryb oszołomienia, nie ma nawet na deskach kreślarskich. Mamy 2001 rok, a ulubioną bronią wojsk piechoty niemal całego świata pozostaje radziecki

Historycy, którzy napiszą epitafium dla neoliberalizmu, będą zmuszeni przyznać, że była to taka forma kapitalizmu, która systematycznie przedkładała cele polityczne nad ekonomiczne. Mając do wyboru działanie, które s t w o r z y p o z o r y, że kapitalizm jest jedynym możliwym systemem ekonomicznym, oraz takie, które w dłuższej perspektywie r z e c z y w i ś c i e u c z y n i kapitalizm najwydolniejszym systemem ekonomicznym, neoliberalizm niezmiennie wybiera to pierwsze. Czy pozbawienie pracowników materialnego bezpieczeństwa i jednoczesne wydłużenie czasu pracy naprawdę zwiększa ich wydajność? Czy tacy pracownicy są aby bardziej lojalni i twórczy? Nie ulega wątpliwości, że jest na odwrót. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia skutki neoliberalnych reform rynku pracy są niemal bezspornie negatywne. Notowany praktycznie na całym świecie ogólny spadek tempa wzrostu gospodarczego w latach 80. i 90. zdaje się to potwierdzać. Neoliberalne reformy z bezwzględną skutecznością osiągnęły jednak inny cel: odpolitycznienie pracy. To samo można powiedzieć o rozroście armii, policji i prywatnych służb bezpieczeństwa. Wymagają one olbrzymich nakładów finansowych, a są zupełnie bezproduktywne. Niewykluczone, że to właśnie balast tego aparatu, który miał zagwarantować kapitalizmowi ideologiczne zwycięstwo, pociągnie kapitalizm na dno. Ale też łatwo zrozumieć, dlaczego nieodzownym składnikiem neoliberalnego projektu jest niedopuszczenie do głosu jakiejkolwiek wizji nieuchronnej, lepszej przyszłości, która fundamentalnie różniłaby się od dzisiejszego świata.

Antyteza: Jednak nawet w tych dziedzinach nauki i techniki, do których kierowano fundusze szerokim strumieniem, nie odnotowano oczekiwanych przełomów

Z elementów układanki zaczyna się już wyłaniać całość. W latach 60. przedstawiciele konserwatywnych sił w polityce z obawą przyglądali się społecznym efektom postępu technicznego. Obarczali ów postęp odpowiedzialnością za wstrząsy społeczne tamtych lat, a pracodawców zaczynały niepokoić ekonomiczne skutki mechanizacji. Ustanie zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego pozwoliło przekierować olbrzymie środki na rozwój takich technologii, które, jak sądzono, w mniejszym stopniu naruszają tradycyjne struk-

To pomieszanie różnych koncepcji wyobraźni oraz wynikające z niego nieporozumienia i napięcia są obecne w całej historii myśli lewicowej.

Widać je już u Marksa. W jego podejściu do rewolucji daje się wyczuć dziwny paradoks. Jak wspominałem, według Marksa ludźmi czyni nas to, że w odróżnieniu od pszczół i pająków nie kierujemy się nieświadomym instynktem, ale najpierw wznosimy nasze budowle w wyobraźni, a potem te wizje urzeczywistniamy. Kiedy pająk tka pajęczynę, działa instynktownie. Architekt zaś najpierw kreśli plan, a dopiero potem rozpoczyna budowę od fundamentów. Dotyczy to, twierdzi Marks, wszystkich form produkcji materialnej, budowy mostów tak samo jak szycia obuwia. Jednak gdy Marks mówi o społecznych aktach tworzenia, jako kardynalny (a właściwie jedyny) przykład społecznej twórczości podaje rewolucję, a wtedy zaczyna zaprzeczać samemu sobie. Rewolucjonista nie może postępować jak architekt; nie wolno mu zaczynać od planowania doskonałego społeczeństwa, a później tego planu realizować. To byłby utopizm. A wobec utopizmu Marks żywił jedynie głęboką pogardę. Jego zdaniem rewolucja to raczej rzeczywista, immanentna praktyka działań proletariatu, która ostatecznie przyniesie owoce, jakich z naszego punktu widzenia nie umiemy sobie nawet wyobrazić.

Skąd ta rozbieżność? By wytłumaczyć ją w możliwie łaskawy dla Marksa sposób: Marks rozumiał przynajmniej intuicyjnie, że wyobraźnia działa inaczej w sferze produkcji materialnej, a inaczej w relacjach społecznych, ale nie dysponował teorią wyjaśniającą, dlaczego tak się dzieje. Możliwe, że gdy pisał w połowie XIX wieku, na długo przed powstaniem feminizmu, brakowało mu niezbędnych narzędzi intelektualnych[35]. By użyć pojęć samego Marksa – w odniesieniu do obu sfer można mówić o alienacji. Ale w każdej z nich alienacja działa zupełnie inaczej.

Podsumujmy, co dotychczas powiedziano: nierówności strukturalne zawsze wytwarzają asymetryczne struktury wyobraźni. Dzielą ludzi na klasy, z których jedna wykonuje większość pracy wyobrażeniowej, a druga nie musi tego robić. Jednak domena produkcji przemysłowej, której Marks poświęcał uwagę, jest pod tym względem wyjątkowa. To jeden z nielicznych kontekstów, w których właśnie klasa dominująca wykonuje większość pracy wyobrażeniowej.

Kreatywność i pragnienie – często redukowane w ekonomii politycznej do „produkcji" i „konsumpcji" – są w istocie wehikułami wyobraźni. Struk-

[35] Wiele mówiącym świadectwem tego, jak przemoc strukturalna oddziałuje na wyobraźnię, jest łatwość, z jaką relegowano teorię feministyczną do odrębnej dziedziny, skąd praktycznie w ogóle nie mogła oddziaływać na większość teoretyków społecznych płci męskiej.

tury nierówności i dominacji – czyli przemoc strukturalna – wykoślawiają wyobraźnię. Przemoc strukturalna może powodować, że większość pracowników odsyła się do otępiających, nudnych i mechanicznych zajęć, a jedynie niewielkiej elicie powierza się zadania wymagające użycia wyobraźni. Wśród pracowników wywołuje to alienację i poczucie, że są bezwolnymi narzędziami w rękach innych ludzi. Przemoc strukturalna może też pozwalać królom, politykom, celebrytom albo dyrektorom żyć beztrosko i w błogiej nieświadomości otaczającego świata, podczas gdy ich małżonki, służba, personel i doradcy nieustannie pracują wyobraźnią, podtrzymując ich fantazje. Przypuszczam, że sytuacje wytworzone przez nierówności zazwyczaj zawierają elementy obu tych schematów.

Subiektywne doświadczenie życia w tak asymetrycznych strukturach wyobraźni jest właśnie tym, co kryje się pod pojęciem „alienacji".

Ekonomia polityczna, w obrębie której poruszał się Marks, tradycyjnie dzieli pracę w nowoczesnych społeczeństwach na dwie sfery: sferę pracy najemnej, której paradygmatem jest zawsze fabryka, oraz sferę pracy domowej – prowadzenie domu, opiekę nad dziećmi – pozostawianej niemal wyłącznie kobietom. Pierwszy z tych dwóch rodzajów pracy polega głównie na tworzeniu i podtrzymywaniu istnienia fizycznych obiektów. Drugi można bodaj najtrafniej opisać jako tworzenie i podtrzymywanie istnienia ludzi oraz relacji społecznych. To rozróżnienie jest oczywiście nieco karykaturalne: nigdy nie istniało takie społeczeństwo – nie był nim ani Manchester Engelsa, ani Paryż Victora Hugo – w którym większość mężczyzn stanowili robotnicy fabryczni, a większość kobiet poświęcała się wyłącznie prowadzeniu domu. Jednak do dziś postrzegamy pracę w tych kategoriach. Rozróżnienie to wskazuje również na praprzyczynę problemu Marksa. W sferze produkcji przemysłowej to osoby znajdujące się najwyżej w hierarchii wykonują zwykle zadania wymagające użycia wyobraźni (na przykład projektują produkty i organizują proces ich wytwarzania). W sferze produkcji społecznej natomiast nierówności pojawiają się tam, gdzie większość pracy wyobrażeniowej – tej, którą nazywam „pracą interpretacyjną" i bez której nie byłoby możliwe życie społeczne – wykonują osoby o najniższym statusie[36].

[36] Wszystko to razem niewątpliwie sprawia, że te dwie formy pracy widzimy jako fundamentalnie odmienne i trudno jest nam przyznać, że praca interpretacyjna – w tym większość zajęć tradycyjnie uważanych za „kobiece" – to po prostu właśnie praca. Osobiście uważam, że ten rodzaj pracy powinniśmy traktować jako podstawowy. O ile można czynić wyraźne rozróżnienie, to właśnie opiekę, energię i pracę poświęconą innym ludziom powinno się traktować jako fundamentalną. Wszystko, na czym najbardziej nam zależy – nasze miłości, pasje, rywa-

na rozwój robotyki przechodzi przez Pentagon. Nic więc dziwnego, że współcześnie dysponujemy bezzałogowymi samolotami, a nie mamy ani zrobotyzowanych kopalń boksytu, ani robotów do prac w ogrodzie.

Te wojskowe projekty miewały rzecz jasna swoje cywilne odgałęzienia: jednym z nich jest Internet. Ale jednocześnie nadawały bardzo charakterystyczne kierunki rozwoju.

Można snuć i mroczniejsze przypuszczenia. Nakierowanie badań i rozwoju na informatykę oraz medycynę mogło być nie tyle efektem reorientacji na masowy rynek dóbr użytkowych, co elementem szerszej strategii, która po zwycięstwie nad Związkiem Radzieckim miała przynieść ostateczne zwycięstwo w walce klas: w ślad za pełną dominacją militarną na innych kontynentach miało pójść ostateczne rozgromienie wszelkich ruchów społecznych w kraju. Niemal wszystkie nowo powstałe technologie okazały się wprost stworzone do inwigilacji, nadzoru, egzekwowania dyscypliny pracy i kontroli społecznej. Komputery otwierały pewne przestrzenie wolności (o czym się nam nieustannie przypomina), lecz zamiast poprowadzić nas ku utopii czasu wolnego, jaką wyobrażali sobie Abbie Hoffman czy Guy Debord, przyniosły wręcz odwrotny efekt. Technologie komputerowe umożliwiły daleko posuniętą finansjalizację kapitału, która wpędza pracowników w coraz głębsze rozpaczliwe zadłużenie, a pracodawcom pozwoliły tworzyć nowe, „elastyczne" formy zatrudnienia, które pozbawiły pracowników dotychczasowej stabilności zatrudnienia i wydłużyły czas pracy w niemal wszystkich sektorach gospodarki. W połączeniu z eksportem miejsc pracy w przemyśle wytwórczym spowodowało to wyniszczenie związków zawodowych i praktycznie uniemożliwiło prowadzenie jakiejkolwiek skutecznej polityki propracowniczej[22]. Tymczasem, mimo bezprecedensowej skali inwestycji w technologie medyczne i nauki przyrodnicze, do dziś nie umiemy wyleczyć ani raka, ani kataru. Za to najbardziej spektakularnymi przełomami w medycynie okazały się farmaceutyki: Prozac, Zoloft i Ritalin – stworzone jakby specjalnie po to, abyśmy w obliczu nowych zawodowych wymagań doszczętnie nie zwariowali i mogli funkcjonować w miarę normalnie.

[22] I tak na przykład niedawno wydane studium poświęcone pracy w XXI wieku zaczyna się słowami: „Pod koniec XX wieku dwa wydarzenia o globalnym zasięgu znacząco odmieniły charakter pracy. Pierwszym był upadek Związku Radzieckiego i światowy tryumf kapitalizmu wolnorynkowego. Drugim było rozpowszechnienie się technologii komputerowych w przemyśle wytwórczym oraz w systemach dowodzenia, zarządzania i kontroli". Rick Baldoz, Charles Koeber, Philip Kraft, The Critical Study of Work: Labor, Technology, and Global Production, Temple University Press, Philadelphia 2001, s. 3.

dzisiaj, kapitalizm mógł powrócić do tych kierunków technicznego rozwoju, które pozostają w zgodzie z imperatywami normalnego, zdecentralizowanego wolnego rynku – takich jak finansowane z prywatnego kapitału inwestycje w telefony z ekranem dotykowym, małe przedsiębiorcze start-upy i tym podobne. Taką w każdym razie historię od końca lat 70. opowiadają Toffler, Gilder i im podobni. Z oczywistych względów jest ona nieprawdziwa.

Po pierwsze, nakłady sektora prywatnego na nowatorskie badania są dziś niższe niż w latach 50. i 60., gdy kwitły działy badawczo-rozwojowe Bell Labs i podobnych korporacji. Odpowiadają za to między innymi strukturalne zmiany w systemie podatkowym. Amerykański gigant telekomunikacyjny chętnie inwestował znaczną część dochodów w badania i rozwój, ponieważ zyski były wysoko opodatkowane. Wybór był prosty: albo oddać pieniądze państwu, albo przeznaczyć je na podwyżki płac (zaskarbiając sobie przy tym lojalność pracowników) oraz programy badawcze (nie od rzeczy w instytucji, która wyznawała jeszcze starzejący się pogląd, że celem istnienia przedsiębiorstw jest przede wszystkim wytwarzanie dóbr, a dopiero w drugiej kolejności – generowanie zysku). Wszystko to skończyło się wraz z opisaną wcześniej przebudową systemu podatkowego w latach 70. i 80. Podatki od przedsiębiorstw drastycznie obcięto. Kadra kierownicza, której wynagrodzenie coraz częściej przybierało formę opcji na zakup akcji, nie tylko wypłacała inwestorom zyski w postaci dywidendy, ale za pieniądze przeznaczane dotąd na badania i rozwój, podwyżki płac czy tworzenie nowych etatów zaczęła wykupywać akcje własnych firm, podnosząc tym samym wartość swoich portfeli giełdowych, ale w żaden sposób nie zwiększając wydajności. Innymi słowy, cięcia podatków i reformy finansowe przyniosły efekt odwrotny do tego, jaki zapowiadali ich zwolennicy.

Tymczasem rząd Stanów Zjednoczonych wcale nie wyrzekł się gigantycznych, kontrolowanych przez państwo projektów rozwojowych. Porzucił jedynie programy cywilne, takie jak loty kosmiczne, a zajął się finansowaniem badań na rzecz wojska. Nie chodzi tu tylko o Reaganowskie „gwiezdne wojny" (projekt na wręcz sowiecką skalę), ale o niezliczone konstrukcje nowych typów uzbrojenia oraz rozwój technik łączności, inwigilacji i podobnych technologii „bezpieczeństwa". W pewnej mierze było tak zawsze: miliardowe wydatki na same tylko pociski balistyczne zawsze przyćmiewały budżet programu lotów kosmicznych. Ale w latach 70. nawet badania podstawowe zaczęto podporządkowywać celom militarnym. Najprostszą odpowiedź na pytanie, dlaczego w fabrykach nie pracują dziś same roboty, przynosi następujący fakt: około dziewięćdziesiąt pięć procent nakładów

Jak postulowałem, procedury biurokratyczne, które w osobliwy sposób potrafią sprawić, że najinteligentniejsi ludzie zaczynają zachowywać się jak idioci, są nie tyle same w sobie formami tępoty, co metodami zarządzania sytuacjami, które są „tępe" z samej swojej natury. Tak działa przemoc strukturalna. W efekcie procedury te nabierają cech tej samej ślepoty i tępoty, którą w założeniach miały zarządzać. W najlepszym razie stają się sposobami zwracania tępoty przeciwko niej samej, podobnie jak to czyni przemoc rewolucyjna. Jednak tępota w imię sprawiedliwości i przyzwoitości nie przestaje być tępotą, a przemoc w imię wyzwolenia nadal jest przemocą. To nie przypadek, że tak często występują razem.

Przez lwią część ubiegłego stulecia wielkie rewolucyjne pytanie brzmiało: jak wprowadzić fundamentalne zmiany społeczne, nie przyczyniając się przy tym do tworzenia nowej biurokracji i nowej przemocy? Czy problemem jest sam utopizm – wyobrażanie sobie lepszego świata i próby powołania go do życia? A może problem leży w samej naturze nauk społecznych? Czy powinniśmy je porzucić? Czy może pojęcie rewolucji jest obarczone jakimś fundamentalnym błędem?

Jednym z rozwiązań, które wyłaniały się od lat 60., jest obniżenie oczekiwań. W latach poprzedzających Maj '68 słynni sytuacjoniści twierdzili, że można to osiągnąć na drodze twórczych aktów wywrotowych, które podważyłyby logikę „spektaklu", jaka ich zdaniem ograniczała nas wszystkich do roli biernych konsumentów. Tym sposobem przynajmniej na chwilę odzyskalibyśmy potencjał naszej wyobraźni. Sytuacjoniści uważali takie działania jedynie za próby kostiumowe na małą skalę, które ostatecznie miały doprowadzić do wielkiej insurekcji, do „właściwej" rewolucji. Ta perspektywa dziś praktycznie nie istnieje. Jeśli Maj '68 czegoś nas nauczył, to tego, że nie można oczekiwać przełomowej zmiany bez przejęcia władzy w państwie. W rezultacie wśród współczesnych rewolucjonistów element millenarystyczny niemal zanikł . Nikt nie oczekuje, że wkrótce nastąpi jakiś wielki przełom. Na pocieszenie zostaje nam świadomość, że jeśli autentyczna rewolucyjna wolność w ogóle jest dziś możliwa, to można jej doświadczyć tu i teraz. Oto manifest kolektywu Crimethinc, prawdopodobnie najbardziej inspirującej dziś

lizacje i obsesje – to zawsze inni ludzie. W większości społeczeństw niekapitalistycznych jest czymś oczywistym, że wytwarzanie dóbr materialnych jest podrzędnym składnikiem większego procesu, jakim jest kształtowanie ludzi. Powiedziałbym nawet, że jednym z najsilniej alienujących aspektów kapitalizmu jest właśnie to, że zmusza nas, abyśmy udawali, iż jest odwrotnie: że społeczeństwo istnieje głównie po to, by produkować coraz więcej dóbr materialnych.

propagandowej inicjatywy anarchistycznej, odwołującej się do tradycji sytuacjonistów:

Musimy stworzyć sobie wolność, wycinając dziury w materii rzeczywistości; wytwarzając nowe rzeczywistości, które z kolei będą kształtować nas. Nieustanne konfrontowanie się z nowymi sytuacjami to jedyny sposób, by podejmować decyzje nieobciążone inercją nawyku, zwyczaju, prawa lub uprzedzenia. A stwarzanie takich sytuacji zależy tylko od ciebie.

Wolność istnieje tylko w chwili rewolucji. Te chwile nie są jednak tak rzadkie, jak sądzimy. Zmiana, rewolucyjna zmiana, dokonuje się zawsze i wszędzie. Świadomie czy nie, wszyscy odgrywamy w niej swoją rolę.

To przecież nic innego jak elegancka wykładnia logiki akcji bezpośredniej: uparte postępowanie tak, jakby już było się wolnym człowiekiem[37]. Nasuwa się pytanie, co tego rodzaju podejście może wnieść do ogólniejszej strategii – takiej, która być może nie doprowadzi do jednorazowego rewolucyjnego przesilenia, ale wzmocni stopniowy ruch ku światu bez granic państwowych i kapitalizmu. Nikt nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Najczęściej zakłada się, że możliwy jest jedynie proces polegający na nieustannej improwizacji. Z pewnością pojawią się w nim momenty rewolucyjne; być może całkiem liczne. Jednak będą one zaledwie jednym ze składników bardziej złożonego i wielowymiarowego procesu rewolucyjnego, którego zarysów nie sposób dokładnie przewidzieć.

Z dzisiejszej perspektywy niezwykle naiwne wydaje się stare założenie, jakoby jedno powstanie lub zwycięska wojna domowa mogły zneutralizować cały aparat przemocy strukturalnej, choćby tylko w granicach jednego państwa; że wszystkie prawicowe realia można ot, tak po prostu wyprzeć i otworzyć pole dla nieskrępowanej rewolucyjnej wyobraźni. Tak naprawdę zadziwia jednak to, że w pewnych momentach historii ludzkości dokonywało się właśnie takie otwarcie. Jeśli chcemy uchwycić zarysy nowej koncepcji rewolucji, musimy moim zdaniem zacząć od ponownej próby zrozumienia charakteru tych szczególnych momentów.

Jedną z najbardziej niezwykłych cech takich rewolucyjnych wstrząsów jest to, że pojawiają się niespodziewanie, nie wiadomo skąd, i równie szybko wygasają. Jak to możliwe, że to samo „społeczeństwo", które na dwa miesiące przed powstaniem Komuny Paryskiej czy wybuchem hiszpańskiej wojny domowej wybrało do parlamentu umiarkowanych socjaldemokra-

[37] Więcej w mojej książce The Democracy Project, Spiegel & Grau, New York 2012. Pierwotnie zamierzałem zatytułować tę książkę As if We Were Already Free (Tak, jak gdybyśmy już byli wolni), ale jak na ironię, nie dano mi wolności wyboru jej tytułu.

bardziej otwarci na antykapitalistyczny przekaz niż autorytety z „głównego nurtu" postępowej lewicy. W tym samym czasie dostrzegli to także internetowi konserwatyści i libertarianie – i na elektronicznych forach dyskusyjnych nie szczędzili wyrazów potępienia dla „lewackiej propagandy"[20]. Nagle okazało się, że pieniądze nie znikły całkowicie. Istniało latinium. Jako środka płatniczego używali go jednak przedstawiciele tylko jednej, szczególnie odrażającej kosmicznej rasy, którzy niejako uosabiali średniowieczne chrześcijańskie stereotypy na temat Żydów – tyle że zamiast dużych nosów obdarzono ich olbrzymimi uszami. (Co zabawne, twórcy serialu nazwali ich Ferengi – słowem, które w języku arabskim i hindi oznacza „antypatycznego białego człowieka")[21]. Z drugiej strony domniemaniom, jakoby Federacja propagowała komunizm, zaprzeczało wprowadzenie do serialu wrogiej cywilizacji Borg – tak doskonale komunistycznej, że zupełnie pozbawionej odrębności jednostek i wcielającej każdą inteligentną formę życia do jednego, straszliwego zbiorowego umysłu.

Gdy w 1968 roku Stany ZJEDNOCZONE wysłały ludzi na Księżyc, amerykańscy planiści nie traktowali już radzieckiej konkurencji poważnie. Związek Radziecki przegrał wyścig w Kosmos, co amerykańskim naukowcom i inżynierom pozwoliło zarzucić wszelkie prace, które mogły skutkować powstaniem baz na Marsie czy zrobotyzowanych fabryk, a tym bardziej takie, które mogłyby położyć fundament pod komunistyczną utopię.

W standardowej interpretacji ta zmiana priorytetów jest oczywiście naturalnym efektem triumfu wolnego rynku. Program Apollo to przecież kwintesencja państwowego molocha na wzór sowiecki: wymagający olbrzymiego wysiłku całego kraju projekt, którym zawiadywała równie rozbudowana państwowa biurokracja. Gdy tylko sowieckie zagrożenie ustało, mówią nam

[20] Kolejność wydarzeń jest nieco hipotetyczna, bo tej historii jeszcze nie napisano. Nie twierdzę oczywiście, że Michael Moore zapoczątkował całą debatę, a jedynie że jego komentarz dobrze ilustruje ówcześnie prowadzone dyskusje. Rasa Ferengi pojawiła się w serialu dość wcześnie, bo już w 1987 roku, a kolektyw Borg jeszcze wcześniej; minęło jednak sporo czasu, zanim cywilizacje te wyszły na pierwszy plan jako alternatywne systemy organizacji społecznej przeciwstawione Federacji. Wystarczy wpisać wyrażenia „Gene Roddenberry" (twórca serialu Star Trek) i „komunista" w wyszukiwarce internetowej, aby przekonać się, jak wielkim oburzeniem pałały kręgi prawicowe.

[21] Słowo to pochodzi od rzeczownika frank, który w języku arabskim oznaczał krzyżowca. Ferengi mają więc kuriozalną średniowieczną genezę. Ich rasa wzięła swoją nazwę od obelżywego określenia, jakiego muzułmanie używali w stosunku do chrześcijan, mając ich za barbarzyńców, bezbożników i ludzi tak chciwych, że pozbawionych elementarnej przyzwoitości. A wygląd i zwyczaje Ferengi to z kolei aluzja do podobnie negatywnego wyobrażenia, jakie z tych samych powodów chrześcijanie mieli o żydach.

Właśnie tak musiałaby wyglądać jakaś postać państwowego socjalizmu. Pamiętajmy, że reżimy tego rodzaju też uważają się za demokracje. Na papierze Związek Radziecki pod rządami Stalina mógł się pochwalić doskonałą konstytucją, zapewniającą obywatelom znacznie większy poziom demokratycznej kontroli niż ówczesne systemy parlamentarne w Europie. Tyle tylko że, podobnie jak w Federacji, nie miało to nic wspólnego z rzeczywistym działaniem systemu w praktyce.

Federacja jest więc wcieleniem leninizmu doprowadzonym do pełnego i bezapelacyjnego sukcesu na kosmiczną skalę. To społeczeństwo, które obchodzi się bez tajnej policji, obozów reedukacyjnych i procesów pokazowych, bo dzięki szczęśliwemu zbiegowi materialnego dostatku z harmonią ideologiczną system działa płynnie niejako sam z siebie.

Nic nie wiadomo o spektrum politycznym w obrębie Federacji i nikogo zdaje się to nie obchodzić, natomiast system ekonomiczny serialowego uniwersum wzbudza ciekawość i rozpala niekończące się dyskusje. Bohaterowie Star Treka żyją w systemie jawnie komunistycznym. Nie ma tu klas społecznych. Nie ma podziałów rasowych, płciowych ani etnicznych[19]. Istnienie pieniędzy wspomina się jako zabawne i nie całkiem zrozumiałe historyczne kuriozum. Uciążliwe prace fizyczne zostały w pełni zautomatyzowane. Podłogi same się zmywają. Żywność, odzież, narzędzia i broń powstają na żądanie w replikatorach. Proces ten wymaga jedynie nakładu energii, a sama energia nie wydaje się w żaden istotny sposób ograniczona. Wszystko to razem w pewnych kręgach wywołało reakcję alergiczną. Interesujące byłoby spisanie politycznej historii dyskusji, jakie toczono w latach 80. i 90. nad możliwą ekonomią przyszłości. Doskonale pamiętam, jak w debacie z redaktorami lewicowego „The Nation" filmowiec Michael Moore przywołał Star Trek jako dowód, że Amerykanki i Amerykanie z klasy robotniczej są znacznie

wybory, jeśli ich kandydat nie zostanie ministrem edukacji?". Warto zauważyć, że przy braku różnic ideologicznych, które mogłyby nie pokrywać się z etnicznymi, jedyne podziały polityczne w obrębie federacji to podziały między planetarnymi rasami: czego innego chcą Andorianie, a czego innego – Betazoidzi. To także przypomina sytuację w ZSRR i podobnych systemach, gdzie połączenie centralnego systemu redystrybucji z przymusem ideologicznej jedności sprawiało, że tylko różnice na tle etnicznym mogły znaleźć otwarty polityczny wyraz – z katastrofalnymi skutkami.

[19] W Federacji reprezentowane są bodaj wszystkie grupy etniczne z jednym, intrygującym wyjątkiem: nie ma tam Żydów. Zaskakuje to tym bardziej, że w oryginalnym serialu role Kirka i Spocka odtwarzali aktorzy żydowskiego pochodzenia; słynny wulkański gest pozdrowienia to błogosławieństwo ortodoksyjnych Żydów. Mimo to w serialu nie pojawia się ani kapitan Goldberg, ani porucznik Rubinstein. O ile wiem, wśród bohaterów nie ma ani jednego Żyda.

tów, nagle jest gotowe ryzykować życiem za ultraradykałów, którzy w wyborach uzyskali zaledwie drobny ułamek głosów? Albo, by powrócić do Maja '68, jak to możliwe, że to samo społeczeństwo, które poparło bunt robotników i studentów, a co najmniej sympatyzowało z nim, niemal z dnia na dzień zmieniło front i przy urnach wyborczych oddało całą władzę w ręce prawicy? Najczęściej się słyszy, że widocznie rewolucjoniści wcale nie reprezentowali szerokich mas społecznych ani ich interesów, a część opinii publicznej po prostu dała się porwać jakiemuś irracjonalnemu żywiołowi. Te wyjaśnienia nie są jednak zadowalające. Przede wszystkim opierają się na założeniu, że „społeczeństwo" stanowi jedną całość, która ma swoje opinie, interesy i sojusze, stosunkowo niezmienne w czasie. A przecież to, co nazywamy „społeczeństwem", jest wytworem konkretnych instytucji, które jedne formy działania akceptują (sondaże opinii publicznej, oglądanie telewizji, głosowanie w wyborach, podpisywanie petycji i listów do władz czy uczestniczenie w wysłuchaniach publicznych), a innych nie dopuszczają. Te ramy działania wyznaczają z kolei pewne ramy wypowiadania się, myślenia, argumentacji i refleksji publicznej. To samo „społeczeństwo", które masowo korzysta z substancji psychoaktywnych, może raz po raz głosować przeciwko legalizacji tychże substancji; ci sami obywatele podejmą krańcowo odmienne decyzje dotyczące swojej społeczności zależnie od tego, czy decyzje te będą podejmowane w systemie parlamentarnym, w elektronicznych plebiscytach, czy na zgromadzeniach publicznych. Trzeba wręcz powiedzieć, że cały anarchistyczny projekt wymyślenia na nowo demokracji bezpośredniej opiera się na założeniu, że tak właśnie jest.

Dla zilustrowania podam przykład. W krajach anglojęzycznych tę samą zbiorowość, którą niekiedy nazywa się „społeczeństwem" (the public), w innym kontekście można określać mianem „pracowników" (the workforce). Dobór etykiety zależy naturalnie od sytuacji i odgrywanej w niej roli. „Społeczeństwo" nie pracuje zarobkowo. W żadnej amerykańskiej gazecie nie mogłoby pojawić się zdanie: „Większość amerykańskiego społeczeństwa jest zatrudniona w branży usługowej", a gdyby dziennikarz takie zdanie ułożył, zostałoby ono bez wątpienia poprawione na etapie redakcji. To dosyć dziwne – tym bardziej, że jak się okazuje, społeczeństwo c h o d z i (lub jeździ) do pracy: jak często wskazują lewicowi komentatorzy, według relacji mediów strajk pracowników metra lub kolei utrudnia „społeczeństwu" dotarcie do pracy. Jednak w tych samych mediach nie usłyszymy ani że strajkujący również należą do tego „społeczeństwa", ani że podwyższenie im płac przyniosłoby całemu społeczeństwu korzyści. Podobnie „społeczeństwo" nigdy nie wychodzi

na ulicę. Pisana mu jest rola widzów publicznego spektaklu i klientów usług publicznych. Ci sami ludzie stają się z kolei „konsumentami", kiedy kupują na rynku towary lub usługi, a w jeszcze innych kontekstach bywają nazywani „narodem", „elektoratem" lub „ludnością" – w zależności od odgrywanej roli.

Każda z tych zbiorowości jest produktem biurokracji i praktyk instytucjonalnych, które na swój sposób ograniczają horyzont tego, co możliwe. Dlatego podczas głosowania w wyborach parlamentarnych można być przekonanym o konieczności „realistycznego" wyboru, natomiast w sytuacji rewolucyjnej nic nie wydaje się już niemożliwe.

„Społeczeństwo", „pracowników", „elektorat", „konsumentów" i „ludność" łączy to, że wszystkie te zbiorowości powstają w zinstytucjonalizowanych ramach działania, które są z natury biurokratyczne, a przez to stają się źródłem głębokiej alienacji. Można powiedzieć, że urny wyborcze, ekrany telewizyjne, biurowe boksy, szpitale i cały rytuał, w którym uczestniczą, to w istocie maszyny do produkcji alienacji. To instrumenty służące do tępienia i tłamszenia ludzkiej wyobraźni. Momenty rewolucyjne to natomiast chwile, kiedy ten biurokratyczny aparat zostaje zneutralizowany. Za każdym razem powoduje to szerokie otwarcie horyzontów tego, co możliwe. Nic w tym dziwnego, skoro jednym z naczelnych zadań aparatu biurokracji jest bezwzględne ograniczanie tych horyzontów. (Prawdopodobnie dlatego, jak celnie zauważyła Rebecca Solnit[38], ludzie często doświadczają czegoś podobnego podczas klęsk żywiołowych). Wszystkie te spostrzeżenia pozwalają zrozumieć, dlaczego w ślad za każdym momentem rewolucyjnym idzie eksplozja twórczości społecznej, artystycznej i intelektualnej. Wypaczone dotąd struktury identyfikacji wyobrażeniowej się załamują; wszyscy wokół eksperymentują, próbując zobaczyć świat z nieznanych sobie punktów widzenia; wszyscy czują, że mają nie tylko prawo, ale i palącą, praktyczną potrzebę wyobrażenia sobie i stworzenia na nowo całego otoczenia, w jakim się znajdują.

Pytanie rzecz jasna brzmi: co zrobić, aby po takim doświadczeniu ludzie ci nie dali się na powrót zaszufladkować w tej czy innej rubryce: społeczeństwa, proletariatu, wielości, narodu, wspólnoty religijnej czy jakiejkolwiek innej, która niezwłocznie obuduje się nowymi zestawami reguł, przepisów i instytucji biurokratycznych, a dla ich obwarowania wytworzy nowe rodza-

[38] Rebecca Solnit, A Paradise Made in Hell: The Extraordinary Communities That Arise in Disaster, Penguin, New York 2010.

Co w Star Treku szczególnie warte uwagi, to brak jakichkolwiek oznak demokracji – oraz to, że mało kto zdaje się dostrzegać ten mankament. Zgoda, rozwijane przez dziesięciolecia uniwersum Star Treka jest niezmiernie złożone; obejmuje seriale telewizyjne, filmy fabularne, powieści, komiksy, nawet encyklopedie, nie wspominając już o literaturze pisanej przez fanów. Prędzej czy później pytanie o ustrój polityczny Federacji musiało się jednak pojawić. A kiedy to pytanie padło, nikt nie ośmielił się sugerować, że mógłby tam panować jakikolwiek i n n y system niż demokratyczny. Dorzucono więc równie obowiązkowe co spóźnione wzmianki o demokratycznie wybieranym prezydencie i parlamencie Federacji. Ale nie ma to najmniejszego znaczenia. W serialu nie sposób doszukać się żadnych oznak żywej demokracji. Nikt nawet mimochodem nie wspomina o wyborach, kampaniach wyborczych, partiach czy programach politycznych, sondażach opinii publicznej, sloganach, plebiscytach czy demonstracjach. Czy w tej „demokracji" istnieje w ogóle system wielopartyjny? Jeśli tak, jakie działają tam partie? Jakie systemy wartości reprezentują? Kim są ich wyborcy? Z żadnego z siedmiuset dwudziestu sześciu odcinków nie dowiemy się o tym zupełnie nic[17].

Ktoś zaprotestuje: serialowe postacie należą do Star Fleet, instytucji o charakterze militarnym. To prawda, ale w rzeczywistych demokratycznych społeczeństwach, a nawet w republikach konstytucyjnych takich jak Stany Zjednoczone, wojskowi mają poglądy polityczne i je wyrażają. Tymczasem w Star Fleet nikt nigdy nie powie: „Co mi strzeliło do głowy, żeby głosować na tych durniów? Zobacz, do czego ci ekspansjoniści doprowadzili w Sektorze 5!" ani „Na studiach protestowałam przeciwko terraformowaniu planet klasy C, ale dzisiaj nie wiem, czy mieliśmy rację!". Problemy natury politycznej pojawiają się w serialu regularnie, jednak do ich rozwiązania wysyła się zawsze biurokratów, dyplomatów i urzędników. Bohaterowie Star Treka na biurokratów uskarżają się nieustannie. Na polityków – nigdy. Bo problemy polityczne są zawsze rozwiązywane środkami administracyjnymi[18].

podejrzenia, że Związek Radziecki naprawdę nawiązał już kontakt z istotami pozaziemskimi, a niezidentyfikowane obiekty latające (UFO) były albo sowieckimi aliantami, albo pojazdami skonstruowanymi przez Rosjan na bazie pozaziemskich technologii. Zob. na przykład Jeff Sharlet, Sweet Heaven When I Die: Faith, Faithlessness, and the Country In Between, Norton, New York 2012, s. 146 – 148.

[17] Judith Barad na przykład, na trzystu sześćdziesięciu ośmiu stronach książki The Ethics of Star Trek (Perennial, New York 2000) ani razu nie wspomina o demokracji ani o zbiorowym podejmowaniu decyzji.

[18] Nie usłyszy się też wielu innych zdań, na przykład: „Słyszałaś, że wulkańsko-bajorański sojusz tradycjonalistów chce wycofać poparcie dla koalicji rządzącej i wymusić przyspieszone

łeczne i ekologiczne, albo, jak w przypadku zaprojektowanego przez Stalina stupiętrowego Pałacu Rad, na którego szczycie miała stanąć dwudziestopiętrowa statua Lenina, nigdy nie ruszyła z miejsca. Mimo pierwszych sukcesów programu lotów kosmicznych większość radzieckich projektów nie doczekała się realizacji. Jednak radzieccy przywódcy nieustannie podsuwali nowe koncepcje. Nawet w latach 80., gdy Stany Zjednoczone rozpoczynały swój ostatni (i nieukończony) projekt – tak zwane gwiezdne wojny – w Związku Radzieckim nadal wymyślano sposoby przekształcenia świata przez twórcze zastosowanie technologii. Poza Rosją mało kto dziś o nich pamięta, ale na ich realizację przeznaczano olbrzymie środki. Warto wspomnieć, że w odróżnieniu od amerykańskich „gwiezdnych wojen", które były projektem czysto wojskowym, mającym pogrążyć ZSRR raz na zawsze, największym radzieckim przedsięwzięciom przyświecały zazwyczaj cele pokojowe. Planowano na przykład rozwiązać problem głodu na świecie przez odławianie z jezior i oceanów sinic – jadalnych i bogatych w białko prokariontów. Na kryzysy energetyczne miały pomóc setki gigantycznych paneli słonecznych umieszczonych na orbicie, które przekazywałyby energię elektryczną na ziemię[14].

Nawet rozkwit science-fiction, który dokonał się w latach 50. i 60. i który zdefiniował cały standardowy repertuar przyszłych odkryć i wynalazków – pola siłowe, promienie holujące, napędy podprzestrzenne – znany dziś każdemu dziecku (i równie oczywisty dla przeciętnego ośmiolatka jak to, że na wampiry skuteczne są osikowe kołki, czosnek i światło słoneczne), nastąpił w tym samym czasie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Związku Radzieckim[15]. A kwintesencja amerykańskiej mitologii, telewizyjny serial Star Trek? Zjednoczona Federacja Planet, z całym swoim szlachetnym idealizmem i wojskową dyscypliną, w której nie sposób dostrzec ani różnic klasowych, ani śladu wielopartyjnej demokracji – czyż nie jest ona zamerykanizowaną, łagodniejszą i bardziej humanitarną, a przede wszystkim „działającą" wersją Związku Radzieckiego[16]?

[14] Projekt nazywał się po prostu Energia i to właśnie z myślą o nim budowano w Związku Radzieckim olbrzymie rakiety nośne, na których do dziś opiera się cały światowy program kosmiczny (odkąd promy kosmiczne wycofano z eksploatacji). Do Stanów Zjednoczonych wieści o tym projekcie dotarły dopiero w 1987 roku, na dwa lata przed upadkiem ZSRR. Zob. źródło elektroniczne: www.nytimes.com/1987/06/14/world/soviet-studies-satellites-to-convert-solar-energy-for-relay-to-earth.html.

[15] Pojawia się więc interesujące pytanie: w jakiej mierze cały ten mitologiczny świat zaimportowaliśmy od Słowian? Potrzeba jednak wielu badań, aby udzielić odpowiedzi na to pytanie.

[16] Jeff Sharlet jest zdania, że te związki mogą być znacznie głębsze, niż myślimy. W Stanach Zjednoczonych w latach 50. i 60. wiele osób publicznych, w tym sporo kongresmenów, żywiło

je policji. Na tym polu dokonał się akurat pewien postęp. W dużej mierze zawdzięczamy go feminizmowi. Co najmniej od lat 70. zwolenniczki i zwolennicy radykalnej zmiany świadomie usiłują przesunąć punkt ciężkości z millenarystycznych marzeń na praktyczne pytania o to, jak owe „dziury wycięte w materii rzeczywistości" organizować na sposób niebiurokratyczny, tak aby zachować dłużej choć część tego uwolnionego potencjału wyobraźni. Ta tendencja była już widoczna podczas wielkich „festiwali oporu" organizowanych wokół szczytów gospodarczych przez ruch alterglobalistyczny między 1998 a 2003 rokiem, kiedy zawiłości demokratycznego procesu planowania akcji okazywały się istotniejsze niż owe akcje same w sobie, ale jeszcze wyraźniej dała o sobie znać w roku 2011 w obozowiskach Arabskiej Wiosny, na wielkich zgromadzeniach w Grecji i Hiszpanii, a wreszcie w działaniach ruchu Occupy w Stanach Zjednoczonych. Każda z tych inicjatyw była jednocześnie akcją bezpośrednią, rzuconym władzy w twarz aktem autentycznej demokracji, a także eksperymentem mającym pokazać, jak mógłby wyglądać porządek społeczny wolny od biurokracji, oparty na potencjale praktycznej wyobraźni.

Płynie stąd lekcja polityczna. W rzeczywistości wytworzonej przez wszechobecną przemoc strukturalną regulacje biurokratyczne zdają się rozpływać w masie i trwałości otaczających nas masywnych przedmiotów: budynków, pojazdów, wielkich betonowych konstrukcji. To sprawia, że świat regulowany przez biurokrację wydaje się nieuniknionym i jedynym możliwym, a wszystko inne sprawia wrażenie czczej fantazji. Jednak gdy tej rzeczywistości stawia się opór, oddanie władzy w ręce wyobraźni okazuje się jak najbardziej możliwe. Ale wymaga także olbrzymiego nakładu pracy.

Władza rozleniwia. Z wcześniejszych teoretycznych rozważań o naturze przemocy strukturalnej wynika przynajmniej tyle: choć posiadacze władzy i przywilejów często uważają je za ciężkie brzemię odpowiedzialności, to najczęściej, w większości sytuacji, posiadanie władzy oznacza, że n i e m u s z ą czymś się przejmować, n i e m u s z ą o czymś wiedzieć i n i e m u s z ą czegoś robić. Biurokracja potrafi w pewnej mierze zdemokratyzować tego rodzaju władzę, ale nie pozwala się od niej wyzwolić. Z czasem staje się formą zinstytucjonalizowanego lenistwa. Rewolucyjna zmiana może upajać egzaltacją oswobodzonej wyobraźni i radością nagłego uświadomienia sobie, że rzeczy uważane dotąd za niemożliwe wcale takimi nie są. Jednak dla większości z nas oznacza ona również, że trzeba pokonać to głęboko zakorzenione lenistwo i wykonać żmudną pracę interpretacyjną (wyobrażeniową), bez której nowa rzeczywistość nie przetrwa.

Od dwudziestu lat poszukuję odpowiedzi na pytanie, jaki wkład w ten proces mogłyby wnieść nauki społeczne. Jak podkreślałem, nauki społeczne same w sobie stanowią pewne radykalne uproszczenie, rodzaj rozmyślnej ignorancji. Są klapkami, które zakładamy sobie na oczy, aby móc dostrzec niezauważalne dotąd prawidłowości.

Próbuję więc założyć nam na oczy takie klapki, które pozwolą nam zobaczyć inne. Dlatego rozpocząłem ten rozdział od osobistej konfrontacji z biurokracją podczas choroby i przy śmierci mojej mamy. Chciałem w ten sposób rzucić światło teorii społecznej na miejsca, które są jej najbardziej nieprzyjazne. Nasze życie jest usiane martwymi strefami wyobraźni, obszarami tak wyzutymi z wszelkiego potencjału głębi interpretacyjnej, że odpierają każdą próbę przypisania im wartości czy sensu. Jak się okazuje, są to przestrzenie, w których praca interpretacyjna już nie działa. Nic więc dziwnego, że nie lubimy o nich mówić. Opierają się wyobraźni. Ale uważam, że mamy obowiązek skonfrontować się z nimi. W przeciwnym razie spadnie na nas odpowiedzialność za przemoc, która je stwarza.

Wyjaśnię, co przez to rozumiem. W naukach społecznych istnieje tendencja do idealizowania przemocy: do traktowania aktów przemocy jako przede wszystkim dramatycznych komunikatów, jako gry symbolami władzy absolutnej, oczyszczenia i terroru. Podejście to nie jest całkowicie fałszywe. Niemal każdy akt przemocy jest jednocześnie, jak najbardziej dosłownie, aktem terroru. Żywię jednak przekonanie, że skupiając się na tych najbardziej dramatycznych aspektach przemocy, łatwo tracimy z oczu fakt, iż jedną z najistotniejszych cech przemocy i sytuacji, jakie przemoc wytwarza, jest nuda. W amerykańskich więzieniach, gdzie natężenie przemocy jest olbrzymie, najstraszliwszą karą jest po prostu zamknięcie człowieka na lata w pustej celi, w której nie ma co robić. To pozbawienie wszelkiej możliwości komunikacji czy znaczenia leży u sedna tego, czym przemoc jest i jak działa. Tak, całkowite izolowanie więźnia przesyła mu i jego współwięźniom pewien komunikat. Ale jednocześnie odbiera możliwość przesyłania jakichkolwiek dalszych komunikatów.

Nie ma błędu w twierdzeniu, że kiedy pan batoży niewolnika, komunikuje mu żądanie bezwzględnego posłuszeństwa, a jednocześnie kreuje wywołujący trwogę mit niczym nieskrępowanej, arbitralnej władzy. Ale czymś zupełnie innym jest upierać się przy tym, że przytoczony opis wyczerpuje zasób znaczeniowy tej sytuacji i że poza tą interpretacją nie ma w niej nic, na co warto zwrócić uwagę. Bowiem co tak naprawdę oznacza „bezwzględne" posłuszeństwo? Oznacza, że pan nie musi wiedzieć zupełnie nic o tym, co

mie prowadzona polityka. Zimnowojenni planiści przemysłowi[13] gorączkowo poszukiwali sposobów wprowadzania istniejących już technologii do powszechnego użytku. Miało to dawać optymistyczne poczucie rozkwitu i gwarantowanego postępu, w którego obliczu radykalna polityka walki klas straci na atrakcyjności. To myślenie znalazło swój wyraz w słynnej „debacie kuchennej" z 1959 roku między Richardem Nixonem a Nikitą Chruszczowem. Parafrazując, argument Nixona brzmiał: „Wasze komunistyczne «państwo robotnicze» jako pierwsze wysłało człowieka w kosmos, zgoda. Ale to kapitalizm tworzy technologie takie jak pralki automatyczne, które w rzeczywisty sposób podnoszą poziom życia mas pracujących!". Po drugie, wyścig w Kosmos. W obu przypadkach inicjatywa wyszła od Związku Radzieckiego. W Stanach Zjednoczonych mało kto o tym dziś pamięta, bo pod koniec zimnej wojny wizerunek Związku Radzieckiego jako potężnego rywala błyskawicznie zastąpił obraz żałosnej ruiny i wzorcowego przykładu systemu, który „nie działa". Tymczasem w latach 50. wielu amerykańskich planistów prześladowało podejrzenie, że system sowiecki może okazać się znacznie sprawniejszy od amerykańskiego. Doskonale pamiętali, że jeszcze w latach 30., gdy Stany Zjednoczone pogrążyły się w depresji, gospodarka Związku Radzieckiego rozwijała się w bezprecedensowym tempie od dziesięciu do dwunastu procent rocznie. Wkrótce potem wyprodukowała olbrzymią masę czołgów, która pokonała Hitlera. W 1957 roku wysłała w Kosmos Sputnika, a już w 1961 roku – Wostok, pierwszy załogowy statek kosmiczny. Gdy Chruszczow przekonywał Nixona, że już za siedem lat mieszkańcy ZSRR będą się cieszyć wyższym poziomem życia niż Amerykanie, wielu ludzi w Ameryce obawiało się, że ta przepowiednia może się ziścić.

Mówi się czasem, że misja Apollo – lądowanie człowieka na Księżycu – była największym w historii osiągnięciem radzieckiego komunizmu. Gdyby nie kosmiczne ambicje sowieckiego politbiura, Stany Zjednoczone nigdy nie podjęłyby się takiego wyzwania. Sama ta fraza brzmi dość dziwacznie: „kosmiczne ambicje". „Politbiuro" kojarzy nam się raczej z pozbawionymi wyobraźni biurokratami w popielatych garniturach. Biurokraci rzeczywiście kierowali Związkiem Radzieckim, jednak od samego początku mieli odwagę snuć dalekosiężne marzenia. (Marzenie o rewolucji, która obejmie cały świat, było tylko pierwszym z nich). Owszem, większość ich ambitnych projektów – takich jak zmiana biegu wielkich rzek – albo miało katastrofalne skutki spo-

[13] Rząd Stanów Zjednoczonych lubi podtrzymywać fikcję, jakoby nie zajmował się planowaniem przemysłowym, jednak krytycy od dawna wskazują, że to nieprawda. Bezpośrednie planowanie, a zatem także badania i rozwój, są domeną wojska.

techniczny, bezprecedensowy w dziejach ludzkości. Zwolennicy kapitalizmu niezmiennie podnoszą ten argument jako najwyższe usprawiedliwienie innych skutków tego systemu: wyzysku, ubóstwa i rozpadu społeczności. Nawet najbardziej zagorzali krytycy kapitalizmu, Karol Marks i Fryderyk Engels, doceniali niesłychaną potęgę uwolnionych w nim „sił wytwórczych". Jednocześnie Marks i Engels uważali, że właśnie ta cecha – a mówiąc dokładniej, przymus nieustannego rewolucjonizowania środków produkcji przemysłowej, jakiemu kapitalizm podlega – ostatecznie przyniesie mu zgubę.

Czy jest możliwe, że mieli rację? Czy jest także możliwe, że w latach 60. ten fakt zaczął docierać do zbiorowej świadomości kapitalistów?

Marks dowodził, że z pewnych technicznych przyczyn jedynym źródłem wartości, a zatem zysków, może być ludzka praca. Pod naciskiem konkurencji fabrykanci mechanizują produkcję, aby zmniejszyć koszty pracy. Przynosi to krótkoterminowe korzyści pojedynczym firmom, jednak szerszą konsekwencją mechanizacji jest spadek stopy zysku dla wszystkich przedsiębiorstw. Od niemal dwóch stuleci ekonomiści spierają się, czy rzeczywiście tak się dzieje. Jeśli jednak Marks miał rację, staje się zrozumiałe, dlaczego wbrew rozpowszechnionym w latach 60. przewidywaniom przemysłowcy wcale nie inwestują w badania nad robotyzacją fabryk, za to przenoszą produkcję do Chin i na Globalne Południe, gdzie produkcja jest bardziej pracochłonna, a mniej zautomatyzowana[12].

Jak już wspomniałem, są powody sądzić, że tempo innowacji technicznych w procesie wytwórczym – w samych fabrykach – zaczęło wyraźnie spadać już w latach 50. i 60 ubiegłego wieku. W owym czasie nic na to oczywiście nie wskazywało. Pozorne przyspieszenie tempa przemian było jednak tylko efektem ubocznym rywalizacji między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Dwa fakty wskazują, że tak właśnie było. Po pierwsze, świado-

[12] Nie ma tu miejsca na szczegółowe omówienie wszystkich konfliktów politycznych lat 70., przedstawionych w nieopublikowanej książce Zero Work (która przygotowała grunt pod późniejsze powstanie wydawnictwa Midnight Notes Collective). Widać jednak wyraźnie, że robotnicy pracujący przy taśmie montażowej, którzy organizowali liczne podówczas dzikie strajki w przemyśle wytwórczym, domagali się przede wszystkim zmechanizowania najbardziej monotonnych i mozolnych zadań. Ze strony pracodawców zamykanie fabryk w silnie uzwiązkowionym Pasie Rdzy było świadomą taktyką uchylania się od takich żądań. Zob. na przykład Peter Linebaugh, Bruno Ramirez, Crisis in the Auto Sector, pierwotnie w Zero Work, artykuł opublikowany w Midnight Oil: Work, Energy, War, 1973 – 1992, ed. Midnight Notes Collective, Autonomedia, Brooklyn 1992, s. 143 – 168.

niewolnik z danej sytuacji rozumie, ani o tym, że niewolnikowi nie wolno odezwać się słowem, nawet gdy dostrzega fatalny w skutkach błąd w rozumowaniu pana; że pan nie musi zdawać sobie sprawy ze ślepoty i tępoty, do jakich ta relacja prowadzi ani że zmusza ona niewolnika do coraz bardziej wytężonych prób przeniknięcia intencji i antycypowania reakcji zdezorientowanego pana. Jeśli świadomie ignorujemy wszystkie te konsekwencje, to czy choć w minimalnym stopniu nie wykonujemy tej samej roboty co bat? Bata nie używa się przecież po to, aby zmusić ofiarę do mówienia, ale po to, by ofiara na zawsze przestała mówić.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego rozpocząłem ten rozdział od opowieści o mojej mamie. Jak pokazuje niewytłumaczalny zamęt z podpisami, martwe strefy wyobraźni mogą z k a ż d e g o zrobić głupca. Kiedy po raz pierwszy sformułowałem przedstawione w tym rozdziale koncepcje, nie wiedziałem, że większość z nich znacznie wcześniej rozwinęła feministyczna teoria punktu widzenia. Teorię tę tak głęboko zmarginalizowano, że tylko mgliście zdawałem sobie sprawę z jej istnienia. Wszystkie te obszary spowijają biurokratyczne opary ślepoty, ignorancji i absurdu. To zrozumiałe, że przyzwoici ludzie ich unikają. Unikanie ich jest wręcz najskuteczniejszą znaną nam strategią politycznego wyzwolenia. Gdy jednak udajemy, że te obszary w ogóle nie istnieją, czynimy to na własną zgubę.

2. Latające samochody i malejąca stopa zysku

> Rzeczywistość to sen science-fiction w wersji beta.
>
> Richard Barbrook

Każdego, kto żyje w XXI wieku, prześladuje pewien utajony wstyd. Nikt nie chce się do niego jednak przyznać.

Szczególnie dotkliwie odczuwają go dzisiejsi czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie, dla których obecne czasy powinny być najlepszym okresem ich życia, niemniej ten wstyd jest udziałem wszystkich ludzi. Bierze się z głębokiego rozczarowania światem, w którym żyjemy; z poczucia, że w dzieciństwie obiecano nam pewną wizję świata naszej dorosłości, a następnie złamano tę obietnicę. Nie mam na myśli typowych obietnic, jakie powszechnie składa się dzieciom z pełną świadomością ich fałszu: że świat jest uczciwy, że władza troszczy się o dobro wszystkich ludzi, a ciężką pracą można wiele osiągnąć. Chodzi o bardzo konkretną, pokoleniową obietnicę złożoną dzieciom lat 50., 60., 70., a nawet 80., artykułowaną nie tyle jako przyrzeczenie, co jako zbiór przekonań o tym, jak będzie wyglądać ich świat, gdy dorosną. A ponieważ nie złożono nam tej obietnicy wprost, to dziś, gdy tak spektakularnie ją złamano, nie wiemy, jak zareagować. Jesteśmy oburzeni, a jednocześnie tym oburzeniem zażenowani: jak mogliśmy dać się tak nabrać starszemu pokoleniu?

Mam oczywiście na myśli rażącą nieobecność latających samochodów w 2015 roku.

Nie tylko ich, ma się rozumieć. Nie prowadzę samochodu, a i latający nie jest mi potrzebny. Mam na myśli wszystkie cuda techniki, które miały istnieć w 2015 roku, o czym doskonale wiedziało każde dziecko urodzone w drugiej połowie XX wieku. Pole siłowe. Teleportacja. Antygrawitacja. Holowizja. Replikatory. Medycyna oferująca nieśmiertelność. Hibernacja. Androidy. Kolonie na Marsie. Gdzie się to wszystko podziało? Od czasu do czasu media z fanfarami ogłaszają rychłe nadejście jakichś cudów techniki – klonów, kriogeniki, medykamentów wydłużających życie czy sposobów na niewidzialność

na badania i rozwój. Drugie – biurokratyczne – dotyczą zmian w systemach zarządzania badaniami naukowymi i technicznymi.

Teza: W latach 70. XX wieku nastąpiło głębokie przeobrażenie, polegające na porzuceniu inwestycji w technologie, które otwierały drogi do alternatywnych modeli przyszłości, na rzecz inwestycji w technologie, które wzmacniają dyscyplinę pracy i mechanizmy kontroli społecznej

> Burżuazja nie może istnieć bez nieustannego rewolucjonizowania narzędzi produkcji, a więc stosunków produkcji, a więc całokształtu stosunków społecznych [...]. Wszystkie stężałe, zaśniedziałe stosunki wraz z nieodłącznymi od nich, z dawien dawna uświęconymi pojęciami i poglądami ulegają rozkładowi, wszystkie nowo powstałe stają się przestarzałe, zanim zdążą skostnieć. Wszystko, co stanowe i zakrzepłe, znika, wszystko, co święte, ulega sprofanowaniu i ludzie muszą wreszcie spojrzeć trzeźwym okiem na swoją pozycję życiową, na swoje wzajemne stosunki.
>
> KAROL MARKS i FRYDERYK ENGELS, Manifest Partii Komunistycznej (1847)

> Powiedziałem, że zabawa to też ważna rzecz. Odrzucaliśmy etykę i moralność, jaką propagował nasz kraj, a której celem było tylko zmuszanie ludzi do udziału w wyścigu szczurów. Dla nas to nie miało żadnego sensu. Wiadomo było, że za kilka lat całą pracę będą wykonywać za nas maszyny, a tu cały wielki system wartości uczył ludzi, że mają odkładać przyjemność na później, oszczędzać każdy grosz. Dla naszego pokolenia to było kompletnie bez sensu.
>
> ABBIE HOFFMAN na procesie „siedmiu z Chicago" (1970)

Od chwili jego powstania w XVIII wieku system, który dziś nazywamy „kapitalizmem przemysłowym", stymulował niezwykle szybki rozwój naukowo-

nowej religii społecznej – nie była mu ona do niczego potrzebna. Zadanie to doskonale spełniał chrześcijański ruch ewangeliczny, który właśnie nawiązywał swój dziwaczny sojusz z libertariańską prawicą[9].

Ekscentrycy w rodzaju TofflERA I GILDERA okazali się wpływowi, jednak nie warto zbyt długo się na nich skupiać. Po pierwsze, pojawili się dość późno. Jeśli można mówić o świadomej (choćby częściowo) zmianie kierunku inwestycji – o odejściu od finansowania badań, które mogły skutkować doskonalszymi rakietami lub robotami, a zwiększeniu nakładów na badania prowadzące do powstania drukarek laserowych i tomografów komputerowych – to proces ten został zapoczątkowany wcześniej, niż ukazał się Szok przyszłości Tofflera (1971), a tym bardziej Bogactwo i ubóstwo Gildera (1981)[10]. Sukces tych książek pokazuje jednak, i to po drugie, że podnoszone w nich kwestie – obawa, że istniejące modele rozwoju technicznego wywołają wstrząsy społeczne; potrzeba kierowania tym rozwojem tak, aby nie naruszał panujących struktur władzy – znalazły uważnych słuchaczy wśród przedstawicieli najwyższych szczebli władzy. Nie ma powodu sądzić, że politycy i magnaci przemysłowi nie brali tych kwestii pod uwagę już od dłuższego czasu[11].

Co się więc stało? W kolejnych trzech częściach tego rozdziału rozważę czynniki, które moim zdaniem złożyły się na to, że oczekiwana przyszłość nigdy nie nadeszła. Czynniki te można najogólniej podzielić na dwa podzbiory. Jedne są polityczne, związane ze świadomym przekierowywaniem funduszy

[9] Osobiste poglądy Tofflera są trochę – ale tylko trochę – bardziej złożone. Zanim Szok przyszłości przyniósł mu sławę, Toffler był znany głównie jako dziennikarz biznesowy, którego największym zawodowym osiągnięciem stał się wywiad z Ayn Rand dla „Playboya". Jak większość konserwatystów Toffler deklaruje poparcie dla ogólnej zasady równouprawnienia kobiet, ale jeśli wspomina o feministkach lub problemach podnoszonych przez feminizm, to tylko po to, by wyrażać się o nich krytycznie. Typowe przykłady można znaleźć w książce: Alvin Toffler, Heidi Toffler, Revolutionary Wealth: How It Will Be Created and How It Will Change Our Lives, Doubleday, New York 2006, s. 132 i nast. Interesująca jest wspólna dla Tofflera i Gildera obsesja na punkcie zagrożenia dla macierzyństwa: można powiedzieć, że zbudowali swoje światopoglądy na opozycji wobec Shulamith Firestone na długo, zanim sama Firestone pojawiła się na scenie publicznej.

[10] Ich wpływ na prawicowe myślenie trudno przecenić, bo uważano ich nie tylko za ekscentryków, ale i za nowatorskich wizjonerów. Podażowe teorie ekonomiczne Gildera wymienia się często jako inspirację dla „reaganomiki", a jego „raport technologiczny" czytano tak szeroko, że obserwatorzy rynku mówili wręcz o „efekcie Gildera" – ceny akcji niemal każdej firmy, o jakiej przychylnie wypowiedział się w raporcie, szły w górę zaraz po publikacji.

[11] Win McCormick mówił mi na przykład, że w drugiej połowie lat 60. pracował w think tanku założonym przez byłego rektora University of Chicago, który dociekał, jak powstrzymać wstrząsy społeczne, do których za jedno czy dwa pokolenia miało doprowadzić całkowite zastąpienie pracy fizycznej przez maszyny.

– ale albo te doniesienia okazują się fałszywe, albo rzekome wynalazki są obarczone dyskwalifikującymi je wadami. W odpowiedzi na tak postawiony zarzut można zwykle usłyszeć rytualne przywoływanie cudu techniki, jakim jest komputer: po co ci antygrawitacja, skoro masz wirtualny świat „Second Life"? – tak jakby komputery miały być czymś w rodzaju niespodziewanej rekompensaty. Ale nawet w rozwoju technologii komputerowych nie zaszliśmy tak daleko, jak wyobrażano to sobie w połowie XX wieku. Do dziś nie ma ani komputerów, z którymi można ciekawie porozmawiać, ani robotów, które potrafiłyby wyprowadzić psa na spacer czy rozwiesić pranie.

Miałem osiem lat, gdy Apollo pierwszy raz wylądował na Księżycu. Doskonale pamiętam, jak obliczałem, że w magicznym roku 2000 będę miał już trzydzieści dziewięć lat, i zastanawiałem się, jak świat będzie wtedy wyglądać. Czy naprawdę oczekiwałem wszystkich tych wspaniałości rodem z książek i filmów science-fiction? Oczywiście. Wszyscy ich oczekiwaliśmy. Czy czuję się z tego powodu oszukany? Jak najbardziej. Nie zakładałem, że dożyję stworzenia w s z y s t k i c h wynalazków, o których czytało się wtedy w powieściach science-fiction, i to nawet jeśli spodziewane postępy medycyny miały znacznie przedłużyć mi życie. Gdyby mnie wówczas o to zapytać, odpowiedziałbym pewnie, że zobaczę za życia może połowę z nich. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie będzie mi dane zobaczyć a n i j e d n e g o.

Od dawna dziwi mnie i fascynuje niemal zupełne milczenie, jakim pomija się tę kwestię w dyskursie publicznym. Od czasu do czasu w Internecie można napotkać czyjeś utyskiwania na brak latających samochodów, ale to marginalne przypadki. Wydaje się, że cały ten temat okrywa jakieś tabu. Oczekiwałem na przykład, że na przełomie wieków pojawi się w mediach wysyp refleksji dzisiejszych czterdziestolatków na temat tego, jak wyobrażaliśmy sobie świat w roku 2000 i dlaczego tak głęboko się myliliśmy. Jednakże nie trafiłem na ani jedną taką wypowiedź. Przeciwnie: praktycznie wszystkie autorytety – z prawa i z lewa – wychodziły z założenia, że współczesny świat to właśnie ten świat cudów techniki, który nam obiecywano.

Jeśli milczymy, to w znacznej mierze z obawy, by nie posądzono nas o dziecinną naiwność: „Marzy ci się świat z Jetsonów? Przecież to tylko kreskówka dla dzieci!". Jako dorośli powinniśmy rozumieć, że przyszłość oglądana oczami rodziny Jetsonów była równie realistyczna co przeszłość państwa Flintstonów z serialu Między nami, jaskiniowcami. Ale przecież zapowiedź przyszłego świata nie kończyła się na Jetsonach. Wszystkie poważne, kierowane do młodych widzów przekazy naukowe od lat 50. do wczesnych 80. – Scientific American, programy edukacyjne w telewizji, planetaria w muzeach tech-

niki i tym podobne – wszystkie autorytety, które albo tłumaczyły nam, jak powstał wszechświat i dlaczego niebo jest niebieskie, albo wyjaśniały układ okresowy pierwiastków, wszystkie te głosy zapewniały nas także, że przyszłość przyniesie kolonie na innych planetach, roboty, transformację materii w energię i odwrotnie, a świat będzie znacznie bliższy temu z serialu Star Trek niż temu, który znamy.

Obecnie wiemy, że wszystkie te głosy myliły się co do jednego. Z tego faktu płynie nie tylko głębokie, choć trudne do wyrażenia poczucie zdrady, ale także wniosek, że dziś, gdy wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej, niż się spodziewaliśmy, mamy trudności z mówieniem o historii. Są konteksty, w których nie wystarczy machnąć ręką na tak olbrzymi rozziew między oczekiwaniami a rzeczywistością. Jednym z nich jest science-fiction. W XX wieku twórcy filmów z tego gatunku osadzali swoje futurystyczne fantazje w konkretnych latach, często zaledwie o jedno pokolenie naprzód. I tak, w 1968 roku Stanley Kubrick uznał za coś zupełnie naturalnego z punktu widzenia kinowej widowni, że zaledwie trzydzieści trzy lata później – w 2001 roku – na porządku dziennym będą komercyjne loty na Księżyc, stacje kosmiczne wielkości miast i obdarzone inteligencją komputery, pod których pieczą zahibernowani astronauci polecą na Jowisza[1]. Tymczasem jedynym nowym wynalazkiem z filmu Odyseja kosmiczna 2001, jaki faktycznie się pojawił, są wideotelefony, ale te istniały już w 1968 roku, tyle że nie podbiły wówczas rynku, bo nie było na nie zapotrzebowania[2]. Z podobnymi sytuacjami mamy do czynienia zawsze, gdy pisarze lub inni twórcy próbują wykreować wielki mit. Według wizji wszechświata stworzonej przez Larry'ego Nivena, którego książki czytałem jako nastolatek, w bieżącej dekadzie (2010) ludzkość żyje pod panowaniem światowego rządu ONZ, właśnie zakłada pierwszą kolonię na Księżycu i uczy się radzić sobie z konsekwencjami rozwoju medycyny, w wyniku których powstała klasa ludzi niezwykle bogatych i nieśmiertelnych. W świecie telewizyjnego serialu Star Trek, który powstawał w tym samym czasie, ludzkość miała właśnie odradzać się po krwawych „wojnach eugenicznych" lat 90., w trakcie których obalono rządy genetycznie modyfikowanych nadludzi (zahibernowaliśmy ich wszystkich w kapsułach i wystrzeliliśmy w kosmos). Dla podtrzymania tej narracji w latach 90. scenarzyści Star Treka musieli wymyślać alternatywne chronologie i światy równoległe.

[1] Podobnie Orwell w 1949 roku umieścił swoją futurystyczną dystopię, 1984, zaledwie trzydzieści pięć lat w przyszłości.

[2] Pierwszy wideotelefon pojawił się w latach 30. XX wieku w urzędach pocztowych nazistowskich Niemiec.

w niezdolności społeczeństwa do przystosowania się do gwałtownych przemian. Pod panowaniem starego, feudalnego porządku rozwinęła się nie tylko katolicka teologia, która umiejscawiała człowieka w kosmosie odpowiednio do panującego systemu społecznego, lecz także instytucjonalna struktura Kościoła, która przekazywała i egzekwowała te idee, zapewniając wszystkim poczucie sensu i przynależności. Era przemysłowa rozwinęła własny system idei – naukę – ale naukowcy nie wytworzyli niczego na podobieństwo Kościoła katolickiego. Comte doszedł do przekonania, że należy stworzyć zupełnie nową gałąź nauki: nazwał ją „socjologią". Socjologowie mieli pełnić rolę kapłanów nowej Religii Społecznej, która inspirowałaby masy do umiłowania porządku, wspólnoty, dyscypliny pracy i patriarchalnego modelu rodziny. Ambicja Tofflera nie sięgała aż tak daleko: jego futurolodzy nie mieli pełnić roli kapłanów. Z Comte'em łączyło go jednak to samo przekonanie, że postęp nauki i techniki prowadzi ludzkość na skraj wielkiego historycznego przełomu, ten sam lęk przed rozpadem społeczeństwa oraz, co ciekawe, ta sama obsesja na punkcie świętej roli macierzyństwa. (Na fladze swego religijnego ruchu Comte zamierzał umieścić wizerunek ciężarnej kobiety).

Gingrich z kolei miał jeszcze jednego przewodnika duchowego, tym razem jawnie odwołującego się do religii. Był nim George Gilder, teolog, libertarianin i autor (między innymi) biuletynu „Gilder Technology Report". Jego również prześladowała obsesja na punkcie relacji między rozwojem techniki a przemianami społecznymi, ale Gilder był na swój sposób optymistą. Posługując się zradykalizowaną wersją argumentu Mandela o „trzeciej fali", twierdził, że zapoczątkowany w latach 70. rozwój komputerów oznacza wręcz „pokonanie materii". Stare, materialistyczne społeczeństwo ery przemysłowej, w którym źródłem wartości była praca fizyczna, przeszło do historii. Nastał nowy wiek: wiek informacji, w którym wartość wypływa prosto z umysłu przedsiębiorcy, tak samo jak świat pierwotnie wyłonił się ex nihilo z umysłu Boga i jak pieniądze w gospodarce podażowej wypływają ex nihilo z Banku Rezerwy Federalnej, by trafić prosto w ręce kreatywnych twórców wartości – kapitalistów. Przestrzeganie zasad ekonomii podażowej, konkludował Gilder, odciągnie inwestycje od równie kosztownych co bezsensownych przedsięwzięć rządowych (takich jak program eksploracji Kosmosu) i przyciągnie do bardziej produktywnych branż informatycznych i medycznych.

Gilder, który u progu swojej kariery deklarował, że pragnie zostać „pierwszym antyfeministą Ameryki", przekonywał ponadto, że taka zbawienna transformacja może dokonać się tylko pod warunkiem surowego przestrzegania tradycyjnych wartości rodzinnych. Nie postulował stworzenia

1980 roku wydał Trzecią falę[8], której wywód zaczerpnął bezpośrednio z koncepcji „trzeciej rewolucji technicznej" Ernesta Mandela – z tym, że o ile zdaniem Mandela przemiany techniczne miały ostatecznie doprowadzić do końca kapitalizmu, o tyle Toffler uznał, że kapitalizm będzie istnieć wiecznie. Z początkiem lat 90. został osobistym doradcą republikańskiego kongresmena Newta Gingricha, autora wydanej w 1994 roku książki Contract with America, zainspirowanej między innymi poglądem, że Stany Zjednoczone muszą odejść od przestarzałej, materialistycznej, wielkoprzemysłowej mentalności ku nowej, wolnorynkowej i zinformatyzowanej cywilizacji „trzeciej fali".

Niejedną można tu dostrzec ironię. Do największych realnych następstw Szoku przyszłości należy utworzenie w 1972 roku w ramach administracji amerykańskiej Urzędu do spraw Oceny Techniki (Office of Technology Assessment). Odpowiadał on z grubsza Tofflerowskiej koncepcji demokratycznego nadzoru nad potencjalnie szkodliwymi technologiami. Gingrich ze swej strony, gdy tylko objął fotel przewodniczącego Izby Reprezentantów w 1995 roku, uznał ów urząd za typowe państwowe marnotrawstwo i odebrał mu finansowanie. Tofflera to najwyraźniej nie speszyło. Do tego czasu porzucił już próby oddziaływania na politykę przez apelowanie do opinii publicznej, zaniechał zresztą wszelkiego udziału w debacie publicznej. Utrzymywał się z prowadzenia seminariów dla dyrektorów korporacji i specjalistów z biznesowych think tanków. Można powiedzieć, że jego wiedza została sprywatyzowana.

Gingrich lubił przedstawiać się jako „konserwatywny futurolog". Brzmi to niczym oksymoron, ale jeśli z dzisiejszej perspektywy przyjrzeć się dokonaniom Tofflera, zapatrywania polityczne nauczyciela i ucznia pokrywają się całkowicie. Szok przyszłości jest pozycją na wskroś konserwatywną. Toffler niezmiennie przedstawia postęp jako problem, który wymaga rozwiązania. Pozornie rozwiązaniem miała być demokratyczna kontrola, ale w wydaniu Tofflera „demokratyczna" znaczyła po prostu „biurokratyczna" – panele ekspertów miały decydować o tym, które wynalazki zatwierdzić, a które odłożyć na półkę. W tym sensie można dostrzec w Tofflerze współczesną, intelektualnie miałką wersję teoretyka społecznego z początków XIX wieku, Auguste'a Comte'a. Comte również sądził, że stoi na skraju nowej ery – w tym przypadku ery przemysłowej – którą napędza niepowstrzymany postęp techniczny, a przyczynę społecznych kataklizmów swoich czasów upatrywał

[8] Alvin Toffler, Trzecia fala, tłum. Ewa Woydyłło, przedmową opatrzył Wiktor Osiatyński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

Ale już w 1989 roku, kiedy twórcy Powrotu do przyszłości II z obowiązku umieścili w filmie latające samochody i lewitujące deskorolki (fabularny czas akcji: 2015 rok), nie było wiadomo, czy należy to rozumieć jako poważne przewidywanie, ukłon wobec futurystycznych tradycji science-fiction, czy jako nieco gorzki żart. Tak czy inaczej, była to jedna z ostatnich tego rodzaju wizji. Późniejsze produkcje science-fiction są zazwyczaj dystopijne i oscylują między ponurymi wizjami technofaszyzmu a barbarzyństwa z epoki kamiennej, jak w filmie Atlas chmur. Inne obrazy są natomiast wieloznaczne; osadzone w bliżej nieznanej przyszłości, która z tej racji staje się strefą czystej fantazji, nieróżniącą się niczym od Śródziemia czy Cimmerii. Bywa nawet, jak w Gwiezdnych wojnach, że przyszłość jest przenoszona do historii: „Dawno, dawno temu w odległej galaktyce". Najczęściej przyszłość w ogóle nie jest już czasem, który dopiero nadejdzie, a czymś w rodzaju alternatywnej historii, innego wymiaru, snu albo odległej technologicznej Nibylandii, której nadejście jest równie prawdopodobne co historyczny byt elfów i pogromców smoków. Taka przyszłość to po prostu ekran, na którym twórcy wyświetlają współczesne moralne dylematy i mityczne fantazje. Literatura i kino science-fiction stały się jedynie kostiumem – tak samo jak western, filmy wojenne, szpiegowskie, horrory czy baśnie.

Nie jest jednak prawdą, że nasza kultura pominęła rozczarowanie rozwojem technologii całkowitym milczeniem. Nasze zażenowanie powoduje po prostu, że rzadko mówimy o nim otwarcie. Jak w wielu innych kulturowych traumach, wyparliśmy uraz i możemy o nim mówić tylko wtedy, gdy wydaje się nam, że wypowiadamy się na zupełnie inny temat.

Z dzisiejszego punktu widzenia odnoszę wrażenie, że całą tę findesieclową wrażliwość kultury, którą przyjęło się nazywać „postmodernizmem", można zinterpretować jako długotrwałą medytację nad rozwojem nauki i techniki, który nigdy nie nastąpił. Zauważyłem to po raz pierwszy, oglądając najnowszą część Gwiezdnych wojen. Film był okropny. Za to jakość efektów specjalnych robiła imponujące wrażenie. Pamiętając toporne efekty z filmów science-fiction z lat 50., blaszane statki kosmiczne zawieszone na półprzezroczystych żyłkach, zastanawiałem się, jak możliwości dzisiejszego kina zachwyciłyby widzów z tamtych czasów. Odpowiedź przyszła natychmiast: w ogóle by ich nie zachwyciły! Byli przecież przekonani, że dziś będziemy to wszystko r o b i ć, a nie wymyślać coraz bardziej wyrafinowane symulacje na ekranie.

Oto fundamentalne pojęcie: „symulacja". Postęp techniczny, jakiego jesteśmy świadkami od lat 70., dokonał się głównie w informatyce, a więc w tech-

nologiach symulacji. Jean Baudrillard i Umberto Eco nazywali je technologiami „hiperrealizmu", które potrafią sprawić, że imitacja wydaje się bardziej realna od pierwowzoru. Cała postmodernistyczna wrażliwość, poczucie, że niepostrzeżenie weszliśmy w nową epokę historyczną, gdzie nie ma już nic nowego; że wielkie historyczne narracje o postępie i wyzwoleniu okazały się pozbawione znaczenia; że wszystko dziś jest symulacją, ironicznym powtórzeniem, przetworzeniem i pastiszem – to wszystko zaczyna nabierać sensu w świecie wypełnionym technologią, której wszystkie istotne przełomy służą wyłącznie temu, by ułatwić tworzenie, przesyłanie i przetwarzanie wirtualnych projekcji czegoś, co już istnieje, albo czegoś, co – jak dziś rozumiemy – nie będzie istnieć nigdy. Bo przecież gdybyśmy dzisiaj spędzali wakacje pod geodezyjnymi kopułami na Marsie albo nosili w kieszeni mikroelektrownie jądrowe czy telekinetyczne czytniki cudzych myśli, wszystkie te symulacje nie byłyby nam potrzebne. Ruch „postmodernistyczny" był po prostu rozpaczliwą próbą przedstawienia świata, który przyniósł jedynie gorzkie rozczarowanie, jako czegoś epokowego, nowego i fascynującego.

Warto zauważyć, że w pierwszych formułach postmodernizmu, w dużej mierze wywodzących się z tradycji marksistowskiej, ten technologiczny motyw nie był ukrytym podtekstem, ale jawnie go deklarowano. Oto fragment z wydanej w 1984 roku książki Postmodernizm, czyli logika kulturowa późnego kapitalizmu Fredrica Jamesona:

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, jak wielką ekscytację budziły maszyny w poprzedniej fazie kapitalizmu; najdonioślej rozbrzmiewał entuzjazm futurystów oraz pochwalne hymny Marinettiego na cześć karabinu maszynowego i samochodu. Maszyny po dziś dzień pozostają wizualnymi emblematami, kunsztownie rzeźbionymi ogniwami nadającymi energiom napędowym poprzedniej fazy modernizacji namacalny i obrazowy charakter [...], rewolucyjni czy komunistyczni artyści z lat trzydziestych [...] również próbowali czynić użytek z zachwytów nad energią maszyn, podejmując prometejskie dzieło rekonstrukcji społeczeństwa jako całości.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że dzisiejsza technologia nie stwarza już takich możliwości przedstawieniowych: jej emblematem nie jest ani turbina, ani nawet elewatory zbożowe czy kominy fabryczne z obrazów Sheelera, ani barokowy przepych rur i taśmociągów, ani nawet opływowe sylwetki pociągów – i wszystkich innych szybkich maszyn, przyczajonych nawet wówczas, gdy stoją w miejscu – tylko komputer, którego zewnętrzna powłoka nie ma żadnej emblematycznej czy wizualnej mocy, a nawet obudowy samych mediów, na przykład doskonale znane urządzenie domowe zwane telewizorem,

nę, a przez kolejne siedemdziesiąt lat rzeczywiście wzrastała wykładniczo. W 1970 roku, gdy Toffler pisał swoją książkę, najwyższa szybkość, z jaką przemieszczał się człowiek, wynosiła już 39 897 kilometrów na godzinę – z taką prędkością załoga statku Apollo 10 weszła w ziemską atmosferę zaledwie rok wcześniej. Skoro wzrost postępował w takim tempie, można było przypuszczać, że w ciągu kilku dziesięcioleci ludzkość dotrze do innych układów planetarnych. Jednak od 1970 roku ta prędkość już nie wzrosła. Do dziś nikt nie pobił rekordu załogi Apollo 10. Rok później co prawda osiągnięto jeszcze rekord szybkości komercyjnych lotów pasażerskich: 22 530 kilometrów na godzinę, gdy w 1971 roku do służby wszedł naddźwiękowy samolot Concorde. Jednak od tamtej pory prędkość liniowców pasażerskich nie tylko nie rosła, ale wręcz spadła, gdy w 2003 roku wycofano Concorde'a z eksploatacji[7].

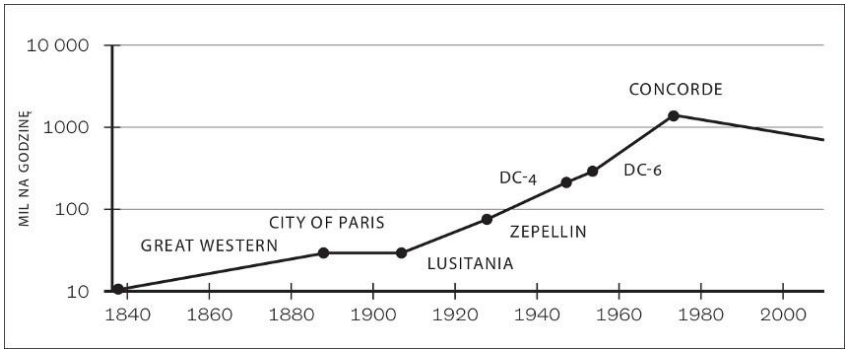

Rys. 1. Maksymalna prędkość, z jaką może poruszać się człowiek. Źródło elektroniczne: ((http://www.foundersfund.com%20/%20uploads%20/%20ff_manifesto.pdf)(www.foundersfund.com / uploads / ff_manifesto.pdf))

Toffler mylił się więc całkowicie, co zresztą ani trochę nie zaszkodziło jego karierze. Charyzmatyczni prorocy rzadko ponoszą konsekwencje, gdy ich przepowiednie się nie sprawdzają. Toffler nieustannie przykładał nowe narzędzia do swojej analizy i co dekadę ogłaszał kolejne spektakularne prognozy, zawsze spotykające się z powszechnym uznaniem i zyskujące poklask. W

[7] Również i tu istnieje radziecki odpowiednik: Tupolew TU-144, pierwszy naddźwiękowy samolot pasażerski, który odbył swój debiutancki lot na kilka miesięcy przed Concorde'em w 1968 roku, został wycofany w 1983 roku.

wymyka się spod wszelkiej kontroli. Opublikowany w 1970 roku bestseller Alvina Tofflera Szok przyszłości stanowił apogeum tego sposobu myślenia. Z dzisiejszej perspektywy to fascynująca i wiele mówiąca książka[6].

Toffler twierdził w niej, że niemal wszystkie problemy społeczne lat 60. można przypisać rosnącemu tempu przemian technologicznych. Rwący potok odkryć naukowych nieustannie przekształca podstawy naszej codziennej egzystencji, pisał, a wskutek tego Amerykanie czują się bezwolni i nie wiedzą już, jak właściwie powinno wyglądać „normalne" życie. Najłatwiej można było zaobserwować ten proces w życiu rodzinnym, gdzie – zdaniem Tofflera – już nie tylko pigułka antykoncepcyjna, ale także sztuczne zapłodnienie, „dzieci z probówki" oraz banki spermy i jajeczek podawały w wątpliwość samą koncepcję macierzyństwa. Toffler dostrzegał podobne zjawiska w każdej sferze życia społecznego – niczego nie można już było być pewnym. A ludzie okazali się psychicznie nieprzygotowani na tak szybki nurt przemian. Dlatego pisarz ukuł nawet pojęcie na opisanie tego zjawiska: „napór przyspieszenia" (accelerative thrust). Przyspieszenie postępu technicznego zaczęło się prawdopodobnie wraz z rewolucją przemysłową, jednak około 1850 roku, pisał, jego skutki dawały o sobie znać bardzo wyraźnie. Nie chodziło już wyłącznie o to, że zmieniał się cały otaczający świat, ale że masa gromadzonej wiedzy, liczba ludności, rozwój przemysłowy i ilość zużywanej energii rosły w tempie wykładniczym. Toffler uważał, że jedynym wyjściem będzie stopniowe objęcie tego procesu kontrolą demokratyczną: odpowiednie instytucje miałyby oceniać nowe technologie i ich potencjalne efekty, powstrzymywać te, które mogły mieć zbyt destrukcyjny wpływ na społeczeństwo, i tak kierować rozwojem, by sprzyjał społecznej harmonii.

Toffler trafnie opisuje wiele ówczesnych tendencji, ale fascynujące jest to, że jego książka ukazała się niemal dokładnie w chwili, w której większość tych tendencji ustała. Właśnie około 1970 roku zaczęła się na przykład stabilizować liczba publikacji naukowych na świecie, która od 1685 roku do tamtej chwili podwajała się co około piętnaście lat. To samo dotyczy liczby publikowanych książek i przyznawanych patentów. W innych dziedzinach wzrost nie tyle spowolnił, co zupełnie się zatrzymał. Pisząc o „przyspieszeniu", Toffler mylił się więc całkowicie. Odkąd istnieje ludzkość, maksymalna szybkość, z jaką człowiek może się poruszać, wynosiła około czterdzieści kilometrów na godzinę. W 1900 roku urosła do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzi-

[6] Alvin Toffler, Szok przyszłości, tłum. Wiktor Osiatyński, Elżbieta Grabczak-Ryszka, Ewa Woydyłło, Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 2007.

które niczego nie wyraża. Wprost przeciwnie – raczej imploduje, skrywając w swym wnętrzu powierzchnię własnego obrazu[3].

Kiedyś czysta potęga nauki i techniki dawała nam poczucie, że historia toczy się naprzód; dziś pozostała nam tylko gra obrazów na ekranie.

Zaproponowany przez Jamesona termin „postmodernizm" w zamierzeniu autora miał odnosić się do kulturowej logiki odpowiadającej nowej fazie kapitalizmu – tej, którą Ernest Mandel już w 1972 roku nazwał „trzecią rewolucją techniczną". Ludzkość, pisał Mandel, stoi u progu transformacji równie głębokiej co rewolucja agrarna i przemysłowa, w której komputery, roboty, nowe źródła energii i nowe technologie informatyczne praktycznie zastąpią pracę przemysłową, jaką znamy. Gdy nadejdzie ów „koniec pracy" (jak wkrótce go nazwano), wszyscy zostaniemy projektantami i programistami, a cybernetyczne fabryki urzeczywistnią każdą naszą szaloną wizję[4]. Na przełomie lat 70. i 80. tezy o końcu pracy zyskiwały na popularności, a radykalni myśliciele dociekali, co stanie się z tradycyjną walką klasy pracującej, kiedy klasy pracującej już nie będzie. (Odpowiedź: przekształci się w politykę tożsamościową).

Jameson w swoim mniemaniu zgłębiał formy świadomości i historycznie uwarunkowanej mentalności, jakie miały wyłonić się w nowej erze. Jak już wiemy, żadne z oczekiwanych przełomów technicznych się nie zmaterializowały. Zamiast tego technologie komputerowe i nowe metody organizowania transportu – takie jak morski transport kontenerowy – umożliwiły wyeksportowanie miejsc pracy w przemyśle do Azji Wschodniej, Ameryki Łacińskiej i wszędzie tam, gdzie dostępność taniej siły roboczej pozwalała producentom stosować znacznie mniej zaawansowane technicznie procesy produkcyjne, niż musieliby wdrażać u siebie. To prawda: z perspektywy mieszkańców Europy, Ameryki Północnej, a nawet Japonii, powierzchowne efekty tego procesu mogły wydawać się zgodne z przewidywaniami. Wielki przemysł zanikał. Miejsca pracy rozdzielono między niższą warstwę pracowników sektora usługowego a wyższą warstwę pracowników umysłowych, pochylonych nad klawiaturami w aseptycznych boksach. Jednak nie opuszczał nas niepokój, że cała ta „postrobotnicza" cywilizacja jest w

[3] Cytat z książki Fredrica Jamesona Postmodernizm, czyli logika kulturowa późnego kapitalizmu, tłum. Michał Płaza, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, s. 2011, s. 35 i nast. Artykuł ukazał się pierwotnie w 1984 roku.

[4] Książka ukazała się pierwotnie w 1972 roku w języku niemieckim jako Der Spätkapitalismus. Pierwsze wydanie angielskojęzyczne nosiło tytuł Late Capitalism, Humanities Press, London 1975.

gruncie rzeczy oszustwem. Naszych supernowoczesnych sneakersów nie wyprodukowały ani inteligentne cyborgi, ani samoreplikujące się nanoboty. Powstały na maszynach niewiele różniących się od staroświeckich Singerów. Uszyły je córki meksykańskich i indonezyjskich rolników, których sponsorowane przez WTO umowy o wolnym handlu wyparły z uprawianej od pokoleń ziemi. Sądzę, że to właśnie t o poczucie winy legło u podłoża postmodernistycznej wrażliwości, celebrującej nieustającą, powierzchowną grę obrazów, oraz przekonanej, że modernistyczne narracje, które miały przydać tym obrazom głębi i realności, okazały się kłamstwem.

A więc: dlaczego prognozowana i masowo oczekiwana eksplozja rozwoju naukowo-technicznego nie doszła do skutku? Dlaczego w fabrykach nie pracują roboty, a ludzie nie spędzają urlopu na Księżycu? Logicznie rzecz biorąc, są tylko dwie możliwości. Albo nasze oczekiwania co do tempa rozwoju techniki były nierealistyczne – a w takim przypadku trzeba się zastanowić, dlaczego tak wielu inteligentnych ludzi nie uważało ich za wygórowane – albo spełnienie ich leżało w granicach możliwości – a wówczas należy zapytać, co spowodowało, że postęp naukowo-techniczny poszedł zupełnie inną drogą.

Kiedy kulturoznawcy zadają sobie dziś to pytanie – a czynią to rzadko – za każdym razem wybierają pierwszą odpowiedź. Typowe podejście polega na wskazaniu źródła problemu, jakim mają być iluzje nabudowane wokół zimnowojennego wyścigu w kosmos. Dlaczego właściwie, pyta wielu, między latami 50. a 70. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki dały się ponieść obsesji załogowych lotów kosmicznych? Przecież jako metoda prowadzenia badań naukowych nigdy nie były one ekonomicznie uzasadnione. Czy nie chodziło raczej o to, że w XIX stuleciu zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie byli społeczeństwami pionierów, z których jedno rozprzestrzeniało się na zachód kontynentu amerykańskiego, a drugie pokonywało bezdroża Syberii? Czy w obu przypadkach nie można mówić o tym samym zbiorowym przywiązaniu do mitu nieograniczonej niczym przyszłości i nieograniczonego rozwoju, kolonizowania bezkresnych, pustych przestrzeni? Czy ten mit nie pomógł przekonać przywódców obu supermocarstw, że nadszedł „wiek podboju kosmosu", a kosmiczny wyścig jest de facto rywalizacją o to, do kogo będzie należeć przyszłość? I czy z tej właśnie rywalizacji nie narodziły się po obu stronach oderwane od rzeczywistości wyobrażenia o tym, jak ta przyszłość będzie wyglądać[5]?

[5] Prawdopodobnie klasycznym przedstawieniem tego stanowiska jest Space and the American Imagination Howarda McCurdy'ego (Smithsonian, Washington, D.C., 1997), ale tę samą

Jest w tym oczywiście część prawdy. Lotom kosmicznym towarzyszyły przemożne mity. Jednak niemal każdy ludzki projekt na tak wielką skalę jest osadzony w jakiejś mitycznej wizji – a samo w sobie nie mówi to jeszcze nic o jego wykonalności. W tym rozdziale chcę przyjrzeć się drugiej z wymienionych możliwości. Są powody sądzić, że nie wszystkie z tych pomysłów były z definicji nierealne. Przynajmniej niektóre idee rodem z science-fiction mogły się ziścić (choć dziś nie dowiemy się już które). W przeszłości zdarzało się tak wielokrotnie. Czytelnicy powieści Jules'a Verne'a i Herberta George'a Wellsa z przełomu XIX i XX wieku, próbując wyobrazić sobie świat w roku, dajmy na to, 1960, zapewne przewidywali machiny latające, rakiety, łodzie podwodne, nowe formy energii i łączność bezprzewodową. Wszystkie te oczekiwania spełniły się za życia wielu z nich. Jeśli w 1900 roku marzenie o podróży człowieka na Księżyc nie było czymś nierealistycznym, dlaczego nierealistyczne miałyby być tornistry odrzutowe i roboty robiące pranie? Jeśli między rokiem 1750 a 1950 regularnie pojawiały się nowe źródła energii (para, elektryczność, ropa naftowa, atom), dlaczego nierealistyczne miało być oczekiwanie, że od tamtej pory do dziś odkryjemy co najmniej jedno takie źródło?

Warto zauważyć, że rozpędzone w pierwszej połowie XX wieku tempo rozwoju innowacji technicznych zaczęło zwalniać już w latach 50. i 60. Ostatnia duża seria wynalazków przypada na lata 50., kiedy w krótkich odstępach czasu pojawiły się kuchenki mikrofalowe (1954), pigułka antykoncepcyjna (1957) i lasery (1958). Od tamtej pory postęp techniczny polega głównie już to na wynajdywaniu pomysłowych metod łączenia istniejących technologii (loty kosmiczne), już to na dostosowywaniu istniejących rozwiązań do potrzeb masowego rynku konsumentów (odbiornik telewizyjny, wynaleziony w 1926 roku, ale wprowadzony do masowej produkcji na przełomie lat 40. i 50., w ramach świadomej próby generowania popytu na dobra konsumenckie miał zapobiec osunięciu się amerykańskiej gospodarki w kolejną depresję). Tym niemniej program lotów kosmicznych pozwalał odnieść wrażenie dokonywania się olbrzymich postępów w nauce i technice. W latach 60. dominował pogląd, że rozwój technologii pędzi w zawrotnym tempie i wręcz

retorykę można odnaleźć też w innych pozycjach: Stephen J. Pyne, A Third Great Age of Discovery, [w:] Carl Sagan, Stephen J. Pyne, The Scientific and Historical Rationales for Solar System Exploration, SPI 88–1, Space Policy Institute, George Washington University, Washington, D.C., 1988, oraz Linda Billings, Ideology, Advocacy, and Spaceflight: Evolution of a Cultural Narrative, [w:] The Societal Impact of Spaceflight, ed. Stephen J. Dick, Roger D. Launius, NASA, Washington, D.C., 2009.

na innych ludzi przez to, że dowiedzą się lub usłyszą o nim[33]. Polityka dnia codziennego, czy to w wiejskiej osadzie, czy w gabinetach zarządu korporacji, to przecież nic innego jak wytwarzanie oficjalnych narracji, plotek i relacji. To logiczne, że społeczeństwa heroiczne, które z politycznej autokreacji uczyniły sztukę, byłyby także zorganizowane jako ogromne mechanizmy generowania opowieści. Wszystko staje się tam areną dla tej czy innej formy zmagań, dla przedstawiania historii czyjejś niezłomności, zdrady, zemsty, podejmowania wyzwań ponad ludzkie siły, epickich wypraw, dramatycznych przygód, wielkich poświęceń i tak dalej. Właśnie dlatego tak istotną rolę pełnili poeci. Sens życia upatrywano w dokonywaniu czynów, które inni będą chcieli opiewać. Od samego początku mieszkańcy biurokratycznych społeczeństw takich jak Egipt i Babilonia nie uniknęli fascynacji barbarzyńską prowincją, spowitymi mrokiem krainami, które w ich wyobraźni wkrótce zaroiły się od wszelkiej maści potworów oraz niepojętych magicznych mocy. A trzymające w napięciu opowieści o krwawych zmaganiach barbarzyńców tylko zyskiwały na atrakcyjności w czasach, gdy rzeczywistych barbarzyńców z ich heroicznymi dokonaniami trzeba było szukać ze świecą.

Barbarzyńcy zawsze istnieją w symbiozie z cywilizacją biurokratyczną. Ta prawidłowość powtarza się w całej historii Eurazji. Społeczeństwa heroiczne powstawały na obrzeżach imperiów. Bywało, że barbarzyńcy najeżdżali te imperia i podbijali je (jak choćby Germanie, zaludniający pogranicza Imperium Rzymskiego, „barbarzyńcy z północy" czyhający tuż za chińskim Wielkim Murem albo Hunowie, którzy pomieszkiwali na obu tych obszarach), ale wtedy opowieści o ich wyczynach szybko przeistaczały się w legendy[34].

Źródeł współczesnej literatury fantastycznej można szukać w romansach rycerskich późnego średniowiecza, takich jak Amadis z Walii czy Orland szalony, ale rozpoznawalnych form gatunku nabrała ona dopiero w epoce wiktoriańskiej, mniej więcej równocześnie z falą powszechnego entuzjazmu dla usług pocztowych. Literatura fantastyczna jest specyficznie osadzona w czasie. W pewnym sensie typowe dla tego gatunku ramy czasowe są współczesnym odpowiednikiem baśniowego „pewnego razu": to zarazem płynna, niedookreślona przeszłość, jak i inny wymiar istniejący równocześnie z naszym, w którym czas i przestrzeń działają zupełnie inaczej (a jak mówi wiele z tych opowieści, nadal istnieją portale umożliwiające przeniknięcie z nasze-

[33] Pisałem o tym w mojej wcześniejszej książce Lost People: Magic and the Legacy of Slavery in Madagascar, Indiana University Press, Bloomington 2007, s. 129 – 131.

[34] Attyla, władca Hunów, pojawia się na przykład w Pieśni o Nibelungach i Sadze rodu Wölsungów.

błyskotliwych ekscentryków, geniuszy i niepraktycznych: w społeczeństwie nie ma dziś dla nich w ogóle miejsca.

Jeśli dzieje się tak w naukach społecznych, gdzie badania są nadal przede wszystkim domeną jednostek i wymagają niewielkich nakładów finansowych, to łatwo sobie wyobrazić, o ile trudniej jest na przykład fizykom. Jeden z nich przestrzegał niedawno studentów rozważających karierę naukową, że nawet gdy z popychadła przełożonych staną się samodzielnymi pracownikami naukowymi, to ich najlepsze pomysły na każdym kroku będą udaremniane.

Zamiast na badania większość czasu będziecie poświęcać na pisanie wniosków o granty. Co gorsza, ponieważ wnioski oceniają wasi rywale, będziecie wkładać cały swój talent i wysiłek nie w rozwiązywanie najtrudniejszych problemów współczesnej nauki, ale w próby przewidzenia i odparcia uwag krytycznych [...]. Oryginalny pomysł we wniosku o finansowanie to pocałunek śmierci, ponieważ nikt nie wie, czy taki pomysł ma szanse powodzenia[26].

To pokrótce daje odpowiedź na pytanie, dlaczego nie mamy dziś teleportacji czy napędu antygrawitacyjnego. Zdrowy rozsądek podpowiada, że aby stworzyć idealne warunki do pracy twórczej, trzeba znaleźć utalentowanych naukowców, dać im środki, których potrzebują, by zgłębiać wszystko, co przyjdzie im do głowy, a potem zostawić ich na jakiś czas w spokoju. Większość prawdopodobnie niczego ciekawego nie stworzy, ale jedna czy dwie osoby mogą dokonać zupełnie nieoczekiwanych odkryć. Jeśli natomiast chcemy, aby prawdopodobieństwo przełomowych odkryć było jak najmniejsze, wówczas trzeba powiedzieć tym samym naukowcom, że środki na badania otrzymają tylko ci, którzy pokonają konkurencję i najbardziej przekonująco wykażą, że wiedzą, jakie odkrycia przyniosą ich badania[27].

Taki właśnie system panuje obecnie[28].

[26] Jonathan L. Katz, Don't Become a Scientist!, źródło elektroniczne: wuphys.wustl.edu / ~katz / scientist.html.

[27] Co gorsza – opowiadają znajomi z branży – grantodawcy nagminnie żądają, aby to sami naukowcy, a nie ich podwładni, pisali wnioski o finansowanie, raporty z postępów badań i tak dalej. W efekcie nawet najznakomitsi uczeni poświęcają około czterdzieści procent czasu pracy na wypełnianie dokumentów.

[28] To prawda, że niektóre prywatne firmy z Doliny Krzemowej, kreujące się na radykalnie nowatorskie, przysposabiają niekiedy jakąś odmianę klasycznych badań podstawowych w stylu Bell Labs i z fanfarami obwieszczają ten fakt całemu światu. Jednak kiedy przyjrzeć się tym inicjatywom z bliska, zwykle okazuje się, że to jedynie deklaracje służące poprawieniu wizerunku firmy. W Dolinie Krzemowej i pokrewnych branżach innowacja jest niemal wyłącznie domeną

W naukach przyrodniczych do tyranii technik zarządzania należy jeszcze dodać pełzającą prywatyzację wyników badań. Jak przypomniał niedawno brytyjski ekonomista David Harvie, badania naukowe open source nie są niczym nowym. Badania naukowe od zawsze były „otwarte" w tym sensie, że uczeni swobodnie wymieniali się materiałami i wynikami. Istnieje oczywiście konkurencja, ale (jak to zgrabnie ujął) ma ona charakter „towarzyski":

> Towarzyska konkurencja polega na tym, że zależy mi, abym to ja (lub mój zespół badawczy) jako pierwszy przeprowadził jakiś dowód, wyjaśnił jakieś zjawisko przyrodnicze, opisał nieznany dotąd gatunek, gwiazdę lub cząstkę – zupełnie tak samo, jak kiedy ścigam się z przyjacielem na rowerach. Ale towarzyska konkurencja nie wyklucza współpracy. Rywalizujący ze sobą badacze (czy zespoły) dzielą się wstępnymi wynikami, wymieniają się doświadczeniem z określonymi technikami badań i tak dalej [...]. Łączny zasób naszej wiedzy, zgromadzonej w książkach, artykułach, programach komputerowych i przekazywanej sobie bezpośrednio przez naukowczynie i naukowców, jest naszym intelektualnym dobrem wspólnym[29].

Nie dotyczy to rzecz jasna naukowców zatrudnionych w sektorze prywatnym, gdzie każde odkrycie jest zazdrośnie strzeżone. Co gorsza, odkąd mentalność korporacyjna wtargnęła do uniwersytetów i instytucji naukowych, naukowcy zaczęli traktować wszystkie swoje dokonania jako własność prywatną, nawet gdy ich badania są finansowane ze środków publicznych. Przez to ukazuje się mniej publikacji naukowych. Wydawnictwa akademickie dokładają wszelkich starań, aby utrudnić dostęp do już opublikowanych wyników – grodzenie intelektualnego dobra wspólnego trwa w najlepsze. W rezultacie konkurencja przestaje być „towarzyska" i otwarta, a zaczyna przypominać klasyczną konkurencją rynkową.

Prywatyzacja przybiera rozmaite formy, włącznie z taką, że koncerny wykupują i ukrywają niewygodne odkrycia, których skutki ekonomiczne mo-

start-upów. Większość obiecujących badań prowadzi się obecnie nie w prywatnych korporacjach i nie w ramach struktur finansowanych przez państwo, ale w sektorze non profit (który obejmuje większość uczelni wyższych), przy czym nawet tutaj postępująca korporatyzacja kultury organizacyjnej sprawia, że coraz więcej czasu i wysiłku pochłania zdobywanie funduszy.

[29] David Harvie, Commons and Communities in the University: Some Notes and Some Examples, „The Commoner" Autumn / Winter 2004, no. 8. Źrodło elektroniczne: www.commoner.org.uk / 08harvie.pdf.

lających wielkie kupiecko-biurokratyczne społeczności Mezopotamii, Egiptu i doliny Indusu, a później także imperia takie jak Rzym, Persja i Chiny. Gospodarczo wiele nici łączyło te społeczeństwa z ośrodkami miejskimi. Dostarczały do miast surowce, a importowały wszelkie bogactwa i skarby powstające w miejskich warsztatach. Jednak od samego początku każda strona definiowała swoją tożsamość w opozycji do tej drugiej. Dla ludności miast cywilizowany był ten, kto nie postępował jak barbarzyńca; barbarzyńcy ze swej strony stworzyli takie porządki społeczne, które stawiały na głowie wszystkie elementarne wartości cywilizacji kupiecko-biurokratycznej. Jedni tworzyli arcydzieła literatury i delektowali się nimi; drudzy w ogóle nie posługiwali się pismem, za to wysoko cenili bardów, którzy improwizowali za każdym razem nowe epickie poematy i pieśni. Gdy jedni gromadzili i pieczołowicie rejestrowali wszelkie dobra materialne, drudzy urządzali wielkie potlacze – fety, podczas których bezcenne skarby albo rozdawano zwolennikom bądź rywalom w geście pogardy dla bogactwa materialnego, albo porzucano, palono czy topiono w morzu. Jedni wytworzyli usuwającą się w cień biurokrację, która dawała poczucie przewidywalności i stabilności; natomiast życie publiczne drugich kręciło się wokół charyzmatycznych liderów-egomaniaków, zwartych w niekończącej się walce o supremację.

Pierwsze społeczeństwa heroiczne, powstałe w epoce brązu, w czasach Platona czy Konfucjusza mogły być jedynie bardzo odległym wspomnieniem. Mimo to pamięć o nich pozostała żywa. Niemal każda wielka tradycja literacka zaczyna się od heroicznych epopei, które są w gruncie rzeczy fantazyjnymi rekonstrukcjami wyobrażeń o tym, jak owe heroiczne społeczeństwa epoki brązu mogły wyglądać. Można zapytać o przyczynę tej prawidłowości. Dlaczego te same ludy, w których jedna mieszczańska cywilizacja widziała wyłącznie godnych pogardy nieokrzesanych barbarzyńców, dla późniejszych cywilizacji są tak często odległymi, heroicznymi praprzodkami? Dlaczego historie ich bohaterskich wyczynów opowiada się raz po raz od tysiącleci?

Myślę, że po części można to tłumaczyć tym, że społeczeństwa heroiczne są w gruncie rzeczy społecznymi porządkami stworzonymi do generowania opowieści. W ten sposób wracamy do pytań o naturę polityki. Można powiedzieć, że działanie polityczne, nawet w skali mikro i na najniższym poziomie, to takie działanie, które choćby w ograniczonym stopniu ma wpłynąć

heroicznych pisałem w Culture as Creative Refusal, „Cambridge Anthropology" 2013, vol. 31, no. 2, s. 1 – 19.

dawaniu kosztownych darów[31]. Takie porządki społeczne noszą miano „heroicznych" i jawią się jako kwintesencja polityczności. Nie kierują się one zasadą suwerenności ani nie tworzą systemu administracji. Jeśli można tam spotkać królów, to albo ich władza jest ograniczona, albo oni sami są tylko figurantami. Rzeczywista władza podlega nieustannym fluktuacjom; charyzmatyczni arystokraci rekrutują zwolenników, zwycięzcy przejmują dobra swoich rywali, a przegranych czekają widowiskowy upadek albo zapomnienie.

Tak rozumiana polityka zawsze była zjawiskiem przyrodzonym arystokracji. (Nie bez przyczyny w amerykańskim senacie zasiadają sami milionerzy). Właśnie dlatego w europejskiej historii wybory uważano nie za demokratyczną, ale arystokratyczną metodę selekcji urzędników państwowych. „Arystokracja" znaczy przecież „rządy najlepszych. Wybory oznaczały, że jedyną rolą zwykłych obywateli jest wskazanie, których spośród „najlepszych" obywateli uważają za najbardziej godnych urzędu – podobnie jak homerycki sługa czy mongolski jeździec mógł zmienić pana, składając przysięgę innemu charyzmatycznemu wojownikowi. (Za demokratyczny sposób wybierania urzędników, przynajmniej od czasów starożytnej Grecji, uważano loterię – losowy wybór spośród zwykłych obywateli).

Czy ma to coś wspólnego ze smokami i czarownikami? Wygląda na to, że bardzo dużo. Wszystko bowiem wskazuje, że takie heroiczne porządki nie powstawały spontanicznie, obok społeczeństw biurokratycznych, ale rodziły się w pewnego rodzaju symbiotycznej rywalizacji z nimi. Pamięć o nich przetrwała natomiast dlatego, że symbolizowały całkowite odrzucenie porządku biurokracji.

Tu znów muszę powróCIĆ DO ARCHEOLOGII, a szczególnie do badań nad starożytnym Bliskim Wschodem, jakie prowadzi mój przyjaciel, David Wengrow[32]. Społeczeństwa, które nazywam „heroicznymi", o ile dziś wiemy, zrodziły się na wzgórzach, górskich zboczach, pustyniach oraz stepach oka-

[31] W antropologii można przytoczyć przykład Maorysów albo rdzennych plemion zamieszkujących północno-zachodnie wybrzeża Ameryki Północnej (nazywanych niekiedy „społeczeństwami potlaczowymi", które dzieliły się na klasę arystokracji i gmin i w których nie istniał centralny system władzy czy administracji), a nawet bardziej egalitarnych społeczeństw heroicznych, takich jak lud Iatmul z Papui Nowej Gwinei, gdzie wszyscy dorośli mężczyźni nieustannie oddawali się tego rodzaju pozerstwu.

[32] Fundamentalnym dla mnie tekstem jest artykuł Davida Wengrowa „Archival" and „Sacrificial" Economies in Bronze Age Eurasia: An Interactionist Approach to the Hoarding of Metals, [w:] Interweaving Worlds: Systemic Interactions in Eurasia, 7th to the 1st Millennia BC, ed. Toby C. Wilkinson, Susan Sherratt, John Bennet, Oxbow, Oxford 2011, s. 135 – 144. O społeczeństwach

głyby tym koncernom zagrozić[30]. Wszystko to jest powszechnie znane. Nieco subtelniej działa inne zjawisko: menedżerski etos nie dopuszcza do realizowania koncepcji choćby odrobinę ryzykownych czy niecodziennych, szczególnie jeśli nie obiecują szybkich i praktycznych rezultatów. O dziwo, częścią tego problemu okazuje się Internet:

> Oto scenariusz znany większości pracowników korporacji i uniwersytetów: Przy jednym stole zasiadają inżynierowie i wymieniają się pomysłami. Z ożywionej dyskusji wyłania się obiecująca koncepcja. Wtedy z kąta sali odzywa się ktoś z laptopem: wrzucił parę słów kluczowych do wyszukiwarki i sprawdził, że pomysł wcale nie jest nowy, a przeciwnie, w tej czy nieco innej postaci został już wypróbowany. Albo okazał się niewypałem, albo zadziałał. Jeśli to pierwsze, żaden szanujący swoją posadę menedżer nie odważy się wydać pieniędzy na próby ożywienia nieudanej koncepcji. Jeśli pomysł okazał się trafiony, wówczas został już opatentowany, a rynek uważa się za niedostępny, ponieważ pierwotni pomysłodawcy mają „przewagę pierwszego oferenta" i stworzyli „bariery wejścia". Ile potencjalnie obiecujących pomysłów zostało w ten sposób wyrzuconych na śmietnik? Zapewne miliony[31].

Takimi przykładami można sypać i sypać. Całe nasze życie intelektualne przenika podszyty strachem duch biurokracji, przystrojony zwykle w piórka kreatywności, inicjatywy i przedsiębiorczości. Te pojęcia jednak utraciły sens. Tym, którzy mają największe szanse dokonać naukowego przełomu, najtrudniej zdobyć finansowanie. A kiedy mimo to przełom się dokonuje, mało kto jest skłonny podążyć za jego najdalej idącymi konsekwencjami.

Chciałbym nieco wnikliwiej przyjrzeć się kontekstowi historycznemu, który zarysowałem we wprowadzeniu.

Włoski znawca ekonomii politycznej Giovanni Arrighi zauważył, że po krachu, do jakiego w 1720 roku doprowadziła wywołana przez Kompanię Mórz

[30] Nie sposób się dowiedzieć, na przykład, czy koncerny paliwowe rzeczywiście wykupują i ukrywają koncepcje alternatywnych źródeł energii, ale spekuluje się szeroko, że tak właśnie się dzieje. Pewna rosyjska dziennikarka opowiadała mi o swoim znajomym, który wynalazł internetową stację bazową zdolną dostarczyć darmową sieć bezprzewodową całemu miastu. Jeden z największych operatorów internetowych wkrótce wykupił patent za kilka milionów dolarów i schował pod korcem. Prawdziwości takich doniesień z definicji nie można zweryfikować, ale znaczące jest już to, że istnieją i nie wydają się niewiarygodne.

[31] Neal Stephenson, Innovation Starvation, „World Policy Journal", Fall 2011, s. 11 – 16.

Południowych bańka spekulacyjna znana jako „South Sea Bubble", brytyjski kapitalizm w dużej mierze porzucił formułę korporacyjną. Gospodarka oparta na wielkiej finansjerze i małych przedsiębiorstwach rodzinnych, która wyłoniła się po rewolucji przemysłowej, utrzymała się przez całe następne stulecie. W obserwowanym przez Marksa Londynie, gdzie nowatorstwo w nauce i technice sięgało właśnie szczytu, w Manchesterze czy w Birmingham dominującej formy kapitalizmu nie reprezentowały wielkie konglomeraty, ale indywidualni fabrykanci. (Między innymi właśnie dlatego Marks przyjmował, że mordercza konkurencja jest nieodłączną cechą kapitalizmu). Ówczesna Wielka Brytania hołubiła wszelkiej maści dziwaków i ekscentryków w takim samym stopniu, w jakim współczesna Ameryka ich nie toleruje. Często przydzielano im posady wiejskich pastorów, a oni, jak można się było spodziewać, stawali się jednymi z najpłodniejszych autorów amatorskich odkryć naukowych[32].

Jak wspominałem, współczesny, biurokratyczny kapitalizm korporacyjny ma swoje początki w Stanach Zjednoczonych i Niemczech. Te właśnie kraje stoczyły ze sobą dwie krwawe wojny, których punkt kulminacyjny stanowiły – a jakże – zakrojone na olbrzymią skalę i finansowane z budżetu państwa programy naukowe mające jak najszybciej doprowadzić do skonstruowania bomby atomowej. I rzeczywiście, nawet struktura amerykańskich uniwersytetów jest wzorowana na modelu pruskim. Z początku i Stanom Zjednoczonym, i Niemcom udawało się znaleźć miejsce dla twórczych ekscentryków. Zadziwiająco wielu z nich pochodziło właśnie z Niemiec i trafiło do Ameryki. (Modelowym przykładem jest oczywiście Albert Einstein). W latach drugiej wojny światowej, gdy sytuacja bywała rozpaczliwa, olbrzymie państwowe przedsięwzięcia takie jak Projekt Manhattan nadal potrafiły włączyć w swój obieg całe zastępy błyskotliwych oryginałów (Oppenheimera, Feynmana, Fuchsa...). Ale im bezpieczniej czuła się Ameryka w swojej potędze, tym mniej tolerancji miała jej biurokracja dla wszelkich odstępstw od normy. A strumień nowatorskich pomysłów zaczął wysychać.

[32] Jestem przekonany, że steampunk jako gatunek jest wyrazem nostalgii za takim właśnie stanem rzeczy. Biorąc kiedyś udział w dyskusji panelowej na ten temat, zwróciłem uwagę, że komentatorzy rozwodzili się nad członem steam, a całkowicie pomijali punk. Esencją punk rocka lat 70. był zupełny brak pozytywnej wizji przyszłości – jedno z najsłynniejszych haseł tej subkultury brzmiało przecież „No future". A upodobanie do fantastyczno-naukowych wyobrażeń przyszłości rodem z ery wiktoriańskiej bierze się z uderzającej nostalgii za ostatnią chwilą, tuż przed hekatombą pierwszej wojny światowej, gdy wiara w nadejście lepszej przyszłości była jeszcze czymś naturalnym i powszechnym.

tych czasach nie przyszłoby to do głowy – to logika podbojów imperialnych, a nie cywilizowanych wspólnot.

Druga zasada to administracja, która może istnieć i często istnieje bez pojedynczego ośrodka władzy egzekwującego jej postanowienia. Można ją równie dobrze nazwać biurokracją. Najnowsze znaleziska archeologiczne z Mezopotamii świadczą wręcz, że techniki biurokratyczne wykształciły się przed powstaniem nie tylko suwerennych państw, ale nawet pierwszych miast. Nie wynaleziono ich w celu organizowania społeczeństw zbyt licznych, aby mogły opierać się wyłącznie na relacjach osobistych, lecz odwrotnie: to właśnie rozwój technik biurokratycznych zachęcał ludzi do gromadzenia się w tak duże społeczności. Na to w każdym razie wskazują badania. Standaryzacja produktów, magazyny, certyfikaty, rejestry, redystrybucja i księgowość wyłoniły się po raz pierwszy w niewielkich miastach w dorzeczu Tygrysu i Eufratu w piątym tysiącleciu przed naszą erą, na tysiąc lat przed „miejską rewolucją"[30]. Nie wiemy, jak do tego doszło ani dlaczego. Nie wiemy nawet, czy istnieli wówczas biurokraci (jako wyodrębniona klasa wykształconych urzędników), czy po prostu mamy do czynienia z powstawaniem pewnych mechanizmów biurokratycznych. Ale gdzie tylko pojawiają się pierwsze źródła historyczne, tam istnieli biurokraci. Znajdujemy ogromne kompleksy świątynne i pałacowe, w których hierarchicznie zorganizowani, wykształceni skrybowie skrupulatnie rejestrowali i rozdzielali wszelkiego rodzaju zasoby.

Trzecią zasadę możemy nazwać „polityką", jeśli rozumiemy to słowo w sensie, który określiłbym jako maksymalny. Istnieje oczywiście sens minimalny, w którym polityczne jest każde ludzkie działanie związane z walką o władzę. Ale nie w każdym systemie społecznym tak rozumiana polityka staje się autonomicznym widowiskiem, w którym potężni herosi konkurują ze sobą publicznie, by mobilizować zwolenników i zdobywać poparcie. Dziś uważamy taki spektakl za jeden z wielu elementów demokratycznego systemu rządów, ale w dawnych wiekach częściej był on zjawiskiem typowym dla arystokracji. Wystarczy przypomnieć homeryckich, germańskich, celtyckich czy hinduskich bohaterów epickich, którzy nieustannie się przechwalają, pojedynkują, rywalizują o to, kto wyda najwspanialszą ucztę lub złoży najbardziej okazałą ofiarę albo próbują prześcignąć jeden drugiego w roz-

[30] Na temat protobiurokracji zob. Hans Nissen et al., Archaic Bookkeeping: Early Writing and Techniques of Economic Administration in the Ancient Near East, University of Chicago Press, Chicago – London 1993; David Wengrow, What Makes a Civilization?, Oxford University Press, Oxford 2012, s. 81 – 87.

Widzieliśmy już, jak wytworzony przez europejskie średniowiecze obraz niebiańskiej biurokracji, odległe echo biurokracji starożytnego Rzymu[29], ucieleśniał kosmiczną racjonalność w czasach, gdy rzeczywista biurokracja w życiu codziennym jawiła się nadzwyczaj wątle. Z czasem, naturalnie, zaczęła się umacniać. Ale w miarę, jak powstawały nowe, biurokratyczne państwa, a naczelną zasadą organizacji rządów w osiemnasto- i dziewiętnastowiecznej Europie i Ameryce stawała się biurokratyczna racjonalność, obserwujemy również tendencję przeciwną: rozkwit fantastycznej wizji wieków średnich, zaludnionej książętami, rycerzami, wróżkami, smokami, czarownikami i jednorożcami, a później także hobbitami, krasnoludami oraz orkami. Pod wieloma względami ten świat jest jawnie antybiurokratyczny; praktycznie wszystkie elementarne wartości biurokracji zostają w nim zanegowane.

W poprzednim rozdziale pisałem o tym, że gatunek science-fiction wytworzył standardowy repertuar przyszłych wynalazków – od teleportacji po napęd podprzestrzenny – i tak skutecznie go upowszechnił nie tylko w książkach, ale i w grach, serialach telewizyjnych, komiksach i tym podobnych, że praktycznie każdy nastolatek w Kanadzie, Norwegii czy Japonii zna go na wylot. To samo można powiedzieć o podstawowych elementach gatunku fantasy, który, mimo wszelkich różnic między poszczególnymi tekstami i filmami, ma swój żelazny zestaw postaci, systemów władzy (zwykle magicznej), technologii, bestii i tradycji kulturowych. Nie trzeba dodawać, że nie mają one nic wspólnego z tym, jak w rzeczywistości wyglądało średniowiecze. Ale wyjaśnienie historycznych źródeł tego świata wymaga zapuszczenia się w dalszą przeszłość.

Chociaż przyzwyczailiśmy się myśleć O „PAŃSTWIE" jako o jednej całości, nowoczesne państwo lepiej widzieć jako połączenie trzech różnych elementów, których rodowód jest zupełnie inny, które nie mają ze sobą żadnego koniecznego związku, i które, jak można przypuszczać, zaczynają się w końcu rozchodzić.

Te elementy to suwerenność, administracja i polityka.

Suwerenność uznaje się zwykle za definiującą cechę państwa: państwo suwerenne to takie, którego władca rości sobie monopol na stosowanie przemocy na określonym terytorium. Rzadko która władza w starożytności i wiekach średnich uważała się za suwerenną w tym znaczeniu. Nikomu w tam-

[29] Jak i, ma się rozumieć, hierarchii samego Kościoła, którego system administracji nie miał sobie równych w Europie pod względem złożoności i zasięgu geograficznego.

Wydaje się, że obecna stagnacja trwa od wczesnych lat powojennych, czyli właśnie od chwili, w której Stany Zjednoczone ostatecznie i definitywnie zastąpiły Wielką Brytanię jako gospodarczy światowy hegemon[33]. Owszem, w pierwszych latach amerykańskiego programu lotów kosmicznych (a więc także w okresie paniki) było jeszcze miejsce dla autentycznych ekscentryków, takich jak Jack Parsons, założyciel Laboratorium Napędu Odrzutowego w NASA. Parsons był nie tylko błyskotliwym inżynierem, ale także okultystą, kontynuującym tradycję thelemicką Aleistera Crowleya. Jego kalifornijski dom słynął z orgii rytualnych, jakie się tam odbywały. Parsons wierzył, że napęd rakietowy jest jedynie manifestacją głębszych, magicznych praw rządzących światem. W końcu jednak go zwolniono[34]. Amerykańskie zwycięstwo w zimnej wojnie pociągnęło za sobą tak gruntowną korporatyzację uczelnianej oraz naukowej biurokracji, że przed Parsonsem i jemu podobnymi zamknięto drogi do jakichkolwiek stanowisk kierowniczych.

Amerykanie nie zwykli myśleć o sobie jako o społeczeństwie biurokratów – wręcz przeciwnie. Jednak, jeśli tylko przestaniemy uważać biurokrację za zjawisko przynależne wyłącznie urzędom państwowym, stanie się oczywiste, że właśnie takim społeczeństwem jesteśmy. Ostateczne pokonanie Związku Radzieckiego nie przyniosło wcale dominacji „rynku". Przede wszystkim zacementowało natomiast władzę konserwatywnych elit kierowniczych – korporacyjnych biurokratów, którzy pod pretekstem konkurencyjności, opłacalności i krótkoterminowych korzyści są w stanie zablokować każdą koncepcję, która mogłaby zagrażać naruszeniem status quo.

Synteza: Jak przeszliśmy od technologii poetycznych do biurokratycznych

> Wszystkie maszyny zastępujące ludzką pracę, jakie dotąd wynaleziono, nie ulżyły jeszcze w znoju choćby jednego człowieka.
>
> John Stuart Mill

[33] Giovanni Arrighi, The Long Twentieth Century: Money, Power, and the Origins of Our Times, Verso, London 1994.

[34] Niewykluczone, że wolnościowo-komunistyczne ciągoty Parsonsa zaciążyły tu równie mocno, co jego zamiłowanie do okultyzmu. Siostra jego żony, która, jak się wydaje, była prowodyrką tego towarzystwa wiedzy tajemnej, w końcu związała się z L. Ronem Hubbardem, założycielem Kościoła Scjentologicznego. Po odejściu z NASA Parsons zajmował się produkcją efektów pirotechnicznych w Hollywood, aż zginął w przypadkowej eksplozji w 1962 roku.

Punktem wyjścia tej książki jest założenie, że żyjemy w głęboko zbiurokratyzowanym społeczeństwie. Biurokratyczne wymogi i praktyki są już tak wszechobecne, że nie tylko przestajemy je dostrzegać, ale, co gorsza, nie umiemy sobie wyobrazić żadnej innej możliwości.

Istotną rolę odegrały tu komputery. Wynalezienie nowych form automatyzacji produkcji w XVIII i XIX wieku miało ten paradoksalny skutek, że na całym świecie wprzęgało coraz więcej ludzi w kierat pełnoetatowej pracy fabrycznej. Podobnie całe oprogramowanie stworzone w ostatnich dekadach po to, by oszczędzić nam trudów pracy administracyjnej, sprawia, że wykonujemy coraz więcej i więcej tego rodzaju pracy. Profesorowie na uniwersytetach najwyraźniej pogodzili się z faktem, że ubieganie się o granty i rozliczanie ich coraz częściej będzie ich odciągać od pracy naukowej. Rodzice zaakceptowali przymus wypełniania co roku czterdziestostronicowych formularzy w Internecie, bez których ich dzieci nie dostaną się do odpowiednich szkół. Ekspedienci zdają sobie sprawę, że coraz więcej czasu będzie im pochłaniać wstukiwanie w telefonach haseł do rozmaitych rachunków bankowych i kredytowych. A wszyscy dziś rozumiemy, że musimy nauczyć się wykonywać zadania, które kiedyś powierzaliśmy księgowym, pośrednikom handlowym i biurom podróży.

Ktoś obliczył, że przeciętny Amerykanin i przeciętna Amerykanka spędza łącznie sześć miesięcy, stojąc na czerwonym świetle. Nie wiem, czy istnieją podobne obliczenia dotyczące wypełniania formularzy, ale jestem pewien, że zabiera to nam co najmniej tyle samo czasu. Z pewnością nie było w historii społeczeństwa, które poświęcało aż tyle czasu na robotę papierkową.

A przecież stało się to już po obaleniu tego strasznego, przestarzałego, przesyconego biurokracją socjalizmu, w czasach triumfu wolności i rynku. To jeden z wielkich paradoksów współczesności, tymczasem my (podobnie jak w przypadku niedotrzymanych obietnic postępu technicznego) wytworzyliśmy w sobie głęboką niechęć do zajęcia się tym problemem.

Te dwie kwestie są ze sobą powiązane. Pod wieloma względami to w zasadzie jeden i ten sam problem. Nie chodzi też o to, że biurokratyczna – czy mówiąc ściślej, menedżerska – mentalność zdławiła wszelkie przejawy wizjonerstwa czy myśli twórczej w nauce i technice. Jak się nam przecież nieustannie przypomina, Internet uwolnił olbrzymie pokłady kreatywności i otworzył zupełnie nowe możliwości współpracy. A tak naprawdę dokonał dziwacznego odwrócenia środków i celów, gdzie administracja nie wspiera już kreatywności, ale to kreatywność została zaprzęgnięta w służbie administracji.

magicznych. Oświecenie miało zerwać z tą tradycją, jednak podstawowa struktura założeń właściwie się nie zmieniła. Programowy racjonalizm Kartezjusza i jego następców pozostaje zasadniczo duchowym, a nawet mistycznym przekonaniem, że matematyczne abstrakcje, uznawane za istotę myśli, są jednocześnie porządkującymi zasadami, według których funkcjonuje natura – niezależnie od tego, czy owe abstrakcje utożsamiano z Bogiem, czy uznawano za ostateczny dowód jego nieistnienia.

Dziś wydaje się to sprzeczne z intuicją, bo nawykliśmy do utożsamiania duszy nie z rozumem, a ze wszystkim, co czyni człowieka istotą wyjątkową, niepowtarzalną i obdarzoną wyobraźnią. Ten pogląd jest jednak produktem epoki romantyzmu – i to takim, który swego czasu przyniósł niemal całkowite zerwanie z wcześniej wyznawanymi koncepcjami. I znów – nie ma tu miejsca na szczegółowe rozważanie sporów o relacje między rozumem, wyobraźnią i pożądaniem, jakie z tego wynikły, ale pomaga to zrozumieć, dlaczego pojęcie „racjonalności", a szczególnie racjonalności biurokratycznej, żadną miarą nie ogranicza się do dedukcyjnego rozumowania czy nawet technicznej sprawności, ale niemal zawsze przeistacza się w jakąś wielką, ambitną kosmologię.

3. Biurokratyzacja antybiurokratycznej fantazji

> Wiesz, kiedy się zorientowałem, że już mi nie zależy na moim etacie [pracownika naukowego]? Kiedy w czasie pracy grałem na komputerze i przestałem wyłączać dźwięk. Na korytarzu studenci czekają na ocenę prac, a ja im mówię: chwilka, rozwalę tego karła i zaraz do was przyjdę.
>
> ZNAJOMY WYKŁADOWCA

(z oczywistych przyczyn nie podaję nazwiska)

Z faktu, że nowoczesna nauka opiera się w pewnym stopniu na przekonaniach duchowych, nie wynika rzecz jasna, że ustalenia naukowe są nieprawdziwe. Ale wynika z tego, że warto zrobić krok wstecz i uważnie się zastanowić, gdy ktoś twierdzi, że chce wprowadzić bardziej racjonalny porządek społeczny (szczególnie, gdy ten nowy porządek można równie dobrze opisać jako bardziej rozsądny, bardziej godziwy, mniej nacechowany przemocą czy bardziej sprawiedliwy).

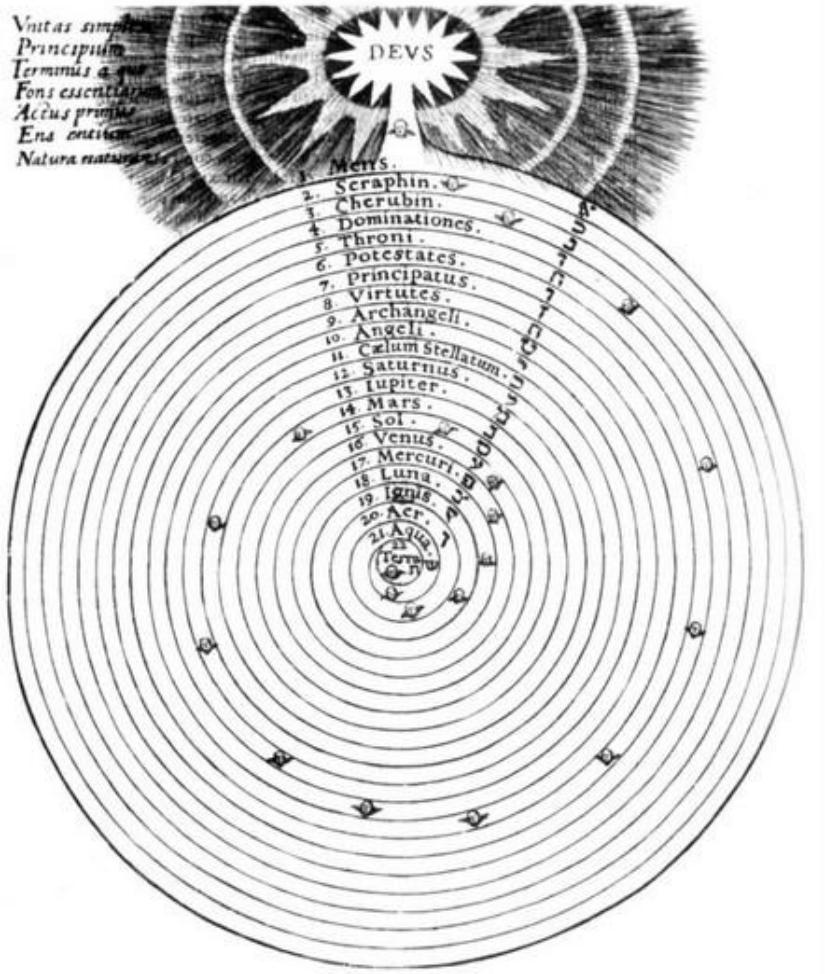

Rys. 2. Hierarchia aniołów według Marsilia Ficina. Źródło: Robert Fludd, Meteorologia cosmica, Frankfurt 1626

Ująłbym to następująco: w tej finalnej, otępiającej fazie kapitalizmu przechodzimy od technologii poetycznych do technologii biurokratycznych.

Przez technologie „poetyczne" rozumiem posługiwanie się racjonalnymi, technicznymi, biurokratycznymi środkami do realizacji niesłychanych, niemożliwych, fantastycznych projektów. W tym sensie technologie poetyczne są równie stare co cywilizacja. Są nawet starsze niż maszyny złożone. Lewis Mumford twierdził kiedyś, że pierwsze maszyny złożone budowano z ludzi. Egipscy faraonowie nie zbudowaliby piramid, gdyby nie ich mistrzowskie opanowanie procedur administracyjnych, które pozwoliły im rozwinąć techniki linii produkcyjnej, podzielić złożone zadania na dziesiątki prostych operacji i przydzielić każdą z nich osobnej brygadzie robotników, mimo że nie dysponowali żadną bardziej zaawansowaną technologią niż dźwignia i pochylnia. Nadzór biurokratyczny uformował z armii ubogich chłopów kółka zębate olbrzymiej maszyny. Nawet znacznie później, kiedy kółka zębate już wynaleziono, konstrukcja maszyn złożonych zawsze w pewnym stopniu bazowała na zasadach pierwotnie stworzonych do organizowania pracy ludzi[35].

A mimo to raz po raz widzimy, jak te maszyny – bez względu na to, czy ich ruchomymi częściami były ręce i nogi, czy koła, tłoki i sprężyny – służyły do urzeczywistniania pozornie niewykonalnych, fantastycznych zamysłów: olbrzymich katedr, lotów na Księżyc, transkontynentalnej linii kolejowej i tak dalej. Naturalnie, niemal każda technologia poetyczna ma w sobie jakiś mroczny element; ta poezja równie łatwo przywodzi na myśl szatańskie młyny, jak i wyzwolenie i gracje. Ale te racjonalne, biurokratyczne techniki zawsze służą do realizacji jakiegoś fantastycznego celu.

Z takiej perspektywy wszystkie szaleńcze radzieckie projekty, nawet te nigdy niewcielone w życie, były kulminacyjnym punktem takich poetycznych technologii. Dziś mamy do czynienia z ich przeciwieństwem. Nie chodzi o to, że zniechęca się nas do wizjonerstwa, twórczego myślenia czy snucia obłędnych fantazji. Rzecz w tym, że tych fantazji nic już nie łączy z rzeczywistością; nawet nie udajemy, że kiedykolwiek mogłyby stać się ciałem. Tymczasem w tych nielicznych sferach, które sprzyjają swobodnej, twórczej pracy wyobraźni, na przykład w internetowych kręgach twórców oprogramowania na otwartej licencji, cała fantazja zostaje wykorzystana jedynie do tworzenia coraz liczniejszych i wydajniejszych platform do wypełniania formu-

[35] Lewis Mumford, Mit maszyny. Technika a rozwój człowieka, t. 1, tłum. Michał Szczubiałka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012.

larzy. Właśnie to nazywam „technologiami biurokratycznymi": imperatywy administracyjne nie są już środkiem, ale celem rozwoju technicznego. Jednocześnie największy i najpotężniejszy kraj, jaki kiedykolwiek istniał na Ziemi, mówi swoim obywatelkom i obywatelom, że nie możemy już rozważać żadnych nadmiernie ambitnych przedsięwzięć, nawet gdyby – jak wskazuje kryzys klimatyczny – miał od tego zależeć los całej planety.

CO Z TEGO WYNIKA DLA POLITYKI?

Wydaje się, że przede wszystkim musimy przemyśleć radykalnie i na nowo nasze podstawowe założenia o naturze kapitalizmu. Pierwsze z nich mówi, że kapitalizm jest tożsamy z rynkiem, oraz że istnieje naturalny konflikt między nimi a biurokracją, która jest tworem państwa. Drugie głosi, że postęp techniczny wynika z samej natury kapitalizmu. Być może trzeba przyznać, że Marks i Engels, zachłyśnięci entuzjazmem dla rewolucji przemysłowych, dokonujących się na ich oczach, mylili się w tym względzie. Albo – by wyrazić tę myśl bardziej precyzyjnie – mieli rację, że mechanizacja produkcji przemysłowej ostatecznie doprowadzi do upadku kapitalizmu; nie mieli jednak racji, gdy przewidywali, że konkurencja rynkowa prędzej czy później i tak wymusi na właścicielach fabryk mechanizację. Jeśli nie wymusiła, to stało się tak dlatego, że wbrew ich założeniom konkurencja rynkowa najwidoczniej nie jest niezbędną cechą kapitalizmu. Obecna postać kapitalizmu, w której konkurencja przybiera często formę wewnętrznego marketingu w ramach biurokratycznych struktur potężnych, quasi-monopolistycznych przedsiębiorstw, musiałaby Marksa i Engelsa niepomiernie zdziwić[36].

Obrońcy kapitalizmu podnoszą zazwyczaj trzy ogólne argumenty z historii. Po pierwsze, kapitalizm napędza rozwój nauki i techniki; po drugie, nawet jeśli kapitalizm pozwala nielicznej mniejszości gromadzić olbrzymie bogactwo, to zarazem podnosi zamożność wszystkich ludzi; po trzecie, kapitalizm poprawia bezpieczeństwo na świecie i przyczynia się do szerzenia demokracji. W XXI wieku jest już oczywiste, że kapitalizm nie pełni żadnej z wymienionych funkcji. Nawet jego zwolennicy coraz częściej odchodzą od postulowania, że kapitalizm jest jakimś szczególnie dobrym systemem, a poprzestają na przekonaniu, że żaden inny system nie jest możliwy – a w każdym razie, że kapitalizm jest jedynym możliwym systemem w tak złożonym i technicznie zaawansowanym społeczeństwie.

Jako antropolog bez przerwy spotykam się z tym ostatnim stwierdzeniem.

[36] Peter Thiel, który zgodził się z większością tez tego rozdziału, całkiem niedawno opowiedział się przeciwko rynkowi, a za kapitalizmem monopoli – właśnie dlatego, że taki system uważa za najbardziej sprzyjający szybkiemu postępowi technicznemu.

niesioną do najwyższej potęgi. Dziwić może jedynie, w jaki sposób ta wizja kosmosu jako biurokracji utrzymała się przez tysiąc lat po upadku Imperium Rzymskiego. Teologowie średniowieczni i renesansowi w niezliczonych traktatach spekulowali na temat hierarchii anielskich, systematyzując wszechświat z biurokratyczną wręcz drobiazgowością, jakiej nie wyobrażali sobie starożytni filozofowie[27]:

Oto na przykład, jak w XVI wieku Marsilio Ficino podsumował hierarchię aniołów, czerpiąc inspirację z myśli neoplatonisty z IV wieku naszej ery, którego imię zostało dawno zapomniane, rozwiniętej przez św. Tomasza z Akwinu i Dantego:

Serafiny spekulują o boskim porządku i opatrzności.

Cherubiny spekulują o boskiej istocie i formie.

Trony także oddają się spekulacjom, choć niektóre zniżają się do wykonywania konkretnych prac.

Panowania, jak architekci projektują to, co pozostali aniołowie mają wykonać.

Cnoty wykonują zadania, poruszają niebiosa i czynią cuda na Ziemi jako narzędzia w ręku Boga.

Moce pilnują, by nic nie naruszało boskiego porządku, a niekiedy zniżają się do spraw ludzkich.

Zwierzchnictwa opiekują się sprawami publicznymi, narodami, książętami i sędziami.

Archanioły kierują kultem boskości i opiekują się tym, co święte.

Anioły opiekują się codziennymi ludzkimi sprawami i strzegą ludzi[28].

Anioły są „niebiańskimi inteligencjami", uszeregowanymi w kolejności od tych, których domeną jest czysty intelekt, po takie, które zajmują się zarządzaniem wszystkimi przyziemnymi sprawami. W czasach, gdy doczesne rządy w całej Europie były w rozsypce, europejscy intelektualiści wiedli spory o szczegóły podziału władzy w zunifikowanym, wyobrażonym systemie kosmicznej administracji.

Ta wielka synteza idei późnego ANTYKU (gdzieś po drodze zabarwionych dodatkowo kabałą i innymi duchowymi tradycjami), w które nowe życie tchnęli renesansowi alchemicy i magowie, tacy jak Ficino, Agrypa i Giordano Bruno, przetrwała do dzisiaj jako podłoże zachodnich obrzędów

[27] Za: Francis Yates, Giordano Bruno and the Hermetic Tradition, Routledge & Kegan Paul, London 1964, s. 144; pierwotnie w: Robert Fludd, Meteorologia cosmica, Frankfurt 1626, s. 8.

[28] Tłumaczenie za: Francis Yates, dz. cyt., s. 119.

świadomego Stwórcy (i rzeczywiście, średniowieczni filozofowie poświęcali dużo uwagi próbom pogodzenia tych dwóch perspektyw).

Te założenia towarzyszą nam zresztą do dzisiaj. Weźmy choćby założenie, które przyswajamy sobie w dzieciństwie i które większość z nas akceptuje jako oczywistą prawdę, że tym, co odróżnia ludzi od innych zwierząt, jest właśnie racjonalność (a więc, że jako gatunek posiadamy „dar rozumu"). To koncepcja rodem ze średniowiecza[23]. Gdy się jej przyjrzeć, szybko okaże się, że wcale nie jest taka oczywista. Jeśli „racjonalność" oznacza zdolność do dokonywania oceny rzeczywistości mniej więcej zgodnie ze stanem faktycznym i wyciągania logicznych wniosków z tej oceny, wówczas trzeba uznać, że większość zwierząt zachowuje się niezmiernie racjonalnie. Zwierzęta nieustannie rozwiązują problemy. Zwykle nie są w tym tak dobre jak ludzie, ale nie ma tu żadnej fundamentalnej różnicy jakościowej. Istnieje wiele innych kategorii, które lepiej nadają się do tego celu, bo rzeczywiście dotyczą wyłącznie ludzi. Typowo ludzką zdolnością jest na przykład wyobraźnia. O ile wydaje się oczywiste, że zwierzęta zachowują się racjonalnie i celowo, o tyle znacznie trudniej byłoby dowieść, że tworzą świadome fantazje[24]. Właśnie dlatego antropolog Edmund Leach zauważył kiedyś, że ludzi od zwierząt odróżnia nie to, że mają nieśmiertelną duszę, ale to, że potrafią sobie wyobrazić, że ją posiadają[25]. Ale oczywiście jeśli dusza jest siedzibą rozumu, boskim pierwiastkiem w człowieku, to twierdzenia typu „człowiek posiada nieśmiertelną duszę" i „człowiek jest istotą racjonalną" mówią dokładnie to samo[26].

Ta konkluzja wynika wprost z logiki „wielkiego łańcucha bytu", obejmującego wszystkie żywe stworzenia, uszeregowane według swojej odległości od Boga, jedną hierarchią rosnącej racjonalności, w której ludzie znajdują się na szczycie porządku naturalnego, między zwierzętami a aniołami.

W wielkich kosmicznych hierarchiach późnego antyku, w ich archonach, planetach i bogach oraz w abstrakcyjnych, racjonalnych prawach, jakie nimi wszystkimi rządzą, nietrudno dostrzec biurokrację rzymskiego prawa pod-

[23] Jej twórcami są stoicy, ale w antyku nie uznawano jej tak powszechnie jak w Europie średniowiecznej.

[24] A jeśli tworzą, to oczywiście w zabawie.

[25] Edmund Leach, Social Anthropology, Oxford University Press, Oxford 1982, s. 121.

[26] Bardziej logiczne mogłoby być uznanie, że ludzi od zwierząt odróżnia posiadanie wyobraźni – to jednak nie mieściłoby się w średniowiecznych kategoriach. Według ówczesnej teologii, zabarwionej astrologią i neoplatonizmem, wyobraźnia należała do niższego porządku i pośredniczyła między boskim intelektem a światem materialnym, podobnie jak plan astralny pośredniczył między niebem a ziemią. Nierzadko spekulowano nawet, że budulcem ludzkiej wyobraźni jest substancja astralna.

SCEPTYK: Ty masz swoje utopijne marzenia, a ja mówię o systemie polityczno-ekonomicznym, który mógłby działać w rzeczywistości. A jak pokazuje doświadczenie, jest tylko jedna opcja, która faktycznie działa.

JA: Uważasz, że dzisiejszy system rządów, oparty na ograniczonej demokracji przedstawicielskiej – innymi słowy kapitalizm korporacyjny – jest jedynym możliwym systemem polityczno-ekonomicznym? Doświadczenie niczego takiego nie pokazuje. Na przestrzeni dziejów istniały setki, jeśli nie tysiące różnych systemów politycznych i ekonomicznych. Wiele z nich w najmniejszym stopniu nie przypomina naszego obecnego systemu.

SCEPTYK: Zgoda, mówisz jednak o prostszych społecznościach – albo mniej licznych, albo dysponujących znacznie prostszą bazą technologiczną. Mnie chodzi o nowoczesne, złożone i technicznie zaawansowane społeczeństwa. Więc twoje kontrprzykłady niczego nie dowodzą.

JA: Chwileczkę! Czy chcesz przez to powiedzieć, że postęp techniczny ogranicza możliwości rozwoju społecznego? Zdawało mi się, że miało być odwrotnie!

Jednak nawet gdyby uznać w tym miejscu rację dyskutanta i przystać, że o ile w przeszłości istniały liczne, różnorodne i równie zdolne do przetrwania systemy ekonomiczne, o tyle w świecie nowoczesnej technologii przemysłowej taka różnorodność nie jest już możliwa – to czy ktokolwiek mógłby poważnie twierdzić, że dzisiejszy sposób organizowania gospodarki będzie także jedynym możliwym sposobem w każdym p r z y s z ł y m świecie? To twierdzenie z gruntu absurdalne. Na jakiej podstawie mielibyśmy snuć takie prognozy?

Tym niemniej po obu stronach politycznego spektrum są osoby, które przyjmują właśnie taki punkt widzenia. Jako antropolog i anarchista często trafiam na osobników o „antycywilizacyjnym" nastawieniu. Ich zdaniem typowy dla kapitalizmu ucisk jest nieodłączną cechą nie tylko współcześnie istniejących technologii, ale także każdej innej technologii, jaka może pojawić się w przyszłości. Z tego względu wyzwolenie ludzkości byłoby możliwe tylko pod warunkiem powrotu do epoki kamienia. Większość z nas nie hołduje jednak takiemu technicznemu determinizmowi. Ale ostatecznie dzisiejsze twierdzenia o nieuchronności kapitalizmu muszą wynikać z jakiegoś technologicznego determinizmu. Właśnie dlatego, jeśli nadrzędnym celem neoliberalnego kapitalizmu jest doprowadzenie do sytuacji, w której nikt już nie uwierzy, że możliwy jest jakikolwiek inny system ekonomiczny, to aby osiągnąć ten cel, kapitalizm musi bezwzględnie tępić każdą myśl nie tylko o nieuchronnym nadejściu lepszej przyszłości,

ale także o jakiejkolwiek radykalnie odmiennej przyszłej technologii. Prowadzi to do pewnej sprzeczności. System nie może nas przekonywać, że dotarliśmy do kresu rozwoju nauki i techniki, bowiem oznaczałoby to, że kapitalizm nie rodzi postępu. System musi nas przekonać, że postęp trwa w najlepsze i że naprawdę żyjemy w świecie cudów techniki, a jednocześnie zadbać, aby wszystkie te „cuda" ograniczały się do skromnych udoskonaleń istniejących urządzeń (nowy model iPhone'a!), którym będą towarzyszyć pogłoski o nadchodzących przełomach („Podobno już niedługo pojawią się latające samochody!")[37], coraz bardziej wyrafinowane metody żonglowania informacją i obrazem oraz coraz bardziej złożone platformy służące do wypełniania formularzy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że neoliberalny kapitalizm (czy jakikolwiek inny system) może tak działać w nieskończoność. Pierwszy z brzegu problem to przekonanie całego świata, że jest się wiodącą siłą postępu technicznego, podczas gdy tak naprawdę jest się jego hamulcowym. Stany Zjednoczone, ze swoją popadającą w ruinę infrastrukturą i paraliżem decyzyjnym w obliczu globalnej zmiany klimatu, zupełnie sobie z tym dziś nie radzą. (Nie wspominając już o symbolicznym znaczeniu zarzucenia programu załogowych lotów kosmicznych właśnie w chwili, gdy Chiny uruchamiają własny). Jednocześnie nadejścia zmian nie da się wiecznie powstrzymywać. W najlepszym razie można je tylko spowolnić. Przełomy będą następować. Niewygodne odkrycia można zatajać, ale do czasu. Inne, mniej zbiurokratyzowane kraje – a przynajmniej te, w których biurokracja nie zwalcza twórczego myślenia aż tak bezwzględnie – powoli, ale nieuchronnie zgromadzą zasoby materialne, które pozwolą im kontynuować prace zarzucone przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników. Możliwości współpracy i rozpowszechniania wiedzy, które daje Internet, również pomogą nam przebić się przez ten mur. W jakiej dziedzinie nastąpi przełom? Tego nie sposób przewidzieć. Przez ostatnie dwa lata, odkąd ukazała się w druku pierwsza wersja tego rozdziału, nastąpił wysyp nowych możliwości: drukarki 3D, postępy w technologiach materiałowych, autonomiczne samochody i nowa generacja robotów. W ślad za tymi wynalazkami idzie nowa fala dyskusji o pełnej automatyzacji produkcji i o końcu pracy. Można dostrzec oznaki nadchodzących przełomów pojęciowych w fizyce, biologii i innych naukach. Bezwzględna hegemonia instytucjonalnej

[37] Odkąd pamiętam, co najmniej raz w roku słyszę od kogoś, że jesteśmy nie dalej niż trzy lata od wynalezienia leku opóźniającego proces starzenia się organizmu.

Ten właśnie obraz wszechświata Platon przyjął w Timajosie, a jego intelektualny wpływ był olbrzymi. W pierwszym i drugim wieku istnienia Imperium Rzymskiego rozmaite odmiany idei pitagorejskich przyjęły niemal wszystkie liczące się szkoły filozoficzne – nie tylko neoplatonicy, lecz także stoicy i poniekąd epikurejczycy. Co więcej, na bazie tych idei powstała filozofia późnego antyku nazwana przez Hansa Jonasa „religią kosmiczną", będąca syntezą dociekań greckiej kosmologii, babilońskiej astrologii i egipskiej teologii, często z domieszką judaizmu i rozmaitych ludowych tradycji magicznych[22]. Jak zauważa Jonas, owa religia kosmiczna – w myśl której Bóg, Rozum i Kosmos są tym samym, a władze umysłowe człowieka to formy uczestniczenia w tym kosmicznym, racjonalnym porządku – przy całej swojej okazałości przyniosła polityczny regres. Jak większość filozofów greckich pitagorejczycy namiętnie udzielali się w życiu politycznym miast i nierzadko usiłowali je reformować zgodnie z zasadami racjonalności. Pod rządami Imperium Rzymskiego nie było to już możliwe. Wszystkie polityczne kwestie zostały rozstrzygnięte. Sprawami publicznymi zarządzał jeden, wiekuisty porządek prawny i biurokratyczny. Intelektualiści nie zabiegali o reformowanie tej struktury, ale coraz powszechniej przyjmowali otwarty mistycyzm, poszukując nowych sposobów wywyższenia się ponad ziemską doczesność, wzniesienia się przez planetarne sfery, oczyszczenia się ze wszelkiej materialności i przeniknięcia do wyższego porządku czystego rozumu, do boskiego królestwa transcendentnych, matematycznych praw, które zarządzały czasem i ruchem, a ostatecznie stanowiły o ich iluzoryczności. Bóg nie ustanowił tych praw; te prawa b y ł y Bogiem. Ludzki rozum okazywał się więc jedynie boską zasadą działającą w człowieku. Tak rozumiana racjonalność była nie tylko duchowa, ale wręcz mistyczna; widziano w niej sposób na zjednoczenie się z tym, co boskie.

Taki zestaw założeń o naturze racjonalności absorbował chrześcijan aż po Augustyna i odcisnął się na praktycznie całej filozofii średniowiecza niezależnie od tego, jak trudno było go pogodzić z koncepcją transcendentnego,

nic dziwnego, że zaskarbiłoby mu niechęć towarzyszy. Intrygujące byłoby również zestawienie tych kwestii z rozważaniami o suwerenności władzy w dalszej części tego rozdziału.

[22] Hans Jonas (w książce Religia gnozy, tłum. Marek Klimowicz, Wydawnictwo Platan, Kraków 1994) jako pierwszy, o ile wiem, użył terminu „religia kosmiczna", opisując gnostycyzm, który odrzucał pojęcie idealnego kosmicznego porządku, a ludzką duszę uważał za najzupełniej obcą stworzeniu, za jego zaprzeczenie. Augustianizm zawiera elementy obu tych doktryn, łącząc manichejski dualizm z wręcz pogańskim naciskiem na jedność umysłu i boskości.

gumenty oparte na racjonalnej ocenie rzeczywistości są lepsze od argumentów pozbawionych tej cechy (argument wywiedziony z założenia, że domy są zrobione z zielonego sera, nie jest wart poważnego traktowania), oraz że argumenty pozostające w zgodzie z prawami logiki są lepsze od argumentów, które te prawa łamią (twierdzenie, że skoro burmistrz Cincinnati jest człowiekiem, to każdy człowiek jest burmistrzem Cincinnati, można w podobny sposób odrzucić).

Nie zamierzam tu wnikać we wszystkie sprzeczności i logiczne pułapki, jakie z tego wynikają. Chcę po prostu zapytać, w jaki sposób znaleźliśmy się w tym miejscu. Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy powrócić do samych początków i przyjrzeć się genezie zachodniego pojęcia „racjonalności", które wykuwało się w greckich miastach południowej Italii w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą.

Pierwszą szkołę filozoficzną, która uważała się za racjonalną i traktowała racjonalność jako wartość samą w sobie, była szkoła pitagorejczyków: uczeni i filozofowie tworzący swego rodzaju polityczny kult czy też bractwo, jakie w różnych okresach swego istnienia władało kilkoma miastami Italii[20]. Ich wielkim odkryciem było spostrzeżenie formalnego podobieństwa między matematycznymi stosunkami liczbowymi, jakie można zaobserwować w geometrii, interwałach muzycznych i ruchu planet. Wywnioskowali z tego, że podstawowym budulcem wszechświata są liczby – dziś z tej koncepcji pamiętamy ujmujące pojęcie „muzyki sfer". Zdaniem pitagorejczyków kosmos jest racjonalny, ponieważ stanowi wyraz reguł rządzących liczbami, dźwiękami i wibracjami, a kiedy umysł (lub dusza) człowieka używa władzy rozumu, uczestniczy po prostu w tym wyższym, racjonalnym porządku, w kosmicznej „duszy świata"[21].

[20] Mówię o ruchu pitagorejskim, a nie o jego założycielu, ponieważ udział samego Pitagorasa w tworzeniu doktryn noszących jego imię bywa ostatnio kwestionowana. Walter Burkert sugeruje, że Pitagoras stworzył tylko doktrynę reinkarnacji, a nie kosmologię matematyczną, którą przypisuje się późniejszym pitagorejczykom, takim jak Hippazos, Filolaos i Archytas. Niektórzy twierdzą nawet, że stworzył ją i przypisał pitagorejczykom sam Platon (to jednak wydaje mi się mało prawdopodobne).

[21] Według jednej z opowieści, tak ogromna była polityczna waga tej doktryny, że gdy późniejszy pitagorejczyk, Hippazos z Metapontu, odkrył liczby niewymierne (nazywane też irracjonalnymi), towarzysze utopili go w morzu. Według antycznej legendy natomiast Hippazos utonął przypadkiem, a miała to być zesłana przez bogów kara za wyjawienie takich tajemnic śmiertelnikom. Co wydaje mi się bardziej interesujące, niektóre źródła sugerują, że zdaniem Hippazosa to Bóg jest liczbą niewymierną: innymi słowy, że Bóg jest zasadą transcendentną wykraczającą poza immanentną racjonalność kosmosu. Jeśli Hippazos rzeczywiście głosił takie przekonania, stanowiłoby to znaczne odstępstwo od wyłaniającej się właśnie „kosmicznej religii" antyku – i

ortodoksji stawia im opór, ale gdy te się w końcu pojawią, mogą mieć też istotne konsekwencje dla rozwoju techniki.

Jedyne, czego możemy być dziś w miarę pewni, to że wynalazczości i autentycznego nowatorstwa nie doczekamy się w ramach dzisiejszego kapitalizmu korporacyjnego – ani prawdopodobnie w żadnej formie kapitalizmu w ogóle. Widać coraz wyraźniej, że jeśli chcemy zamieszkać pod kopułami na Marsie, dowiedzieć się, czy w kosmosie istnieją obce cywilizacje albo sprawdzić, co się stanie z przedmiotem wprowadzonym do tunelu czasoprzestrzennego – najpierw musimy wymyśleć zupełnie inny system ekonomiczny. Czy taki system będzie musiał przybrać formę nowej, olbrzymiej biurokracji? Dlaczego sądzimy, że to jedyna możliwość? Niewykluczone, że te cele zdołamy osiągnąć tylko przez odrzucenie istniejących biurokratycznych struktur. A jeśli naprawdę chcemy mieć roboty, które robią pranie i sprzątają w kuchni, musimy zastąpić kapitalizm systemem opartym na znacznie bardziej egalitarnej dystrybucji bogactwa oraz władzy – takim, w którym nie ma ludzi superbogatych i zdesperowanych biedaków, gotowych sprzątać im domy, aby przeżyć. Dopiero wtedy rozwój techniczny zacznie służyć ludzkim potrzebom. A to najlepszy powód, by wyrwać się z martwego uścisku menedżerów funduszy hedgingowych i bajecznie wynagradzanych prezesów korporacji: uwolnić ludzką fantazję z pułapki elektronicznych ekranów, w których tacy jak oni ją uwięzili, aby wyobraźnia mogła znów stać się siłą sprawczą ludzkiej historii.

3. Utopia regulaminów, czyli dlaczego mimo wszystko pragniemy biurokracji

Wszyscy uskarżamy się na biurokrację. Dwa poprzednie rozdziały tej książki są w znacznej części złożone z takich skarg. Biurokracja nikomu nie sprawia przyjemności, a mimo to tworzymy jej coraz więcej i więcej.

W tym rozdziale chcę zapytać, dlaczego tak się dzieje, a przede wszystkim rozważyć ewentualność, że całe to ciskanie gromów na biurokrację nie jest do końca szczere; że poczucie funkcjonowania w systemie sformalizowanych reguł i przepisów, podporządkowania się hierarchiom bezosobowych urzędów, tak naprawdę ma (lub przynajmniej miewa) pewien zawoalowany urok.

Zdaję sobie sprawę, że to nie jedyne możliwe wytłumaczenie. Istnieje cała szkoła myśli, według której biurokracja rozszerza się zgodnie z pewną przewrotną, ale nieuniknioną wewnętrzną logiką. Ten argument brzmi następująco: struktura biurokratyczna, powołana w celu uporania się z pewnym problemem, zawsze stworzy nowe problemy, które będą sprawiać wrażenie, że je także można rozwiązać tylko na drodze biurokratycznej. Na uniwersytetach mówi się niekiedy o problemie „komisji do rozwiązania problemu nadmiaru komisji".

U Maxa Webera główną oś refleksji nad biurokracją stanowi nieco inna wersja tego samego argumentu, mówiąca, że raz stworzony biurokratyczny system niezwłocznie uczyni się nieodzownym dla każdego, kto sprawuje władzę – niezależnie od tego, jaki pożytek zamierza z tego systemu uczynić. Naczelnym sposobem osiągnięcia tego celu jest zmonopolizowanie dostępu do pewnych newralgicznych informacji. Warto zacytować w tym miejscu samego Webera:

[P]rzewagę zawodowej wiedzy każda biurokracja stara się jeszcze powiększyć w wyniku u t a j e n i a swych informacji i zamiarów. Biurokratyczna

wyzbyta emocji myśl nie istnieje. Człowiek pozbawiony emocji w ogóle nie byłby zdolny do myślenia[18].

Inni preferują podejście bardziej pragmatyczne i twierdzą, że wywód racjonalny to taki, który jest ugruntowany w rzeczywistości empirycznej i logicznie spójny pod względem formalnym. Tu problem polega na tym, że te dwa kryteria nie mają ze sobą wiele wspólnego. Jedno dotyczy obserwacji, a drugie – rozumowania[19]. Co więc je łączy? Przede wszystkim chyba to, że gdy czyjąś argumentację uważamy za opartą na urojeniach lub nieskładną, równie dobrze możemy zdezawuować taką osobę jako „niespełna rozumu". Nic w tym dziwnego; mówimy przecież, że człowiek szalony postępuje „nieracjonalnie". Ale skoro tak, to określenie kogoś (lub czyjegoś wywodu) jako „racjonalnego" mówi nam bardzo niewiele: właściwie tylko tyle, że ów ktoś nie jest jawnie obłąkany. To bardzo słaba kwalifikacja.

Wystarczy jednak odwrócić znaki, a sytuacja zmienia się diametralnie: twierdzenie, że nasze stanowisko polityczne jest „racjonalne", to kwalifikacja niezwykle silna. Jest on wyjątkowo arogancka, bo oznacza, że każdy, kto się z nami nie zgadza, nie tylko się myli, ale wręcz jest wariatem. Podobnie ktoś, kto chce stworzyć „racjonalny" porządek społeczny, daje do zrozumienia, że istniejąca społeczna organizacja może być tylko dziełem szaleńców. Nieraz odnosimy takie wrażenie, to prawda. Ale takie stanowisko jest nad wyraz nietolerancyjne, ponieważ daje do zrozumienia, że nasi oponenci nie tylko tkwią w błędzie, ale w pewnym sensie nie wiedzą nawet, co znaczyłoby „mieć rację", chyba że jakimś cudem oprzytomnieją, oświeci ich światło rozumu oraz przyjmą nasze ramy pojęciowe i nasz punkt widzenia.

Tendencja do wynoszenia racjonalności na piedestał jako cnoty politycznej przyniosła przewrotny skutek: ci, których odpychają takie pretensje lub ich głosiciele, są gotowi całkowicie odrzucić racjonalność i opowiedzieć się za „irracjonalizmem". Rzecz jasna, jeśli przyjmiemy minimalną definicję racjonalności, takie stanowisko jest absurdalne. Nie da się obalić racjonalności argumentacją, bo aby taka argumentacja była przekonująca, sama musiałaby zostać wyrażona w racjonalnej formie. Dopóki w ogóle jesteśmy skłonni toczyć z kimś spór, dopóty musimy wyrazić choćby milczącą zgodę, że ar-

[18] Mr. Spock nie bez powodu jest postacią fikcyjną. Ale oczywiście Spock nie jest całkowicie pozbawiony emocji, a jedynie zachowuje się tak, jak gdyby ich nie posiadał – w pewnym sensie jest więc ucieleśnieniem ideału racjonalności.

[19] Nic nie stoi na przeszkodzie, aby logicznie spójną argumentację wywieść z urojonych przesłanek albo realistycznie ocenić problem, po czym zastosować zupełnie nielogiczne rozwiązanie. Jedno i drugie zjawisko można zaobserwować na każdym kroku.

entuzjazmem, że właśnie polecono mu zapisać się na kurs „etyki nieopartej na wartościach". Chociaż na pierwszy rzut oka zakrawa to na absurd, jest to logiczna konsekwencja naszego rozumienia roli biurokratów: biurokraci są funkcjonariuszami publicznymi, a powołaniem funkcjonariuszy jest wykonywać polecenia zwierzchników bez względu na naturę tych poleceń. Gdy jednak zwierzchnikiem jest twór, który nazywamy „społeczeństwem", pojawia się problem: skąd wiadomo, jakie polecenia społeczeństwo wydaje swoim funkcjonariuszom? Właśnie tego uczono przyszłych urzędników na kursie „etyki nieopartej na wartościach": na przykład, w jaki sposób podczas projektowania sieci autostrad ustalić za pomocą metod ilościowych względne wagi, jakie społeczeństwo przykłada do (a) dotarcia do pracy na czas oraz (b) dotarcia do pracy bez ryzyka śmierci lub odniesienia poważnych obrażeń w wypadku samochodowym (co w żargonie ekonomistów nazywa się „ujawnionymi preferencjami"), a następnie jak przełożyć te preferencje na ograniczenia szybkości.

Jednocześnie i w absolutnej sprzeczności z tym, co napisano wcześniej, funkcjonuje współczesna wersja dawnego rozumienia racjonalności jako porządku moralnego, a zatem celu samego w sobie. Praktycznie każdy, kto żywi jakąś utopijną wizję – socjalista, wolnorynkowiec czy nawet fundamentalista religijny – marzy o stworzeniu porządku społecznego, który w odróżnieniu od dotychczasowych ustrojów będzie wewnętrznie spójny, a przez to sprawi, że rozum zatriumfuje nad chaosem[17]. Nie trzeba dodawać, że fundamentem każdego takiego projektu zawsze okazuje się stworzenie sprawnej biurokracji.

Spory o rolę „racjonalności" w polityce zawsze żonglują dość dowolnie tymi sprzecznymi koncepcjami.

Niewiele pomaga powrót do podstawowych definicji. Pod wieloma względami sprawy wyglądają wtedy jeszcze gorzej. Wśród filozofów nie ma zgody, co właściwie oznacza „racjonalność". Według jednej tradycji racjonalność polega na posługiwaniu się logiką, czystą myślą niezmąconą emocjami. Ta czysta, obiektywna myśl służy za podstawę badań naukowych. Koncepcja ta zyskała sobie niemałą popularność, ale ciąży na niej podstawowy błąd czy problem: badania naukowe dowiodły, że na pewno nie jest prawdziwa. Jak wielokrotnie wykazywali psychologowie kognitywni, nic takiego jak czysta,

[17] Coraz więcej pisze się dziś o społecznej bazie bardziej radykalnych form politycznego islamu, które okazują się szczególnie atrakcyjne dla studentów kierunków inżynierskich i nauk ścisłych.

administracja jest zgodnie z właściwą jej tendencją zawsze administracją wykluczającą jawność. Biurokracja chroni, jak tylko może, swą wiedzę i czyny przed krytyką [...].

Pojęcie „tajemnicy urzędowej" stanowi jej swoisty wynalazek, i niczego nie broni ona z takim fanatyzmem, jak właśnie tej, poza owymi wyróżnionymi domenami niedającej się czysto rzeczowo umotywować postawy. Jeśli biurokracja ma do czynienia z parlamentem, to powodowana nieomylnym instynktem władzy zwalcza każdą jego próbę zdobycia, dzięki własnym środkom [...], fachowych informacji od osób zainteresowanych [...].

Także absolutny monarcha, i w pewnym sensie on właśnie najbardziej, jest bezsilny wobec przewagi biurokratycznej wiedzy fachowej. Wszystkie gniewne rozporządzenia Fryderyka Wielkiego dotyczące „zniesienia poddaństwa" zbaczały, by tak rzec, z drogi ich urzeczywistnienia, bo mechanizm urzędowy po prostu je ignorował jako dyletanckie przypadkowe pomysły. Konstytucyjny król, o ile pozostaje ze społecznie miarodajną częścią poddanych, ma bardzo często znaczniejszy wpływ na działania administracji, w większej mierze poddające się jego kontroli, w rezultacie przynajmniej względnej jawności krytyki administracji, niż monarcha absolutny, zdany wyłącznie na informacje dostarczane mu przez samą biurokrację. Rosyjski car ancien régime'u rzadko mógł postawić na swoim nawet w najdrobniejszych sprawach, które nie podobały się jego biurokracji i były sprzeczne z jej interesem umacniania własnej władzy[1].

Jeden z efektów ubocznych, zauważa także Weber, polega na tym, że raz stworzona biurokracja jest praktycznie nieusuwalna. Pierwsze biurokracje, o jakich wiemy, powstałe w Mezopotamii i Egipcie, w niemal niezmienionej postaci przetrwały dosłownie tysiące lat, choć dynastie i elity władzy zmieniały się wielokrotnie. Podobnie kolejne fale zwycięskich inwazji nie zdołały skruszyć chińskiej służby cywilnej z jej biurami, raportami i systemem egzaminów – biurokracja trwała niezależnie od tego, kto w danej chwili rościł sobie prawo do Mandatu Niebios. Weber zwraca również uwagę, że z oczywistych względów to właśnie najeźdźcy w większym stopniu niż lokalni władcy potrzebowali pilnie strzeżonej wiedzy i umiejętności chińskich biurokratów. Według Webera jedynym sposobem pozbycia się istniejącej biurokracji jest wymordowanie wszystkich jej urzędników, jak to uczynił król Wizygotów Alaryk w imperialnym Rzymie, a Dżyngis-chan na niektórych obszarach Bli-

[1] Max Weber, Socjologia panowania, [w:] tegoż, Gospodarka i społeczeństwo. Zarys socjologii rozumiejącej, tłum. i wstępem opatrzyła Dorota Lachowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 719 i nast.

skiego Wschodu. Jeśli jednak odpowiednio wielu funkcjonariuszy pozostanie przy życiu, po kilku latach znów będą zarządzać całym królestwem.

Inne możliwe wyjaśnienie mówi, że biurokracja nie tylko okazuje się niezastąpiona dla władców, ale ma również autentyczny urok dla tych, którzy podlegają jej administracji. Żeby przyjąć ten punkt widzenia, nie trzeba koniecznie podzielać weberowskich hołdów dla skuteczności biurokracji. Istnieje prostsze wytłumaczenie: atrakcyjność procedur biurokratycznych bierze się z ich bezosobowości. Zimne, zdepersonalizowane relacje biurokratyczne przypominają transakcje pieniężne oraz mają podobne wady i zalety. Z jednej strony są bezduszne. Z drugiej strony są proste, przewidywalne i – przynajmniej w pewnych granicach – z grubsza tak samo traktują wszystkich ludzi. Bo kto chciałby żyć w świecie, gdzie każda czynność wymaga głębokiego osobistego zaangażowania? Biurokracja oferuje przynajmniej możliwość wchodzenia w takie relacje z innymi ludźmi, które od żadnej ze stron nie wymagają uprawiania skomplikowanych i wyczerpujących form pracy interpretacyjnej, opisanej w pierwszym rozdziale tej książki. Kiedy kładę pieniądze na ladzie, nie muszę się zastanawiać, co sprzedawca myśli o moim stroju. Podobnie wyjmując z kieszeni dowód osobisty, nie muszę tłumaczyć bibliotekarce, dlaczego tak mi się spieszy do lektury pracy o motywach homoerotycznych w osiemnastowiecznej poezji brytyjskiej. To bez wątpienia jeden z uroków biurokracji. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, trudno sobie wyobrazić społeczeństwo, choćby najbardziej utopijnie wspólnotowe, które mogłoby się obejść bez żadnych bezosobowych (więc jednak biurokratycznych) instytucji. Jeden oczywisty przykład: przeszczepy narządów. Ktoś, kto czeka na ratujący życie przeszczep w kolejce albo bierze udział w loterii narządów, z pewnością przeżywa ogromny stres i jest poddany głębokiej alienacji. Tym niemniej, trudno wyobrazić sobie jakikolwiek inny system rozdziału puli dostępnych serc i nerek, który nie byłby znacznie, znacznie gorszy.

To, jak powiedziałem, najprostsze możliwe wyjaśnienie. W tym rozdziale chcę jednak dotrzeć o wiele głębiej. Rzecz nie polega jedynie na tym, że bezosobowe, biurokratyczne relacje są wygodne, ale także na tym, że właśnie na takich relacjach opiera się nasze rozumienie racjonalności, sprawiedliwości, a przede wszystkim wolności. By wyjaśnić, dlaczego tak uważam, chcę najpierw przyjrzeć się dwóm momentom w historii, kiedy nowo powstałe struktury biurokratyczne napotkały nie tyle powszechną uległość, co wręcz zawrotny entuzjazm, graniczący z uwielbieniem. Następnie chcę spróbować wyjaśnić, co w owych strukturach okazało się tak atrakcyjne dla tak wielu ludzi.

Oba ujęcia umieszczają rozum całkowicie poza domeną ludzkiej twórczości, żądz i uczuć. Różni je jedynie to, że według jednego z nich rozum trzyma nasze pasje na wodzy, a według drugiego – służy ich realizacji.

Nowo powstająca nauka – ekonomia – doprowadziła tę logikę do najdalej idących konsekwencji, ale u początków tej logiki leży tyleż biurokracja, co rynek. (A trzeba pamiętać, że większość ekonomistów tak dziś, jak i w przeszłości, znajduje zatrudnienie w dużych biurokratycznych organizacjach). Przekonanie, że można wyraźnie rozgraniczyć środki i cele, fakty i wartości, jest pochodną biurokratycznej mentalności, ponieważ biurokracja jest jedyną społeczną instytucją, w której sposoby działania są całkowicie oderwane od celów, do jakich te działania prowadzą[16]. W ten oto sposób biurokracja już dawno temu zakorzeniła się dla znacznej części ludności w czymś, co postrzegamy jako „zdrowy rozsądek".

A przecież starsze rozumienie racjonalności nie zanikło całkowicie. Przeciwnie: obie koncepcje, choć wzajemnie sprzeczne, współistnieją i nieustannie ścierają się ze sobą. Właśnie dlatego nasze rozumienie racjonalności jest tak niespójne. Nie bardzo wiadomo, co to słowo znaczy. Raz oznacza środek, a innym razem – cel. Czasem nie ma nic wspólnego z moralnością, a czasem stanowi esencję tego, co uważamy za dobre i właściwe. Raz racjonalność oznacza metodę rozwiązywania problemów, a innym razem sama jest rozwiązaniem każdego problemu, z jakim człowiek może się zetknąć.

2. Racjonalizm jako forma duchowości

Warto zastanowić się bliżej nad tym kuriozalnym stanem rzeczy, bo leży on w samym sercu naszego rozumienia biurokracji. Z jednej strony uważamy, że systemy biurokratyczne to tylko neutralne techniki społeczne, sposoby dostania się z punktu A do punktu B, które w najmniejszej mierze nie decydują o tym, czy coś jest dobre, czy złe. Pamiętam, jak pewien mój znajomy, student Wydziału Spraw Publicznych i Stosunków Międzynarodowych im. Woodrowa Wilsona w Princeton – a to światowej sławy uczelnia kształcąca administratorów najwyższego szczebla – donosił mi z nieskrywanym

[16] Ta zasada uwidacznia się szczególnie mocno w biurokracjach wojskowych, których funkcjonariusze czerpią dumę z faktu, że niezależnie od własnych poglądów, z równym oddaniem i zaangażowaniem służą każdemu cywilnemu zwierzchnictwu, jakie narzucą im układy sił politycznych. Jest to jednak tylko przedłużenie mentalności biurokratów. W armiach zdominowanych na przykład przez oficerskie korpusy arystokratów wygląda to całkiem inaczej.

współczesnym świecie ten sam przywilej, poszatkowany na miliony maleńkich porcji, pozwala każdemu wysłać list albo włączyć światło[14].

Mamy więc do czynienia ze szczególnym pojęciem wolności. A co ważniejsze, z tak radykalnym odwrotem od wcześniejszego rozumienia racjonalności, że trudno przecenić jego wagę.

Wyjaśnię, co przez to rozumiem.

W intelektualnych tradycjach Zachodu zawsze przyjmowano, że ludzki intelekt służy przede wszystkim hamowaniu naszych niższych instynktów. To założenie można odnaleźć już u Platona i Arystotelesa, a włączenie klasycznych teorii duszy do myśli chrześcijaństwa i islamu dodatkowo je wzmocniło. Tak – mówiono – wszyscy mamy nasze zwierzęce popędy i namiętności, tak samo jak mamy zdolności twórcze i wyobraźnię, ale impulsy te są chaotyczne i aspołeczne. Rozum – zarówno jednostki, jak i całej społeczności politycznej – istnieje po to, by trzymać naszą zwierzęcą naturę w ryzach. Rozum tłumi, kanalizuje i powściąga wszystkie nasze gwałtowne porywy, by nie doprowadziły do chaosu i wzajemnego wyniszczenia. Rozum jest więc siłą moralną. Właśnie dlatego grecki rdzeń polis, oznaczający wspólnotę polityczną i miejsce racjonalnego porządku, daje nam zarówno „politykę", jak i „policję", a w języku angielskim również politeness – uprzejmość. Stąd także w tych tradycjach intelektualnych czające się zawsze pod powierzchnią przekonanie, że nasze moce twórcze mają w sobie przynajmniej ślad pierwiastka demonicznego.

Powstanie biurokratycznego populizmu, jakie tu przedstawiłem, koresponduje z odwróceniem tego pojęcia racjonalności i przyjęciem nowego ideału, którego najsłynniejszym wyrazicielem jest David Hume: „Rozum jest i być musi tylko sługą naszych pasji"[15]. Z tego punktu widzenia racjonalność nie ma nic wspólnego z moralnością. Jest wyłącznie instrumentem, maszyną, narzędziem do kalkulowania, jak najskuteczniej osiągnąć zamierzone cele – ale owe cele nie podlegają już żadnej racjonalnej analizie. Rozum nie jest w stanie nam podpowiedzieć, czego powinniśmy chcieć. Może jedynie pomóc nam to osiągnąć.

[14] Nie trzeba dodawać, że – jak wynika z uwag o losie Internetu zamieszczonych w poprzednim rozdziale – takie technologie poetyczne mają niestety skłonność do przeradzania się w biurokratyczne.

[15] Dla tych, którzy usiłują pogodzić obie koncepcje, fascynujący jest paradygmat freudowski: racjonalność (ego) nie reprezentuje już moralności, jak to było w średniowieczu, gdy rozum i moralność były tożsame, ale jest rozciągana w przeciwne strony przez nasze namiętności (id) i moralność (superego).

1. Oczarowanie rozczarowaniem, czyli o magicznej mocy urzędu pocztowego

Jeśli Weber mógł przedstawiać biurokrację jako ucieleśnienie racjonalnej skuteczności, to między innymi dlatego, że we współczesnych mu Niemczech biurokracja rzeczywiście działała nienagannie. Jej flagową instytucją, a zarazem radością i dumą niemieckiej służby cywilnej była poczta. Pod koniec XIX wieku niemiecką pocztę uważano za jeden z cudów nowoczesnego świata. Jej legendarna efektywność rzuciła wręcz straszliwy cień na cały XX wiek. Wiele największych osiągnięć okresu, który nazywamy dziś „wysokim modernizmem", wzięło się z inspiracji Pocztą Niemiecką, a niekiedy było bezpośrednią imitacją jej struktury i procedur. Można wręcz dowodzić, że u stóp tej instytucji trzeba złożyć bezlik największych nieszczęść ubiegłego stulecia.

Aby zrozumieć, jak to możliwe, musimy przyjrzeć się samym początkom nowoczesnego państwa dobrobytu, które dziś powszechnie uważa się – o ile ktokolwiek się nad tym zastanawia – za twór oświeconych, demokratycznych elit. Nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Podstawowych instytucji europejskich, które ostatecznie złożyły się na państwo dobrobytu – od ubezpieczeń społecznych i emerytalnych po publiczną służbę zdrowia i biblioteki publiczne – w większości przypadków nie stworzyły rządy, ale związki zawodowe, wspólnoty sąsiedzkie, kooperatywy oraz wszelkiego rodzaju organizacje i partie robotnicze. Wiele z nich świadomie zaangażowało się w rewolucyjny projekt „budowania nowego społeczeństwa w skorupie starego" – stopniowego, oddolnego tworzenia instytucji socjalistycznych. Dla jednych ostatecznym celem było przejęcie władzy w drodze wyborów parlamentarnych; dla innych ten projekt był celem samym w sobie. Trzeba pamiętać, że pod koniec XIX wieku nawet bezpośredni spadkobiercy marksowskiej Partii Komunistycznej w zasadzie porzucili zamiary siłowego przejęcia władzy, ponieważ nie wydawało się to już konieczne. Europejski pokój i postęp techniczny pozwalały sądzić, że rewolucji społecznej można dokonać pokojowymi, parlamentarnymi metodami.

Jednym z krajów, gdzie tego rodzaju partie święciły największe triumfy, były Niemcy. Chociaż kanclerz Otto von Bismarck, twórca niemieckiej państwowości, ograniczał władzę parlamentu, rosnąca w szybkim tempie popularność partii robotniczych krzyżowała mu szyki, a sen spędzała mu z powiek perspektywa socjalistycznej większości czy nawet ludowego zrywu na

modłę Komuny Paryskiej w nowo zjednoczonych Niemczech. Na zwycięstwo wyborcze socjalistów w 1878 roku zareagował dwojako: po pierwsze, zdelegalizował partię socjalistyczną, związki zawodowe i lewicowe gazety; z drugiej zaś strony, kiedy te posunięcia okazały się nieskuteczne (socjaliści nadal stawali do wyborów i wygrywali je jako niezależni kandydaci), stworzył odgórną, państwową alternatywę dla darmowych szkół, zrzeszeń pracowniczych, towarzystw dobroczynnych, bibliotek, teatrów i innych oddolnie budowanych instytucji socjalistycznych. Jego program obejmował ubezpieczenia społeczne (na wypadek utraty pracy, choroby czy inwalidztwa), bezpłatną edukację, emerytury i tak dalej. W większości były to rozwodnione wersje rozwiązań postulowanych przez socjalistów, ale skrupulatnie pozbawione jakichkolwiek elementów demokracji i partycypacji obywatelskiej. W prywatnych rozmowach otwarcie przedstawiał te posunięcia jako „łapówkę", próbę przekupienia klasy robotniczej i zaskarbienia sobie jej lojalności dla konserwatywnego projektu państwa narodowego[2]. Kiedy lewica w końcu przejęła władzę, wzorzec był już gotowy, a nowe władze niemal bez wyjątku wybierały podejście odgórne, wcielając lokalnie tworzone kliniki, biblioteki, banki spółdzielcze i świetlice robotnicze do struktur administracji państwowej.

Modelem dla nowej niemieckiej administracji była poczta, co wcale nie dziwi, gdy wziąć pod uwagę historię systemu pocztowego. Poczta była jedną z pierwszych prób zastosowania odgórnych, wojskowych form organizacyjnych dla pożytku publicznego. Pierwsze usługi pocztowe powstawały w organizacyjnych ramach armii i imperiów. Początkowo za ich pośrednictwem przekazywano na duże odległości rozkazy i raporty polowe; później pozwalały utrzymać spoistość imperiów. Stąd słynne słowa Herodota o kurierach imperium perskiego, którzy dzięki wypoczętym koniom czekającym na posterunkach rozstawionych w równych odległościach mieli być najszybszymi podróżnikami na świecie: „Tych gońców nie wstrzyma ani śnieżyca, ani ule-

[2] Jak tłumaczył pewnemu gościowi z Ameryki: „Moim zamiarem było przekupić klasy pracujące czy może raczej przekonać je, aby uznały państwo za instytucję społeczną, która istnieje dla nich i ma na względzie ich dobrobyt". Cyt. za: William Thomas Stead, On the Eve: A Handbook for the General Election, Review of Reviews Publishing, London 1892, s. 62. Warto mieć te słowa na względzie, tym bardziej, że ich ogólną myśl – że państwo dobrobytu powstało w dużej mierze po to, by obłaskawić klasę robotniczą i zapobiec jej radykalizacji, która mogłaby wywołać rewolucję – często traktuje się sceptycznie, a wątpiący oczekują dowodów, że była to świadoma taktyka klasy panującej. Tutaj sam twórca pierwszego na świecie państwa dobrobytu potwierdza swymi słowami, że właśnie tak było.

współpracy, która miała wyłaniać się ze skorupy kapitalizmu – choć jednocześnie zalewał nas spamem, reklamami i listami od naciągaczy, a na dodatek udostępnił władzom państw nowe, pomysłowe metody inwigilacji?

Są oczywiście różnice. Najbardziej oczywista z nich jest taka, że Internet opiera się na znacznie bardziej bezpośrednich, oddolnych formach współpracy. To ważne. Jednak w tym miejscu bardziej niż historyczne znaczenie fenomenu Internetu interesuje mnie odpowiedź na pytanie: co nam to mówi o atrakcyjności samej biurokracji?

Po pierwsze, istotną kwestią wydaje się fakt, że zarówno usługi pocztowe, jak i Internet wyłoniły się z wojskowości. W obu przypadkach mamy do czynienia z zastosowaniem technologii militarnych do celów cywilnych. Jak pisałem wcześniej, zorganizowana przemoc jako forma komunikacji radykalnie zubaża, upraszcza i wreszcie uniemożliwia komunikację, a jako forma działania, jest w swej istocie jego zaprzeczeniem, ponieważ ostatecznym celem przemocy jest uniemożliwić podejmowanie działań ludziom, przeciwko którym ją skierowano (albo określonych działań tu i teraz, albo – przez zabijanie – wszelkich działań, raz na zawsze). A mimo to potrafimy wziąć te ograniczone, zubożone formy komunikacji i działania typowe dla struktur wojskowych – czy to hierarchii dowodzenia, czy kodu binarnego – i jak na niewidzialnej podstawie zbudować na nich coś, co jest ich zaprzeczeniem: marzenia, projekty, deklaracje miłości i namiętności, artystyczne uniesienia, wywrotowe manifesty i cokolwiek innego, co podsunie nam nieskrępowana wyobraźnia. Tworzymy i pielęgnujemy dzięki nim relacje społeczne, jakie wcześniej nie byłyby w ogóle możliwe. Ale to również oznacza, że biurokracja nas pociąga – i wyzwala nas najpełniej – dokładnie tam, gdzie przestaje być dostrzegalna: gdzie staje się tak racjonalna i niezawodna, że traktujemy ją jak coś najzupełniej oczywistego, że możemy wyspać się na posłaniu z cyfr, a gdy się obudzimy, wszystkie te cyfry nadal będą na swoich miejscach.

W tym sensie biurokracja urzeka nas tam, gdzie funkcjonuje jako technologia, którą wcześniej nazwałem „poetyczną" – czyli wtedy, gdy mechaniczne formy organizacji, najczęściej o wojskowym rodowodzie, zaprzęgamy do realizacji utopijnych wizji: gdy budujemy miasta z powietrza, wspinamy się na nieboskłon, obsiewamy pustynię kwiatami i tym podobne. Na przestrzeni dziejów potęgą tej miary dysponowali jedynie władcy imperiów albo wodzowie zwycięskich armii; możemy więc mówić o czymś w rodzaju demokratyzacji despotyzmu. Niegdyś tylko nieliczni i wyjątkowo uprzywilejowani mogli skinieniem dłoni wprawić w ruch niewidzialną armię kółek i trybów zębatych, by zorganizowały się samoczynnie i spełniły ich każdą zachciankę. We

narkomanię i niewydolność państwa opiekuńczego widzianego oczami rasistów. (To utożsamianie Afroamerykanów i ze sztywnymi biurokratami, i z przerażającą, niewytłumaczalną agresją, występuje raz po raz w amerykańskiej popkulturze, choć trzeba przyznać, że tropy te rzadko występują jednocześnie. To równie osobliwy, co rozpowszechniony rys amerykańskiego kina akcji, że irytujący szef-biurokrata, kurczowo trzymający się sztywnych przepisów, który rzuca kłody pod nogi głównemu bohaterowi-indywidualiście, jest niemal zawsze czarny)[13].

Jednak w tym samym czasie, gdy symboliczna wojna z pocztą państwową trwała w najlepsze, gdy w oczach opinii publicznej urzędy pocztowe stawały się siedliskiem obłędu, upokorzeń i przemocy, rodziło się inne zjawisko, do złudzenia przypominające zauroczenie modelem działania poczty z przełomu wieków.

Podsumujmy:

1. Wojsko zapoczątkowuje nową technologię komunikacji.
2. Technologia ta prędko się upowszechnia i zasadniczo odmienia życie codzienne.
3. Zyskuje reputację oszałamiająco szybkiej i sprawnej.
4. Ponieważ nie jest podporządkowana zasadom rynku, rozmaici radykałowie upatrują w niej pierwszych oznak przyszłego, niekapitalistycznego systemu gospodarczego, który jakoby rozwija się właśnie w skorupie starego.
5. Mimo to nowa technologia szybko staje się mechanizmem rozpowszechniania nowych form reklamy i wypełniania formularzy, a służby państwowe wykorzystują ją do masowej inwigilacji.

Powinno już być jasne, do czego zmierzam. Właśnie tak przebiega jak dotąd historia Internetu. Czym jest poczta elektroniczna, jeśli nie gigantyczną, superszybką pocztą, obejmującą całą kulę ziemską? Czy Internet, jak wcześniej poczta, nie stworzył wrażenia nowej, zaskakująco wydajnej ekonomii

[13] Ta prawidłowość rozciąga się na inne gatunki filmowe. Nawet jeśli bohater-indywidualista jest (dajmy na to) naukowcem, jego przełożony w instytucji biurokratycznej niemal zawsze będzie przedstawicielem jakiejś mniejszości etnicznej. Bohater jest zazwyczaj biały, a jego szef – szczególnie jeśli to nadgorliwy służbista – prawie nigdy.

wa, ani upał, ani noc, od tego, by jak najszybciej przepisany bieg odbyli"[3]. Słowa te do dziś widnieją nad wejściem do nowojorskiej Poczty Głównej, vis-à-vis dworca Pennsylvania Station. W Imperium Rzymskim istniał podobny system, a praktycznie każda armia korzystała z kurierów pocztowych aż do 1805 roku, kiedy to Napoleon po raz pierwszy użył semaforów.

Jedną z największych innowacji rządów osiemnasto-, a szczególnie dziewiętnastowiecznych było przekształcenie systemów wojskowej poczty kurierskiej tak, aby mogła stać się bazą nowej służby cywilnej, świadczącej usługi publiczne. Zaczęło się od handlu. Z biegiem czasu klasy kupieckie zaczęły wykorzystywać pocztę do korespondencji osobistej i politycznej, a w końcu korzystali z niej praktycznie wszyscy[4]. Wkrótce w wielu nowo powstających państwach narodowych w Europie i obu Amerykach poczta pochłaniała już połowę budżetu państwa oraz zatrudniała ponad połowę funkcjonariuszy służby cywilnej[5].

W Niemczech nie byłoby nawet od rzeczy twierdzić, że kraj został wręcz s t w o r z o n y przez pocztę. Pod rządami Świętego Imperium Rzymskiego prawo do obsługi szlaków kurierskich na podbitych terytoriach przyznano, jak na czasy feudalne przystało, arystokratycznej rodzinie z Mediolanu, później znanej jako rodzina baronów von Thurn und Taxis. (Legenda głosi, że jeden z potomków tej rodziny wynalazł taksometr i tym samym nadał taksówkom ich nazwę). Imperium Pruskie wykupiło monopol rodziny Thurn und Taxis w 1867 roku i na jego bazie stworzyło nową pocztę niemiecką. Przez kolejne dwa dziesięciolecia oznaką wcielania nowych księstw czy państewek do niemieckiego państwa narodowego było przyłączenie ich do niemieckiej poczty. Między innymi z tego właśnie względu perfekcyjna sprawność systemu pocztowego stała się przedmiotem narodowej dumy. I rzeczywiście, dziewiętnastowieczna poczta niemiecka robiła kolosalne wrażenie. W większych miastach dostarczała przesyłki pięć, a nawet dziewięć razy dziennie. W stolicy rozległa, wielokilometrowa sieć przewodów pneumatycznych w mgnieniu oka przerzucała listy i drobne przesyłki na duże odległości pod ciśnieniem sprężonego powietrza:

[3] Herodot, Dzieje, przełożył i wstępem opatrzył Seweryn Hammer, Czytelnik, Warszawa 2011, 8.98.

[4] Co ciekawe, Benedict Anderson w książce Wspólnoty wyobrażone. Rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu (tłum. Stefan Amsterdamski, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997) ledwo o tym zjawisku wspomina, skupiając się wyłącznie na prasie codziennej.

[5] Tak jest do dziś: obecnie w Stanach Zjednoczonych wojsko stanowi jedną trzecią pracowników zatrudnianych przez państwo, a poczta – jedną czwartą, znacznie przewyższając liczebność innych rządowych instytucji.

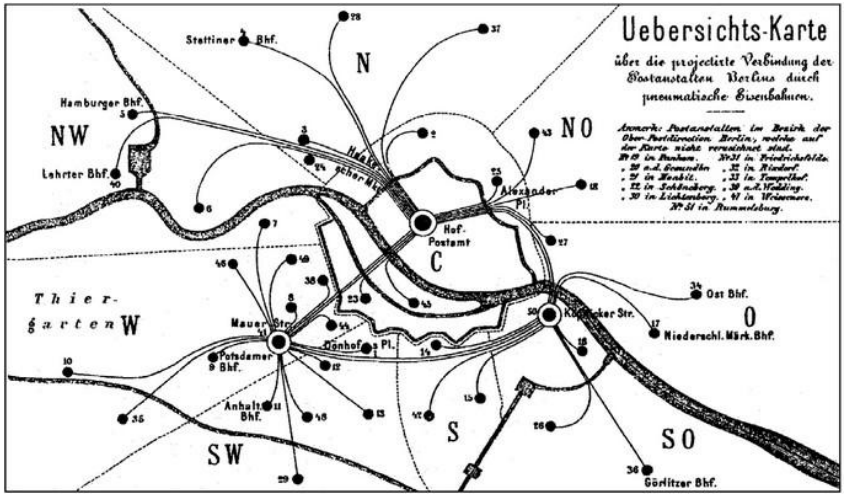

Rys. 1. Mapa berlińskiego systemu poczty pneumatycznej, 1873

Mark Twain, który pomieszkiwał w Berlinie między 1891 a 1892 rokiem, był tak zafascynowany pocztą niemiecką, że poświęcił jej jeden z bardzo niewielu w swym dorobku niesatyrycznych esejów, Postal Service, w którym wyrażał uznanie dla jej niezwykłej efektywności[6]. Nie był też jedynym przybyszem z zagranicy, na którym organizacja niemieckiej poczty zrobiła takie wrażenie. Zaledwie na kilka miesięcy przed wybuchem rewolucji rosyjskiej Włodzimierz Iljicz Lenin pisał:

> Pewien dowcipny niemiecki socjaldemokrata, w 70-ych latach zeszłego wieku, nazwał pocztę wzorem socjalistycznej gospodarki. Jest to słuszne. Obecnie poczta stanowi gospodarstwo, zorganizowane na modłę państwowo - k a p i t a l i s t y c z n e g o monopolu. Imperializm przemienia stopniowo wszystkie trusty na organizacje takiego typu [...].
>
> C a ł e narodowe gospodarstwo, zorganizowane, jak poczta, przy uwzględnieniu tego, aby technicy, dozorcy, buchalterzy oraz w

[6] Niestety, ten esej zaginął. Zob. The Mark Twain Encyclopedia, ed. J. R. LeMaster, James Darrell Wilson, Christie Graves Hamric, Routledge, New York 1993, s. 71; Everett Emerson, Mark Twain, a Literary Life, University of Pennsylvania Press, Philadelphia 2000, s. 188.

ników, która z urzędów państwowych rozprzestrzenia się na sektor prywatny.

W fascynującej książce Going Postal: Rage, Murder, and Rebellion from Reagan's Workplaces to Clinton's Columbine and Beyond Mark Ames drobiazgowo analizuje artykuły prasowe o takich wydarzeniach, które rzeczywiście rozprzestrzeniły się z urzędów pocztowych do prywatnych biur i fabryk, a nawet do firm kurierskich, takich jak UPS, w końcu stały się zaś tak pospolite, że coraz rzadziej trafiają do serwisów informacyjnych. Ames zwraca uwagę, że język doniesień prasowych, niezmiennie przedstawiających te wydarzenia jako niewytłumaczalne napady jednostkowego szału i obłędu, bez najdrobniejszej wzmianki o ich podłożu, jakim jest systematyczne upokarzanie pracowników, niepokojąco przypomina język dziewiętnastowiecznych relacji prasowych o buntach niewolników[11]. Ames zauważa, że zorganizowane rebelie niewolników są w amerykańskiej historii nieliczne. Nie należały natomiast do rzadkości przypadki, gdy pojedynczy niewolnicy lub niewielkie grupy napadały na nadzorców, właścicieli i ich rodziny z siekierami, nożami, trucizną czy innymi narzędziami mordu, jakie znajdowały się w ich zasięgu. Tak wtedy, jak i dziś, dziennikarze traktowali te napaści jako jednostkowe przypadki szaleństwa lub niewytłumaczalnej furii. Jakakolwiek sugestia, że przyczyny tej przemocy mogą być strukturalne – choćby wzmianka o okrucieństwie niewolnictwa albo przypomnienie, że zanim reformy korporacyjnej kultury z lat 80. odebrały pracownikom poczucie bezpieczeństwa i stabilności zatrudnienia oraz pozbawiły ich ochrony przed arbitralnym i upokarzającym traktowaniem ze strony przełożonych, w całej historii Stanów Zjednoczonych nie zdarzyła się ani jedna taka masakra (o p r ó c z tych właśnie, których sprawcami byli niewolnicy) – wydawała się niemoralna, bo sugerowała, że owe akty przemocy można jakoś usprawiedliwiać.

Co więcej, trudno zaprzeczyć, że ta retoryka była silnie zabarwiona rasizmem. O ile przez większość XX wieku w oczach afroamerykańskich społeczności robotniczych urząd pocztowy symbolizował stabilne i bezpieczne, ale także szanowane i społecznie użyteczne miejsce pracy[12], o tyle od prezydentury Ronalda Reagana uosabia wszystkie rzekome upokorzenia, przemoc,

[11] Mark Ames, Going Postal: Rage, Murder, and Rebellion from Reagan's Workplaces to Clinton's Columbine and Beyond, Soft Skull Press, Brooklyn 2005.

[12] Pięknie zilustrowano to w doskonałym filmie The Hollywood Shuffle, w którym młody czarnoskóry aktor godzi się na każdą upokarzającą, po rasistowsku stereotypową rolę, byle tylko zrobić karierę w filmie – podczas gdy babcia łagodnie mu przypomina: „Zawsze możesz znaleźć pracę na poczcie".

amerykańscy progresywiści dowodzili, że nawet przedsiębiorstwa prywatne działałyby wydajniej, gdyby zorganizować je na wzór poczty. „Upocztowienie" święciło triumfy. Znacjonalizowano prywatne dotychczas metro oraz koleje podmiejskie i międzystanowe, które w największych miastach Ameryki pozostały usługami publicznymi do dziś.

Z dzisiejszego punktu widzenia takie fantazjowanie o utopii zorganizowanej na wzór poczty wydaje się w najlepszym razie kuriozalne. Dziś poczta krajowa przywodzi nam na myśl przesyłki, które nie wywołują niczyjej radości: rachunki za usługi komunalne, powiadomienia o przekroczeniu debetu, katalogi sprzedaży wysyłkowej, ulotki reklamowe, wezwania do stawienia się w sądzie, kontrole podatkowe, oferty chwilówek i nagabywania o datki dla organizacji dobroczynnych. Jeśli można zaś mówić o rozpowszechnionym w Ameryce wizerunku pracownika poczty, jest on coraz bardziej odstręczający. Ale to nie stało się samo z siebie – to raczej efekt rozmyślnie podejmowanych decyzji politycznych. W ramach długotrwałej kampanii mającej przekonać Amerykanów, że państwo jest niewydolne, od lat 80. XX wieku Kongres systematycznie tnie budżet poczty państwowej i lansuje alternatywy prywatne[10]. W rezultacie urzędy pocztowe prędko stały się podręcznikowym przykładem wszystkiego, co w państwowej biurokracji najgorsze: prasa nieustannie donosiła o strajkach pocztowców, listonoszach pod wpływem narkotyków, sortowniach pełnych niedoręczonych przez lata przesyłek i oczywiście, bo to najgłośniejsze sprawy, o pracownikach poczty, którzy co jakiś czas wpadali w szał i otwierali ogień do kierowników, współpracowników, funkcjonariuszy policji czy klientów [stąd angielski idiom going postal, oznaczający tego rodzaju przemoc w miejscu pracy, wykorzystany również w tytule gry komputerowej Postal – przyp. tłum.]. O natężeniu tych zjawisk mówi fakt, że jedyną współczesną wzmiankę o „upocztowieniu" znalazłem w artykule o przemocy w miejscu pracy, zatytułowanym Upocztowienie amerykańskich korporacji i poświęconym epidemii napaści na przełożonych i współpracow-

[10] Wychowując się w Nowym Jorku, zawsze byłem pod wrażeniem ogromu obiektów komunalnych wzniesionych na przełomie wieków, których majestat odzwierciedlał wielkość i potęgę Republiki – w zestawieniu z najwyraźniej rozmyślną tandetą instalacji, jakie miasto wybudowało dla swoich mieszkańców po 1970 roku. Dwa najwspanialsze symbole tej minionej ery to monumentalna Poczta Główna Nowego Jorku, z korynckimi kolumnami i szerokim marmurowymi stopniami ciągnącymi się od przecznicy do przecznicy, oraz główny oddział nowojorskiej Biblioteki Publicznej (która notabene aż do lat 80. XX wieku przesyłała rewersy własnym systemem przewodów pneumatycznych). Pamiętam, że gdy jako turysta zwiedzałem pałac letni szwedzkich królów – pierwszy pałac, jaki oglądałem od wewnątrz – pomyślałem: „Wygląda zupełnie jak nasza Biblioteka Publiczna!".

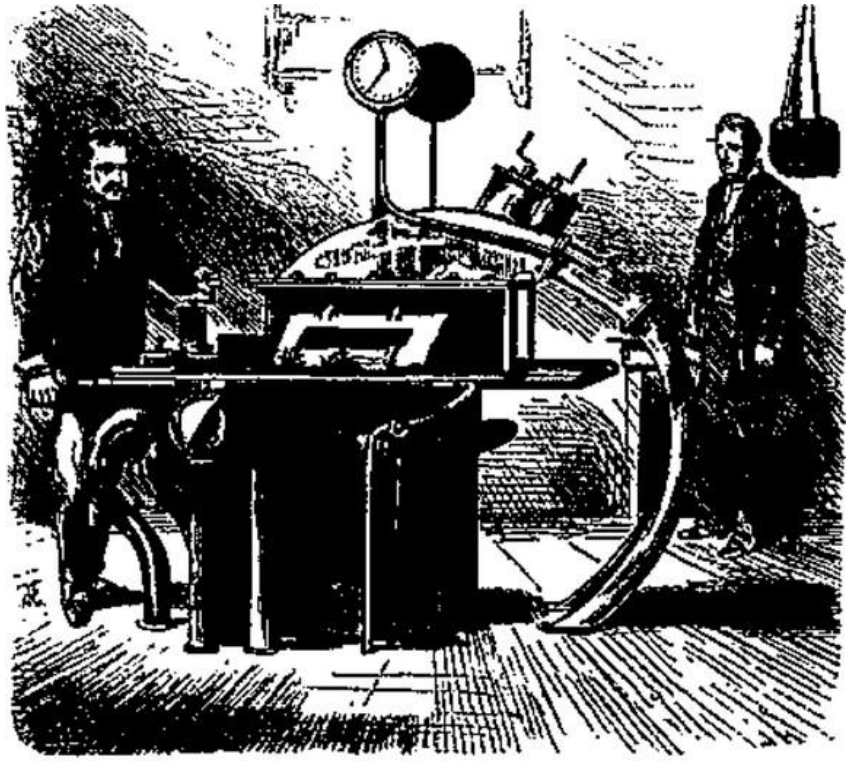

Fig. 613. Rohrpostamt.

> s z y s c y oficjaliści byli wynagradzani nie więcej ponad „płacę zarobkową robotnika", pod kontrolą i kierunkiem uzbrojonego proletariatu — oto nasz najbliższy cel[7].

A więc proszę. Związek Radziecki zorganizowano na wzór poczty niemieckiej.

Nie tylko etatystycznie nastawieni socjaliści byli pod wrażeniem. Do chóru głosów podziwu dołączyli nawet anarchiści, choć ich interesował nie tyle system krajowy, co relacje między wieloma takimi systemami: możliwość wysłania listu z Wenezueli do Chin bez odgórnego zarządu jednego państwa. Piotr Kropotkin często powoływał się na „uniwersalną unię pocztową" z 1878 roku (razem z umowami między przewoźnikami kolejowymi) jako model działania anarchizmu, podkreślając przy tym, że systemy te j u ż w ó w c z a s działały ponad systemami imperialnymi:

> Unia Pocztowa nie wybrała międzynarodowego parlamentu poczty, by ustanawiał prawa rządzące wszystkimi instytucjami pocztowymi należącymi do Unii [...]. Zamiast tego przyjęto formułę umowy. Porozumienia wypracowywano na kongresach, ale wysyłanym na kongres delegatom nikt nie mówił: „Głosujcie zgodnie ze swoimi przekonaniami, a my będziemy wam posłuszni". Najpierw formułowano problemy i poddawano je pod dyskusję we własnym gronie. Następnie podejmowano decyzje, przedstawiano je delegatom i wysyłano ich na kongres: d e l e g a t ó w właśnie, nie przywódców[8].

Wizja idealnej przyszłości w społeczeństwie zorganizowanym na wzór poczty nie ograniczała się zresztą do Europy. Kraj, który wkrótce miał stanąć do rywalizacji z Niemcami o globalne wpływy, Stany Zjednoczone, również typowano jako model nowej cywilizacji, przywołując amerykańską pocztę jako dowód prima facie. Już w latach 30. XIX wieku Alexis de Tocqueville wyrażał zaskoczenie rozmachem amerykańskiej poczty i liczbą przesyłek dostarczanych nawet na obszarach pogranicza. Podczas podróży przez stan Kentucky zanotował: „Po tych dzikich puszczach krążą nieprzebrane listy i

[7] Włodzimierz Iljicz Lenin, Państwo i rewolucja. Nauka marksizmu o państwie i zadania proletariatu w Rewolucji, [w:] tegoż, Dzieła wybrane, t. II, [b. tłum.], Książka i Wiedza, Warszawa 1949, s. 192.

[8] Piotr Kropotkin, Anarchist Communism, [w:] Anarchism: A Collection of Revolutionary Writings, Dover, New York 1974, s. 68.

gazety!". Obliczał, że jest ich o wiele więcej niż w najgęściej zaludnionych i najlepiej rozwiniętych gospodarczo prowincjach Francji. Późniejszy historyk amerykańskiej republiki pisał:

> Wkrótce amerykańska poczta przewyższyła rozmiarami pocztę brytyjską i francuską. Do 1816 roku w kraju powstało ponad trzy tysiące trzysta urzędów pocztowych, a ich personel stanowił niemal siedemdziesiąt procent wszystkich urzędników federalnych. Równie szybko rosła liczba przesyłek. W 1790 roku przesłano pocztą trzysta tysięcy listów, czyli jeden list na piętnastu mieszkańców kraju. W roku 1815 poczta dostarczała już niemal siedem i pół miliona listów rocznie, a więc mniej więcej tyle, ilu kraj liczył mieszkańców [...]. A w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii i innych narodów Europy, rząd federalny nie cenzurował listów i nie kontrolował ich obiegu[9].

Przez znaczną część XIX wieku z punktu widzenia większości Amerykanów poczta była praktycznie tożsama z rządem federalnym. Do 1831 roku personel poczty znacznie przewyższał liczebnością wszystkie inne instytucje państwowe razem wzięte. Funkcjonariuszy poczty było znacznie więcej niż żołnierzy w armii, a listonosz często stawał się jedynym urzędnikiem federalnym, jakiego większość mieszkańców małych miast miała możność spotkać przez całe życie.

Tymczasem w ówczesnej Europie Stany Zjednoczone postrzegano jako swego rodzaju utopijny eksperyment, który odrzucał leseferyzm, a gospodarkę opierał na kooperatywach, projektach finansowanych przez rząd federalny i ochronie taryfowej. Dopiero wraz z powstaniem kapitalizmu korporacyjnego po wojnie secesyjnej Stany Zjednoczone przyjęły model biurokratyczny, bliższy niemieckiemu. A wtedy model „pocztowy" stał się jedyną realną alternatywą, postulowaną przez populistów i progresywistów. Ponownie ze struktur opresji wyłaniały się nowe, oferujące więcej wolności i bardziej racjonalne formy organizacji społecznej. W Stanach Zjednoczonych mówiono wtedy o „upocztowieniu" (postalization) – ten specyficznie amerykański termin oznaczał po prostu nacjonalizację (i od tamtej pory całkowicie wyszedł z użycia). W tym samym czasie, gdy Weber i Lenin powoływali się na pocztę niemiecką jako na wzorzec przyszłości,

[9] Gordon Wood, Empire of Liberty: A History of the Early Republic, 1789 – 1815 (Oxford History of the United States), Oxford University Press, Oxford 2011, s. 478 i nast.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg

David Graeber
Utopia regulaminów
O technologii, tępocie i ukrytych rozkoszach biurokracji
2016-11-07

Na początku września zmarł David Graeber (pl.wikipedia.org). Niniejszy tekst kolektywizuję, ponieważ chciałbym uhonorować autora, który w tej pozycji jako pierwszy odpowiedział na dręczące mnie pytanie „dlaczego nie ma latających samochodów, kolonii na księżycu i podróży nadświetlnych?".

pl.anarchistlibraries.net

go świata do baśniowej krainy). Literaturę fantastyczną cechuje jednak inny temperament. Baśnie roztaczają wizje średniowiecznego oraz wczesnonowożytnego społeczeństwa z perspektywy kobiet i dzieci. Ich bohaterowie to częściej chłopki i sprytni szewcy niż księżniczki i dworzanie; w literaturze fantastycznej natomiast owo „pewnego razu" zostało gruntownie odmienione przez przemożny wpływ eposu heroicznego. Przez „literaturę fantastyczną" rozumiem tu gatunek nazywany niekiedy literaturą „magii i miecza", który w późnej erze wiktoriańskiej zapoczątkowali między innymi George MacDonald i Lord Dunsany, a którego najjaśniejszymi gwiazdami po dziś dzień pozostają J. R. R. Tolkien, C. S. Lewis i Ursula Le Guin[35]. To z tej tradycji wywodzi się standardowy repertuar postaci (wojownik, kapłan, mag), zaklęć, straszliwych bestii i tak dalej, którego niezliczone odmiany powracają w setkach, jeśli nie tysiącach dzieł współczesnej beletrystyki.

Te książki przyciągają nie tylko dlatego, że oferują rezydentom biurokratycznych społeczeństw niewyczerpany materiał do marzeń. Przyciągają przede wszystkim dlatego, że są systematycznym zaprzeczeniem wszystkiego, czym jest biurokracja. Podobnie jak średniowieczni kapłani i magowie snuli fantazje o świetlistej niebiańskiej administracji, tak dziś my snujemy fantazje na temat przygód średniowiecznych kapłanów i magów rozgrywających się w świecie skrzętnie oczyszczonym z wszelkich śladów biurokracji.

Dlaczego tak jest? Najprostsze wyjaśnienie mówi, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju szczepionki ideologicznej. Jednym z najskuteczniejszych sposobów propagowania zalet każdego systemu władzy nie jest mówienie o nich wprost, ale stworzenie przekonującej wizji świata, który będzie ich doskonałym zaprzeczeniem – na przykład, jak żyłoby się w świecie całkowicie pozbawionym władzy patriarchalnej, kapitalizmu lub państw? Ten ideologiczny fortel działa najlepiej wtedy, kiedy na pewnym poziomie wizerunek takiego świata przemożnie nas pociąga[36]. Najpierw wciąga nas alternatywna wizja, przeszywa dreszczyk wyobraźni – aż w końcu, gdy zaczynamy rozumieć konsekwencje naszych najgłębszych pragnień, wzdragamy się i odwracamy od nich z przerażeniem.

[35] Pojęcie „literatury fantastycznej" jest oczywiście bardzo pojemne i obejmuje tak Alicję w Krainie Czarów i Czarodzieja z krainy Oz, jak i Zew Cthulhu, a wielu krytyków uważa również science-fiction za podgatunek fantastyki.

[36] W innej książce nazywam to „efektem brzydkiego lustra": There Never Was a West: Democracy Emerges from the Spaces in Between, [w:] Possibilities: Notes on Hierarchy, Rebellion, and Desire, AK Press, Oakland 2007, s. 343.

Doskonałym przykładem są rzymskie igrzyska. Zanim powstało imperium, w większości śródziemnomorskich miast istniały samorządy; o sprawach wagi publicznej decydowano na publicznych zgromadzeniach. W takich demokracjach nawet kwestie prawne rozstrzygały ławy złożone z setek obywateli. Pod rządami Imperium Rzymskiego takie ciała zostały najpierw pozbawione wszelkiej władzy, a w końcu całkowicie zanikły. Od tej pory, jeśli obywatele gromadzili się licznie w jakimś miejscu publicznym, to tylko w Koloseum czy w rzymskim cyrku, jako widzowie walk gladiatorów lub wyścigów rydwanów – albo po to, by patrzeć, jak dzikie zwierzęta rozszarpują przestępców na strzępy. A jeśli ci obywatele nad czymkolwiek głosowali, to tylko przez podniesienie lub opuszczenie kciuka na znak, czy pokonanemu gladiatorowi ma być darowane życie.

Innymi słowy, Imperium Rzymskie nie tylko legitymizowało się przez narzucenie poddanym jednolitego systemu praw, ale także świadomie zachęcało tych samych poddanych do linczu (igrzyska często sponsorowali najwyżsi rangą sędziowie) – jak gdyby po to, by powiedzieć: „Demokracja? Teraz widzicie, do czego ona prowadzi". Ten wybieg okazał się tak skuteczny, że przez następne dwa tysiące lat niemal wszyscy wykształceni Europejczycy stanowczo sprzeciwiali się demokracji i przestrzegali przed zagrożeniem, jakie niesie oddanie władzy w ręce ludu – nie lepszego od tłuszczy w rzymskim cyrku, rozdartego na zwalczające się obozy, miotającego się bezrozumnie między ekstremami miłosierdzia i okrucieństwa, między ślepym posłuszeństwem dla charyzmatycznych idoli a zrzucaniem ich z piedestału. Również i dziś niemal każdy wykształcony człowiek żywi głębokie przekonanie, że nawet jeśli w pewnych sferach życia społecznego dopuścimy, bez entuzjazmu, kilka demokratycznych mechanizmów, to muszą być one wyraźnie oddzielone od aparatu wymierzania sprawiedliwości i egzekwowania prawa.

Nie chcę pozostawić wrażenia, że takie instytucje to wyłącznie sztuczki taktyczne, za pomocą których klasa panująca manipuluje ludowymi masami. Lub że jeśli nawet tak jest, to tego rodzaju machinacje nigdy nie obracają się przeciwko ich twórcom. Rzymski cyrk był instytucją nadzwyczaj skuteczną – i jedną z najbardziej przemyślnych antydemokratycznych instytucji stworzonych przez człowieka – ale już w przypadku średniowiecznego karnawału, by użyć znanego przykładu, z pijacką celebrą obżarstwa, buntu i seksualności, sytuacja wcale nie była oczywista. Z punktu widzenia bogatszych patronów karnawał miał zapewne przestrzegać masy przed koszmarem, do jakiego doprowadziłoby załamanie hierarchicznego porządku społecznego. Jednak ludowych organizatorów i uczestników karnawałowych obchodów te

dała niemal tak, jak gdyby obie strony próbowały odegrać komiksową wersję wszechświata. Ale gdy tylko na scenie pojawiła się realna władza ustrojodawcza, obnażyła i ośmieszyła cały bezład oraz absurd tego wszechświata. Przez Bliski Wschód przetaczały się rewolucje, a Stany Zjednoczone kosztem setek miliardów dolarów nadal ścigały zgrają muzułmańskich kleryków w Afganistanie. I mimo wszystkich perswazyjnych zabiegów Nolana dokładnie to samo stało się ze stworzonym przez niego światem, gdy na nowojorskiej ulicy rozbłysła iskierka prawdziwej demokracji.

Wstęp. Żelazne prawo liberalizmu i era biurokratyzacji totalnej

makabryczne wizje przerażały w znacznie mniejszym stopniu (a karnawał nierzadko stawał się okazją do rzeczywistej rewolty)[37].

Sytuacja nie jest również oczywista w literaturze fantastycznej. Sami autorzy często nie byli pewni politycznych implikacji swoich dzieł. J. R. R. Tolkien oświadczył kiedyś na przykład, że uważa się albo za anarchistę, albo za „niekonstytucyjnego" monarchistę – i najwyraźniej nie mógł się zdecydować[38]. Jedno łączy oba te stanowiska: głęboki sprzeciw wobec biurokracji. Podobnie w większości utworów fantastycznych – tylko czarne charaktery tworzą systemy administracji. Gdy punkt po punkcie przyjrzeć się podstawowym cechom literatury fantastycznej, okaże się, że każda z nich jest antytezą jakiegoś aspektu biurokracji:

- Światy fantastyczne cechuje bezwzględny podział na dobro i zło (a w najlepszym razie na niejednoznaczne dobro i absolutne zło), z którego wynika, że między pewnymi siłami wojna jest jedyną możliwą relacją. A wojna między tymi skrajnościami również jest wojną bezwzględną; nie łagodzą jej żadne obyczaje, etykieta czy rycerska galanteria. Zupełnie inaczej wyglądało to w społeczeństwach heroicznych i średniowiecznych, gdzie zorganizowana przemoc – rozrywka arystokracji – częściej przypominała rytualne gry, w których najwyższą miarą był honor. Zasada absolutnego zła jest negacją b i u r o k r a t y c z n e j z

[37] Istotna różnica polega zapewne na tym, że w odróżnieniu od rzymskiego cyrku średniowieczne karnawały organizowano oddolnie.

[38] Podczas drugiej wojny światowej pisał w liście do syna: „Moje poglądy polityczne coraz bardziej skłaniają się ku anarchii (w rozumieniu filozoficznym, w którym oznacza ona zniesienie wszelkiej kontroli, nie zaś mężczyzn z bokobrodami podkładających bomby) – lub ku monarchii „niekonstytucyjnej". Aresztowałbym każdego, kto używa słowa „państwo" (w jakimkolwiek innym znaczeniu niż nieożywione królestwo Anglii i jej mieszkańcy: rzecz pozbawiona władzy, praw i rozumu); a po daniu mu szansy odwołania swoich słów, gdyby okazał się uparty, straciłbym go!". W tym samym liście Tolkien pisze, że relacje podległości są dopuszczalne wyłącznie w małych grupach, gdzie istnieje kontakt osobisty, a jedynym jasnym punktem na świecie jest „rozprzestrzeniający się zwyczaj niezadowolonych ludzi wysadzania dynamitem fabryk i elektrowni". List do Christophera Tolkiena, 29 listopada 1943, [w:] J. R. R. Tolkien, Listy: wybrane i opracowane przez Humphreya Carpentera przy współpracy Christophera Tolkiena, wyd. 2, przeł. Agnieszka Sylwanowicz, Prószyński i S-ka, Warszawa 2010, s. 76. Inni komentatorzy zwracają uwagę, że tolkienowskie uznanie wyłącznie władzy personalnej jest odbiciem jego nienawiści do biurokracji we wszelkich jej przejawach (faszyzm, komunizm czy państwo dobrobytu). Zob. na przykład John Garth, Tolkien and the Great War: The Threshold of Middle-earth, Harper-Collins, London 2011, s. 94; Mark Home, J. R. R. Tolkien, Thomas Nelson, Nashville, TN, 2011, s. 124 – 127. Ten ostatni zauważa, że „to rozchwianie między władzą królewską a «anarchią» nie powinno dziwić u badacza historii plemion północnoeuropejskich" (tamże, s. 125), jest za to charakterystyczne dla społeczeństw, które nazywam heroicznymi.

asadyneutralnościregulowanejprzepisamiin iekierującejsięwartościami; zaprzeczeniem porządku administracyjnego, dla którego pojęcie dobra i zła jest z gruntu obce. Światy fantastyczne są nasycone wartościami tak bezwzględnymi, że nic nie dzieje się tam poza ramami etyki.

- Świat literatury fantastycznej, zaludniony pół-człowieczymi istotami – krasnoludami, elfami, trollami i tym podobnymi – które w zasadzie są ludźmi, ale w żaden sposób nie dadzą się zintegrować w ramach jednego, wspólnego porządku społecznego, prawnego i politycznego, to świat rzeczywistego rasizmu. Jawnie używa się tam języka ras: „rasa elfów", „rasa karłów" i tak dalej. Nawet pod nieobecność takiego języka w tych światach faktycznie istnieją odmienne gatunki człekopodobnych istot, które mówią ludzkim językiem, budują domy, przygotowują posiłki, tworzą sztukę, odprawiają rytuały, a więc wyglądem i zachowaniem przypominają ludzi, a mimo to głęboko różnią się od nich w wymiarze moralnym i intelektualnym. To, między innymi, bezwzględne zaprzeczenie biurokratycznejzasadybezstronności, zgodnie z którą wszyscy podlegają tym samym regułom, pochodzenie nie ma znaczenia, a wobec prawa wszyscy są równi. Tam, gdzie jedni są orkami, a inni skrzatami, nie może być mowy o równym traktowaniu.

- Prawowita władza w światach fantasy bierze się zazwyczaj z czystej charyzmy albo z pamięci o dawnej charyzmie. Aragorn nikogo nie przymusza, by za nim podążał. Nie czynią tego Aslan ani Ged. Tylko negatywni bohaterowie tworzą aparaty przypominające państwa – a wówczas zawsze są to aparaty czystego przymusu. Co więcej, charyzmatyczna władza musi się nieustannie odnawiać, w przeciwnym razie słabnie i się degeneruje (Denethor, Gormenghast) albo przepoczwarza się w odrażające, gotyckie formy. A ponieważ rzeczywiste, dynamiczne, charyzmatyczne przywództwo zawsze ma swój początek w jakiejś wojnie, prawowita władza nie może istnieć bez ciągłego fizycznego zagrożenia. Innymi słowy, polityczny ideał nowoczesnych republik „demokratycznych", z politykami nieustannie zabiegającymi o zwolenników, zostaje podtrzymany – co nie powinno dziwić, skoro, jak podkreślałem, jest to stały heroiczny bądź arystokratyczny element takich republik – ale nie ma już nic wspólnego z zasadą suwerenności, a przede wszystkim zzasadąregularnościipr

licji. Jest to tak idiotyczny zwrot akcji, że łamie nawet komiksowe standardy wiarygodności: Bane'owi udaje się zwabić niemal wszystkich policjantów w mieście do podziemi i uwięzić ich tam detonacjami odpowiednio rozmieszczonych ładunków, tyle że z niewiadomej przyczyny Bane dostarcza im tam wodę i żywność – pewnie po to, by ich też torturować nadzieją.

Inne elementy fabuły są podobnymi projekcjami. Kobieta-Kot tym razem odgrywa rolę, jaka zwykle przypada publiczności – z początku identyfikuje się z rewolucyjnym zamysłem Bane'a, by następnie, bez jasnej przyczyny, zmienić zdanie i wyprawić go na tamten świat. Batman i policjanci Gotham wydostają się ze swoich więzień i wspólnymi siłami pokonują złowrogi tłum okupujący plac przed gmachem giełdy. W końcówce Batman rozbraja bombę, pozorując przy tym własną śmierć, a Bruce spotyka się z Kobietą-Kotem we Florencji. Rodzi się nowa, fałszywa legenda o męczenniku, a mieszkańcy Gotham spokojnie wracają do domów. W przyszłość patrzą bez obaw, bo oto pojawia się potencjalny następca Batmana, pozbawiony złudzeń policjant Robin. Wszyscy oddychają z ulgą, bo film nareszcie się skończył.

Jeśli z tego mętliku płynie jakaś refleksja, to chyba tylko taka: „To prawda, system jest przeżarty korupcją, ale innego nie mamy, a ludziom władzy można ufać, o ile najpierw wzięto ich w karby i poddano straszliwym cierpieniom". (Zwyczajni policjanci dopuszczą, by na moście zginęło dziecko. Policjanci, których na kilka tygodni pogrzebano żywcem, mają pełne prawo stosować przemoc). „To prawda, że niesprawiedliwość istnieje, a jej ofiary zasługują na współczucie, ale w granicach rozsądku. Filantropia – tak; rozwiązywanie problemów strukturalnych – nie. Ta droga prowadzi do szaleństwa". W uniwersum Nolana każda próba zmierzenia się z problemami strukturalnymi, nawet na drodze pokojowego nieposłuszeństwa obywatelskiego, tak czy inaczej jest formą przemocy i nie może być niczym innym. Polityka czerpiąca z wyobraźni musi rodzić przemoc, dlatego nie ma nic niewłaściwego w tym, że policja pacyfikuje pokojowych demonstrantów, raz po raz tłukąc ich głowami o beton.

Jako odpowiedź na ruch Occupy Wall Street jest to po prostu żenujące. Kiedy w 2008 roku wszedł na ekrany Mroczny rycerz, zastanawiano się, czy można go odczytywać jako wielką metaforę wojny z terrorem: czy porządni ludzie (czyli my) powinni przejmować metody „tych złych" i jak daleko mogą się w tym posunąć? Takie pytania musiały zaprzątać uwagę twórców, ale nie przeszkodziły im zrobić dobrego filmu. Wtedy jednak wojna z terrorem rzeczywiście była walką na tajne sieci i spektakle urabiające opinię publiczną. Zaczęła się od bombardowania, a skończyła zabójstwem politycznym. Wygląd-

do którego niesprawiedliwie wtrącono go za młodu, wiecznie ukrywa twarz pod maską, bez której przeszywa go przejmujący ból. Jeśli publiczność ma się z kimś takim identyfikować, to tylko przez współczucie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby b y ć Banem. Ale o to prawdopodobnie chodzi: ten wątek ma nas ostrzegać przed nadmierną sympatią do ludzi ciężko doświadczonych przez los. Bo Bane to także charyzmatyczny rewolucjonista, który gdy już usunął z drogi Batmana, demaskuje mit Harveya Denta, uwalnia osadzonych z gothamskich więzień i podpuszcza łatwowiernych mieszkańców, aby plądrowali i palili rezydencje elit miejskich (tych z „jednego procenta"), a samych bogaczy zaciągnęli przed rewolucyjne trybunały. (Scarecrow, co zabawne, powraca jako Robespierre). Ostatecznie Bane zamierza wszystkich zgładzić przy użyciu bomby atomowej przerobionej z jakiegoś reaktora produkującego zieloną energię. Dlaczego? Kto wie? Może on też jest prymitywistą i ekoterrorystą jak Ra's al Ghul. (Odziedziczył po nim przywództwo tej samej organizacji). Może chce doprowadzić do końca dzieło ojca Talii, by jej tym zaimponować? A może po prostu jest czarnym charakterem i nie warto szukać głębszych wyjaśnień.

Ale dlaczego Bane staje na czele rewolucji ludowej, skoro kilka tygodni później i tak zamierza wszystkich wymordować? Znów: nie wiadomo. Bane mówi, że zanim się kogoś zniszczy, trzeba dać mu nadzieję. Czy zatem przesłanie filmu brzmi, że utopijne marzenia prowadzą jedynie do nihilistycznej przemocy? Prawdopodobnie chodziło o coś w tym guście, ale to zupełnie nie przekonuje, bo plan eksterminacji powstał jako pierwszy. Rewolucja jest tylko dekoracyjnym dodatkiem.

Cokolwiek dzieje się w Gotham, ma sens wyłącznie jako materialne echo tego, co od początku w filmie jest najważniejsze: udręczonego umysłu Bruce'a Wayne'a. Okaleczony przez Bane'a w połowie filmu Batman trafia do tego samego cuchnącego lochu, w którym tkwił niegdyś Bane. Więzienie znajduje się na dnie głębokiej studni; więźniowie mogą oglądać światło słońca, ale nigdy nie wespną się po ścianach szybu. Bane pozwala Bruce'owi wrócić do zdrowia tylko po to, aby spróbował wspiąć się po ścianie studni i zaznał porażki, wiedząc, że tym samym skazuje ukochane Gotham na zagładę. Dopiero wtedy Bane okaże mu łaskę, pozbawiając go życia. Intryga to dość naciągana, ale można doszukiwać się w niej psychologicznego sensu. Jednakże przeniesiona na poziom miasta traci wszelki sens: dlaczego ktoś miałby dać mieszkańcom nadzieję, a potem znienacka wysadzić ich w powietrze? Pierwszy czyn jest okrutny, ale drugi byłby zwyczajnie bezsensowny. Mało tego, Bane używa tego samego fortelu ponownie, tym razem przeciwko gothamskiej po-

z e w i d y w a l n o ś c i b i u r o k r a t y c z n y c h p r o c e d u r o r a z z e z r u t y n i z o w a n i e m s t o s o w a n i a p r z e m o c y, k t ó r e w p o r z ą d k u b i u r o k r a t y c z n y m u w a ż a s i ę z a u p r a w n i o n e w y ł ą c z n i e w t e d y, g d y s ł u ż y d o p o d t r z y m a n i a z a s a d y r e g u l a r n o ś c i. Krótko mówiąc, w światach fantasy postacie dzierżące prawowitą władzę często uciekają się do przemocy, ale nie po to, by egzekwować przepisy prawa.

- W konsekwencji w światach fantasy – podobnie jak w społeczeństwach heroicznych – życie polityczne toczy się wokół wytwarzania narracji. Narracje są zagnieżdżone jedne w drugich; typowa opowieść fantasy sama w sobie często przedstawia proces snucia innych opowieści, interpretowania ich i tworzenia materiału do nowych. M e c h a n i c z n e d z i a ł a n i e b i u r o k r a c j i jest czymś krańcowo odmiennym. Procedury administracyjne stanowczo n i e s ł u ż ą tworzeniu opowieści. W biurokracji opowieści pojawiają się tam, gdzie coś zaczyna szwankować. Kiedy wszystko idzie jak należy, na żadną narrację nie ma tam miejsca.

- Co więcej, protagoniści literatury fantastycznej nieustannie rozwikłują przeróżne zagadki, zgłębiają enigmatyczne mity i proroctwa w starożytnych językach albo odczytują mapy pełne łamigłówek spisanych pismem runicznym. Procedury biurokratyczne są natomiast oparte na z a s a d z i e t r a n s p a r e n t n o ś c i. Reguły powinny być jasne, zrozumiale sformułowane i dostępne dla wszystkich. W rzeczywistości często bywa inaczej, ale z zasady powinno być właśnie tak. Dla większości z nas administracyjne formy są równie zawiłe co zagadki elfów, które można dojrzeć jedynie przy świetle określonej fazy księżyca. Jedną z najbardziej irytujących taktyk biurokratycznych jest ukrywanie informacji pod maską pełnej przejrzystości: choćby przez chowanie jakiejś podstawowej wiadomości w stosie e-maili – tak wielu, że przeczytanie wszystkich jest fizycznie niemożliwe. Jeśli się poskarżymy, że nie poinformowano nas o zmianach przepisów czy nowych obowiązkach, biurokrata triumfalnym tonem oznajmi nam, którego dokładnie dnia (zwykle przed kilkoma miesiącami) przesłano nam dokumenty z kompletem informacji[39]. W porównaniu z takim doświadczeniem światy

[39] Czytelnicy Douglasa Adamsa pamiętają, że Autostopem przez galaktykę, inna wspaniała satyra na biurokrację, rozpoczyna się od takiego właśnie scenariusza, który prowadzi do zniszczenia całej planety.

fantastyczne mogą sprawiać przyjemność: łamigłówki są tam naprawdę łamigłówkami i tak być powinno, a żaden służbista nie wygłosi nam pogadanki o tym, że wszystko jest najzupełniej jasne, a jeśli czegoś nie rozumiemy, możemy winić tylko siebie.

Jak wskazuje ostatni z PRZYTACZANYCH PRZYKŁADÓW, kiedy mówimy o tych prawidłowościach, mamy na myśli pewien abstrakcyjny ideał dobrze działającej biurokracji, a nie to, jak istniejące biurokracje faktycznie działają. W rzeczywistości biurokracja rzadko bywa neutralna. Niemal każda biurokracja albo faworyzuje pewne uprzywilejowane grupy (o przynależności do których często decyduje rasa), albo jest przez nie zdominowana; a biurokratyczni administratorzy zyskują olbrzymie osobiste wpływy, produkując przepisy tak skomplikowane i wzajemnie sprzeczne, że przestrzeganie ich wszystkich jest po prostu niemożliwe. Jednak w świecie rzeczywistym każde odstępstwo od zasad biurokratycznych odczuwane jest jako nadużycie. Natomiast w światach fantastycznych – jako cnota.

Tym niemniej, te cnoty są z zamierzenia nieuchwytne. Wizyta w świecie fantazji potrafi dostarczyć niesamowitych wrażeń, ale mało kto chciałby wprowadzić się tam na stałe. Przy czym jeśli pod wpływem tego rodzaju literatury – niezależnie od autorskich intencji – czytelnicy istotnie zaczynają kwestionować własną krytykę biurokracji, to właśnie o to chodzi.

Literatura fantasy podejmuje więc próbę wyobrażenia sobie świata całkowicie oczyszczonego z biurokracji, a czytelnicy znajdują komfort zarówno w tej formie eskapizmu, jak i w zapewnieniach, że nudny, administracyjnie zarządzany świat jest koniec końców lepszy niż jakakolwiek wyobrażalna alternatywa.

Mimo to literackie światy fantasy nie są pozbawione biurokracji i jej mechanizmów. Biurokracja przenika do nich z kilku źródeł.

W większości światów literatury fantastycznej wyobrażana w wiekach średnich kosmiczna administracja nie zostaje w pełni zanegowana. Są to bowiem niemal bez wyjątku światy, w których technologia ogranicza się do wykorzystania siły wiatru lub prądu rzeki, za to magia naprawdę działa. A magia, jaka pojawia się w tych historiach, zwykle ma swoje źródło w tradycji zachodnich ceremonii magicznych, rozciągniętej od starożytnych teurgów takich jak Jamblich po wiktoriańskich magów jak MacGregor Mathers, pełnej demonów, recytacji, zaklęć, talizmanów, magicznych szat, magicznych zwojów czy magicznych różdżek. Kosmiczne hierarchie, wyrafinowane porządki logiczne zaklęć, zakonów, sił, wpływów, sfer

w świadomości, że przemoc, mistyfikacja, może obrócić się przeciwko samej sobie.

Szkoda, że twórcy filmu na tym nie poprzestali.

Problem z tą wizją polityki polega na tym, że jest po prostu nieprawdziwa. Polityka to nie tylko wspierana przemocą sztuka manipulowania obrazami. Polityka to nie pojedynek impresariów odgrywany przed publicznością gotową uwierzyć we wszystko, co jej umiejętnie i przekonująco podsuną – choć bajecznie bogatym hollywoodzkim reżyserom może się tak zdawać. Tyle że między pierwszą a drugą częścią trylogii na scenę wtargnęła historia i pokazała, jak niesłychanie mylna jest ta wizja. Posypała się gospodarka. Ale nie przez machinacje jakiejś tajemnej sekty wojowników, tylko dlatego, że banda finansistów żyjących w nolanowskiej mentalnej bańce podzielała jego wiarę, iż nie ma granicy manipulowania opinią publiczną, a ta wiara okazała się fałszywa. Ludowe masy odpowiedziały na kryzys, ale ich odpowiedzią nie było ani gorączkowe poszukiwanie mesjasza-zbawcy, ani erupcja nihilistycznej przemocy[2]. Odpowiedź mas przybrała formę autentycznych ruchów ludowych, niekiedy nawet rewolucyjnych, które obalały reżimy na Bliskim Wschodzie i okupowały miejskie place od Cleveland po Karaczi, próbując stworzyć nowe formy demokracji.

Władza ustrojodawcza powróciła w tryskającej wyobraźnią, radykalnej i zaskakująco pokojowej formie. Taki rozwój wypadków nie mieści się w uniwersum superbohaterów. W świecie Nolana ruch typu Occupy mógłby jedynie być wytworem sprytnych hochsztaplerów (wiecie, takich jak ja), którzy realizują własne, skrywane zamiary.

Nolan powinien był trzymać się z dala od takich tematów, ale najwyraźniej nie mógł się powstrzymać. W rezultacie powstał film bez ładu i składu. To w zasadzie zwykły dramat psychologiczny, który próbuje udawać polityczne ambicje. Akcja filmu jest zagmatwana i na dobrą sprawę nie warto jej streszczać. Bruce Wayne, pozbawiony alter ego i ponownie niezdolny do życia w społeczeństwie, wiedzie żywot samotnika. Jego biznesowy rywal zatrudnia Kobietę-Kota, by wykradła odciski palców Batmana, dzięki którym będzie mógł pozbawić go majątku – ale tak naprawdę manipuluje nim superzłoczyńca Bane, najemnik w masce przeciwgazowej. Bane jest potężniejszy od Batmana, ale jest też głęboko nieszczęśliwy. Cierpi z powodu nieodwzajemnionej miłości do Talii, córki Ra'sa al Ghula. Okaleczony w okrutnym więzieniu,

[2] Poza jednym przypadkiem kogoś, kto najwyraźniej obejrzał zbyt wiele filmów o Batmanie.

jeśli na dodatek robi to z inspiracji radykalnego guru, który twierdzi, że ludzkość powinna wrócić do epoki kamienia? Nolan uczynił bohaterem swojego filmu zamaskowanego anarchistę z „czarnego bloku", ucznia Johna Zerzana, który zrywa ze swym mentorem, gdy zaczyna rozumieć, jak daleko trzeba się posunąć, żeby odtworzyć Eden.

W całej trylogii żaden ze złoczyńców nie usiłuje zawładnąć światem. Żaden nie chce nikim rządzić ani tworzyć nowych praw. Nawet ich pomagierzy są tylko narzędziami spisanymi na straty. U Nolana wszyscy złoczyńcy są bowiem anarchistami. Ale to anarchiści bardzo osobliwi, jacy istnieją wyłącznie w wyobraźni reżysera: przekonani, że natura ludzka jest z gruntu zepsuta i zła. Joker, prawdziwy bohater drugiego filmu trylogii, wypowiada to wprost: to właściwie filozof ucieleśniający freudowskie id. Pozostaje bezimienny; nic nie wiemy o jego pochodzeniu poza tym, co dla kaprysu zmyśli; nie wiadomo nawet, jakimi dysponuje mocami i jak wszedł w ich posiadanie. A jednak jest przepotężny. Joker uosabia czystą siłę autokreacji; jest wierszem, który sam siebie napisał, i ma w życiu tylko jeden, obsesyjny cel: najpierw udowodnić światu, że wszystko jest poezją i tylko nią może być, a potem – że poezja jest złem.

Wracamy więc do centralnego motywu wczesnych komiksów o superbohaterach: do pogłębionej refleksji nad niebezpieczeństwami, jakie niesie wyobraźnia; do interpretowania czytelniczej chęci zanurzenia się w świecie motywowanym potrzebami sztuki jako żywego dowodu na to, że wyobraźnię trzeba zawsze trzymać w ryzach.

W efekcie powstał elektryzujący film, w którym złoczyńca zyskuje naszą sympatię – tak dobrze się przecież bawi – a jednocześnie autentycznie nas przeraża. W filmie Batman: Początek postacie mają dużo do powiedzenia o strachu. W Mrocznym rycerzu strach pojawia się naprawdę. Ale nawet z tego filmu zaczyna uchodzić powietrze, gdy tylko zahacza on o bieżącą politykę. Zainspirowani przykładem Mrocznego Rycerza obywatele próbują nieudolnie interweniować, wychodząc na ulice Gotham w kostiumach Batmana. Wszyscy oczywiście giną straszną śmiercią i na tym koniec. Od tej chwili lud jest już tylko widownią, która zna swoje miejsce i – jak tłum w rzymskim amfiteatrze – istnieje wyłącznie po to, by wydawać wyroki: kciuk w górę dla Batmana, kciuk w dół dla Batmana, kciuk w górę dla dzielnego prokuratora... Zakończenie, w którym Bruce i komisarz Gordon planują poświęcić Batmana jako kozła ofiarnego i wykreować fałszywy mit męczeństwa Harveya Denta, to nic innego jak przyznanie, że polityka nie różni się niczym od artystycznej fikcji. Joker na swój sposób miał rację. Jak zawsze odkupienie leży tylko

niebiańskich z ich rozmaitymi mocami, denominacjami i zakresami administracyjnej kompetencji – wszystkie one są zachowane w tej czy w innej formie jako przynajmniej jedna potencjalna forma oddziaływania w tkance antybiurokratycznego uniwersum. To prawda, że w najwcześniejszych i najbardziej wrogich biurokracji światach czarodzieje są albo wcieleniem zła (Zukala w Conanie barbarzyńcy i milion podobnych czarnych charakterów w popularnych czytadłach, a nawet amoralny Elric z książek Michaela Moorcocka)[40], albo – jeśli są bohaterami pozytywnymi – techniczny aspekt ich magicznej sztuki zostaje zminimalizowany (Gandalf czerpie swoją moc raczej z osobistej charyzmy niż tajemnych zaklęć). Jednak gdy docieramy do Czarnoksiężnika z Archipelagu i Harry'ego Pottera, magia i tajniki wiedzy magicznej są już w samym centrum uwagi. A antybiurokratyczna narracja powieści o Harrym Potterze zamiast w otwarcie heroicznych krainach takich jak Cymeria, Śródziemie czy Hiperborea jest już osadzona w instytucji klasycznie biurokratycznej: w brytyjskiej szkole z internatem; w magicznym świecie, w którym mimo to nie brakuje banków, rad czarodziejów, komisji dochodzeniowych, a nawet więzień. Na tym rzecz jasna polega cały dowcip: weźmy na warsztat najbardziej ponure, duszne instytucje, jakie obrzydzają nam świat, i wykreujmy ich tak zwariowane i zaczarowane wersje, jak tylko możemy sobie wyobrazić.

Jak to wytłumaczyć? Choćby tak, że popularna fantastyka nie jest jedynie domeną literatury (szczególnie gdy jej adresatami są dzieci lub nastolatki). Nie ogranicza się też do filmów i seriali telewizyjnych, ale obejmuje wszelkie możliwe formy – od gier planszowych po modele, puzzle i figurki, literaturę tworzoną przez fanów, ziny, grafikę, a także gry wideo i komputerowe. Niepodobna zrozumieć kierunków rozwoju gatunku fantasy bez zrozumienia fenomenu gry RPG „Dungeons & Dragons" z lat 70., w której setki tysięcy nastolatków na całym świecie mogło improwizować własne fantastyczne światy oraz przygody, zbiorowo i na bieżąco pisząc ich scenariusz.

Z jednej strony D & D, jak nazywają grę jej miłośnicy, oferuje formę tak otwartą, jak to tylko możliwe. Postacie mają pełną swobodę działania w obrębie świata zaprojektowanego przez mistrza gry i opisanego w księgach, na mapach i w tabelach, z gotowymi miastami, zamkami, lochami i dzikimi kra-

[40] Scenariusz „szlachetny wojownik kontra zły czarownik" to trop charakterystyczny dla brytyjskiej literatury kolonialnej. Urzędnicy kolonialni w Afryce podziwiali i zawsze starali się odszukać wojownicze elity, a kiedy nie mogli ich znaleźć, uznawali, że ich zniknięcie jest sprawką „szamanów", których uważali za siły zła. Doskonałym beletrystycznym ujęciem tego mitu są Kopalnie Króla Salomona.

inami. Pod wieloma względami nie brak tam anarchii, bo w odróżnieniu od klasycznych gier wojennych, w których gracze dowodzą armiami, w „Dungeons & Dragons" mamy raczej do czynienia z czymś, co anarchiści nazywają „grupami spowinowaconymi" (affinity group) – kilkuosobowymi drużynami współpracującymi na osiągnięcie wspólnego celu (jakim może być wykonanie zadania czy po prostu gromadzenie skarbów i doświadczenia). Członkowie takiej drużyny uzupełniają się wzajemnie swoimi umiejętnościami (wojownik, kapłan, czarodziej, łotrzyk), ale nie ma między nimi podziału na dowódców i na tych, którzy wykonują ich rozkazy. Relacje społeczne są tu więc dokładnym przeciwieństwem bezosobowych hierarchii biurokratycznych. Z drugiej strony można jednak powiedzieć, że D & D reprezentuje najwyższy poziom zbiurokratyzowania antybiurokratycznej fantazji. Wszystko jest tu skatalogowane: rodzaje potworów (kamienne, lodowe, ogniste...) ze skrupulatnie wyliczonymi mocami i średnią liczbą punktów życia (która wskazuje, jak trudno jest je zabić), atrybuty postaci (siła, inteligencja, mądrość, zręczność, budowa...); listy czarów i zaklęć dostępnych na poszczególnych poziomach zdolności (magiczny pocisk, ognista kula, przenikanie ścian...); rodzaje bóstw i demonów; skuteczność różnego rodzaju broni i zbroi; nawet profil moralny postaci (praworządny, neutralny lub chaotyczny oraz dobry, zły lub neutralny; z połączenia tych cech można uzyskać dziewięć różnych typów charakteru). Podręczniki przywołują na myśl średniowieczne bestiariusze i grymuary, ale zawierają głównie statystykę. Wszystkie cechy istotne dla rozgrywki można zredukować do wartości liczbowej. Podczas rozgrywki nie obowiązują odgórnie ustalone reguły; podręczniki dają jedynie wskazówki, a mistrz gry może (i powinien) bawić się nimi, wynajdując nowe zaklęcia, potwory i tysiące odmian już istniejących elementów gry. Każdy mistrz gry tworzy własny, niepowtarzalny świat. Liczby są więc platformą dla szalonych wyczynów wyobraźni – rodzajem technologii poetycznej.

A jednak oparcie rozgrywki na nieustannych obliczeniach, standardowych typach postaci, zdolności, potworów, skarbów, zaklęć czy też na rankingach punktów doświadczenia i punktów życia okazało się brzemienne w skutki, gdy w miejsce sześcio-, ośmio-, dwunasto- i dwudziestościennych kości pojawiły się interfejsy cyfrowe. Gra fantasy przeniesiona na komputer zaczęła stawać się procedurą na wskroś biurokratyczną, sprowadzoną do gromadzenia punktów, awansowania na wyższe poziomy i tak dalej. Nastąpił powrót do dowodzenia armiami wojowników. To z kolei wywołało ruch w przeciwną stronę; do gier komputerowych wróciły elementy RPG (Elfquest, World of Warcraft...), a poetyczne i biurokratyczne technologie splatają się

progi Hollywood. Jego szczytowym osiągnięciem jest prawdopodobnie Batman: Początek, pierwsza część Nolanowskiej trylogii. Nolan stawia tam pytanie: a gdyby Batman istniał naprawdę? Jak by to wyglądało? Co musiałoby się stać, aby szanowany obywatel zaczął przebierać się za nietoperza i krążyć po mieście w poszukiwaniu przestępców?

Nic dziwnego, że ważną rolę odgrywają tu środki psychodeliczne, poważne problemy ze zdrowiem psychicznym i osobliwe kulty religijne.

Recenzenci o dziwo nie zwracają uwagi na fakt, że w filmach Nolana Bruce Wayne oscyluje na granicy choroby psychicznej. Jako Wayne jest dysfunkcyjny, niezdolny nawiązywać przyjaźni ani romantycznych relacji. Praca go nie interesuje, jeśli nie służy jego chorobliwym obsesjom. Bohater jest do tego stopnia obłąkany, a film w tak oczywisty sposób opowiada o jego zmaganiach z własnym obłędem, że zupełnie nie przeszkadza, jeśli antagoniści są niczym więcej jak emanacjami jego jaźni. Ra's al Ghul (zły ojciec), szef mafii (świętujący sukcesy biznesmen), Scarecrow (który doprowadza biznesmena do szaleństwa). W żadnym z nich nie ma nic pociągającego. Nie szkodzi – są przecież tylko odpryskami zdruzgotanej psychiki bohatera. W efekcie film nie każe nam identyfikować się ze złoczyńcą, by zaraz potem wzdragać się w odrazie do samych siebie; w tej roli wyręcza nas sam Wayne.

Brakuje też wyraźnego przekazu politycznego.

A przynajmniej na to wygląda. Ale przy pracy nad filmem z postaciami tak obrosłymi mitem i historią, żaden reżyser nie ma pełnej kontroli nad materiałem. Rola twórcy polega raczej na składaniu gotowych elementów w całość. Naczelnym czarnym charakterem w filmie jest Ra's al Ghul, który najpierw wprowadza Batmana do „Ligi cieni", w bhutańskim klasztorze, a dopiero potem ujawnia plan zniszczenia całego Gotham w celu uwolnienia świata od zepsucia. Jak wiemy z oryginalnych komiksów, Ra's al Ghul (postać wprowadzona, co charakterystyczne, w 1971 roku) jest prymitywistą i ekoterrorystą, który pragnie przywrócić równowagę w naturze przez zmniejszenie ludzkiej populacji o dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Osobistym wkładem Nolana w tę historię jest to, że uczynił Batmana uczniem Ra'sa al Ghula. Ale we współczesnym kontekście to również da się zrozumieć. Jaki bowiem rozpowszechniony w mediach stereotyp natychmiast przychodzi nam do głowy – przynajmniej od czasu akcji bezpośrednich przeciwko szczytowi WTO w Seattle – gdy widzimy dzieciaka zepsutego bogactwem swoich rodziców, który, pchany jakimś niezgłębionym poczuciem sprawiedliwości, ubiera się na czarno, zasłania twarz maską i wychodzi na ulice, by siać przemoc i zniszczenie, ale zawsze w taki sposób, aby nikt przy tym nie zginął? A

mocy i zniszczenia. Konserwatyści chcą nas przed tym bronić. Faszyści chcą oswobodzić wyobraźnię mimo tego. W ślad za Hitlerem widzą w sobie wielkich artystów, którzy malują umysłami, mięśniami i krwią ludzkości.

To oznacza, że wątpliwą moralnie przyjemnością czytelnika jest nie tylko przyglądanie się okropnościom, ale każde folgowanie fantazji. I chociaż może dziwić, że któryś gatunek sztuki przestrzegałby odbiorców przed zagrożeniem ze strony wyobraźni, pozwala nam to wyjaśnić, dlaczego w statecznych latach 40. i 50. powszechnie odczuwano, że w lekturze komiksów jest coś niejako nieprzyzwoitego. Wyjaśnia to również, dlaczego w latach 60. komiksy stały się nagle całkiem nieszkodliwe, a na ekranach telewizorów pojawili się śmieszni, campowi superbohaterowie, tacy jak Batman Adama Westa czy emitowany w niedzielne poranki Spiderman. Gdy przekaz brzmiał: buntownicza wyobraźnia jest w porządku, jeśli nie miesza się do polityki, a dotyczy jedynie decyzji konsumenckich (stroju, pojazdów, akcesoriów) – każdy telewizyjny kierownik produkcji mógł się pod nim podpisać obiema rękami.

Konkluzja: klasyczny komiks jest Z POZORU POLITYCZNY (opowiada o szaleńcach usiłujących przejąć władzę nad światem), w rzeczywistości jest psychologiczny i indywidualistyczny (opowiada o przezwyciężaniu zagrożeń buntowniczego wieku młodzieńczego), ale ostatecznie, na najgłębszym poziomie, jego przekaz ponownie okazuje się polityczny[1].

Jeśli tak, to najnowsze filmy o superbohaterach są przeciwieństwem klasycznego komiksu. Z pozoru psychologiczne i indywidualistyczne, w istocie są polityczne, ale na najgłębszym poziomie przekazu znów okazują się psychologiczne i indywidualistyczne.

Humanizacja superbohaterów nie zaczęła się w kinie, ale w papierowych komiksach z lat 80. i 90., takich jak Mroczny rycerz powraca Franka Millera i Watchmen: Strażnicy Alana Moore'a – przedstawicieli podgatunku, który można by określić mianem „superhero noir". Ówczesne filmy kinowe nadal przerabiały spuściznę campu lat 60., na przykład seria Superman Christophera Reeve'a albo Batman Michaela Keatona. Jednak i podgatunek noir, od początku inspirowany w jakiejś mierze sztuką filmową, w końcu zawitał w

[1] Zaznaczam, że przyglądam się tu papierowym komiksom głównego nurtu, szczególnie tym z pierwszych dekad istnienia gatunku. Po pierwszej publikacji tego artykułu spotkałem się z zarzutem o pominięcie najbardziej wyrafinowanych przykładów literatury komiksowej, takich jak Batman Franka Knighta, seria Watchmen: Strażnicy, V jak Vendetta i wielu innych tytułów o wyraźnie politycznym zabarwieniu. Z czasem zresztą nawet komiksy głównego nurtu przestały stronić od polityki (Lex Luthor został prezydentem). Jednak ktoś, kto chce zrozumieć istotę popularnego gatunku, nie poddaje analizie jego najbardziej wyrafinowanych utworów, należących do kultury wysokiej. Aby zrozumieć istotę popularnego gatunku, analizuje się kicz.

i ścierają bez końca. W ten sposób jednak gry komputerowe wzmacniają poczucie, że żyjemy w świecie, w którym procedury obrachunkowe definiują same fundamenty rzeczywistości, a nawet najbardziej bezwzględna negacja świata administrowanego, w którym daliśmy się uwięzić, prowadzi jedynie do kolejnej wersji biurokracji.

4. Utopia regulaminów

Poświęciłem światom fantastycznym tyle uwagi dlatego, że prowokują do zadawania elementarnych pytań o to, czym jest zabawa, gra i wolność – a wszystkie te kwestie stanowią sedno dyskretnego uroku biurokracji. Z jednej strony biurokracja nie ma nic wspólnego z zabawą. Mechanistyczna i bezosobowa, wydaje się jej zaprzeczeniem. Jednak z drugiej strony poczucie zamknięcia w biurokratycznym labiryncie do złudzenia przypomina jakąś okrutną grę.

Biurokracje tworzą gry, tyle że z tej rozgrywki nie płynie żadna przyjemność. Warto jednak zastanowić się bliżej nad tym, czym tak naprawdę są gry i co w nich jest źródłem przyjemności. Przede wszystkim, czym różni się gra od zabawy? Gra jest zabawą – czy zabawa i gra są więc tym samym? Język angielski jako jeden z nielicznych tak wyraźnie rozróżnia zabawę (play) od gry (game). W większości języków europejskich (jak w przypadku francuskiego jeu czy niemieckiego Spiel) jedno słowo obejmuje oba pojęcia. Jednak na innym poziomie zabawa i gra wydają się swoimi przeciwieństwami: ta pierwsza jest formą nieskrępowanej twórczości, ta druga – toczy się według ścisłych reguł.

Książka słynnego holenderskiego socjologa Johanna Huizingi Homo Ludens, napisana jako teoria zabawy, źle sprawdza się w tej roli, natomiast okazuje się znacznie lepszą teorią gry[41]. Według Huizingi istnieje pewien zbiór cech wspólnych dla wszystkich gier. Przede wszystkim gra jest wyraźnie ograniczoną ramą czasu i przestrzeni, co wyodrębnia ją z życia. Gra toczy się na boisku albo na planszy; rozpoczyna się od wystrzału z pistoletu startowego; kończy się na linii mety. W tych ramach czasu i przestrzeni pewne osoby są wyznaczonymi graczami. Reguły gry szczegółowo definiują, co wolno graczom, a co jest niedozwolone. Zawsze wiadomo, o co toczy się gra, czyli

[41] Huizinga przyjmuje, że gra i zabawa są tym samym. Zob. tenże, Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury, tłum. Maria Kurecka, Witold Wirpsza, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2011.

co gracz musi zrobić, aby wygrać. I wreszcie, rzecz być może najważniejsza: na tym koniec. W grze nie ma nic innego. Każde miejsce, każdy człowiek, każde działanie nieujęte w przytoczone ramy nie należy do gry, jest wobec niej zewnętrzne i nieistotne. Innymi słowy, gra jest działaniem całkowicie podporządkowanym regułom.

Wydaje mi się to istotne, ponieważ właśnie dlatego gry sprawiają nam przyjemność. Podobnej jednoznaczności próżno szukać w innych aspektach ludzkiej egzystencji. Choćby rodzinna kłótnia albo rywalizacja zawodowa: szalenie trudno określić, kto w niej uczestniczy, a kto nie, co jest w niej dozwolone, kiedy się zaczęła i kiedy zakończy oraz co właściwie oznacza „zwycięstwo". Zrozumienie reguł jest zadaniem najtrudniejszym ze wszystkich. Niemal każda sytuacja społeczna jest obwarowana regułami. Nawet swobodna, towarzyska rozmowa kieruje się tysiącami niepisanych reguł: kto zabiera głos i w jakiej kolejności, jakie jest właściwe tempo, rejestr i ton głosu, jakie tematy są dopuszczalne, a jakich lepiej unikać, kiedy się uśmiechnąć, na jaki rodzaj humoru można sobie pozwolić, gdzie kierować wzrok i tak dalej. Te normy rzadko kiedy są jawnie zdefiniowane, a w każdej chwili może mieć zastosowanie kilka wzajemnie sprzecznych reguł. Nieustannie manewrujemy więc między nimi i staramy się przewidzieć manewry innych osób. Jedynie w grach możemy doświadczyć całkowitej jednoznaczności. Reguły gry są doskonale znane wszystkim zainteresowanym. Wszyscy tych reguł p r z e s t r z e g a j ą. A przestrzegając reguł, można nawet wygrać! Właśnie to – w połączeniu z faktem, że (inaczej niż w życiu codziennym) gracze przystają na reguły gry w pełni dobrowolnie – jest źródłem przyjemności.

Gra jest więc swoistą utopią reguł.

Na tym też polega prawdziwa różnica między grą a zabawą. Można „bawić się" w grę, ale w odróżnieniu od gry zabawa nie musi podlegać żadnym regułom[42]. Może być czystą improwizacją. W tym sensie, w swojej czystej formie, zabawa w odróżnieniu od gry jest wyrazem nieskrępowanej energii twórczej. Gdyby dało się sformułować użyteczną definicję „zabawy" (a to niezwykle trudne), musiałaby brzmieć mniej więcej tak: o zabawie można mówić wtedy, gdy nieskrępowana ekspresja energii twórczej staje się celem samym w sobie. Zabawa to wolność dla samej wolności. Wynika z tego, że w pewnym sensie zabawa jest pojęciem wyższego poziomu niż gra: zabawa może tworzyć gry, może generować reguły – i w praktyce nieuchronnie

[42] Element zabawy w grze bierze się nie z postępowania ściśle według reguł, ale z tego, co w grze niepewne i nieprzewidywalne: z losowego wyniku rzutu kośćmi, z wykorzystywania umiejętności graczy i tak dalej.

się znikąd i który, mimo wszelkich wad, m u s i zostać obroniony, bo alternatywa jest przecież o wiele gorsza.

Superbohaterowie nie są faszystami. Są zwykłymi, przyzwoitymi, obdarzonymi potężną mocą ludźmi zamieszkującymi świat, w którym jedyną opcją polityczną jest faszyzm.

Można zapytać: dlaczego forma rozrywki oparta na tak osobliwym rozumieniu polityki pojawiła się w Stanach Zjednoczonych w latach 20. i 30. XX wieku, czyli właśnie wtedy, gdy w Europie rósł w siłę realny faszyzm? Czy mamy do czynienia z jakimś amerykańskim odpowiednikiem faszyzmu istniejącym tylko w fantazjach? Nie całkiem. Chodzi raczej o to, że i faszyzm, i superbohaterowie są produktami podobnej dziejowej trudności: na czym oprzeć porządek społeczny, kiedy sama idea rewolucji została wyparta? A przede wszystkim, co się wówczas dzieje z wyobraźnią polityczną?

Dochodzenie do odpowiedzi na te pytania można rozpocząć od zwrócenia uwagi na to, do kogo kieruje się komiksy o superbohaterach. Przede wszystkim do kilku- i kilkunastoletnich białych chłopców. Czyli do osób, które na tym etapie życia mają nadzwyczaj silnie rozwiniętą wyobraźnię i przejawiają pewne skłonności do buntu, ale które jednocześnie wychowuje się z myślą o tym, że któregoś dnia posiądą autorytet i władzę jako ojcowie, szeryfowie, przedsiębiorcy, menedżerowie czy inżynierowie. A czego uczy ich ta powtarzana bez końca opowieść? Po pierwsze, tego, że wyobraźnia i bunt wiodą do przemocy. Po drugie, tego, że podobnie jak wyobraźnia i bunt przemoc jest źródłem przyjemności. Po trzecie, tego, że koniec końców przemoc musi zostać skierowana przeciwko nadmiarowi wyobraźni i buntu, bo w przeciwnym razie czeka nas katastrofa. Wyobraźnię i bunt trzeba okiełznać! Właśnie dlatego, jeśli superbohaterowie posługują się wyobraźnią, to tylko w doborze strojów, pojazdów, domów i akcesoriów.

W tym sensie narracja o superbohaterach podlega głęboko konserwatywnej logice. Rozróżnienie między lewicową a prawicową wrażliwością ostatecznie sprowadza się do naszego stosunku do wyobraźni. Dla lewicy wyobraźnia, energia twórcza, a zatem i produkcja, moc tworzenia nowych rzeczy oraz nowych relacji społecznych zawsze jest godna uznania. To źródło wszelkiej wartości, jaka istnieje. Dla prawicy wszystko to jest niebezpieczne, a więc złe. Żądza tworzenia jest także żądzą niszczenia. Ta mentalność cechowała ówczesną popkulturową psychoanalizę: id stanowiło motor ludzkiej psychiki, ale było też amoralne, a oswobodzenie go zakończyłoby się orgią destrukcji. To również aspekt, który odróżnia konserwatystów od faszystów. Jedni i drudzy są zgodni, że wyzwolona wyobraźnia prowadzi tylko do prze-

ją go do dzisiaj. Obecnie w Atenach szefowie gangów z ubogich dzielnic imigranckich, faszystowskie bojówki i policja współpracują ze sobą w najlepsze. W tym przypadku można zresztą mówić o wyraźnej strategii politycznej: w obliczu nadciągającej ludowej rewolty przeciwko prawicowemu rządowi policja najpierw przestała patrolować dzielnice, w których działały imigranckie gangi, a następnie udzieliła milczącego wsparcia faszystom. (Wskutek tego otwarcie nazistowska partia urosła w siłę, a w ostatnich wyborach właśnie ona otrzymała głosy około połowy greckich policjantów). Tak po prostu działa polityka na skrajnej prawicy. Z ich punktu widzenia to właśnie w tej przestrzeni, w której różnorakie brutalne siły zderzają się ze sobą poza ramami porządku prawnego (lub, jak w przypadku policji, z trudem się w tym porządku mieszcząc), wyłaniają się nowe formy władzy, a więc porządku.

Co to wszystko ma wspólnego z komiksowymi superbohaterami? Dosłownie wszystko! Bo to jest właśnie przestrzeń, którą zaludniają superbohaterowie i superzłoczyńcy. Przestrzeń z natury faszystowska, zamieszkana jedynie przez gangsterów, niedoszłych dyktatorów, policję i różnej maści zbirów, między którymi stopniowo zacierają się granice. Policjanci czasem skrupulatnie przestrzegają prawa, innym razem są skorumpowani. Bywa, że operują w szarej strefie między prawem a bezprawiem. Mogą prześladować superbohatera, mogą odwracać wzrok, mogą też z nim współdziałać. Niekiedy to złoczyńca sprzymierza się z bohaterem. Granice sił zawsze są płynne. Jeśli może wyłonić się cokolwiek nowego, to właśnie z fluktuacji tych sił. Innej możliwości nie ma, bo w komiksowych światach spod znaku DC i Marvel nie istnieje ani Bóg, ani Naród.

Jeśli więc władza ustrojodawcza rzeczywiście jest i działa, zawsze wywodzi się z przemocy. Każdy złoczyńca i boss szajki przestępczej, kiedy nie obmyśla zbrodni doskonałej albo nie terroryzuje swoich ofiar, nieustannie planuje zaprowadzenie „nowego porządku świata" według własnej receptury. Gdyby Red Skull, Kang Zdobywca czy Doctor Doom rzeczywiście zawładnęli planetą, natychmiast pojawiłoby się całe mnóstwo nowych praw. Te prawa nie byłyby przyjazne obywatelom. Ich twórcy bez wątpienia nie czuliby się nimi związani, ale można odnieść wrażenie, że egzekwowaliby je z całą surowością.

Superbohaterowie opierają się tej logice. Nie zamierzają zawładnąć światem – choćby dlatego, że nie mają swojej idée fixe ani nie są obłąkani. Dlatego jedyne, co im pozostaje, to pasożytować na złoczyńcach, tak jak policja pasożytuje na pospolitych przestępcach: bez nich nie mają racji bytu. Są wiecznymi obrońcami porządku prawnego i politycznego, który najwyraźniej wziął

je wytwarza, choćby były niewypowiedziane, ponieważ zabawa całkowicie bezładna i przypadkowa szybko staje się nudna – ale wobec tego zabawa z definicji nie może być wewnętrznie ograniczona żadnymi regułami. Wszystko to nabiera jeszcze większego znaczenia, gdy zabawa staje się czynnością społeczną. Obserwując na przykład dziecięce zabawy, zawsze odkrywamy, że bawiąc się w wymyślone przez siebie gry, dzieci poświęcają co najmniej tyle samo czasu na spory o reguły, co na samą grę. Takie sprzeczki same w sobie stają się rodzajem zabawy[43].

Na pewnym poziomie to wszystko jest oczywiste: mówimy po prostu o wyłanianiu się formy. Wolność zawsze musi pozostawać w napięciu z jakimś ograniczeniem, bo w przeciwnym razie mamy do czynienia z czystą przypadkowością. Wynika z tego, że absolutnie czysta forma zabawy, nieskrępowana żadnymi regułami (oprócz tych, które sama wytwarza i może w każdej chwili odsunąć na bok) może istnieć wyłącznie w naszej wyobraźni, jako aspekt tych samych boskich mocy, które stwarzają kosmos.

Oto cytat z hinduskiego filozofa nauki, Shiva Visvanathana:

> Gra jest odgraniczonym, ukonkretnionym sposobem rozwiązywania problemu. Zabawa jest bardziej uniwersalna i otwarta. Zabawa jest domeną bogów, a człowiek jest istotą zdolną jedynie do gier. Gra ma przewidywalne zakończenie; zabawa nie musi go mieć. W zabawie mogą wyłaniać się nowe formy i nieoczekiwane zdarzenia[44].

To wszystko prawda. Ale właśnie z tego względu zabawa ma w sobie coś potencjalnie groźnego: ta otwarta, nieskrępowana twórczość może także siać nieprzewidywalne zniszczenie. Koty „bawią się" myszami. Wyrywanie muchom skrzydełek to także rodzaj zabawy. Gdy bogowie się bawią, nikt rozsądny nie chciałby znaleźć się w pobliżu.

Pozwolę sobie wobec tego na pewną sugestię.

[43] By podać jeden typowy przykład: J. Lowell Lewis, Toward a Unified Theory of Cultural Performance, [w:]Victor Turner and Contemporary Cultural Performance, ed. Graham St. John, Berghahn, London 2008, s. 47. Ale ta obserwacja jest powszechna w literaturze przedmiotu. Dodam jeszcze, że w świetle tej analizy, Dungeons & Dragons i podobne gry RPG cieszą się tak wielką popularnością dlatego, że osiągnęły idealną równowagę między zasadą gry a zasadą zabawy.

[44] Shiv Visvanathan, Alternative Futures, „Times of India", 10 lutego 2007, dokument elektroniczny: timesofindia.indiatimes.com / edit-page / Alternative-Futures / articleshow / 1586903.cms.

Najgłębszym podłożem naszego upodobania do biurokracji jest lęk przed zabawą.

Z punktu widzenia socjologii istnieje oczywista analogia dla zabawy jako zasady, która generuje reguły, ale sama nie jest nimi związana: to zasada suwerenności. Suwerenność, pamiętamy, jest jedną z trzech zasad – obok administracji i polityki – które wspólnie składają się na współczesną koncepcję „państwa". We współczesnej politologii pojęcia suwerenności używa się zwykle jako synonimu „niepodległości" lub „autonomii" – prawa rządu do prowadzenia dowolnej polityki w granicach swojego państwa – ale pierwotne znaczenie suwerenności wykuwało się w prowadzonych w Europie debatach o władzy królewskiej. Pytanie brzmiało: czy można powiedzieć, że najwyższy władca królestwa jest w jakikolwiek sposób związany jego prawami?

Ci, którzy dowodzili, że suwerena nie wiąże ustanowione przez niego prawo, posługiwali się analogią z władzą Boga. Bóg jest twórcą i najwyższym egzekutorem systemu uniwersalnej moralności. Ale by stworzyć system, trzeba istnieć przed nim, zatem Bóg nie może być związany prawem moralnym, które sam stworzył. W tym wniosku nie ma nic nadzwyczajnego. Na Madagaskarze mądrość ludowa mówi o tym wprost: z jednej strony Bóg, jako najwyższy sędzia, obserwuje wszystko z góry i wymierza karę za przewinienia, a z drugiej arbitralnie ciska gromy i zsyła na śmiertelników plagi bez żadnej przyczyny. Afrykańscy królowie próbowali niekiedy uchodzić za ludzkie wcielenia tej zasady absolutu; najsłynniejszym z nich był Kabaka z królestwa Ganda. Kiedy angielscy podróżnicy próbowali mu zaimponować nowym modelem sztucera, on odwdzięczał im się tym samym, wypróbowując broń na przypadkowych przechodniach. (Był również znany z tego, że skazywał swoje żony na śmierć za kichnięcie). A jednocześnie prawowitość władzy Kabaki opierała się na jego reputacji jako bezstronnego arbitra w najwyższym sądzie królestwa. Te dwa aspekty jego władzy uważano za nierozerwalne: skoro król mógł zrobić (albo wziąć), co tylko chciał, nie można go było przekupić; nie miał zatem żadnego powodu, aby n i e sądzić sprawiedliwie. W tej skrajności królestwo Ganda było wyjątkiem, a niemal każdego afrykańskiego króla, który próbował posunąć się tak daleko, czekał smutny koniec. Istnieje jednak ciągłość między tym absolutnym rozumieniem suwerenności a, powiedzmy, Teologią polityczną Carla Schmitta[45], według której władza jest suwerenna wtedy, kiedy może odsunąć na bok istniejące prawo.

[45] Carl Schmitt, Teologia polityczna i inne pisma, przekład, wybór i wstęp Marek A. Cichocki, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000. Teorie Schmitta posłużyły nazistom jako prawne uzasadnienie obozów koncentracyjnych.

my się na przyzwolenie obywateli, choć ostatni obywatele, jakich ktokolwiek pytał o zdanie, żyli ponad dwieście lat temu. W Ameryce tego ustrojotwórczego „narodu" już od dawna nie ma.

Od koncepcji, że władza tworzenia porządku prawnego jest dana przez Boga, przeszliśmy do wywodzenia tej władzy z rewolucyjnej walki zbrojnej, a wreszcie do uznania, że jest ona po prostu zakorzeniona w tradycji: „Przejęliśmy ten zwyczaj od naszych przodków; jakże mielibyśmy wątpić w ich mądrość?". (Przy czym niejeden amerykański polityk przyznaje bez ogródek, że chętnie oddałby tę władzę z powrotem w ręce Boga).

Jak powiedziałem, do tego sprowadzają się rozważania z głównego nurtu. Tymczasem dla radykalnej lewicy i autorytarnej prawicy problem władzy ustrojodawczej jest jak najbardziej żywotny, tyle że jedni i drudzy podchodzą zupełnie inaczej do elementarnej kwestii przemocy. Lewica, utemperowana nieszczęściami XX wieku, w większości zdystansowała się od pochwał przemocy rewolucyjnej i dziś preferuje pokojowe formy oporu. Ci, którzy działają w imieniu wartości wyższych niż prawo, mogą tak postępować właśnie dlatego, że n i e c h c ą stać się rozjuszonym tłumem. Dla prawicy natomiast – już od narodzin faszyzmu w latach 20. ubiegłego wieku – doszukiwanie się w przemocy rewolucyjnej czegoś szczególnego, co miałoby ją odróżniać od przemocy pospolitego przestępcy, zakrawa na pompatyczne banialuki. Przemoc to przemoc – i kropka. Ale to nie znaczy, że rozjuszony tłum nie może być jednocześnie „narodem", bo rzeczywistym źródłem prawa i porządku politycznego i tak zawsze jest przemoc. Każde skuteczne zastosowanie przemocy jest więc na swój sposób przejawem władzy ustrojodawczej. Właśnie dlatego, zauważył Walter Benjamin, nie potrafimy ustrzec się podziwu dla „geniusza zbrodni", bo on – jak przez lata obwieszczały plakaty filmowe – „ustanawia własne prawo". W końcu nawet organizacje przestępcze wypracowują własne reguły i kodeksy, niekiedy całkiem rozbudowane. To konieczne, by utrzymać w ryzach żywioł chaotycznej przemocy. Tyle tylko że z perspektywy prawicy właśnie do tego sprowadza się każde prawo. Zadaniem prawa jest zapanować nad tą samą przemocą, która to prawo stworzyła i która je egzekwuje.

To pozwala zrozumieć pewne zjawisko, które inaczej zdaje się zagadkowe, a mianowicie niejakie powinowactwo między przestępcami, gangami, prawicowymi ruchami politycznymi i uzbrojonymi funkcjonariuszami służb państwowych. Wszyscy oni mówią tym samym językiem. Tworzą własne reguły, wymuszają je przemocą, a w rezultacie często miewają zbliżone zapatrywania polityczne. Mussolini zwalczał mafię, a mimo to włoscy mafiosi ubóstwia-

żadne prawo ani żaden system norm moralnych (to też jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem: kto tworzy moralność, nie może być nią związany). A jeśli prawa nie stworzył Bóg, to tworzyli je królowie z boskiego nadania. Wszystko to zmieniły rewolucje: angielska, amerykańska i francuska, gdy wprowadziły pojęcie suwerenności ludu i ogłosiły, że władza, którą niegdyś dzierżyli królowie, należy teraz do „narodu". Rodzi się z tego logiczny problem, bo „naród" jest z definicji zbiorem jednostek połączonych wspólnym systemem praw. W jakim sensie można więc powiedzieć, że naród te prawa stworzył? Gdy zadawano to pytanie po raz pierwszy, tuż po przewrotach rewolucyjnych, odpowiedź wydawała się oczywista: naród stworzył te prawa w drodze samej rewolucji. To jednak prowadzi do kolejnego problemu. Rewolucja jest aktem złamania prawa. Zbrojne powstanie, obalenie rządu i wprowadzenie nowego ustroju politycznego nigdzie nie jest legalne. Trudno wręcz wyobrazić sobie coś bardziej urągającego prawu. W świetle obowiązujących praw Cromwell, Jefferson i Danton dopuścili się jawnej zdrady; nie inaczej niż gdyby powtórzyli te same wyczyny dwadzieścia lat później w nowych porządkach, które sami stworzyli.

Źródłem prawa jest więc czyn bezprawny. Wprowadza to fundamentalną niespójność do nowoczesnej koncepcji władzy państwowej, zgodnie z którą państwo ma prawny monopol na stosowanie przemocy (tylko policjanci, strażnicy więzienni i upoważnieni pracownicy ochrony mogą pobić obywatela lub obywatelkę w majestacie prawa). Uzasadnieniem policyjnej przemocy jest egzekwowanie prawa; uzasadnieniem prawa jest konstytucja, z której to prawo się wywodzi; uzasadnieniem konstytucji jest naród, który ją stworzył; naród stworzył konstytucję w bezprawnym akcie przemocy. Nasuwa się oczywiste pytanie: jak odróżnić „naród" od rozjuszonego tłumu?

Na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi.

Powszechnie szanowani wyraziciele opinii głównego nurtu próbują odsunąć ten problem jak najdalej od siebie. Era rewolucji bezpowrotnie minęła, powiadają (chyba że w jakichś zacofanych miejscach jak Gabon czy Syria); dziś mamy legalne mechanizmy zmieniania konstytucji i standardów prawnych. To naturalnie oznacza, że nic nie jest w stanie naruszyć podstawowych struktur takiego porządku. Rezultaty widać gołym okiem w Stanach Zjednoczonych. Ustrojowa konstrukcja państwa, z kolegium elektorów i systemem dwupartyjnym, mogła zdawać się całkiem postępowa w 1789 roku – ale funkcjonuje do dzisiaj i sprawia, że w oczach reszty świata jesteśmy politycznym odpowiednikiem amiszów poruszających się powozami zaprzężonymi w konie. Oznacza to również, że pytani o uzasadnienie całego systemu powołuje-

W tym sensie suwerenność staje się tożsama z zabawą jako zasadą generującą gry; ale jest to zabawa w budzącej największą grozę, kosmicznej formie. Niektórzy używają tu pojęcia gry „odgórnej", najpełniej rozwiniętego w hinduskiej teologii, gdzie sam kosmos jest w gruncie rzeczy zabawą boskich mocy[46]. Przy czym, jak zauważa Brian Sutton-Smith w książce The Ambiguity of Play, ta sama optyka dominowała w całym świecie starożytnym, gdzie ludzie byli igraszkami w rękach przeznaczenia i losu. Wzorcowym przykładem c z ł o w i e c z e j gry w takim wszechświecie jest zaś hazard, w którym dobrowolnie poddajemy się nieprzewidywalnym kaprysom bogów[47].

W takim uniwersum wolność jest grą o sumie zerowej. Wolność od bóstw i królów staje się miarą ludzkiego zniewolenia.

Nietrudno dostrzec, dokąd to prowadzi. Nowoczesne państwa opierają się na zasadzie suwerenności ludu. Niegdysiejszą boską władzę królów dzierży teraz zbiorowość nazywana albo „ludem", albo „społeczeństwem". W praktyce jednak coraz trudniej ustalić, co ta suwerenność właściwie oznacza. Zgodnie ze słynną definicją Maxa Webera instytucjonalnym przedstawicielom suwerennego państwa przysługuje monopol na stosowanie przemocy w granicach tego państwa[48]. Zwykle przemoc mogą stosować wyłącznie upoważnieni funkcjonariusze (wojsko, policja, strażnicy więzienni) oraz osoby przez nich upoważnione (ochrona lotniska, prywatne firmy ochroniarskie) – i tylko w sposób wyraźnie określony w przepisach prawa. Jednak ostatecznie suwerenna władza oznacza możność ignorowania takich ustawowych ograniczeń lub improwizowania własnych praw zgodnie z potrzebą chwili[49]. Stany Zjednoczone mogą uważać się za kraj, w którym „rządzi prawo, nie ludzie", ale jak przekonaliśmy się w ostatnich latach, amerykański prezydent może

[46] „W kosmologii hinduskiej zabawa przychodzi z góry. Przejścia do zabawy i ich założenia są osadzone na wysokim poziomie abstrakcji i ogólności. Atrybuty zabawy rozbrzmiewają i odbijają się echem w całej przestrzeni. Ale co najistotniejsze, atrybuty zabawy są niezbędnym elementem funkcjonowania kosmosu". Don Handelman, Passages to Play: Paradox and Process, „Play and Culture" 1992, vol. 5, no. 1, s. 12. Cyt. za: Brian Sutton-Smith, The Ambiguity of Play, Harvard University Press, Cambridge 2001, s. 55.

[47] Brian Sutton-Smith, dz. cyt., s. 55 – 60. Natomiast pojęcie zabawy „oddolnej" – rozumienie zabawy jako czynności z natury subwersywnej – zawsze było obecne, ale stało się pojęciem dominującym dopiero w czasach romantyzmu.

[48] Mówiąc precyzyjniej, tylko przedstawiciele państwa mają prawo używać przemocy w danej sytuacji, jeśli znajdują się na miejscu w ramach wykonywania obowiązków służbowych.

[49] W trakcie protestów przeciwko polityce Banku Światowego w 2002 roku waszyngtońska policja otoczyła publiczny park i aresztowała wszystkich zebranych w nim demonstrantów. Zapytałem wtedy oficera dowodzącego akcją, za co zostaliśmy aresztowani. Odpowiedział: „Później coś wymyślimy!".

zlecać tortury, zabójstwa polityczne, masową inwigilację obywateli, a nawet tworzyć strefy wyjęte spod prawa, takie jak obóz Guantanamo, gdzie traktowanie więźniów nie podlega żadnym ograniczeniom. Nawet na najniższych poziomach ci, którzy egzekwują prawo, sami mu nie podlegają. Niezwykle trudno na przykład wskazać czyn, jakiego amerykański policjant musiałby się dopuścić wobec obywatelki bądź obywatela, aby sąd skazał go za przestępstwo[50].

Zdaniem Briana Suttona-Smitha, we współczesnym świecie nie funkcjonuje już starszy, „odgórny" model gry, nazywany niekiedy „mroczną grą". Od czasów romantyzmu zastąpiły go inne kategorie pojęciowe, według których gra jest albo subwersywna, albo kształcąca, albo rozwijająca wyobraźnię. To wszystko bez wątpienia prawda. Sądzę jednak, że ta starsza koncepcja gry nie zanikła całkowicie[51]. Funkcjonuje do dzisiaj na poziomie polityki, gdzie każdy arbitralny postępek władzy wzmacnia przekonanie, że nie w samej władzy, ale w arbitralności – czyli wolności – leży problem[52].

[50] Nie jest to niemożliwe, ale wymaga co najmniej penetracji analnej lufą pistoletu. Jednym z pamiętnych przykładów jest casus policjanta Justina Volpe'a, który w 1997 roku aresztował demonstranta, błędnie sądząc, że ów uderzył go podczas bójki ulicznej, po czym wsunął mu do odbytu kij od szczotki w toalecie na nowojorskim posterunku. Inny to sprawa Dennisa Kraussa, policjanta z Georgii, który interweniując w sprawie przemocy domowej, wielokrotnie wymuszał na kobietach czynności seksualne, a w 1999 roku usiłował analnie zgwałcić jedną z kobiet lufą pistoletu. Obu skazano na karę więzienia. Rzecz w tym, że aby funkcjonariusz policji trafił do więzienia, napaść musi mieć aż tak skandaliczny wymiar. Na przykład podczas demonstracji alterglobalistów oraz ruchu Occupy Wall Street policjanci wielokrotnie łamali nadgarstki i palce pokojowo nastawionym demonstrantom (nierzadko po uprzedzeniu ich, że zamierzają to zrobić), jednak ani jednemu funkcjonariuszowi nie postawiono nawet zarzutów, nie mówiąc o ich skazaniu.

[51] Warto zwrócić uwagę na złożoną relację między tym podejściem a podejściem racjonalistycznym przedstawionym wcześniej, w którym kreatywność uważano za demoniczną, ponieważ stała w opozycji do boskiej lub kosmicznej zasady rozumu. Tu kreatywność jest demoniczna dlatego, że u c z e s t n i c z y w boskiej czy kosmicznej zasadzie zabawy!

[52] Niektórzy współcześni politolodzy stwierdzają to wprost. Mam na myśli szczególnie nurt nazywany obywatelskim republikanizmem, naszkicowany przez historyków idei takich jak Quentin Skinner i filozofów takich jak Philip Pettit, którzy twierdzą, że w tradycji klasycznego liberalizmu „wolność" nie oznacza możności działania bez ingerencji władzy czy nawet groźby użycia przemocy – ponieważ systemy prawa zawsze odwołują się do przemocy wobec tych, którzy łamią prawo – ale możność działania bez ingerencji władzy a r b i t r a l n e j. Nie ma tu miejsca na szczegółową analizę, ale taka formuła wolności sprowadza się do gry o sumie zerowej. „Arbitralny" znaczy po prostu „niezdeterminowany". Decyzje władzy arbitralnej odzwierciedlają wolę i kaprys despoty. Jednak z perspektywy samego despoty „arbitralność" jest wolnością. Lud jest więc wolny wtedy, gdy nie jest wolny władca. Kto ma władzę, musi przestrzegać reguł. Ale ponieważ każdy obywatel dysponuje pewną miarą władzy, tej zasadzie podlegają wszyscy ludzie. Skoro więc wolność oznacza niepodleganie władzy arbitralnej (nieprzestrzegającej reguł)

tej książce Men, Women, and Chainsaws, horror najpierw zachęca widzów, by identyfikowali się z potworem, który rozrywa na strzępy „niedobre dziewczęta" (podczas gdy kamera dosłownie patrzy z jego punktu widzenia), a dopiero później perspektywa ulega zmianie i zaczynamy widzieć świat oczami androginicznej bohaterki, która pokonuje monstrum. Akcja zawsze toczy się wokół przewinienia i kary: „niedobra dziewczyna" grzeszy, uprawia seks, nie zgłasza zawinionego przez siebie wypadku drogowego albo jest po prostu wredną, niemądrą nastolatką – i w konsekwencji zostaje brutalnie zamordowana. Następnie niewinna, „porządna" dziewczyna brutalnie morduje napastnika. Wszystko to musi być utrzymane w chrześcijańskim, moralizatorskim duchu. Przewinienia mogą być drobne, a kara nieproporcjonalnie okrutna, ale przesłanie zawsze jest jedno: „Oczywiście, że ona na to zasłużyła. Wszyscy na to zasługujemy, bo pod cywilizowanym naskórkiem jesteśmy źli i zepsuci aż do szpiku kości. Chcecie dowodu? Popatrzcie na siebie. Jeśli nie jesteście złymi ludźmi, to czemu oglądanie tej krwawej jatki sprawia wam taką przyjemność?".

To mam na myśli, mówiąc, że przyjemność jest tu rodzajem argumentacji.

W porównaniu z tak skonstruowanym horrorem komiks o superbohaterach może wydawać się zupełnie niewinny – i pod wieloma względami taki jest. Gdyby komiks mówił dorastającym chłopcom jedynie tyle, że w każdym człowieku drzemie żądza chaosu i zniszczenia, a te popędy musimy trzymać w ryzach, polityczne implikacje gatunku nie byłyby szczególnie opłakane. Tym bardziej, że komiksowy przekaz zawiera jednak sporą dawkę ambiwalencji, podobnie jak współczesne filmy akcji, w których pozytywni bohaterowie demolują podmiejskie centra handlowe. Kto z nas choć raz w życiu nie marzył o tym, aby zrównać z ziemią jakiś bank albo hipermarket? Jak pisał Bakunin, „żądza niszczenia jest także żądzą tworzenia".

U większości komiksowych superbohaterów ta destrukcja ma jednak silnie konserwatywne implikacje polityczne. Aby wyjaśnić, dlaczego tak sądzę, muszę pozwolić sobie na krótką dygresję o władzy ustrojodawczej.

Przebrani w kostiumy superbohaterowie walczą z przestępcami w imieniu prawa, nawet jeśli sami nierzadko działają poza jego ścisłymi ramami. Ale w nowoczesnym państwie właśnie status prawa okazuje się problematyczny. Mamy bowiem do czynienia z prostym paradoksem logicznym: system nie może wygenerować sam siebie. Ktokolwiek jest władny stworzyć system praw, sam tym prawom nie podlega. Źródło prawa musi więc leżeć gdzieś indziej. Wieki średnie znały proste wyjaśnienie: porządek prawny stworzył Bóg, którego – Stary Testament nie pozostawia wątpliwości – nie ogranicza

chę i zawsze są fundamentalnie tacy sami. Podstawowa komiksowa intryga przedstawia się następująco: pewien czarny charakter – szef zorganizowanej grupy przestępczej, a może jakiś potężny superzłoczyńca – wchodzi na ścieżkę zbrodni i obmyśla plany podboju świata, zniszczenia na wielką skalę, zuchwałej kradzieży, szantażu czy okrutnej zemsty. Protagonista dowiaduje się o niebezpieczeństwie i wyrusza, aby mu zapobiec, a po wielu ciężkich próbach i rozterkach w ostatniej chwili udaremnia zamiary złoczyńcy. Świat powraca do normalności, aż w następnym odcinku ta sama historia powtarza się od nowa.

Nietrudno zauważyć, co się tu dzieje. Bohaterowie są „reakcjonistami" w dosłownym sensie tego określenia: nie realizują żadnych własnych planów, a jedynie reagują na wydarzenia w otaczającym świecie. (Mówiąc precyzyjniej, nie mają własnych planów j a k o b o h a t e r o w i e. Jako Clark Kent Superman nieustannie i bezskutecznie stara się o względy Lois Lane, ale jako Superman nie przejawia żadnej inicjatywy). Można nawet powiedzieć, że superbohaterowie są pozbawieni wyobraźni. Bajecznie bogaty Bruce Wayne nie umie spożytkować swojego majątku inaczej, niż projektując coraz wymyślniejsze rodzaje broni i od czasu do czasu rzucając datki na cele dobroczynne. Supermanowi nigdy nie przyjdzie do głowy, że mógłby rozwiązać problem głodu na świecie albo wydrążyć magiczne miasta w górskich zboczach. Nie zdarza się niemal nigdy, by jakiś superbohater coś stworzył albo zbudował. Niezwykle twórczy są za to złoczyńcy. Ci mają głowy pełne zamierzeń, planów i pomysłów. Wygląda na to, że z początku mamy się nieświadomie identyfikować właśnie z nimi. To przecież oni bawią się w najlepsze. W końcu ogarnia nas z tego powodu poczucie winy, wracamy do identyfikacji z bohaterem pozytywnym i z tym większą przyjemnością patrzymy, jak id zbiera potężne cięgi od superego.

Oczywiście, każda sugestia, że komiks może nieść jakiekolwiek przesłanie, napotyka standardowe obiekcje: „To tylko tania rozrywka! Równie dobrze można oczekiwać, że o naturze ludzkiej, polityce albo społeczeństwie dowiemy się czegoś na karuzeli". Po części wypada się z tym zgodzić. Popkultura nie istnieje po to, by nas do czegoś przekonywać, ale by dawać przyjemność. Jednak gdy się jej bacznie przyjrzymy, dostrzeżemy, że w większości dzieł popkultury ta przyjemność układa się w swego rodzaju ciąg argumentacyjny. Szczególnie jaskrawym przykładem są tu filmy grozy. Intryga horroru zazwyczaj sprowadza się do opowieści o występku i karze. Najwyraźniej widać to w akcji tak zwanych slasherów – najbardziej krwawego i najmniej subtelnego gatunku horroru. Jak dawno temu zauważyła Carol Clover w znakomi-

Można to zaobserwować praktycznie wszędzie tam, gdzie normą stały się rządy republikańskie (dziś często i błędnie nazywane „demokratycznymi"). Porządek prawny rozrósł się tak, że definiuje i reguluje już niemal każdy możliwy aspekt ludzkiego życia, a wraz z nim rozprzestrzeniły się obszary, na których ostatecznym egzekutorem przepisów jest państwowy aparat przemocy. Dlatego, jak pisałem wcześniej, mamy coraz więcej przepisów regulujących, kto może sprzedawać, a kto spożywać określone napoje, gdzie kto może pracować i kiedy może odejść z pracy albo jakiej wielkości reklamy można instalować na ulicy. Groźba użycia siły przenika praktycznie każdy aspekt ludzkiego życia – to stan, jaki byłby nie do pomyślenia pod rządami Heliogabala, Dżyngis-chana czy Sulejmana Wspaniałego.

O tym, jak przepisy prawa, a w ślad za nimi przemoc, przenikają każdy aspekt naszego życia, pisałem już wcześniej. Tu chcę jedynie zaznaczyć, że ten imperatyw ma swoje źródło w niewypowiedzianej kosmologii, w której zabawa (a więc i kreatywność) jest postrzegana jako zagrożenie, natomiast wszelkie zachowania obwarowane regułami na wzór gry uważa się za transparentne i przewidywalne. W konsekwencji ten nieustanny przybór reguł i przepisów jest odbierany jako rodzaj wolności.

Dzieje się tak nawet tam, gdzie zagrożenie przemocą ze strony państwa jest odległe. Za przykład niech posłuży zarządzanie wydziałami na uczelni wyższej. Jak wspominałem, antropolodzy z wielką niechęcią kierują narzędzia swojej analizy ku własnemu środowisku akademickiemu, ale i tu są wyjątki. Jednym z nich jest znakomita analiza brytyjskiej „kultury audytu" autorstwa Marilyn Strathern. Kultura audytu wywodzi się z przekonania, że dopóki nie ma jasnych, „transparentnych" kryteriów określających, jak pracownicy mają wykonywać swoje obowiązki, uczelnia pozostaje feudalnym systemem arbitralnej, personalnej władzy. Na pierwszy rzut oka trudno z tym polemizować. Kto miałby sprzeciwiać się transparentności? Strathern kierowała wydziałem antropologii w Cambridge w czasach, gdy wprowadzano te reformy, a rzeczywiste konsekwencje tej biurokratyzacji udokumentowała w książce Audit Cultures[53]. Uniwersytet Cambridge

innych ludzi i skoro każdy człowiek ma władzę, to logiczną konsekwencją jest, że każdy aspekt ludzkiego życia musi zostać zredukowany do zbioru transparentnych reguł. Podstawowe teksty na ten temat to: Philip Pettit, Republicanism: A Theory of Freedom and Government, Clarendon Press, Oxford 1997; Quentin Skinner, Freedom as the Absence of Arbitrary Power, [w:] Republicanism and Political Theory, ed. Cécile Laborde, John Maynor, Blackwell Publishing, Malden, MA, 2008.

[53] Marilyn Strathern, Audit Cultures: Anthropological Studies in Accountability, Ethics and the Academy, Routledge, London 2000.

był wówczas kwintesencją instytucji feudalnej, zbudowanej na narosłych od wieków pokładach zwyczajów i tradycji. Wydział antropologii, choć stosunkowo młody, zdążył wypracować własne procedury załatwiania spraw, których nikt w zasadzie nie rozumiał i nie umiał precyzyjnie wyartykułować. Wyartykułowanie tych procedur okazało się jednak konieczne, aby zapewnić ich „transparentność". W praktyce oznaczało to, że wiele subtelnych, zniuansowanych praktyk należało przerobić na wyraźnie zdefiniowane zbiory reguł. Przypominało to próbę przetworzenia tradycji na grę planszową. W pierwszym odruchu mówiono po prostu: „W porządku, spiszemy wszystko dla władz uczelni, a działać będziemy po staremu". Ale w praktyce takie podejście szybko okazuje się niemożliwe, bo przy pierwszym konflikcie obie strony automatycznie odwołują się do regulaminu.

Reformy tego rodzaju, choć usiłują wyeliminować arbitralność władzy personalnej, nigdy nie osiągają tego celu. Władza personalna winduje się po prostu na wyższy poziom i polega na tym, że w określonych przypadkach osoba sprawująca władzę może odłożyć każdą regułę na bok (władza suwerenna w miniaturze). Fakt, że reforma nie osiągnęła założonego celu, w żadnym stopniu nie podważa jednak zasadności samej reformy. Przeciwnie: każdy, kto ma jakiekolwiek obiekcje wobec władzy personalnej, może je wyrazić tylko w jeden sposób, apelując o więcej przepisów i więcej „transparentności". Tym samym wolność i sprawiedliwość zostają sprowadzone do podporządkowania wszystkiego regułom pewnej gry.

Podobny proces zachodzi wszędzie, nawet tam, gdzie nie występuje arbitralna władza personalna. Najbardziej oczywistym przykładem jest język. Można to nazwać efektem podręcznika gramatyki. Nie jest tak, że aby stworzyć nowy język, wynajduje się najpierw jego gramatykę. Odwrotnie: gramatykę języka spisuje się (przynajmniej za pierwszym razem) na podstawie obserwacji niewypowiedzianych i zwykle nieuświadamianych reguł, jakie wydają się stosować ludzie mówiący tym językiem. Ale gdy taka gramatyka już powstanie, a szczególnie gdy jako podręcznik trafi do szkół, zawarte w niej reguły przestają być jedynie opisem języka („jak ludzie mówią"), a zaczynają być traktowane jako przepis na język („jak p o w i n n o s i ę mówić").

Łatwo to zaobserwować tam, gdzie gramatykę języka opisano niedawno. W wielu miejscach na świecie pierwsze gramatyki i słowniki spisali chrześcijańscy misjonarze w XIX, a niekiedy i XX wieku, by móc przetłumaczyć Biblię i inne święte księgi na języki, które dotąd nie znały pisma. Pierwszą gramatykę języka malgaskiego, mówionego języka Madagaskaru, spisywano na przykład w drugiej i trzeciej dekadzie XIX stulecia. Języki, co oczywiste,

orientację polityczną? Pierwszą taką przemianę można zaobserwować nie u postaci komiksowych, ale u Jamesa Bonda, który w swojej tradycyjnej inkarnacji, jako nadludzko skuteczny pogromca złoczyńców, był filmową wersją superbohatera. W Casino Royale Bond zyskał psychologiczną głębię. A już w następnym filmie ratował rdzenne plemiona Boliwii przed zakusami transnarodowej korporacji usiłującej zmonopolizować źródła wody pitnej.

Jeśli Batman zboczył na prawo, to Superman – na lewo. I nic w tym dziwnego. Każdy superbohater jest produktem swoich historycznych korzeni. Superman to chłopak z rodzinnej farmy w Iowa, która nie przetrwała depresji lat 30. Batman, miliarder i playboy, to z kolei dziecko kompleksu militarno-przemysłowego, który narodził się – tak jak sam Batman – na początku drugiej wojny światowej. Peter Parker to natomiast produkt lat 60., bystry dzieciak z robotniczej dzielnicy Queens, któremu wstrzyknięto w żyłę jakieś świństwo. I ponownie w najnowszym filmie Nolana ten podtekst wychodzi nagle na światło dzienne („Nie jesteś stróżem – mówi policjant – jesteś anarchistą!"): szczególnie w kulminacyjnym momencie filmu, gdy ranionego przez policję Spidermana ratują w odruchu robotniczej solidarności (i wbrew nakazom władz miasta) operatorzy żurawi na Manhattanie. Film Nolana ma największe ambicje polityczne i jednocześnie najmocniej rozczarowuje. Czyżby narracja o superbohaterach nie była w stanie pomieścić prawicowego przesłania?

Jak dotąd krytycy i recenzenci nie wyciągali takich wniosków.

Co więc można powiedzieć o politycznym wymiarze superbohaterów? Należy chyba zacząć od oryginalnych komiksów, bo z nich wzięły się późniejsze seriale telewizyjne, kreskówki i filmy pełnometrażowe. Komiksy o superbohaterach narodziły się w połowie XX stulecia i jak wszystkie popkulturowe fenomeny tego okresu, są naznaczone freudyzmem. Chcę przez to powiedzieć, że kiedy utwór literatury popularnej zdaje się mówić coś o ludzkiej naturze lub ludzkich motywacjach, możemy oczekiwać pewnej dozy popkulturowej psychoanalizy. Bywa, że ten freudowski ładunek jest podany otwarcie, jak w filmie Zakazana planeta z jego „potworem jaźni". Najczęściej jednak funkcjonuje jako podtekst.

Umberto Eco zauważył kiedyś, że komiksowe historie same w sobie przypominają marzenia senne: obsesyjnie i bez końca powtarza się w nich ten sam podstawowy ciąg wydarzeń. Nic się nie zmienia. Chociaż w tle przewijają się kolejno wielki kryzys, druga wojna światowa i powojenne lata dobrobytu, protagoniści – czy to Superman, Wonder Woman, Green Hornet czy Doctor Strange – trwają jak gdyby w wiecznej teraźniejszości, nie starzeją się ani tro-

konkretnie sprawia, że Mroczny rycerz jest aż tak niedobrym filmem, może przyczynić się do zrozumienia wielu innych kwestii dotyczących kina, przemocy, policji i samej natury tego, czym jest władza.

Jedno trzeba powiedzieć od razu. Film w samej rzeczy jest propagandą skierowaną przeciwko ruchowi Occupy. Niektórzy do dziś temu zaprzeczają. Reżyser Christopher Nolan publicznie stwierdził, że scenariusz powstał przed narodzinami ruchu OWS, a za inspirację słynnych scen okupacji Nowego Jorku („Gotham") posłużyły mu dickensowskie opisy rewolucji francuskiej. Te wyjaśnienia nie brzmią szczerze. Jak powszechnie wiadomo, hollywoodzkie scenariusze są poprawiane i pisane od nowa przez cały okres produkcji filmu, a ich ostateczna postać często nie ma wiele wspólnego z wersją pierwotną. Co więcej, kiedy mowa o przekazie dzieła, nawet szczegóły takie jak plan zdjęciowy („Wiem! Scenę konfrontacji ludzi Bane'a z policją nakręcimy przed giełdą nowojorską!") albo drobne zmiany sformułowań (na przykład „przejąć kontrolę" na „okupować") bywają decydujące.

Do tego dochodzi fakt, że złoczyńcy istotnie okupują Wall Street i przypuszczają atak na siedzibę giełdy.

Moim zdaniem film zrujnowała właśnie ta potrzeba odniesienia się do rzeczywistości, ta odwaga zmierzenia się z doniosłymi problemami naszych czasów. To niefortunne, bo dwie poprzednie części trylogii – Batman: Początek i Mroczny rycerz – nie były pozbawione autentycznej elokwencji. Jako ich twórca Nolan pokazał, że ma sporo do powiedzenia o ludzkiej psychologii, a szczególnie – jak przystało na cenionego reżysera filmów akcji – o związkach między kreatywnością i przemocą. Mroczny rycerz powstaje ma jeszcze większe ambicje. Przemawia z wysoka, nie obawiając się wzniosłości i skali adekwatnej do czasów, w jakich powstał. Ale w rezultacie osuwa się w mętną niedorzeczność.

Takie momenty są cenne poznawczo choćby dlatego, że pozwalają dostrzec, o co tak naprawdę chodzi w całym kulturowym motywie superbohaterów. To z kolei pomaga odpowiedzieć na inne pytanie: skąd wziął się nagły wysyp filmów o komiksowych superbohaterach? Dlaczego w roli największych kasowych hitów Hollywood zdają się zastępować produkcje science-fiction niemal równie szybko, jak w latach 70. filmy kryminalne zastąpiły westerny w roli dominującego gatunku kina akcji?

Dlaczego dobrze znani superbohaterowie zyskują nagle skomplikowane życie wewnętrzne: historię rodzinną, emocjonalną ambiwalencję, kryzysy moralne, lęki i zwątpienia? Oraz, na co rzadziej zwraca się uwagę, właściwie dlaczego superbohater, który otrzymał duszę, musi przyjąć jakąś wyraźną

nieustannie się zmieniają, więc i mówiony język malgaski, w tym jego gramatyka, jest dziś inny niż przed dwustu laty. Ale ponieważ gramatyki wszyscy uczą się w szkole, gdy zwrócić im na to uwagę, automatycznie pada odpowiedź, że współcześni użytkownicy języka popełniają błędy i nie przestrzegają reguł. Nikomu nie przychodzi do głowy, dopóki nie zwróci się im na to uwagi, że gdyby misjonarze przybyli do ich kraju dwa stulecia później, obecny uzus byłby uznany za jedyny poprawny, a błędy wytykano by tym, którzy dziś mówią tak, jak mówiono przed dwustu laty.

To podejście istotnie utrudniało mi naukę kolokwialnego malgaskiego. Nawet gdy brałem lekcje konwersacji u malgaskich studentów, uczyli mnie dziewiętnastowiecznej wersji swojego języka, której ich samych uczono w szkole. W końcu zacząłem zauważać, że uczą mnie mówić zupełnie inaczej, niż sami rozmawiają między sobą. Ale gdy ich pytałem o formy gramatyczne, których używali, a o których podręczniki milczą, wzruszali tylko ramionami: „Nie mów tak, to błąd językowy". W końcu zrozumiałem, że aby nauczyć się mówić współczesną odmianą malgaskiego, muszę nagrywać rozmowy na taśmę, przepisywać je tak, jak potrafię, a potem prosić znajomych o objaśnienie wszelkich nieznanych mi struktur i wyrażeń. Innego sposobu nie było, ponieważ tych form, które uważali za błędne, nie potrafili mi wyjaśnić w kategoriach reguł gramatycznych.

W przypadku wydziału antropologii w Cambridge reguły postępowania zostały sformalizowane, a następnie urzędowo zacementowane po to, by wyeliminować arbitralną władzę personalną. W podejściu Malgaszów do reguł gramatyki własnego języka chodzi o awersję nie tyle do arbitralnej władzy, co do samej arbitralności – a skutkiem tej awersji jest bezkrytyczna akceptacja władzy w jej najbardziej formalnych, instytucjonalnych postaciach. Bo kto, jeśli nie nauczyciel, jest pierwszym przedstawicielem formalnego i najeżonego przepisami aparatu władzy, z jakim się w życiu stykamy? Madagaskar nie różni się pod tym względem od reszty świata. Gdy dopytywałem znajomych, czemu nie mówią językiem opisanym w podręcznikach, odpowiedź zawsze była taka sama: „Ludzie są leniwi". Najwyraźniej moi rozmówcy uważali, że problem polega na niedostatku pilności w szkole. A tymczasem bezwiednie odmawiali sobie i innym prawa do zbiorowej kreatywności, do swobodnej zabawy systemem.

Warto pochylić się przez chwilę nad kwestią języka, bo lepiej niż jakikolwiek inny przykład ujawnia głęboki paradoks w naszym rozumieniu wolności. Z jednej strony reguły są z definicji krępujące. Gramatyka, etykieta i obyczaje decydują, co możemy powiedzieć, a czego nie. Nie bez przyczyny jed-

nym z archetypicznych obrazów prześladowania jest belfer karcący ucznia za popełniony błąd. Z drugiej strony, gdyby nie wspólne konwencje – semantyka, składnia, fonologia – moglibyśmy tylko nieskładnie bełkotać, a komunikacja w ogóle nie byłaby możliwa. W takich warunkach trudno byłoby mówić o jakiejkolwiek wolności. Istnieje zatem taki punkt, choć nie da się go precyzyjnie wskazać, w którym reguły przestają ograniczać działania, a zaczynają je umożliwiać. A wobec tego wolność jest napięciem między swobodną zabawą ludzkiej kreatywności a regułami, które ta kreatywność nieustannie wytwarza. Właśnie to obserwują zawsze językoznawcy. Nie ma języka bez gramatyki. Ale nie ma też języka, w którym wszystko, włącznie z gramatyką, nie podlegałoby nieustannym zmianom.

Rzadko pytamy o przyczynę tego stanu rzeczy. Dlaczego język nieustannie się zmienia? Łatwo pojąć, dlaczego wspólnie uzgodniona gramatyka i słownictwo są konieczne, byśmy mogli ze sobą rozmawiać. Ale jeśli funkcja języka miałaby się ograniczać tylko do tego, ludzie dysponujący już adekwatną gramatyką oraz zasobem leksykalnym trzymaliby się ich kurczowo i nie musieliby ich modyfikować. Nowe pojęcia byłyby potrzebne tylko wtedy, gdy pojawiałyby się nowe trendy, wynalazki czy warzywa z importu, a poza takimi sytuacjami w języku nie zachodziłyby żadne zmiany. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Nie znamy ani jednego języka, który na przestrzeni choćby stu lat nie zmieniłby swojego brzmienia i struktury[54]. Dotyczy to także języków, jakimi mówią społeczności najbardziej „wierne tradycji"; dotyczy to także krajów, w których powstały specjalne instytucje – jak L'Académie française – które mają takim zmianom przeciwdziałać. Niektóre z tych zmian można z pewnością przypisać ludzkiej przekorności (na przykład pragnieniu młodzieży, by odróżnić się od pokolenia rodziców), ale trudno uniknąć wrażenia, że tak naprawdę mamy tu do czynienia z zabawą w najczystszej formie. Wszystko jedno, w jakim mówią języku – arapesz, hopi czy norweskim – ludzie nudzą się, gdy mówią ciągle tak samo. Zawsze mają ochotę choć trochę pobawić się językiem. A efekty tych zabaw się kumulują.

Wynika z tego, że w każdym i każdej z nas ścierają się dwie przeciwstawne tendencje: z jednej strony skłonność do twórczej zabawy samej w sobie; z drugiej skłonność do przytakiwania każdemu, kto nas upomina, że nie powinniśmy sobie na to pozwalać. To właśnie ta druga tendencja sprzyja organizowaniu życia instytucjonalnego na wzór gier. Prowadzi bowiem do lo-

[54] Jak się okazuje, tempo zmian zachodzących w każdym języku jest względnie stałe niezależnie od okoliczności historycznych. Istnieje cała nauka poświęcona badaniu tego zjawiska, mianowicie glottochronologia.

Dodatek: Batman i problem władzy ustrojodawczej

Prezentowany artykuł, poświęcony filmowi ChristOPHERA NOLANA Mroczny rycerz powstaje, to rozszerzona wersja recenzji opublikowanej pierwotnie pod tytułem Super Position w magazynie „The New Inquiry" w 2012 roku. Dołączam go w tym miejscu, ponieważ rozwija tematy suwerenności i popkultury poruszone w trzecim rozdziale książki. Jak w nim pisałem, współczesne pojęcie „państwa" zawiera trzy historycznie niepowiązane elementy, które nazywam suwerennością, biurokracją i polityką (heroiczną). Wówczas poświęciłem jednak bardzo niewiele miejsca kwestii suwerenności, dlatego zdecydowałem się uzupełnić książkę o szersze refleksje na ten temat, utrzymane w podobnie dygresyjnym tonie.

W sobotę 1 października 2011 roku nowojorska policja aresztowała siedmiuset aktywistów i aktywistek ruchu Occupy Wall Street przechodzących przez most Brookliński. Burmistrz Bloomberg uzasadnił tę decyzję faktem, że demonstranci tamowali ruch uliczny na wiadukcie. Pięć tygodni później ten sam burmistrz Bloomberg zamknął pobliski most Queensboro na całe dwa dni, aby umożliwić kręcenie zdjęć do najnowszego filmu z serii o Batmanie w reżyserii Christophera Nolana, Mroczny rycerz powstaje.

Ironia tej sytuacji umknęła nielicznym.

Kilka tygodni temu wybrałem się do kina z grupą znajomych z ruchu Occupy Wall Street, z których większość miała za sobą październikowe aresztowanie na moście. Wiedzieliśmy, że film jest niemal trzygodzinną propagandą skierowaną przeciwko ruchowi Occupy. To nam nie przeszkadzało. Zamierzaliśmy obejrzeć ten film w takim samym duchu, w jakim ktoś, kto nie jest rasistą ani nazistą, może wybrać się na projekcję Narodzin narodu czy Triumfu woli. Spodziewaliśmy się filmu nastawionego do nas wrogo, a nawet obraźliwego. Ale nikt z nas nie spodziewał się, że będzie aż tak zły.

Chcę się przez chwilę zastanowić nad przyczynami tej porażki. Jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało, to istotne pytanie. Próba wytłumaczenia, co

ganizacyjne sprawiają wrażenie, że pozwalają zachować pozytywne elementy zabawy, a jednocześnie uniknąć jej bardziej złowieszczego potencjału.

Jednak raz po raz widzimy te same rezultaty. Czy to za sprawą wiary w „racjonalność", czy lęku przed arbitralnością władzy, zbiurokratyzowane pojęcie wolności prowadzi nas do marzenia o świecie, z którego zabawa zostanie całkowicie wykluczona – a w najlepszym razie wyparta na peryferie, z dala od wszelkich poważnych i doniosłych ludzkich poczynań – a każdy aspekt życia zostanie zredukowany do jakiejś skomplikowanej, obwarowanej regułami gry. Taka wizja nie jest pozbawiona pewnego uroku. Kto nie marzył o świecie, w którym wszyscy znają reguły gry, wszyscy tych reguł przestrzegają i – co chyba najważniejsze – przestrzeganie reguł nie odbiera szansy na wygraną? Problem w tym, że to fantazja równie utopijna co świat całkowicie swobodnej, wolnej od ograniczeń zabawy. Na zawsze pozostanie tylko lśniącym mirażem, który znika, gdy próbujemy się do niego zbliżyć.

Iluzje tego rodzaju nie zawsze są czymś złym. Niewykluczone, że właśnie takim utopijnym dążeniom zawdzięczamy największe osiągnięcia ludzkości. Jednak w tym konkretnym przypadku, jak i w szerszym kontekście polityczno-gospodarczym, gdzie biurokracja stała się mechanizmem, za pomocą którego niewielki odsetek populacji czerpie z nas wszystkich zyski, dążenia te doprowadziły w końcu do tego, że każda próba uwolnienia się spod władzy arbitralnej kończy się wzmocnieniem tej władzy. W konsekwencji życie dusi się pod naporem przepisów, uzbrojeni strażnicy i kamery wideo obserwują nas na każdym kroku, rozwój naukowy i wszelka twórczość zamierają, a my wszyscy coraz więcej i więcej czasu poświęcamy na wypełnianie rozmaitych formularzy.

gicznego wniosku, że wszelka wolność jest arbitralnością, a wszelka arbitralność – formą niebezpiecznej, wywrotowej władzy. Stąd już zaledwie krok do stwierdzenia, że prawdziwa wolność polega na życiu w całkowicie przewidywalnym świecie, w którym tego rodzaju wolności jako arbitralności nie ma wcale.

Zakończę jeszcze jednym przykładem z własnego politycznego doświadczenia.

Od trzydziestu czy czterdziestu lat antyautorytarnie nastawieni aktywiści na całym świecie tworzą nowe i bardziej efektywne formuły demokracji bezpośredniej – takie, które nie będą wspierać się na biurokracji ani na przemocy. Szeroko pisałem o tych staraniach gdzie indziej. Poczyniono znaczne postępy. Ale osoby zaangażowane w tego rodzaju projekty często stykają się z problemem właśnie tego rodzaju władzy „arbitralnej". Jedną ze ścieżek wypracowywania nowych form procesu konsensualnego jest na przykład tworzenie form instytucjonalnych, które sprzyjają improwizacji i kreatywności, zamiast je powściągać. Jak niekiedy ujmują to aktywiści: większa grupa ludzi jako całość zwykle zachowuje się mniej inteligentnie i mniej twórczo, niż zachowywałyby się tworzące ją jednostki. Dlatego aktywiści starają się tak zaprojektować proces podejmowania decyzji, aby grupa działała inteligentniej i bardziej twórczo niż jej poszczególni członkowie i członkinie.

Osiągnięcie tego celu jest istotnie możliwe, ale wymaga wiele pracy. A im grupa większa, tym więcej formalnych mechanizmów trzeba jej wbudować. Najważniejszy tekst wywodzący się z tej tradycji aktywizmu to The Tyranny of Structurelessness[55] (Tyrania braku struktur), napisany w latach 70. ubiegłego wieku przez Jo Freeman. Artykuł jest poświęcony kryzysom organizacyjnym, do jakich dochodziło w zbiorowościach feministycznych, gdy tylko ich liczebność przekraczała pewien poziom. Freeman zauważa, że z początku każda tego rodzaju grupa przybierała prowizoryczny, anarchistyczny model organizacji, wychodząc z założenia, że żadne formalne mechanizmy porządkujące nie będą potrzebne. Wystarczy przecież usiąść, porozmawiać ze sobą po siostrzanemu i rozwiązać wszelkie problemy. Na początku rzeczywiście tak było. Jednak w każdej grupie, do której dołączyło więcej niż, powiedzmy, dwadzieścia osób, nieuchronnie zaczynały się tworzyć nieformalne kliki. Małe podgrupy złożone ze znajomych czy sojuszniczek zaczynały kontrolować obieg informacji, narzucać plan działania i przejmować władzę na różne

[55] Jo Freeman, The Tyranny of Structurelessness. Pierwsza oficjalna publikacja w „The Second Wave" 1970, vol. 2, no. 1. Przedruk w: Quiet Rumours: An Anarcha-Feminist Reader, Dark Star Collective, AK Press, Edinburgh 2002, s. 54 – 61.

subtelne sposoby. W artykule Freeman postuluje wiele formalnych mechanizmów, jakie można wprowadzić, aby przeciwdziałać temu zjawisku, ale w tym miejscu szczegóły tych rozwiązań nie są istotne. Wystarczy powiedzieć, że mechanizmy, które dziś rozumiemy pod pojęciem „formalnego procesu konsensualnego", w dużym stopniu wzięły się z kryzysu opisanego przez Freeman i z debaty, jaką wywołała jej interwencja.

Chcę tu zwrócić uwagę na fakt, że niemal każdy, kto nie stoi na pozycji stanowczo antyautorytarnej (ale i wiele osób, które przyjmują takie stanowisko), błędnie interpretował artykuł Freeman nie jako apel o tworzenie formalnych mechanizmów dla zagwarantowania równości, lecz jako apel o tworzenie bardziej transparentnej hierarchii. Z tej mentalności słyną leniniści, ale liberałowie nie są pod tym względem lepsi. Spory na ten temat zawsze przebiegają tak samo. Zaobserwowane przez Jo Freeman zjawisko tworzenia się klik i niewidzialnych struktur władzy interpretuje się jako twierdzenie, że w każdej grupie liczącej ponad dwadzieścia osób będą istnieć kliki, struktury władzy i „osoby decyzyjne". Następnym krokiem jest przyjęcie tezy, że trzeba zminimalizować wpływ takich klik i negatywne efekty wszelkich nieformalnych struktur władzy, a jedynym sposobem osiągnięcia tego celu jest ich sformalizowanie: dotychczasowa koteria musi stać się komitetem centralnym – a ponieważ ten termin źle się dzisiaj kojarzy, zwykle mówi się o komitecie koordynującym, sterującym i tak dalej. Władza musi wyjść z cienia. Trzeba sformalizować proces, ustalić reguły, zorganizować wybory i precyzyjnie określić zakres kompetencji, jaki koteria otrzyma. Dzięki temu władza stanie się przynajmniej transparentna i będzie ją można „rozliczać". (Znów, zauważmy, pojęcie wywiedzione z księgowości). Władza przestanie być arbitralna.

Z perspektywy aktywistów taka recepta jest absurdalna. O wiele łatwiejszym sposobem ograniczenia władzy nieformalnych klik jest nienadawanie im formalnego statusu, czyli odmowa usankcjonowania ich istnienia. Jakiekolwiek „formalne struktury odpowiedzialności" stworzymy, by powściągały władzę koterii przekształconej w komitet, będą one znacznie mniej skuteczne, choćby dlatego, że takie struktury legitymizują ową władzę, a przez to drastycznie zwiększają nierówność w dostępie do informacji, która umożliwia pewnym osobom zyskiwanie większej władzy w pozornie egalitarnych zbiorowiskach. Jak pisałem w pierwszym rozdziale, struktury mające gwarantować transparentność nieuchronnie stają się strukturami gwarantującymi tępotę.

Załóżmy więc, że dyskutant przyznaje nam w tym miejscu rację (co zwykle musi uczynić, bo wynika to ze zdrowego rozsądku). Następna linia obrony opiera się na estetyce. Oponent upiera się, że istnienie struktur wpływów, które nie mają oficjalnej sankcji, i które, mimo braku aparatu przemocy egzekwującego ich władzę, można uznać za arbitralne, po prostu budzi niesmak. Interlokutor zwykle nie przyznaje, że jego obiekcje są natury estetycznej; woli przedstawiać je w kategoriach moralnych. Niektórzy jednak są dość uczciwi, by wprost przyznać, co mają na myśli. Pamiętam debatę z Normanem Finkelsteinem, zorganizowaną podczas protestów Occupy Wall Street w nowojorskim Central Parku (na pewno została zarejestrowana i gdzieś można jej posłuchać). Finkelstein – błyskotliwy i ze wszech miar godny podziwu aktywista – osiągnął polityczną dojrzałość w czasach Ruchu Praw Obywatelskich i do dziś czerpie inspirację z działalności ugrupowań takich jak Southern Christian Leadership Conference. W debacie przedstawił swoje stanowisko jednoznacznie. Może to prawda, przyznał, że najlepszym sposobem powstrzymania takich koterii przed zyskaniem nadmiaru władzy jest konsekwentne trzymanie się zasady, że koterie nie mają prawa istnieć. Jednak dopóki takie koterie istnieją, a nie są formalnie uznane i uregulowane, podtrzymujemy system, który mówi, że w porządku jest, gdy ktoś rządzi nami, choćby w minimalnym stopniu, z cienia. W praktyce nie muszą wynikać z tego żadne problemy. Możliwe, że formalne uznanie istnienia koterii w większym stopniu ograniczy wolność niż ich ignorowanie. Ale koniec końców świadomość, że ktoś rządzi mną z cienia, budzi moją odrazę.

W takich sporach obserwujemy bezpośrednie starcie dwóch różnych form zmaterializowanego utopizmu. Po jednej stronie mamy antyautorytaryzm, który kładąc nacisk na twórczą syntezę i improwizację, rozumie wolność w kategoriach zabawy; po drugiej stronie – niewypowiedziany republikanizm, dla którego wolność jest w ostatecznym rozrachunku możliwością zredukowania wszelkich form władzy do zestawu jasnych oraz transparentnych reguł.

Od dwustu lat w Europie i Ameryce Północnej, a coraz częściej i na pozostałych kontynentach, niepodzielnie panuje biurokratyczne rozumienie wolności. Nowe modele instytucjonalne (takie jak fizyczna i elektroniczna poczta, od których zacząłem ten rozdział), działające według reguł tak sztywnych i przewidywalnych, że praktycznie przestajemy je dostrzegać, oferuje się nam jako platformy ludzkiej wolności, wyłaniające się z czysto technicznych aspektów organizowania skutecznych struktur władzy. Takie formy or-